

A man with dark, wavy hair and a light beard, wearing a white button-down shirt, stands against a dark, textured background. The lighting is dramatic, highlighting his features and the texture of his shirt.

# Taylor

*Twój na zawsze*

Obiecał JĄ chronić.  
Dla NIEJ chciał samego nieba przychylić.  
Ale ONA wybrała innego...

KATARZYNA MAK

KATARZYNA MAK

*Tayler*  
*Twój na zawsze*

wydawnictwo  
*Giechu*  
*Warte*



Redakcja i korekta

*Jarosław Lipski*

Projekt okładki

*Justyna Knapik*

*fb.com/justyna.es.grafik*

Fotografia na okładce

© toonsteb | *stock.adobe.com*

Przygotowanie wersji elektronicznej

*Maksym Leki*

Wydanie I, 2024

Wydawca:

*Wydawnictwo Grzechu Warte*

© Wydawnictwo Grzechu Warte, 2024

tekst © *Katrzyna Mak*

ISBN 978-83-970671-1-0

*O pewnych osobach nie zapomina się tak łatwo. Są ludzie, którzy na zawsze zapisują się w naszych myślach. Podobnie zresztą jak uczucia, które do nich żywimy. Te także zostawiają po nich trwałą ślad w naszych sercach...*

*Anno, Tayler jest Twój!*

## ***Przedmowa autorki***

Kochani, wielu z Was czekało na „Taylera”, wielu pisało do mnie, pytając, kiedy się ukaże na rynku. I wszyscy właśnie doczekaliśmy się tej chwili. Zanim jednak zasiądziecie do lektury, chciałabym Wam przypomnieć, jak powstała historia tego DŻENTELMENA. „Tayler”, a właściwie „Twój na zawsze”, bo właśnie taki był pierwszy tytuł tej opowieści, powstał w mojej głowie na krótko po napisaniu drugiego tomu „Taka jak ona”, który poprzedza książka o tytule „Inna niż wszystkie” – obie stanowią nieodłączny „element” także i tej powieści. Kiedy skończyłam pisać właśnie drugi tom, nie umiałam ot tak przejść do porządku nad tym, co spotkało Taylera. Mogę się założyć, że nie tylko w moim sercu ten mężczyzna zasiał zamęt. Kochacie go, prawda? A zatem czas się przekonać, jak bardzo...

Katarzyna Mak

# Prolog

Wychowywałem się w biednej, nowojorskiej dzielnicy. Nic nie wskazywało na to, że w swoim nędznym życiu znajdę aż tak daleko. Bo cóż mogło czekać dzieciaka z wielodzietnej, ledwo wiążącej koniec z końcem rodziny? Praca w fabryce, w dodatku na zmiany? Mieszkanie w slumsach, na przedmieściach NYC? Żona i grupka bachorów?

A jednak jakimś cudem udało mi się wyrwać z bezlitosnych szponów nędzy. Ale czy to mi wystarczało? Czy dzięki temu uważałem się za lepszego człowieka? Przez chwilę wydawało mi się, że tak właśnie było, że się zmieniłem i stałem się kimś bardziej wartościowym. Lecz ten stan nie trwał zbyt długo. Właściwie skończył się szybciej, niż w rzeczywistości zdałem sobie sprawę z jego istnienia. Zgasł wraz z *jej* odejściem.

Spoglądam na śpiącą w moim łóżku Liz. Jest do niej taka podobna. Ale to z pewnością nie ona. Nie ma w niej choćby krzty mojej ukochanej Liv.

Wzdycham, pocieram czoło wierzchem dłoni, a potem niezwłocznie opuszczam łóżko i udaję się do łazienki. Staję przed lustrem, zawisam nad umywalką i spoglądam we własne odbicie. Patrzący na mnie z naprzeciwka facet nie przypomina już mnie, wręcz wydaje się obcy. Z pozoru ta sama twarz, ten sam lekki zarost na policzkach, ta sama mocno zarysowana szczęka, prosty nos, ale oczy... Te sprawiają wrażenie, jakby już do mnie nie należały. Są puste, pozbawione blasku, wyprane z emocji.

Przywalam z pięści w lustro, na którym natychmiast pojawia się coś na wzór pajęczej sieci. Czuję pieczenie ręki, ale to nie powstrzymuje mnie przed uderzeniem kolejny i kolejny raz. Przestaję dopiero w chwili, kiedy do łazienki wpada zaskoczona, owinięta w satynowe prześcieradło Liz. Patrzy na mnie zdezorientowanym, wciąż lekko zaspanym wzrokiem. Ale to nie jej nagłe pojawienie się powstrzymuje mnie przed kolejnymi razami, tylko krew. W zasadzie nie odczuwam bólu, lecz widok pokiereszowanej dłoni jest co najmniej nieciekawym.

– Co się stało? – pyta Elizabeth, doskakując do mnie. Natychmiast chwytam moją rękę i wkładam ją pod kran, pod bieżącą wodę.

– Nic – burczę pod nosem. – Idź spać – dodaję, próbując się wyszarpnąć. Jednak ona trzyma moją dłoń może nie tyle mocno, co zdecydowanie. – Puść – dorzucam zniecierpliwiony i staram się wyswobodzić, wkładając w ten gest więcej siły.

Na szczęście tym razem mnie słucha. Patrzy na mnie niepewnie i wraca do sypialni.

Przyglądam się uważniej powstałym obrażeniom. Od tak drobnych skaleczeń się nie umiera, ale te niewielkie ranki dość mocno krwawią. Konieczne jest założenie opatrunku.

– Kurwa! – warczę. Zakręcam kurek i sięgam po ręcznik, którym owijam poharataną dłoń. Jeszcze raz spoglądam w lustro, a właściwie w to, co z niego zostało. – Idiota – rzucam na odchodne i kieruję się z powrotem do pokoju.



# Rozdział 1

## Tayler

Nigdy nie byłem jebanym mazgajem, ale życie bez niej mnie po prostu przerasta. W dodatku dobija mnie ta cała szopka, w której od jakiegoś czasu przyszło mi grać. Właściwie nie wiem, po co to robię, dlaczego wciąż uczestniczę w tej durnej zabawie, tkwiąc w niej po uszy. Mogłem przecież od początku, już na lotnisku, albo w bardziej sprzyjających okolicznościach – od chwili, kiedy przekroczyła próg mojej hacjendy – ją zdemaskować. A jednak z jakiegoś powodu tego nie zrobiłem, a nawet nadal udaję, że ona jest moją ukochaną Liv...

– Tayler? – szepcze niepewnym, chyba nawet lekko załęczonym głosem.

Do momentu, aż biorę ją w ramiona, cała ta chora sytuacja odrobinę mnie stresuje. Tymczasem to Liz jest kłębkim nerwów. Nie wiem, co kryje się za tym jej dość niepewnym, właściwie zbyt drażliwym zachowaniem. Świadomość, że coś może pójść nie tak, czy myśl, co zrobię, kiedy to odkryję, a dokładniej mówiąc, gdy poznam calutką prawdę. Ale ja, pomimo że wiedziałem o tym od samego początku, jakoś nie jestem w stanie przyznać się do tego i wyjawić jej, że wiem wszystko o całym tym wymyślonym przez siostry spisku, o całej tej niecnej podmianie.

Nie mam pojęcia, jak wytłumaczyć moją dotychczasową... hm, powściągliwość. Nigdy taki nie byłem. Jak dotąd niczego przed nikim nie udawałem, zwłaszcza przed ludźmi, do których, przez wzgląd na to, kim jestem, nie miałem większego szacunku. Taka moja mała wada. Może nagle po prostu zrobiło mi się żal tej patrzącej na mnie z trwogą dziewczyny. A może...? Tak, to całkiem prawdopodobne, że strata Liv boli tak mocno, że w tej jednej chwili postanowiłem skorzystać z okazji i pocieszyć się jej lustrzanym odbiciem – namiastką, jaka czai się w ciele jej bliźniaczej siostry.

Podchodzę do Liz, omiatam wzrokiem jej sylwetkę, która naprawdę do złudzenia przypomina Liv. Potem szybko biorę dziewczynę w ramiona, zaciągając się mieszaniną zapachów,

którymi przesycone są jej blond włosy: szamponem, wiatrem i meksykańskim słońcem.

– Tęskniłem za tobą, Liv – mówię zdławionym głosem, całkiem niepodobnym do swojego, wtulając się w nią jeszcze bardziej.

Drży, choć jestem pewien, że to nie z powodu moich dłoni, które już gładko suną wzdłuż jej pleców. Wyraźnie się mnie boi. I słusznie, bo gdybym tylko zapragnął, jeślibym tylko naprawdę tego chciał, zabiłbym ją bez mrugnięcia okiem. Zasłużyła. Decydując się na tak nieprawdopodobny, a zarazem niebezpieczny krok, powinna zdawać sobie sprawę, czym ryzykuje, że za tę farsę może zapłacić nawet własnym życiem.

Mimo to, z niezrozumiałych powodów, postanawiam ją jednak oszczędzić. Wciąż nie jestem pewien, co mną kieruje. Chyba pragnę się przekonać, jak bardzo Liz różni się od własnej siostry. Może nawet liczę, że nie odczuję tak bardzo różnicy i dzięki temu szybciej zapomnę o Liv? A może zwyczajnie mam zamiar ostro się zabawić z kopia kobiety, która bezpowrotnie skradła, a potem złamała moje serce?

Tylko co dalej?

– Bałem się, że nie wrócisz. – Odsuwam od siebie ponure myśli i po raz kolejny zaciągam się aromatem jej włosów i skóry tuż za uchem.

Postarała się. Pachnie obłądnie. Niemal zupełnie jak jej własna siostra, choć od razu wyczuwam subtelną różnicę.

Przed laty, gdy mieszkałem jeszcze w NYC, słyszałem, że perfumy na każdej skórze rzekomo pachną inaczej. Chyba coś rzeczywiście było na rzeczy, bo pamiętam, jak zwinąłem z cenionej w mieście perfumerii Chanel N° 5 dla mojej pierwszej dziewczyny. Jarałem się jak idiota, że zabłysnę w jej oczach, a ona mnie wyśmiała, oznajmiając, że to tania podróbka. Byłem zaskoczony i odrobinę zmieszany, ale nie zamierzałem się przed nią z niczego tłumaczyć. Poleciałem jedynie do sklepu i narobiłem rabanu, że sprzedają kicz i naciągają klientów. Pracująca tam młoda kobieta zaproponowała mi nawet zwrot towaru. Oczywiście nie mogłem niczego zwrócić, bo nie miałem paragonu. Odmówiłem więc, ale ona, zanim wyszedłem, wyjaśniła mi łaskawie działanie niektórych perfum, zwłaszcza tych drogich. To właśnie tamta ekspedientka

powiedziała, że aromat tych samych wonności może czasem się różnić, zwłaszcza gdy wchodzi w zbyt silną reakcję ze skórą. Wtedy pomyślałem jedynie, że laska wciska mi kit, ale dziś nabieram pewności, że jednak znała się na rzeczy i wiedziała, co mówi. Obie siostry – zarówno Liv, jak i Liz – dla zmylenia przeciwnika użyły tych samych perfum, jednak one na każdej z nich pachną inaczej.

Znów wracam myślami do teraźniejszości. Zerkam na Liz. Przygląda mi się niepewnie, z rezerwą. Ujmuję jej twarz w dłonie i zmuszam, by popatrzyła mi w oczy.

– Bałem się, że wybierzesz jego – oznajmiam, obserwując jej reakcję.

– Przecież ci obiecałam... – wydusza przez zaciśnięte gardło.

Rzucam okiem na jej łabędzią szyję. Wystarczy położyć na niej rękę, opleść palcami, zacisnąć odrobinę mocniej i... byłoby po sprawie. Jednak nadal nie potrafię się na to zdobyć. Coś wyraźnie daje mi jasne sygnały, że powinienem ją oszczędzić. Przynajmniej na razie.

– Przecież wiesz, że...

– Tak – wchodzę jej w słowo i uśmiecham się smętnie. Doskonale pamiętam, co przed wyjazdem do Nowego Jorku obiecała mi jej siostra, więc nie chcę po raz kolejny słuchać tego samego kłamstwa.

– Chodźmy na górę – dodaję pospiesznie, dostrzegając w oczach Liz ubolewanie.

Nie potrzebuję tego. Nie znoszę, kiedy ktoś się nade mną użala. Od zawsze nienawidziłem, gdy stawałem się obiektem czyjegoś współczucia. Pozostaje mi zatem tylko odreagować po swojemu. Wolę pójść z dziewczyną do sypialni i pieprzyć ją do upadłego, niż stać się obiektem jej litości.

Biorę Liz na rękę i niosę do sypialni. Przemierzając długi korytarz, spoglądam jej w oczy. Nadal się mnie obawia, co potwierdza jej uciekający wzrok czy choćby tłukące się w piersiach serce, którego głuchy rytm mogę z łatwością usłyszeć, zwłaszcza z tej odległości. Ale jego szalony galop może mieć też wiele wspólnego z pożądaniem, które i mną nagle zawładnęło – jestem tego pewien.

W pośpiechu przemierzam schody wiodące na piętro, pokonując po dwa stopnie na raz i już po chwili docieram do sypialni. Naciskam klamkę, po czym pcham drzwi nogą i wspólnie przekraczamy próg.

Zatrzymuję się dopiero przy łóżku, na które natychmiast rzucam trzymaną na rękach dziewczynę. Ta piszczy i patrzy na mnie przerażona. Mimo to w jej oczach dostrzegam strach mieszający się z podnieceniem. Lubię to zestawienie, zwłaszcza kiedy chcę się porządnie zabawić. A mam na to ochotę naprawdę wielką. Bo tylko w ten sposób – głęboko w to wierzę – uda mi się zapomnieć o Liv.

Stojąc na wprost Liz, zaczynam powoli zdejmować ubranie. Leżąca na olbrzymim łożu i wpatrująca się we mnie wielkimi oczami dziewczyna nie jest moją ukochaną, ale jej wygłodniały już wzrok błakający się po moim prawie nagim ciele cholernie mnie podnieca. Kiedy pozbywam się całej garderoby i staję przed nią zupełnie nagi, Liz płonie jak pochodnia. Wije się niecierpliwie, pociera udami, opiętymi zbyt kusą, i jak na moje oko odrobinę przyciasną spódniczką. Kolejny dowód na to, że nie jest tą, za którą chce uchodzić w moich oczach. Liv nie ubrałaby się w ten sposób.

– Pragniesz mnie, mała? – pytam, biorąc do ręki swojego nabrzmiałego fiuta i pocierając go.

Kiwa głową, zerkając na niego i głośno przełykając ślinę. Przez chwilę przelatuje mi przez głowę, żeby włożyć jej go do ust, ale chwilowo rezygnuję z tego pomysłu.

„Jeszcze i na to przyjdzie odpowiedni moment” – myślę jedynie, oczami wyobraźni rysując inne, równie pikantne scenki rodzajowe.

Zamiast tego pochylam się i składam na wargach dziewczyny pocałunek, a następnie zdzieram z niej ubranie. Tak, zdzieram, rwąc je na strzępy i nie bacząc, że kompletnie je zniszczę. Pragnę się jedynie ostro zabawić, a Liz, pomimo że świetnie udaje kogoś, kim nie jest, wygląda na taką, która zna się na rzeczy.

Kiedy leży już pode mną zupełnie naga, znów przywieram do jej warg, a potem kolaniem rozchylam jej uda, odpowiednio nacelowuję penisa i wbijam się w nią z impetem, wypełniając ją aż do końca, do granicy bólu. Jęczy przeciągle, głośno, wpijając paznokcie w moje ramiona.

„Niespodzianka, co?” – myślę nieskromnie.

Odczekuję moment, żeby przyzwyczaiła się do mojej *wielkości*, po czym od razu zaczynam ją rżnąć. Pieprzę Liz najlepiej jak potrafię, dając jej rozkosz, jaką wcześniej oferowałem wielu kobietom, także tej, o której wciąż nie umiem zapomnieć – nawet w takiej chwili. Liz

jęczy, a właściwie wyje na całe gardło, kiedy wbijam się w nią raz po raz. Wije się i obłapia mnie swoimi szczupłymi dłońmi, dociskając mocno pośladki i sprawiając tym samym, że jestem w niej jeszcze głębiej. Naprawdę drzemie w niej prawdziwa kocica.

Uśmiecham się. Lubię takie.

Nie przestając się w niej poruszać, patrzę na jej twarz. Ma zamknięte oczy, lekko rozchylone usta i wygląda na zadowoloną. Co jakiś czas rozchyła powieki, by przez chwilę na mnie zerknąć. Tym samym obdarza mnie przelotnym spojrzeniem swoich olbrzymich niebieskich oczu, które chwilami do złudzenia przypominają mi oczy mojej ukochanej.

Jednak to nie jest ona. Liv mnie zostawiła. Odeszła bezpowrotnie, z czego zdałem sobie sprawę w momencie, kiedy zadzwoniła do mnie z hotelu, gdzie spędzała czas z... *nim*. Pewnie myślała, że o niczym nie mam pojęcia, że zdoła to przede mną ukryć. Ale ja wiedziałem o wszystkim od początku, w dodatku ze szczegółami, które sprawiały, że miałem ochotę wsiąść w samolot, polecieć tam i, bez względu na czekające mnie na miejscu konsekwencje, rozpierdolić wszystkich, a na końcu rozjechać samego siebie. Lecz nie zrobiłem tego. Powstrzymałem się, choć gniew rozsadzał mnie od środka. Zapanowałem nad nim i jeszcze kilkoma głębszymi uczuciami, łudząc się głupio, że Liv jednak się opamięta. I że do mnie wróci...

Tamtego dnia, gdy zadzwoniła z hotelu, była tak cholernie smutna i rozdartą. A to, pomimo zdrady, jakiej się wobec mnie z pewnością już wtedy dopuściła, chwyciło mnie za serce. Wiele mnie kosztowało, by nie przyznać się do tego, że znam każdy jej ruch, że wiem dosłownie o wszystkim. A jednak się powstrzymałem.

Dziś zachodzę w głowę, czy gdybym to zrobił, jeślibym oznajmił Liv, że znam prawdę, to czy udałoby mi się zmienić bieg następujących po sobie wydarzeń? Wtedy jednak jakoś nie potrafiłem się na to zdobyć. I jak głupiec chwyciłem się myśli, że choć moja ukochana nie dotrzymała słowa, tęskni za mną. To z kolei dawało nadzieję. Nie wiem, na co jeszcze liczyłem, ale zdaje mi się, że wtedy wciąż wierzyłem, że nawet jeśli Liv kocha innego, i mnie na swój sposób darzy głębszym uczuciem.

Nazywał się Matthew Trainor. Był moim przeciwieństwem i z pewnością mógł jej zaoferować znacznie więcej niż ja. Matt miał kasę, pozycję i wiodł wygodne życie w centrum Manhattanu – ja też miałem to wszystko, choć żyłem tu, w Meksyku. Ale Olivia nie dlatego wybrała właśnie jego – tego akurat jestem pewien. Zdecydowała się na tamtego faceta, bo potrzebowała stabilności, poczucia absolutnego bezpieczeństwa, którego mój świat nie był jej w stanie zapewnić. Postanowiłem więc odpuścić i zwrócić Liv wolność.

To było trudne. To było tak cholernie trudne i bolesne, że miałem ochotę najpierw rozpierdolić cały ten parszwy świat, a potem postać sobie kulkę w łeb. Jednak nie zrobiłem tego – odpuściłem. Nie mogłem postąpić inaczej. W mojej głowie bowiem wciąż pobrzmiwał głos umierającej Alejandry: *Nie można nikogo zmusić do miłości*. Wcześniej to jej ostatnie wyznanie było dla mnie jedynie formą pożegnania, spontanicznej reakcji umierającej dziewczyny, która była we mnie zakochana, w dodatku bez wzajemności. Niedawno jednak mnie olśniło i pojąłem, jaki przekaz krył się w tym jednym zdaniu. Zrozumiałem to w chwili, kiedy dotarło do mnie, że Liv naprawdę chce ode mnie odejść. Właściwie pomyślałem, że to koniec już wtedy, gdy pod pretekstem pogrzebu ojca poprosiła mnie o możliwość wyjazdu do Nowego Jorku. Tamtego dnia, kiedy przez ułamek sekundy dostrzegłem w jej oczach dziwny błysk, poczułem, że nie mówi mi całej prawdy. Znałem go – to była nadzieja. Nadzieja na wolność, którą w zasadzie jej odebrałem. Oczywiście mogłem się nie zgodzić, mogłem jej kategorycznie zabronić, ale uznałem, że nie mam wyjścia. Zaryzykowałem, łudząc się, że się opamięta i jednak wróci. Ale ona nie wróciła...

Mnie natomiast teraz pozostawało starać się wierzyć, że wkrótce jakimś cudownym sposobem przeboleję tę stratę. Szkoda tylko, że *cuda* są mi zupełnie obce.

Pomimo tłącej się we mnie nadziei wciąż nie rozumiem całego tego zachodu z tą żalospną podmianą. Przecież to nie miało najmniejszego sensu. Od początku wiedziałem, że to nie Liv do mnie wróciła – stuprocentową pewność zdobyłem, gdy Liz wysiadła z samolotu. Wystarczyło na nią spojrzeć, by nabrać przekonania, że to nie jest moja ukochana. Nie dałem jednak tego po sobie poznać. Liz

zdradzał nie tylko wygląd czy odmienny, choć tak łądząco zbliżony, zapach. Ta dziewczyna nawet nie patrzyła w sposób, w jaki miała w zwyczaju spoglądać jej bliźniaczka, chociaż nie zaprzeczę, że ich oczy były podobne. Poza tym Liz na mój dotyk reagowała zgoła odmiennie niż Liv. Nie zwiódła mnie nawet jej pozorowana blizna na mostku, pomiędzy pierśiami, którą musiał jej zrobić jakiś niezły chirurg plastyczny, choć i ta wyglądała na mistrzowską robotę i prezentowała się naprawdę bardzo wiarygodnie.

Zresztą nie było czego aż tak dogłębnie analizować i doszukiwać się różnic czy podobieństw, ponieważ moi ludzie nie spuszczaali z oczu Liv. I to właśnie oni od samego początku podejrzewali, że dojdzie do zamiany, i rzecz jasna informowali mnie o każdym najdrobniejszym posunięciu dziewczyny. Miałem więc czas i mogłem nad tym zapanować, zatrzymać to w porę, ale z jakiegoś powodu nie zrobiłem tego. Chyba naprawdę liczyłem, że moja ukochana się opamięta. Cóż, jak widać, byłem głupcem. I niestety myliłem się, co zdarza mi się nad wyraz rzadko.

Dziś nie mogę się pogodzić tylko z jednym, w kółko zadaję sobie to pytanie i nie znajduję na nie odpowiedzi: Dlaczego Liv nie miała w sobie dość odwagi, by zdobyć się na szczerłość i wyznać mi prawdę? Pewnie bym zrozumiał. Przecież ją kochałem. W zasadzie nadal ją kocham...

## Liv

– Liz dzwoniła?

Wzdrygam się, słysząc dobiegający gdzieś za moimi plecami głos Matta, który mnie zaskakuje. Wlepiam wzrok w wyświetlacz telefonu, odczytując wiadomość od siostry.

– Pisała – potwierdzam, wygaszając ekran smartfona i wymuszając słaby uśmiech.

– Wszystko w porządku? – docieka.

– Tak.

– Więc dlaczego jesteś smutna? – pyta, obchodząc mnie dookoła i bacznie mi się przyglądając.

Kiedyś nie przeszkadzał mi ten jego wyrażający przesadne zainteresowanie wzrok. Teraz jednak coś się zmieniło.

- Nie jestem smutna – zaprzeczam, siląc się na kolejny pozorowany uśmiech. – Po prostu... nie czuję się najlepiej.
- Jesteś chora? – Matt dotyka mojego czoła.
- Nie wiem, Matt – odpowiadam, a potem zasłaniając usta, biegiem ruszam do łazienki.

\*\*\*

Początkowo nie chciałam siać zamętu i skupiać na sobie uwagi, zwłaszcza że Matt był bardzo przejęty samopoczuciem swojej matki, która ledwie radziła sobie z nową sytuacją. Nie chciałam dokładać mu trosk. Jednak szybko dochodzę do wniosku, że nie mam prawa ukrywać przed nim własnych obaw, które w tej chwili, jak żadne inne, zatruwają mi życie.

Matthew, gdy tylko dowiaduje się o moich podejrzeniach, natychmiast zawozi mnie do kliniki. Jest przerażony, zresztą nie mniej ode mnie. Jeśli doszło do kolejnego odrzutu, to może oznaczać, że moje szanse na przeżycie są równe zeru. Następnej operacji mogłabym nie przeżyć – o ile do takowej w ogóle by doszło. Niby skąd miałyby się znaleźć dla mnie kolejne zdrowe, idealnie pasujące serce? Miałam już dwie szanse, a każda z nich była zasługą Taylera. Trzecia raczej się nie nadarzy – właściwie jestem tego pewna. Szczególnie, że znajduję się daleko od Meksyku, od mężczyzny, który jako jedyny mógł mi pomóc.

*À propos* Taylera...

Przez moment, kiedy Matt, łamiąc przepisy, mknie na złamanie karku ulicami Nowego Jorku, zaczynam się obwiniać, że to kara Boża za moje myśli, za moją niestałość w uczuciach, za zdradę, której się wciąż dopuszczałam. Choć nie robiłam tego fizycznie, to tak, zdradzałam, a właściwie wciąż zdradzam Matta – czas terażniejszy. Nie ma bowiem dnia, godziny czy minuty, bym nie rozmyślała o Taylerze i o tym, jak bardzo namieszałam w jego życiu. Co prawda pociesza mnie myśl, że on o niczym nie wie, a zwłaszcza że nie dostrzega różnic między mną a Liz. Jednak ilekroć o tym myślę, czuję się beznadziejnie.

Wtem nachodzi mnie wspomnienie Alejandry, która, ofiarując mi swoje serce, zrobiła to z miłości do mężczyzny, którego ja w jednej



chwili zdecydowałam się porzucić. Pewnie nie tego ode mnie oczekiwała, zwłaszcza że ona także go kochała...

\*\*\*

Na szczęście badania wykluczają kolejny odrzut. Zwyczajne zatrucie pokarmowe, które w połączeniu ze stresem – ostatnio mi go nie brakowało w życiu – daje mylące objawy nawrotu choroby.

Oddycham z ulgą.

Doktor Williams potraktował sprawę wyjątkowo poważnie i priorytetowo. Przebadał mnie wnikliwie, wykluczając kolejną złośliwość losu. Co prawda nadal czuję się wykończona, w dodatku mdłości nie ustępują, ale powoli uchodzi ze mnie nagromadzony niepokój. Wciąż jednak biegam do toalety i chwilami wydaje mi się, że wymiotuję już nie tylko samą żółcią, a nawet powietrzem. Ale przynajmniej nabieram pewności, że i to wkrótce minie. Przecież to zwykła niestrawność.

\*\*\*

Wprawdzie jesteśmy już w domu, ale po kolejnej rundzie nieznośnych, a zarazem wyczerpujących torsji wyglądam koszmarnie. Jestem blada, niemal przeźroczysta, i czuję się fatalnie. Doktor Williams zapewniał jednak, że i to niebawem mi przejdzie i że wkrótce poczuję się lepiej. Zalecił odpoczynek i mniej stresu. O ile do pierwszej rady mogę się zastosować z marszu, o tyle jestem niemalże pewna, że drugie zalecenie jest wręcz niewykonalne. Nie ma w końcu dnia ani godziny, abym nie myślała o Taylerze i o tym, jak go potraktowałam, jak paskudnie oszukałam. Nie ma też chwili, bym nie zastanawiała się, co by było, gdyby... A to do niczego nie prowadzi i nie daje mi spokoju. I jest mi z tym okropnie...

# Rozdział 2

## Tayler

Po trzeciej pełnej namiętności i nieokiełznanej fantazji rundzie Elizabeth jest tak wyczerpana, że zasypia na moim ramieniu. Wysuwam się spod niej, starając się jej nie zbudzić. Chcę po prostu wyjść, oddalić się i pobyć sam. Jeszcze raz pomyśleć...

Po drodze sięgam po spodnie, które wraz z nienadającymi się do użytku rzeczami Liz leżą na podłodze, tuż obok łóżka. Nie wkładam ich od razu, bo akurat kobieta mamrocze coś przez sen i przewraca się na drugi bok. Nie mam ochoty na jej towarzystwo, więc po cichu, trzymając jeansy w garści, wymykam się na korytarz. Nie obchodzi mnie, że mogę natknąć się na kogoś z moich ludzi. Mało to razy moi pracownicy widzieli mnie bez gaci? Poza tym niezbyt prawdopodobne jest, żeby o tej godzinie ktoś był już na nogach. Zwłaszcza tu, na piętrze.

Ruszam w stronę schodów, jednocześnie starając się przywdziać jakoś spodnie, których nogawki dziwnie zaplątują mi się wokół kostek. W pewnym momencie potykam się tak niefortunnie, że upadam na jedno kolano i prawie zderzam się z balustradą, omal nie rozbijając sobie głowy.

– Kurwa! – klnę, ledwie utrzymując resztki równowagi.

– Pomóc ci, szefie? – pyta nagle jedna z moich pokojówek, na którą niemal wpadam, kiedy ponownie z trudem łapię pion.

Dziewczyna spogląda wymownie na mojego fiuta, który – przyznaję nieskromnie – pomimo odbytego właśnie maratonu, wciąż wygląda imponująco.

– Obejdzie się – odpowiadam i wreszcie do końca wciągam spodnie na tyłek. Tym razem dla odmiany mocuję się z zamkiem i muszę naprawdę uważać, żeby nie przyciąć sobie klejnotów suwakiem. Jeszcze by tego brakowało.

Swoją drogą zastanawiam się, co Miriam robi o tak wczesnej godzinie na nogach. Zamierzam ją o to zapytać wprost, jednak najpierw mam do niej pilniejszą prośbę.

– Ale możesz dla mnie zrobić coś innego – dodaję szybko, zanim się oddali. Dostrzegam błysk w jej brązowych bystrych oczach. – Jestem głodny, więc mogłabyś przygotować mi kanapkę albo coś zamówić.

Nietrudno się domyślić, co sobie pomyślała. Pewnie sądziła, że będę miał dla niej jakieś *bardziej wymagające* zadanie, a już na pewno, że będzie to coś znacznie przyjemniejszego niż stanie przy garach, w dodatku o czwartej nad ranem. Jednak nie skwitowałem tego ani słowem. Bo niby po co miałbym to robić? W zasadzie jej reakcja wcale mnie nie zdziwiła, ponieważ w moim domu nieraz odbywały się orgie z udziałem zawsze służącej pomocą obsługi domu. Tym razem jednak nie miałem ochoty na tego typu zabawy, ponieważ musiałem się zmierzyć z wieloma poważniejszymi sprawami. Ale myślenie na pusty żołądek nie było najlepszym pomysłem.

– Jasne – przebąkuje pod nosem Miriam, a potem, równie szybko jak się pojawiła, znika w głębi korytarza.

Kiedy wreszcie udaje mi się uporać ze spodniami, schodzę na dół. Tu, pomimo pozapalanych świateł, nie ma żywej duszy. Większość moich ludzi o tej porze zazwyczaj śpi. Czuwa tylko ochrona.

Wyglądam przez okno, obserwując strażników, którzy oczywiście są w pogotowiu dwadzieścia cztery godziny na dobę. Oni jedni nie mają taryfy ulgowej ani sekundy wytchnienia. Pracują zmianowo, bo ktoś zawsze musi trzymać rękę na pulsie. Tutaj, w tym pełnym brutalności świecie, to normalne.

Wracam do salonu i rozsiadam się na jednej ze skórzanych kanap. Obrzucam spojrzeniem tonący w luksusach pokój. Przywykłem do panujących w domu wygod, ale wciąż zdarzają mi się chwile, kiedy nie mogę uwierzyć, że tak daleko zaszedłem. Nadal bowiem pamiętam smak biedy oraz te wszystkie sytuacje, gdy powątpiewałem nie tylko w ludzi, ale i w cały świat, wierząc, że tak jak mój ojciec skończę w slumsach albo jeszcze gorzej. I przez krótki czas byłem tego naprawdę blisko. Brutalna rzeczywistość, w której tylko nielicznym udawało się przetrwać w tym świecie brudu i biedy, prawie i mnie całkowicie pochłonęła. Nagle jednak nadarzyła się okazja, by się z niej wydostać. Wtedy jeszcze nie byłem wyrachowanym cwaniaczkiem, a zagubionym dzieciakiem,

który przez głupi błąd popadł w niełaskę gangu. Zatem zanim skorzystałem z tej oferty życia, musiałem się trzy razy zastanowić, które zło wybrać. Niczego nie byłem pewien, ale wiedziałem, że muszę działać szybko, bo zwlekanie z podjęciem decyzji oznaczało wielkie ryzyko. Ale to było takie trudne...

Oczywiście, jak każdy dzieciak z mojej dzielnicy, nie znosiłem ubóstwa ani – tym bardziej – miejsca, w którym mieszkałem. Niemniej bardzo kochałem swoją rodzinę i to ją przede wszystkim musiałem chronić. Bliskim wmówiłem, że po to, by pójść dalej, muszę działać i nie oglądać się za siebie. Uwierzyli mi, a ja ruszyłem swoją drogą, choć jednocześnie obiecałem sobie, że nawet gdybym miał się przenieść na inną półkulę, to i tak sercem zawsze będę z nimi. Początkowo bardzo doskwierała mi samotność, ale poczynione zmiany miały także swoje plusy. Wreszcie mogłem jakoś wspomóc matkę. To ona zarządzała finansami w naszym domu i jak na swoje możliwości radziła sobie świetnie, pomimo że wciąż na coś nam brakowało. Wielokrotnie odcinano nam prąd za spóźnianie się ze spłatą rachunków, ale głodni nigdy nie chodziliśmy. Liv nie miała tyle szczęścia. Pamiętam, jak w poszukiwaniu jedzenia zaglądała do śmietników, których na Halletts Point nie brakowało, gdyż ta dzielnica była jednym wielkim wysypiskiem. Chryste, jak mi wówczas było żal tej małej. Smarkuła, tak ją wówczas nazywałem, chadzała brudna, obszarpana i w dodatku głodna, ale nigdy się nie skarżyła. Ja może też nie wyglądałem jak model żywcem wyjęty z żurnala, ale mnie chociaż nie burczało w brzuchu. Mama dbała, żeby nasze żołądki były pełne. W przeciwieństwie do tego pijaka Evansa, który miał w dupie własną córkę.

– Bardzo proszę, szefie. – Moje rozmyślenia o przeszłości przerywa Miriam, stawiająca właśnie na stole tacę z przekąskami, na które składają się małe kanapki, nachosy, sos salsa, kilka rodzajów serów pleśniowych i winogrona. – I smacznego – dodaje, prostując się i wycofując o parę kroków.

– Zostań, proszę. – Dziewczyna na moje słowa zatrzymuje się. – Zjedz ze mną. Pogadamy.

Lubię od czasu do czasu zamienić słowo z pracownikami. Można od nich usłyszeć znacznie więcej niż od szpiegów rozsianych po

całym mieście. Zamierzam więc i tym razem skorzystać z okazji i dowiedzieć się od niej, co słyhać poza terenem mojej hacjendy.

– Miałem cię zapytać wcześniej, ale zrobię to teraz – zaczynam. – Co robisz tak wcześnie na nogach?

– Ja właściwie... jeszcze się nie położyłam.

Obrzucam ją zaciekawionym spojrzeniem. Dopiero teraz zauważam, że Miriam – o ile dobrze pamiętam, miała wczoraj wolne – wygląda, jakby ledwo co wróciła z randki. – Na jej twarzy widnieje wyrazisty makijaż, ubrana jest w zwiewną sukienkę, a na nogach ma sandaalki na niewielkim koturnie.

„Alejandra miała kiedyś podobne – przelatuje mi naraz przez głowę. – Buty na takim obcasie były dla niej wygodniejszą alternatywą dla nie lubianych szpilek”.

Po raz kolejny nurtuje mnie pytanie, dlaczego kobiety to sobie robią. Nie przekonuje mnie głupie gadanie, że buty na platformie optycznie wydłużają nogi. Właśnie – optycznie. Zupełnie jak staniki z push-upem, po których zdjęciu nie jeden facet może się poczuć mocno rozczarowany.

– Randka się udała? – pytam, biorąc do ust kawałek sera i pokazując jej gestem dłoni, żeby poszła za moim przykładem.

– Nie. – Kręci głową, sięgając jednocześnie po owoc. – Właściwie tak – płacze się. – Miałam zwykłe wychodne – wyjaśnia wreszcie.

– Rozumiem – śmieje się. – Nie spodobał ci się amant, że jesteś taka... nie w sosie? – drocę się z nią.

Rozkłada bezradnie ręce i posyła mi lekko niepewny uśmiech.

– Przy panu to każdy wypada blade – dodaje nagle, patrząc mi odważnie w oczy.

Flirtuje ze mną. I chyba ma na mnie ochotę. Zresztą już na górze, kiedy na nią wpadłem, jakoś przesadnie się z tym nie kryła.

– Miła jesteś, Miriam.

– Dziękuję. Ale pan już nie jest zainteresowany, prawda? – pyta, wydymając usta.

Uśmiecham się pod nosem. Odkąd przywiozłem do domu Liv, rzeczywiście przestałem się zabawiać ze służbą. Początkowo po prostu chciałem oszczędzić Olivii widoku orgii, na które mogła nie być przygotowana, ale później... Potem wpadłem po uszy i nie w głowie mi były inne kobiety. Pragnąłem tylko jej. Chciałem tylko Liv.

– Cóż – wzdycham, po czym wkładam sobie do ust kolejny kawałek sera.

– Ożeni się pan z nią?

– Z kim? – pytam jak skończony kretyn.

– No z panią Olivią – wyjaśnia, przewracając oczami. – Na mieście mówią, że...

Milknie na moment, co bardzo mnie frapuje.

– Co mówią? – dociekam.

– Że Damian i jego szef wyczekują zapowiedzi. W końcu ukradł im pan dziewczynę, a to zobowiązuje do weseliska.

Pewnie, że zdaję sobie z tego sprawę. Jest tylko jeden mały problem. Dziewczyna, w oczach wielu uchodząca za Liv, jest zaledwie jej kopia, gorszą siostrą, której nie zamierzam ciągnąć przed ołtarz. Może i planowałem się ożenić z Liv – naprawdę o tym myślałem – ale nie z Liz.

– Wiesz coś jeszcze? – ciągnę pokojówkę za język, będąc coraz bardziej zaintrygowanym.

– Nie. Ponoć mówią, że poczekają tyle, ile będzie trzeba.

„Czyli jeszcze jakieś trzy miesiące” – myślę.

W naszym kodeksie wszystko jest jasno sprecyzowane. Ojcowie przekazują władzę swoim synom, gdy sami kończą pięćdziesiąt lat. Oczywiście pod warunkiem, że ich pierworodny jest już pełnoletni. Jeśli nie, to okres kadencji bossa wydłuża się, wygasając dopiero w chwili ukończenia przez następcę odpowiedniego wieku. Sprawa się komplikuje, kiedy szef nie doczeka się męskiego potomka. Kobietom nie wolno rządzić – w żadnym z tutejszych klanów. Z reguły jednak nie stanowi to większego problemu, bo mężczyźni, którym udało się dojść do władzy właśnie tu, w Meksyku, nie mieli problemów z płodzeniem synów. Mają bowiem po kilka, a rekordziści nawet po kilkanaście partnerek. Więc jeśli jedna nie jest im w stanie urodzić następcy, to zapładniają drugą, a potem kolejne, aż do skutku.

Zaręczyny to część klanowego kodeksu. Właściwie to konsekwencje, które trzeba mi teraz ponieść za złamanie panujących w naszym światku zasad. Kradzież Liv niewątpliwie była ich poważnym naruszeniem. Dlatego w świetle obowiązującego tu prawa muszę się z nią ożenić. To sztywna reguła. Mam na to pół roku, ani dnia dłużej. A potem ślub i wesele trwające tydzień albo i

lepiej. To zależy od biesiadników, którym na ogół nie spieszy się, aby wracać do swoich domów.

Sprawy zatem nieco się pokomplikowały, bo nie miałem ochoty na ożenek z Elizabeth. Kochałem jej bliźniaczą siostrę, nie Liz, i dlatego nie zamierzałem jej poślubić. Cóż, może byłem naiwny, a może nawet bez serca, ale liczyłem, że ten problem sam się jakoś rozwikła. A nawet jeśli nie, to przecież zawsze mogę się trochę pobawić, a potem oddać Liz jej potencjalnym właścicielom.

– Pójdę na górę – odzywam się, tracąc nagle ochotę na jedzenie.  
– Tobie też proponuję się położyć.

## Liv

Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale o ile stres w związku z sercem i możliwym odrzutem zupełnie mnie opuścił, o tyle mdłości, zawroty głowy i ogólne zmęczenie wciąż mi doskwierają. Fizycznie czuję się naprawdę źle, wręcz fatalnie.

– Co się dzieje, kochanie? – pyta Matt.

Podziwiam go. Jest oazą spokoju, choć ostatnio tyle dzieje się w jego życiu. Z wakacji wróciła Megan, jego była żona, wraz z synem i panem Anthonyem, ojcem Matta. Meg ma z nim romans. Zresztą nie tylko to łączy tych dwoje. To oni dołożyli starań, by najpierw odsunąć mnie od Matta, a potem sprzedać do burdelu w Meksyku. Nadal nie pojmuję, jaki mieli w tym cel, ale w zasadzie nie roztrząsam tego zbyt, bo gdyby nie ten spisek i spontaniczny wyjazd, pewnie już dawno bym umarła. Tu, w Nowym Jorku, w legalny sposób nie miałam zbyt wielkich szans na przeszczep.

Między innymi właśnie dlatego nalegam, żeby Matt im odpuścił. Przynajmniej w tej kwestii. Może znów przemawia przeze mnie naiwność, ale ja naprawdę wierzę, że dzięki ich perfekcyjnie uknutej intrydze żyję. Poza tym jest jeszcze Tayler... Gdyby Matthew zgłosił całą sprawę na policję, Tay mógłby mieć kłopoty. A tego z całą pewnością chciałam mu oszczędzić. Nie obchodzi mnie, że przez wielu ludzi jest postrzegany jako bezwzględny gangster. W moich oczach był bohaterem.

– Nic – kłamię naprędce.

– Jesteś jakaś markotna – mówi, podchodząc do mnie. Chwyta mnie za brodę i zadziera delikatnie moją głowę, by lepiej mi się

przyjrzeć.

Dawniej nawet mi to odpowiadało. Lubiłam, gdy mężczyzna był zdecydowany, czy nawet kiedy przejmował inicjatywę bądź odrobinę narzucał mi swoją wolę. Teraz jednak podoba mi się to coraz mniej. Może dlatego, że wydaje mi się, że Matt mnie sprawdza, bardziej kontroluje? Odkąd wróciłam, tak właśnie się czułam – obserwowana. Może odrobinę dramatyzuję, ale odnoszę wrażenie, że Matthew próbuje przejąć kontrolę nad całym moim życiem. A jeśli rzeczywiście tak jest? Przecież Matt, co było do niego zupełnie niepodobne, ani razu nie spytał mnie wprost o moje relacje z Taylerem. A to nasuwa mi pewne pytania, a i z boku wygląda co najmniej dziwnie.

– To chyba normalne – odpowiadam, uciekając wzrokiem.

Nauczyłam się kłamać, czy raczej naginać prawdę, ale łągać prosto w oczy nadal nie potrafię. To sztuka dla wytrwałych graczy. Ja raczej nigdy nie będę się zaliczała do tak *zaczynego* grona. Nie jestem święta, tylko czasem nie mówię prawdy. W zasadzie pomijam ją, a i Matt nie docieka, więc czuję się po części usprawiedliwiona. Poza tym robię to wszystko z myślą o nim. Nie chcę go krzywdzić, co z pewnością bym zrobiła, gdybym przyznała, jakimi uczuciami naprawdę darzę Taylera. Dopiero rozłąka z tym fantastycznym mężczyzną uzmysłowiła mi, jak bardzo mi na nim zależy. Cóż, może rzeczywiście dowodzi to tego, że jestem pieprzoną egoistką. Może nawet znalazłby się na mnie bardziej dosadny epitet, ale prawda jest taka, że chyba kocham dwóch mężczyzn jednocześnie. Nie sądziłam, że właśnie mnie się to przytrafi.

– Masz na myśli swoje serduszko? – docieka, zerkając na cienką kreskę, odsłoniętą przez dość wycięty dekolt.

W odpowiedzi kiwam jedynie głową, oczywiście znów odrobinę mijając się z prawdą. Ja i moje serce – właściwie serce Alejandry. Stale sobie o tym przypominam w myślach, wręcz celebrując ją – mamy się świetnie.

– Może powinien cię zobaczyć doktor Williams? – sugeruje.

– Nie – zaprzeczam, nie chcąc znów mieszać specjalisty we własne problemy, które w rzeczy samej nie miały nic wspólnego z moim zdrowiem. – Przejdzie mi.



– Ostatnio mizernie wyglądasz. – Matt nie odpuszcza. Siada na wprost mnie i znów uważniej mi się przygląda.

– Dzięki. – Śmieję się na pokaz, by jeszcze bardziej rozluźnić atmosferę.

– Jesteś blada i masz podkrążone oczy – ciągnie. – W dodatku nie masz apetytu – dorzuca, a ja nie potrafię ukryć grymasu. – Sądziłaś, że nie zauważę?

Nie odpowiadam, tylko wzruszam ramionami.

– Nadal masz problemy z żołądkiem? – Właściwie nie wiem, czy to pytanie, czy raczej stwierdzenie, ale nim zdołam się nad tym głębiej zastanowić, on już kontynuuje: – A może jesteś w ciąży?

– No coś ty! – rzucam pospiesznie.

Nadal nie mam pewności co do tego podejrzenia, chociaż test, który kupiłam i zrobiłam w tajemnicy, pokazał wynik ujemny. Niemniej zdaję sobie sprawę z tego, że taka forma potwierdzenia ciąży często bywa zawodna. Żeby się o tym przekonać, powinnam udać się do lekarza. Ten niezaprzeczalnie będzie wiedział, jakie badania musiałabym wykonać, by rozwiać wszelkie wątpliwości.

Już otwieram usta, żeby dodać, że w moim przypadku, z moim sercem, ciąża byłaby niewskazana. Liczę, że dzięki temu Matt szybko utnie temat, ale on ponownie mnie ubiega:

– Mam nadzieję. Niepotrzebny nam dodatkowy kłopot.

Dodatkowy kłopot...

# Rozdział 3

## Tayler

Przez wiadomość, jaką mi przekazała Miriam, tracę resztki dobrego humoru. Postanawiam więc się położyć. Mam tylko nadzieję, że szybko zasnę i nie będę przewracać się z boku na bok, rozmyślając, jak poukładają się te sprawy. Kiedy zdecydowałem się na udział w tej szopce, w ogóle o tym nie pomyślałem. Byłem tak rozgoryczony zdradą, że zwyczajnie nie zastanawiałem się, co się z tym wiąże. Teraz jednak, świeżo po rozmowie z jedną z moich pokojówek, wiem, że czeka mnie trudna decyzja.

Zdejmuję spodnie i wślizguję się do łóżka, w którym śpi podróbka mojej ukochanej. Gdy na nią patrzę, znów dociera do mnie, że będę musiał coś postanowić. Jeszcze nie wiem, co zrobię, ale jestem pewien, że będzie to jedna z trudniejszych decyzji, jakie zmuszony będę podjąć w całym swoim życiu. Pociesza mnie myśl, że w zasadzie nie powinienem się tym aż tak przejmować. W końcu Liz to dorosła i świadoma własnych wyborów kobieta. Od samego początku powinna wiedzieć, na co się pisze. Ale męczy mnie coś innego. Czy Elizabeth rzeczywiście wie, jakie czekają ją konsekwencje w razie niepowodzenia tej farsy? Przecież Liv, z którą uknuła ten spisek, decydując się na ten pochopny krok, nie ma pojęcia o rządzącym tu prawie. Nigdy z nią o tym nie rozmawiałem, nie wtajemniczyłem jej w te sprawy, bo początkowo sytuacja między nami wyglądała nieco inaczej. Liv trafiła w moje ręce umierająca, więc Craig i jego banda nie wymuszali na nas ożenku. Dopiero kiedy po jej... *naprawie* zażądali zwrotu dziewczyny – a ja, żeby ją po raz kolejny ocalić, na oczekaniu sfingowałem nasz związek – przyjąłem ich zasady, o których ona niestety nie wiedziała.

Zatapiam się we wspomnieniach.

*Jak zwykle wchodzę bez pukania. Wiem, że Liv bardzo tego nie lubi, ale nie przejmuję się tym, zwłaszcza że mamy ogromny, niecierpiący zwłoki problem.*

– Tay...

*Liv krąży po pokoju. Widać, że też jest zaniepokojona.*

*– Rozbieraj się – mówię wprost. Na tłumaczenia zwyczajnie brakuje czasu.*

*– Coo?*

*I znów wlepia we mnie te swoje wielkie, w dodatku przerażone ślepie. Nie ułatwia.*

*– Wyskakuj z ubrań – powtarzam, a ona cofa się, ale natrafia na ścianę, więc jej dalsza ucieczka nie ma sensu.*

*– Tayler...*

*– Głucha, kurwa, jesteś? – Ściszam głos, ponieważ nie chcę, żeby ktoś nas usłyszał. Szczególnie nasi goście.*

*Wygląda na przerażoną i nadal nie wykonuje mojego polecenia, a nam nieubłagalnie kurczy się czas.*

*Wtedy zza paska spodni wyjmuję pistolet i nacelowuję go w nią.*

*– Nie rycz mi teraz – dorzucam, kiedy jest o krok od wybuchnięcia płaczem.*

*Na szczęście wreszcie raczy spełnić moją prośbę, a ja patrzę, jak drżącymi dłońmi zdejmuje sukienkę, a potem pozbywa się bielizny.*

*Wtedy chwytam ją za rękę, zdecydowanym ruchem popycham ją na łóżko, po czym pochylam się nad nią. Pistolet wkładam pod poduszkę, która leży nieopodal jej głowy – nie będzie nam potrzebny – a później zsuwam spodnie. Widzę, a nawet czuję, jak Liv wstrzymuje oddech. Obserwuję, jak zamyka oczy. Nie mogę pojąć, że ma mnie za takiego zwyrodnialca, ale cóż, okoliczności rzeczywiście mogą na to wskazywać. W końcu naga leży pode mną, a mój nabuzowany fiut jest o milimetry, żeby w nią wejść.*

*– Uspokój się – szepczę w chwili, gdy rozlega się huk otwieranych z impetem drzwi.*

*– Wynocha stąd, Craig! – warczę, spoglądając w stronę wściekłego jak diabli mężczyzny, nadal leżąc na zdezorientowanej Liv.*

*– Jesteś pieprzonym sukinsynem, Tayler – słyszę w odpowiedzi.*

*Craig gniewnie mruży oczy, a potem wychodzi, trzaskając drzwiami.*

*Byłem wówczas o krok, żeby ją posiąść. Nie zrobiłem tego jednak, bo pragnąłem, żeby sama mnie chciała. Żeby sama do mnie przyszła.*

Odpycham myśli o przeszłości, bo teraz mam poważny problem. Dręczy mnie jedno, pozostawione bez odpowiedzi pytanie. Czy gdyby Liv miała świadomość tego, co czeka jej siostrę, jeśli nie poślubię Elizabeth, zdecydowałaby się na całą tę mistyfikację?

Zamykam oczy i próbuję zasnąć. Ale to wcale nie jest takie proste, kiedy w głowie wciąż pojawiają się kolejne pytania czy napływają żywe wspomnienia...

– Liv? Powiedz coś...

Zerka na mnie spod półprzymkniętych powiek.

– Co mam ci powiedzieć? – odparowuje w złości. – Że właśnie rozpieprzył się mój świat? Tak, rozpieprzył się. Dokumentnie!

– Jesteś zła, ale to minie.

– Nic, kurwa, nie minie! – wydziera się na całe gardło. I przeklina, co zupełnie nie pasuje do jej wizerunku. Na ogół jest taka grzeczna, poukładana, choć każdy inny na jej miejscu już dawno straciłby panowanie nad sobą. Ona jednak zawsze trzymała fason. Do dziś. – Matt jest mężczyzną, którego pokochałam całym sercem – dodaje, kładąc rękę pomiędzy piersi.

Próbuję coś powiedzieć, cokolwiek, żeby jej pomóc, żeby się uspokoiła, ale ona nie dopuszcza mnie do głosu. Nigdy nie widziałem jej takiej wściekłej.

– To stek bzdur! – naskakuje na mnie oskarżycielskim tonem, choć nic nie mówię. – Serce to tylko przenośnia! – dorzuca nagle.

Zdaje się, że powoli zaczynam rozumieć. Jej się chyba wydaje, że uważam, że po przeszczepie jej uczucie do tego jej – pożał się Boże faceta – ulotniło się. Zostało z niej wyrwane niczym jej własne, chore serce. Kolejne oskarżenie tylko utwierdza mnie w tym podejrzeniu.

– Sugerujesz, że mając serce dziwki, nagle przestanę kochać i stanę się innym człowiekiem, a może nawet będę rozpustna?!

– Niczego takiego nie powiedziałem.

– Ale pomyślałeś! – wykrzykuje mi prosto w twarz.

Muszę coś zrobić. Muszę zamknąć jej usta, zanim powie o jedno słowo za dużo.

Obejmuję ją, a potem wpijam się w jej wargi. Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że chce mnie odepchnąć, ale kiedy równie szybko oddaje pocałunek, już wiem, że nie jest w stanie tego zrobić.

– Kochaj się ze mną, Tay – słyszę nagle cichą prośbę.

– Jesteś tego pewna?

*Przyglądam się jej z wahaniem. Marzyłem o tej chwili od dawna, ale nie zamierzałem wykorzystywać okazji. Z każdą jedną tak właśnie bym postąpił, ale nie z nią.*

– *Jak żadnej innej rzeczy w tej chwili – odpowiada, a potem ponownie przywiera do moich warg.*

„Dość!” – otwieram oczy i ganię się w myślach. Obiecałem sobie dłużej tego nie robić. Nigdy więcej nie wracać do przeszłości, a już na pewno nie przywoływać takich wspomnień.

Naraz zaczynam się zastanawiać, jak w obliczu nowych, tak z pewnością zaskakujących wieści zachowałyby się Liv? Czy odeszłyby od Matta, żeby ratować własną siostrę?

Pocieram czoło. Myślenie o niej wciąż sprawia mi ból. Sądziłem, że z dnia na dzień będzie mi łatwiej, że jakoś pogodzę się z jej stratą, ale wystarczy kolejne wspomnienie, a wiem, że do rana nie zmrużę oka. Tak cholernie mi jej brak. A miałem tylko zasnąć, zapomnieć i rano obudzić się z jasnym, czystym umysłem. Ale jak to zrobić, skoro, kiedy tylko to mi się udaje, znów ją widzę...

*Budzę się, czując jej usta na swojej szyi. Oboje musieliśmy przysnąć, kiedy kołysząc ją w ramionach, na moment przysiadłem z nią na łóżku.*

– *Co robisz, mała? – pytam, w sekundę czując narastające pożądanie. – Przecież nie chciałaś się spieszyć.*

– *Za dużo gadasz, Tay – odpowiada w moje usta, które skubie zębami.*

*Nie posiadam się ze szczęścia. Natychmiast przechodzę do rzeczy. Rozbieram się i z namaszczeniem także Liv pozbywam ubrania. Zatrzymuję na moment wzrok na różowej kresce pomiędzy jej kuszącymi małymi piersiami. Spogląda mi w oczy i uśmiecha się nieznacznie, co musi oznaczać, że pomyślała o tym samym. Tak, z pewnością. Liv docenia to, że Alejandra ofiarowała jej swoje serce, które pasowało do niej idealnie. Widać gołym okiem, że czuje się z nim związana.*

*Dziś odczuwam niewyobrażalną ulgę, że tak dzielnie zareagowała na prawdę i że przyjęła ją ze względnym spokojem. Przez ostatnie tygodnie, gdy ukrywałem ten sekret, przewidywałem różne*

scenariusze. Nie wiedziałem, co zrobi, kiedy się o wszystkim dowie. Nie miałem pewności, czy kiedykolwiek będzie na to przygotowana. A teraz szczerze byłem jej wdzięczny za rozagę, z jaką podeszła do tematu. W zasadzie byłem wdzięczny im obu, Liv i Alejandrze – która była wspaniałą kobietą i zasługiwała na wszystko, co najlepsze, choć życie jej nie oszczędzało i rzucało zaledwie same ochłapy.

Przywieram ustami do jednej z piersi Liv, a z jej ust od razu wydobywa się zmysłowy jęk, który działa na mnie jak żaden inny. Sunę niżej, docierając aż do pępka, na którym zatrzymuję się dosłownie na chwilę. Skubię go zębami, sprawiając, że Liv znów jęczy rozkosznie i postusznie rozchyła uda. Szybko znajduję się pomiędzy nimi, dosięgając jej kobiecości. Jest mokra i spragniona moich pieścizot. Kreślę więc językiem kółka na jej łechtaczce, kąsam ją i doprowadzam do szaleństwa Liv, która już wije się pod mną niecierpliwie i krzyczy z rozkoszy.

– Proszę, proszę... – kwili, a ja uśmiecham się szeroko, bo wiem, że tym razem nie jest to żaden niepokojący objaw. Z jej sercem wszystko jest w najlepszym porządku. To tylko emocje, których żadne z nas nie jest w stanie dłużej pohamować.

Nie mija chwila, a znów wracam na górę. Przywieram do jej warg, równocześnie wchodząc w nią energicznie, do samego końca. Patrzę przy tym usilnie na jej twarz, spoglądam w oczy, które na moment otwiera.

– Chcę słyszeć, jak ci ze mną dobrze, Liv – żądam, na co natychmiast przymyka powieki i śmieiej wypycha biodra.

Zaczynam się więc w niej poruszać, pieprzyć ją najlepiej jak potrafię, nastuchując jej miłosnych okrzyków, które już wypełniają pokój i odbijają się echem od wysokich ścian.

– Tak... Tak dobrze, mała – sapię, dochodząc w niej i czując, że i ona spełnia się razem ze mną.

\*\*\*

Powoli chyba nie odróżniam jawy od snu, bo ten wydaje się taki realny. Liv bierze mnie ustami. Zasysa zachłannie, mocno, tak że mój fiut dotyka jej gardła. W dodatku masuje dłonią moje nabrzmiące jądra. Jeszcze chwila, a dojdę i eksploduję w jej ustach.

– Liv... – Ledwie udaje mi się wypowiedzieć jej imię, jest mi tak cholernie dobrze. Obejmuję dłońmi jej głowę i dociskam mocniej. – Kurwa, Liv...

Nie udaje mi się powstrzymać – moja sperma tryska jej prosto do gardła. Jęczę, posapuję, charczę, a mój penis wciąż pulsuje w jej ustach.

– Ja pierdolę, jak dobrze – mówię, zdając sobie nagle sprawę, że to dzieje się naprawdę.

Otwieram oczy i spoglądam w dół. Znajomo wyglądająca blondynka wciąż ma mojego fiuta w ustach, ale jednocześnie zerka do góry.

„To tylko sen” – zamierzam powiedzieć, ale zamiast tego wrywa mi się niechcący:

– To ty?

## Liz

– Mówię ci, Liv, on się wszystkiego domyśla – obstaję przy swoim.

– Na jakiej podstawie to wnioskujesz? – pyta Liv.

Nie mogę jej powiedzieć wprost, co zaszło, bo raczej nie wypada. Podejrzewam, że moja siostra domyśla się, że syjam z jej kolejnym facetem, ale domysły to nie to samo, co niezbite dowody. Nadal prawie nic o sobie nie wiemy i ogólnie mało się znamy, ale nie chcę jej ranić, a zrobiłabym to, gdybym za bardzo obnosiła się z prawdą. A ta jest taka, że Tayler dla mnie jest niczym bóstwo. Tak, ten facet to bóg seksu i obiekt pożądania niejednej kobiety – ja także zaliczam się do tego grona. Byłam świadkiem, jak laski wodzą za nim wzrokiem. Widziałam, jak na nie działa. I zupełnie mnie to nie dziwi. Sama nie potrafię przestać się na niego gapić. Powoli chyba już nawet zaczynam rozumieć, dlaczego Liv zdradziła z nim Matthew. Mattowi oczywiście niczego nie brakuje. Również jest szalenie przystojny i także zna się na rzeczy, o czym miałam okazję przekonać się na *własnej skórze*. Ale nie jest Taylerem. Do Trainora, pomimo całej jego atrakcyjności, nie ustawia się sznureczek kobiet. Matt nie ma tego czegoś.

– Po prostu to wiem – odpowiadam, rozmyślając o tym, co zaszło nad ranem, i przywołując w pamięci jego słowa. – Zaufaj mi. On wie.

A wyglądało to mniej więcej tak...

Obudziłam się i z przyjemnością stwierdziłam, że Tayler śpi obok. Zajrzałam pod kołdrę, która zasłaniała jego biodra, a moim oczom ukazała się jego męskość. Ten facet był naprawdę szczerze obdarzony, a ja na widok jego penisa natychmiast nabrałam ochoty na seks. Odsunęłam jeszcze trochę materiał, a potem pochyliłam się i trąciłam nosem prącie. Zareagowało tak, jak tego oczekiwałam: spęczyło lekko. Musnęłam je ustami, czując, jak twardnieje jeszcze bardziej. Zanurzyłam nos odrobinę niżej, zaciągając się aromatem jego jąder. Nie jestem pewna, czy jestem fetyszystką, ale odkąd zaczęłam uprawiać seks, lubiłam ten zapach. Tayler nadal spał, ale to nie powstrzymało mnie przed spełnieniem swojej zachcianki. Przecież w jego oczach uchodziłam za moją własną siostrę, dla której, z niewiadomego powodu, faceci tracili głowę. Nie wiem, co ona miała w sobie takiego, a czego mnie brakowało, ale byłam pewna, że każdy z nich po prostu za nią szalał.

Ujęłam w rękę jego na wpół zdrętwiałego penisa i zaczęłam go masturbować. Jęknął cicho, a następnie wypchnął biodra. Uznałam to za przyzwolenie i wzięłam go w usta. Zassałam go głęboko i natarłam wargami, sunąc po całej długości prącia naprzemiennie: góra, dół, góra...

Mruknął cichutko, szepcząc imię mojej siostry. Schwycił mnie za głowę, jednocześnie docisnął ją mocniej, wchodząc mi coraz głębiej do gardła. Omal się nie zakrztusiłam, ale nie przeszkadzało mi to. Lubiłam, kiedy mężczyźni dominowali w łóżku. Tak, zdecydowanie wolałam bardziej niegrzecznych chłopców, takich, którzy wiedzieli, czego chcą.

– Kurwa, Liv... – usłyszałam w chwili, gdy jego sperma trysnęła mi na język, a następnie zaczęła spływać wprost do gardła.

Uśmiechnęłam się pod nosem, zachłannie spijając każdą kroplę i wsłuchując się w jego pobudzające zmysły jęki i cichutkie posapywania.

– Ja pierdolę, jak dobrze – dodał jeszcze, wciąż pulsując w moich ustach.

Wreszcie otworzył oczy i spojrzał na mnie. Zdawał się zmieszany, co było do niego zupełnie niepodobne.

– To ty?



– Tak – odparłam, wracając na górę i wymownie oblizując usta. – Śniłeś o innej kobiecie? – zapytałam, ale nie czekając na odpowiedź, dodałam: – Mam być zazdrosna?

Nie odpowiedział, tylko w pośpiechu opuścił łóżko. Podciągnęłam się na łokciach i patrzyłam, jak pochyła się i podnosi z podłogi spodnie, które zadziwiająco szybko przywdziewa na swój śliczny, seksowny tyłeczek.

Tak, to prawda, Tayler ma pośladki, że mucha nie siada. Mogę na nie patrzeć godzinami.

I patrzę, ilekroć nadarza się okazja.

– Tayler?! – zawołałam za nim, kiedy dotarło do mnie, że wychodzi i zostawia mnie samą w pokoju.

Przystanął na moment i rzucił przez ramię:

– Zajmij się czymś. Mam coś ważnego do załatwienia. Na mieście – dodał, a potem na dobre opuścił sypialnię.

Zupełnie zdezorientowana, patrzyłam przez chwilę w ślad za nim, po czym wzięłam do rąk telefon. Musiałam pogadać o tym z Liv. Uznałam, że mam obowiązek podzielić się z nią wątpliwościami, które mnie nagle ogarnęły.

Na szczęście odebrała, a ja już na wstępie opowiedziałam jej oględnie, co się wydarzyło. Oszczędziłam jej pikantnych szczegółów.

– Ja pierdolę – szepcze, a potem zdusza kolejne przekleństwo.

Dotąd nie sądziłam, że w ogóle jest do nich zdolna. W moich oczach – choć jak się domyślam, pewnie nie tylko w moich – Olivia uchodzi za świętą.

– I co teraz? – pyta po chwili zdenerwowanym, naprawdę mocno zaniepokojonym głosem.

– Nic. Po prostu czekamy na rozwój wydarzeń i dalej udajemy, że nic się nie dzieje.

– Łatwo ci mówić – wzdycha. – Poza tym jest coś jeszcze...

Na moment w słuchawce zapada cisza. Czekam więc chwilę, aż moja siostra znów zacznie mówić. Ona jednak zachowuje się dziwnie i nadal milczy jak zaklęta, choć wyraźnie chce mi coś powiedzieć.

– Liv? – odzywam się pierwsza.

– Chyba jestem w ciąży – padają nagle *te* słowa, wypowiedziane przez nią ledwie zrozumiałym szeptem.

W pierwszym odruchu mam ochotę jej pogratulować, ale naraz dociera do mnie, że coś nie jest do końca w porządku, bo Liv obawia się powiedzieć o tym na głos, zupełnie jakby się bała, że zostanie za to ukarana.

– Dlaczego się nie cieszysz? – pytam zatem. Liczę, że będzie ze mną szczerą.

Przez moment myślę o jej sercu. Nie znam się na tym, może nawet się mylę, ale wydaje mi się, że po przeszczepie ciąża jest niewskazana.

– Liv?! – Raptem mnie oświeca. – Czy ty chcesz mi powiedzieć, że...

– Tak – rzuca zaniepokojonym głosem. – Jeśli rzeczywiście jestem w ciąży, to dziecko może być zarówno...

– Ja pierdołę! – przerywam jej.

– No właśnie – kwituje. – Liz, nie wiem, co zrobię, jeśli okaże się, że rzeczywiście spodziewam się dziecka – zniża głos do szeptu.

Trudno mi powiedzieć, co tak właściwie ma na myśli, ale muszę ją uspokoić, bo zdaje się być kłębkim nerwów.

– Nic nie zrobisz. I nie dramatyzuj. Może to fałszywy alarm? Robiłaś test?

– Tak – odpowiada z westchnieniem.

– I co? Jaki wynik?

– Wyszedł negatywny.

– Sama widzisz...

– Mam jednak złe przeczucia...

Liv jest niemożliwa. Nigdy nie byłam pesymistką, może właśnie dlatego tak bardzo drażni mnie jej zachowanie. Mam ochotę powiedzieć siostrze wprost, żeby wzięła się w garść, ale ubiega mnie i kontynuuje:

– Poza tym czuję się fatalnie. Mam mdłości, ciągle chce mi się spać. I płakać.

Te słowa odrobinę zmieniają postać rzeczy, choć nadal niczego nie dowodzą – Liv równie dobrze może mieć depresję. Nie wiem, na co jeszcze czeka. Gdybym ja znalazła się na jej miejscu, dobrze wiedziałabym, co z tym zrobić.

– Wobec tego idź do lekarza – rzucam do słuchawki, oczywiście pomijając ciętą ripostę, która w takich okolicznościach nasuwa się sama. Gdyby Liv nie była moją siostrą, powiedziałabym jej, że na takie problemy zaradzi dobry psycholog, nie ginekolog.

– Tak zrobię – słyszę w odpowiedzi. – A co, jeśli moje przypuszczenia się potwierdzą?

I znów się zaczyna. Staram się powstrzymać przed przekleństwem, które – zważywszy na okoliczności – jakoś nie przystoi. Na szczęście wychodzę z tej próby zwycięsko.

– Boże, Liv, nie wiem – odpowiadam zniecierpliwiona. – Po prostu nie siejmy paniki.

– Łatwo ci powiedzieć – wzdycha bezsilnie. Do tego zdaje się bliska płaczu. Z nią naprawdę dzieje się coś niedobrego.

– Czegoś mi chyba nie mówisz – podłapuję po głębszej analizie własnych myśli.

Nie miałyśmy czasu na bliższe poznanie, ale wyraźnie czuję, że coś przede mną ukrywa. Nie wiem, skąd się to bierze, ale ponoć my, bliźnięta jednojajowe, już tak mamy. Czujemy więcej, szczególnie kiedy dotyczy to drugiego z rodzeństwa. Przynajmniej taka panuje opinia.

– Liv, co się dzieje? – pytam wprost, licząc, że się przede mną otworzy.

W słuchawce zapada cisza, co jeszcze bardziej mnie niepokoi.

– Liv?

– Matt nie chce dziecka.

– Serio? – skrzeczę.

Widziałam go w roli ojca i jest świetnym rodzicem. Nie rozumiem więc, dlaczego miałby nie chcieć kolejnego dziecka.

– Powiedział ci o tym?

– Nie wprost – mówi i ciągle wzdycha, co staje się nie do zniesienia.

Po raz kolejny przemyka mi myśl, że Liv zwyczajnie panikuje. Nigdy nie lubiłam takich osób i gdyby nie była moją siostrą, powiedziałabym jej do słuchu.

– Konkrety proszę.

– Nazwał je kłopotem.

– Nie rozumiem. – Naprawdę nie wiem, gdzie leży problem. A może...? – Powiedziałaś mu o swoich podejrzeniach? – Jeśli to prawda, to nie mogę uwierzyć w jej głupotę. Mogła przecież wmówić mu bachora i byłoby po kłopotcie.

– Sam zapytał, czy jestem w ciąży, więc...

– Boże, dziewczyno! – Po raz kolejny cisną mi się na usta przekleństwa, choć odczuwam też pewnego rodzaju ulgę. Matt nie może nawet podejrzewać, że to dziecko może nie być jego. Dla dobra nas wszystkich! – Najpierw myślimy, potem mówimy. Nigdy odwrotnie!

Odnoszę wrażenie, że chce mi powiedzieć coś jeszcze, ale tym razem już nie zamierzam dopuścić jej do głosu. Teraz mówię ja.

– Posłuchaj mnie uważnie. Idź do lekarza. Zbadaj się. Nie wiem, może nawet wcześniej zrób jeszcze jeden test. I daj mi pomyśleć – dorzucam, zanim się rozłączam.

Muszę przespać się z tematem, bo jeśli naprawdę okaże się, że moja głupiutka siostrzyczka zaliczyła wpadkę, to ojcem jej dzieciaka rzeczywiście mógł być zarówno Matt, jak i Tayler. Wobec tego ostatniego miałam plany i nie zamierzałam jej teraz go oddawać. A już na pewno nie bez walki.

# Rozdział 4

## Tayler

Musiałem jej nie zauważyć. Może była na tarasie, kiedy zmierzałem do łazienki, bo z całą pewnością nie przeoczyłbym jej w sypialni, która z nią graniczy. Teraz jednak stoi obok i pożera mnie wzrokiem. Jestem nagi, bo zaraz po powrocie postanowiłem wziąć prysznic – ubranie wręcz lepi się do mnie, ponieważ upał jest nieznośny.

Liz, która początkowo tylko mi się przyglądała, teraz sama zaczyna zdejmować ubranie. Najwyraźniej ma ochotę do mnie dołączyć. Normalnie powinno mi to schlebiać, że tak ją jaram, ale zamiast tego odczuwam złość.

Wciąż męczy mnie myśl, że przecież zjawiała się tu, udając kogoś innego. Miała tylko grać, a tymczasem stale popełnia błędy. Gdzie podziało się odpowiednie przygotowanie do roli, co się stało z cholernym researchem? Czy Liz naprawdę nie rozumie, że Liv nigdy nie zachowywała się w ten sposób?

Zerkam kątem oka, jak pozbywa się bielizny, wślizguje do kabiny i staje na wprost mnie. Jest drobna i ledwo sięga mi do klatki piersiowej, więc jej usta natychmiast wędrują do jednego z moich sutków. Skubie go zębami, a potem to samo robi z drugim. Mój fiut oczywiście od razu reaguje na tę pieśczętę. Cóż, jeśli chodzi o wyuzdane kobiety, w takich chwilach na ogół tracę nad nim kontrolę.

Tymczasem Liz zaczyna zjeżdżać ustami niżej. Pewnie znów ma ochotę mi obciągnąć, ale ja mam inny pomysł.

Podnoszę ją z kolan, kiedy już otwiera usta, by zrealizować swój plan, i natychmiast odwracam ją tyłem do siebie. Nie opiera się, więc popycham ją lekko na ścianę i sięgam po żel, który wylewam na jej pośladki. Następnie, nie pytając jej o zdanie, wsuwam pomiędzy nie penisa. Piszczycy zaskoczona, ale szybko się przyzwyczajają, a gdy zaczynam ją pieprzyć, wypycha śmieiej biodra. Zaskakuje mnie, bo jej bliźniaczka prędzej by mi jaja urwała, niż pozwoliła się *tam* choćby zbliżyć. Jej siostra jest inna, czym jednocześnie kolejny raz

potwierdza, że nie jest tą, za którą chce uchodzić w moich oczach. Liv nie zareagowałaby w ten sposób.

Elizabeth sprawia to wyraźną przyjemność, co poświadczają jej głośne jęki. Dla wzmocnienia efektu dogadza sobie ręką, stymulując łechtaczkę, co jest kolejnym dowodem na to, że Liz to nie Liv. Ona jest zupełnie inna. Wrażliwa, czasem nawet aż zanadto wstydliwa, co prawdopodobnie jeszcze bardziej mnie w niej pociąga.

Przyspieszam, chcąc to wreszcie zakończyć. Osobiście nie przepadam za seksem analnym. Jak dla mnie jest odrobinę przereklamowany. Ale teraz, w tej jednej chwili, zapragnąłem się po prostu wyżyć, odreagować narastającą we mnie frustrację. Szkoda, że mi się nie udało.

Dochodzę w niej po kolejnych kilku pchnięciach, czując ten sam co zawsze przyjemny prąd we wszystkich kończynach jednocześnie. Wydaje mi się, że ona też miała orgazm albo tak dobrze udawała. Z takimi jak ona różnie bywa...

Wysuwam się z niej, myję i bez słowa wychodzę z kabiny. Wiem, niezbyt to miłe z mojej strony, ale ja nie jestem tak świetnym aktorem jak ona. I nie zamierzam niczego udawać. Zwłaszcza przed nią.

Sięgam po ręcznik, pobieżnie wycieram nim włosy i owijam go sobie wokół bioder. Przez cały czas czuję na sobie wzrok Elizabeth, ale ignoruję go i wychodzę z łazienki. Zwyczajnie muszę to zrobić, bo w innym razie musiałbym ją zdemaskować. Tylko co potem? Niestety wciąż nie mam pojęcia, więc na razie postanawiam jeszcze trochę poudawać.

Po chwili jestem już w sypialni, gdzie na jednym z foteli ustawionych pod oknem czeka na mnie uszykowane wcześniej ubranie. Zrzucam ręcznik, po czym wkładam pachnący płynem do płukania T-shirt i czyste jeansy. Kiedy dopinam guzik, zauważam Liz stojącą w progu. Przygląda mi się z nieodgadnioną miną.

– Ubierz się – rozkazuję. – Wychodzimy na kolację.

Nie wiem, co ją tak dziwi. Może mój zwyczajny, aczkolwiek ulubiony look, a może coś innego? Jednak faktem jest, że sprawia wrażenie mocno zaskoczonej.

– Zawsze taki jesteś? – pyta nagle.

Prawdopodobnie już w tym momencie powinienem jej wygarnąć, że gdyby była tą, za którą się podaje, nie zadawałaby tak

idiotycznych pytań. Nie wiem, z jakiego powodu, ale zamiast tego po raz kolejny ważę słowa. A żeby zrobiło się jeszcze ciekawiej, zamierzam odrobinę pociągnąć ją za język.

– Jaki? – odpowiadam pytaniem.

– Milutki – rzuca, jednocześnie zdejmując ręcznik. Paraduje przede mną nago, przemierzając całą długość pokoju.

Prowokuje mnie. I jak widać, zupełnie nie wstydzi się swojej nagości. Liv nigdy by się na to nie zdobyła. Przynajmniej nie w takiej sytuacji.

– Przeszkadza ci to? – rzucam i spoglądam na nią zadziornie.

Nie odpowiada od razu, tylko pochyła się, udając, że grzebie w dolnej szufladzie komody i czegoś szuka. Gdyby nie to, że raptem kilka minut temu pieprzyłem ją pod prysznicem, i to, że właściwie się spieszyliśmy, znów bym to zrobił. Przeleciałbym ją tak, że by popamiętała.

– Właściwie nie – mówi, wreszcie wyjmując czerwone stringi.

Jestem coraz bardziej ciekaw, czy od razu je założy, czy jeszcze się ze mną podroczy. Na szczęście nie muszę zbyt długo czekać, żeby się o tym przekonać, bo czerwona koronka szybko ląduje na jej kształtnych pośladkach, a właściwie pomiędzy nimi.

– Możesz się pospieszyć? – sugeruję już odrobinę delikatniej, na co Liz uśmiecha się lekko.

– Jasne – potwierdza. – Tylko nie wiem, co mam na siebie włożyć – dodaje, otwierając szafę i zaglądając do jej wnętrza.

Obserwuję ją przez chwilę. Przegląda zawartość garderoby, muska palcami materiał jednej z sukienek. Jak na mój gust wydaje się zbyt elegancka na takie wyjście. Nadaje się raczej do teatru tudzież opery, a nie do zwykłej meksykańskiej knajpy.

– Może ta? – pyta, a jej ton zdradza, że się ze mną droczy.

A to kolejny dowód na to, że nie jest swoją siostrą. Liv nigdy się ze mną nie przekomarzała. Nie jest snobką, ale trzyma pewien poziom. Ona wręcz przeciwnie. Drzemie w niej przekorna dusza.

– Proponuję ten zestaw – mówię, zachowując poprzednie myśli wyłącznie dla siebie, i sięgam po pierwsze z brzegu szorty i koszulkę na ramiączkach.

Na szczęście Liz nie komentuje słowem mojego wyboru, tylko szybko się ubiera. Oczywiście nie wkłada stanika, a jej sutki

natychmiast stają na baczność.

– Jeszcze tylko buty. – Sięga po szpilki, które moim zdaniem nijak pasują do tego zestawu. Nie zamierzam się jednak o to spierać. – I włosy – dodaje, zdejmując ręcznik i zawracając do łazienki.

Nie odchodzi zbyt daleko, bo chwytam ją za rękę i zatrzymuję w miejscu. Podejrzewam bowiem, że wybiera się tam, by skorzystać z suszarki, a ja mówiłem już, że się spieszę.

– Same wyschną – wyjaśniam, widząc jej lekko zdezorientowaną minę. I nie rzucam słów na wiatr. Mój kabriolet czeka już na nas przed domem.

\*\*\*

Kiedy dojeżdżamy na miejsce, Liz nawet nie stara się ukryć swojego niezadowolenia. Przeklina cicho, próbując jakoś ugładzić nastroszone włosy. Z jej oczu sypią się groźne iskry. Wygląda na naprawdę wkurzoną.

– Nie przejmuj się tak – kwituję, parkując pod dobrze mi znaną i często przeze mnie odwiedzaną restauracją. – Przecież nikt cię tu nie zna.

Spogląda na mnie podejrzliwie. Fakt, palnąłem bezmyślnie, ale już teraz nic nie mogę na to poradzić. Dla mnie od samego początku jest Elizabeth, nie Oliwią.

Na szczęście nie żąda wyjaśnień, a zamiast tego daje się zaprowadzić do lokalu. Jak zwykle o tej porze jest tu tłoczno. Nic dziwnego, bo knajpa słynie z najlepszego burrito w mieście, całkiem dobrego piwa oraz najlepszej w okolicy tequili.

– Tam jest nasz stolik. – Pokazuję. – Zajmij nam miejsca, a ja złożę zamówienie.

Nie zamierzam czekać na żadnego z kelnerów, którzy z powodu kompletu gości nie nadążają. Przy barze powinno pójść sprawniej.

Spoglądam na towarzyszącą mi dziewczynę. Nadal jest na mnie zła za te włosy, ale na szczęście mnie słucha. Uśmiecham się pod nosem, gdy widzę, jak idąc do naszego stolika, kręci tyłkiem. Nie jestem jednak pewien, czy robi to celowo, czy po prostu dzieje się tak za sprawą szpilek, które ma na stopach. Muszę jednak przyznać, że chodzenie na wysokich obcasach dodaje jej seksapilu, przez co



zwraca na siebie szczególną uwagę. Zwłaszcza właśnie śliniących się na jej widok mężczyzn.

Kiwam z lekkim niedowierzaniem głową, po czym zmierzam w stronę baru. I wtedy na niego wpadam.

## Liz

Naprawdę zaczynam coraz bardziej wierzyć w teorię, że Tayler wszystkiego się domyśla. Najpierw dziwnie zachowywał się w domu, a przed chwilą wypalił jeszcze z czymś takim. Nie mogę go jednak zapytać wprost, czy opacznie go zrozumiałam, czy rzeczywiście dotąd nie zabierał tutaj mojej siostry – to dwa jedyne sensowne wyjaśnienia jego nieoczekiwanego wyznania – bo wtedy musiałabym się przyznać do wszystkiego. Nie mam pojęcia, jak zareagowałby na prawdę. Snucie domysłów to jedno, a podanie faktów na tacy to już zupełnie coś innego. Kiedy więc proponuje, żebym udała się do stolika, chętnie korzystam z jego oferty.

Ruszam w głąb restauracji, wprost do miejsca, które mi wskazał. Właściwie jestem już prawie u celu, kiedy czuję, jak ktoś chwyta mnie za ramię i gwałtownie zatrzymuje.

– Puszczaj, do cholery! – warczę, próbując się wyswobodzić z niedźwiedziego uścisku. – Głuchy, kurwa, jesteś?!

– Mnie też miło cię wiedzieć, Liv – odpowiada nagle facet, który teraz łapie mnie za dłoń, ale nadal zdecydowanie przytrzymuje mnie w miejscu.

Nie znam go. Ale on z pewnością zna mnie, a właściwie moją siostrę. Nie mam bladego pojęcia, kim jest. W mojej głowie zapanowuje taki chaos, że nie jestem w stanie przypomnieć sobie na poczekaniu, o kim jeszcze przed moim wyjazdem wspominała Liv.

– Nie słyszałaś, jak cię wołam? – pyta, puszczać wreszcie moją rękę, na której zostają ślady jego palców.

Przez chwilę przyglądam się powoli znikającym czerwonym plamom. Mam nadzieję, że nie będzie z tego siniaków.

– Liv? – Nieznajomy wyraźnie oczekuje odpowiedzi na pytanie, na które niestety chwilowo nie znam odpowiedzi. Gram na zwłokę.

– A czy w ogóle powinnam cię słuchać? – odpyskuję jedynie, licząc, że jakimś cudem dowiem się, z kim mam do czynienia.

– No popatrz – zaśmiewa się, taksując całą moją sylwetkę od stóp do głów. – Kiedyś taka nie byłaś. Nawet się tak nie ubierałaś – dodaje, wymownie zerkając na moje stopy obute w szpilki od samego Manolo. – Ale widzę, że się mocno zmieniłaś i że spodobała ci się gangsterka, co? Płynące z niej przywileje również.

– Zostaw ją, do cholery! – słyszę gdzieś z oddali znajomo brzmiący głos.

I choć jeszcze chwilę temu byłam naprawdę zła na Taylera, teraz cieszę się na jego widok. Kiedy okrąża tego gnojka zachowującego się tak, jakby mnie dobrze znał, dostrzegam, że nie jest sam. Taylerowi towarzyszy jakiś mężczyzna, który szczerzy się głupkowato na mój widok. Podejrzewam, że jest tu z tym, który mnie zatrzymał, co sugerują wymieniane pomiędzy nimi porozumiewawcze spojrzenia.

– Ciebie też dobrze widzieć, Maxwell – odpowiada zadziornie ten, który stoi bliżej mnie i, jak już zdążyłam wywnioskować, prawdopodobnie zna moją siostrę.

Oczywiście słysząc, w jaki sposób zwrócił się do Taylera, na moment baranieję. Dopiero po chwili załapuję, że odezwał się do niego po nazwisku. Kolejny raz przyznaję, że nie sądziłam, iż zabawa w udawanie może być aż tak trudna.

– Mamy do pogadania – dorzuca nagle jeden z gapiących się na mnie typków.

– To może poczekać – warczy Tayler, po czym ujmuje mnie pod ramię i prowadzi w głąb lokalu. Nie odchodzimy jednak daleko, bo za naszymi plecami padają kolejne słowa:

– A co, jeśli nie? Zapomniałeś, skąd ją wzięłeś i jakie masz wobec nas zobowiązania? Pamiętaj, wóz albo przewóz.

Nie mam, kurwa, pojęcia, o czym gada tamten, ale liczę, że Tayler mnie nie odda w ich łapy. Akurat to zdołałam wychwycić między wierszami. Powoli zaczynam sobie przypominać, że Liv coś tam wspominała o jakichś bandziorach, którzy rościli sobie wobec niej prawa. Sądziłam jednak, że to zamknięty rozdział. Jak widać, chyba jednak nie do końca.

– Niczego nie zapomniałem, Craig – odpowiada trzymający mnie pod ramię mężczyzna.

I naraz doznaję olśnienia. Liv rzeczywiście wspominała mi o jakimś zbirze o tym imieniu. Mówiła, a właściwie ostrzegała, żebym trzymała się od niego z dala. Kiedy ją zapytałam, skąd zna tak szemrane towarzystwo – bo to, że było niewłaściwe, jest pewne – odpowiedziała, że to stare dzieje. Teraz widzę, że niekoniecznie. A może nie słuchałam zbyt uważnie, kiedy mi o tym opowiadała? Tego akurat nie wiem, ale muszę stwierdzić, że moja siostra nie była taka święta, za jaką chciała uchodzić, skoro zadawała się z takim facetem...

A zadawała się – jestem o tym przekonana. Niejaki Craig wyraźnie to insynuuje. Zresztą świadczy o tym jego wzrok. Dosłownie pożera mnie, rozbiera, a nawet nim pieprzy. Znam się na mężczyznach. I na tego typu spojrzeniach również.

– Czyli mam rozumieć, że jesteście zaproszeni?

O ile w porę zdołałam rozszyfrować, kim jest facet, który postanowił zepsuć nam wieczór, o tyle zupełnie nie pojmuję, co właśnie mówi.

– Jeśli tylko Liv nie będzie miała nic przeciwko – odpowiada zagadkowo Tayler.

Zerkam na niego dyskretnie. Oczekuję wyjaśnień. Może nie już, nie w tej chwili, ale muszę wiedzieć, o co chodzi, bo zżerają mnie niepewność i ciekawość. Mam nadzieję, że dojdzie między nami do szczerzej rozmowy.

– A gdzie pierścionek? – pyta nagle facet o imieniu Craig, zachodząc nas od innej strony. Zbliża się do mnie i przygląda się moim dłoniom. – Nie widzę go. A ty, Damian?

Nie wiem, dlaczego nie rozmyślałam o tym, co do nas mówią, a jedynie skupiam się na personaliach tych dwóch osobników. Damian... Liv też coś o nim napomknęła. Niestety z przykrością muszę stwierdzić, że gdy ona starała się streścić mi pewne sprawy, ja nie przywiązywałam do tego zbyt wielkiej wagi. Po prostu uznałam za mało prawdopodobne, że w tak wielkim kraju jak Meksyk wpadnę akurat na któregoś z nich. Jak widać, myliłam się.

– No właśnie, gdzie twój zaręczynowy pierścionek, Liv? – podchwytuje szybko drugi z gangusów.

Zatyka mnie. Jaki, kurwa, pierścionek? Przecież Liv nie wspominała o żadnym pierścionku, tego akurat byłam w stu

procentach pewna. Na takie detale zwracam uwagę.

Już otwieram usta, żeby coś im odpyskować. Cokolwiek, ale Tayler mnie ubiega:

– Zostawiłaś go na umywalce, kochanie – mówi, wyjmując z kieszeni pierścioneł z brylantem, który wkrótce ląduje na moim serdecznym palcu.

– A t... a... k, gapa ze mnie – dukam. – Co ja bym bez ciebie zrobiła? – dorzucam, nie mając odwagi nawet na niego spojrzeć. – Dziękuję, skarbie.

Tayler nie odpowiada. Widzę jednak, że triumfalnie spogląda na stojących na wprost nas typków. Nie mija sekunda, a jeden z nich robi charakterystyczny gest, który z pewnością sugeruje, że będą nas mieli na oku. Następnie obaj wychodzą z lokalu.

– Chyba musimy pogadać – szepczę niepewnym, zupełnie niepodobnym do mojego głosem.

– Też mi się tak wydaje.

# Rozdział 5

## Tayler

Straciłem ochotę na jedzenie, dlatego nasze zamówienie każę zapakować na wynos. Zawsze można je podgrzać w mikrofalówce. Ale to potem. Teraz czeka mnie poważna rozmowa z Elizabeth.

A ona, choć dotąd nieraz udowadniała, że ma sporo do powiedzenia, przez całą drogę powrotną milczy jak zaklęta. W zasadzie wcale się jej nie dziwię. Ja na jej miejscu też pewnie bym nie wiedział, co dalej.

Kiedy przekraczamy próg domu, oddaję Anie Marii – jednej z gosposi – torbę z jedzeniem i każę jej to zanieść do kuchni. Sam biorę Liz za rękę i prowadzę w stronę schodów. Czuję, że drży. Tym razem jednak to z powodu strachu – jestem tego pewien. I znów, na swój pokręcony sposób, staram się ją zrozumieć.

W sypialni dziewczyna puszcza moją dłoń, a następnie zdejmuje szpilki i zaczyna się nerwowo przechadzać po pokoju. Przez ułamek sekundy naprawdę robi mi się jej żal.

– Dlaczego to zrobiliście? – pytam pierwszy. – Obie miałyście mnie za głupca?

– Nie, Tayler, przysięgam!

Mrużę gniewnie oczy. Przez chwilę pomyślałem nawet, że mógłbym wyjąć spluwę i przystawić do jej skroni. Może wówczas przestałaby sobie ze mnie kpić. Bo jak nazwać to, co właśnie robiła? Sądziła, że dam się nabrać na tę czczą gadkę? Mam uwierzyć, że za tym ich misternym planem nic się nie kryje? Ja już swoje wiem. Ta mistyfikacja miała za zadanie udowodnić mi moją głupotę i naiwność. A może jednak było inne wytłumaczenie? Czyżby wierzyły, że nabiorę się na te słodkie oczęta, którymi swego czasu obie mnie mamily?

– Czyj to był pomysł? – Patrzą na nią surowym wzrokiem. Wiem, że się mnie boi, ale mam to gdzieś. Powinna przewidzieć, jaki może być finał tej *zabawy*. – Twój czy jej?

Nie odpowiada od razu. Faktycznie jest przerażona, a to musi oznaczać, że propozycja zamiany wyszła od niej.

– Mój – szepcze przerażonym głosem, potwierdzając moje przypuszczenia. – A właściwie...

Doskakuję do niej i ledwie się powstrzymuję, żeby jej nie chwycić za gardło. Obawiam się jednak, że jeśli to zrobię, nie zdołam się powstrzymać, a wtedy sprawy pokomplikują się jeszcze bardziej.

Liz zamyka oczy, zupełnie jakby wierzyła, że to może ją uchronić przed moim gniewem.

– Przepraszam – odzywa się po chwili i ostrożnie otwiera najpierw jedno, a potem drugie oko. – Chciałam dobrze...

– Wiesz, czym jest wybrukowane piekło?! – ryczę, chwytając ją brutalnie za ramiona i trzęsąc jak szmacianą lalką. – Właśnie takimi pustymi lalami jak ty! – dorzucam, krzycząc jej prosto w twarz. – I być może za chwilę tam trafisz!

Puszczam ją jednak, bo obawiam się, że jeszcze sekunda, a spełnię groźbę i skręcę jej kark, zupełnie tracąc panowanie nad sobą.

Wtedy ona potyka się i upada przede mną na kolana. Dla nas obojga, a zwłaszcza dla niej, byłoby lepiej, żebym teraz wyszedł, ochłonał, ale ja jestem w jakimś pieprzonym transie.

Wyjmuję gnata i wycelowuję w nią, po czym dodaję, cedząc przez zęby:

– I wiesz co? Mam coraz większą ochotę cię tam posłać.

Liz zamyka oczy, a następnie zasłania twarz dłońmi i zanosi się płaczem. Kolejny dowód na to, że w ogóle nie zna swojej siostry. Liv, będąc nawet umierająca, nigdy nie okazywała słabości.

Ta myśl sprawia, że naprawdę mam coraz większą ochotę wpakować jej siostrze kulkę, ale powstrzymuję się. Dla Liv. Wiem, że nie wybaczyłaby mi tego.

– Wstań – mówię jedynie, chowając pistolet za pasek od spodni. – Głucha, kurwa, jesteś? – dodaję rozeźlony, chwytając ją za ramię i zbierając z podłogi. – Idź do łazienki i się ogarnij – dorzucam, a kiedy się podnosi, popycham ją, by wreszcie, choćby na moment, zniknęła mi z oczu.

Dopiero wtedy, na odchodne, ma odwagę ponownie na mnie popatrzeć. Wydaje mi się, że dostrzegam nieznaczną ulgę w jej

spojrzeniu, ale w jej oczach nadal czai się strach.

I dobrze. Za to, co zrobiła, naprawdę powinna ponieść karę.

\*\*\*

Wiem, że celowo opóźnia wyjście z łazienki, ale nie zamierzam jej tego wytykać. Też potrzebuję chwili dla siebie. Tylko samotność pozwala mi zapanować nad gniewem, który z upływem czasu zdaje się jakby słabnąć.

Kiedy wreszcie wychodzi, wygląda równie fatalnie jak w chwili, gdy zniknęła za drzwiami.

– Usiądź – mówię, widząc, że boi się nawet ruszyć. – Nie zabiję cię. Przynajmniej jeszcze nie teraz – dorzucam, siląc się na cierpki żart. Guzik mnie obchodzi, że jej nie bawi moje poczucie humoru. Zasłużyła na znacznie gorszą karę i na to, by poczuć strach o własne życie.

Dobrze chociaż, że posłusznie wykonuje polecenie. Szkoda tylko, że nadal nawet na mnie nie spojrzy.

– A teraz opowiedz mi wszystko od początku...

### Liz

Nie mam wyjścia. Nie mogę ryzykować życiem. Muszę opowiedzieć mu o wszystkim. Tylko to może mi zagwarantować jeszcze jakąś szansę na przetrwanie.

– Właściwie to był pomysł Matta – mówię ze strachem w głosie. Boję się, że Tayler się wścieknie, ale on uśmiecha się ironicznie i kręci z niedowierzaniem głową. Zupełnie jakby to przeczuwał. – Ściągnął mnie do tego hotelu pod pretekstem bliższego poznania z siostrą. Uwierzyłam mu. Nie miałam powodu, żeby mu nie zaufać. Znałam go już trochę...

– Trochę? – kpi. – To chyba za mało powiedziane.

Moją twarz oblewa rumieniec, co niezwykle rzadko mi się przytrafia.

Tayler sporo o mnie wie i niekoniecznie są to dobre rzeczy – muszę przyznać. A mnie jakoś dziwnie zależy na tym, by wypaść jak najlepiej w jego oczach.

– Z nim się także pieprzyłaś, prawda? – pyta.

Nie odpowiadam, tylko spuszczam głowę. Bo niby co mam mu powiedzieć? Że ostatnio moim ulubionym zajęciem jest sypianie z facetami mojej siostry? Tak to może wyglądać w jego ocenie.

– Skąd o tym wiesz? – Zdobywam się na resztki odwagi, żeby zapytać.

– Wiem więcej, niż ci się wydaje. A skąd? – Marszczy nos, co sprawia wrażenie, jakby był trochę mniej zły. – Mam swoje sposoby na pozyskiwanie pewnych informacji. A teraz do rzeczy – ponagla mnie.

Wzdycham i po chwili powracam do swojej opowieści:

– Początkowo zareagowałam podobnie jak ty. Plan Matta wydał mi się absurdalny. Poza tym pomyślałam, że w ten sposób chce się mnie pozbyć. Zawadzałam mu, zwłaszcza w momencie, kiedy wróciła Liv.

– Ona wcale nie wróciła do niego – warczy, poprawiając się na krześle ustawionym na wprost łóżka, na którym kazał mi usiąść. Po chwili jednak dodaje łagodniejszym tonem: – Liv pojechała tam jedynie na pogrzeb waszego ojca.

To też wiedziałam, jak również to, że rzeczywiście moja siostra początkowo nie chciała słyszeć o podmieianie. Sam pomysł wyszedł od Matta, ale właściwie ostatecznie to ja ją do niego przekonałam. Zrobiłam to trochę z przekory, a trochę z ciekawości, a nawet dlatego że jej zazdrościłam. Kiedy mówiła o miłości sprzed lat, oczy jej iskrzyły. W dodatku dotarło do mnie, że w Nowym Jorku nie miałam już czego szukać, a do Polski też nie chciałam wracać. Pomyślałam więc: dlaczego nie Meksyk? Poza tym szybko wywnioskowałam, że Tayler musi być równie atrakcyjny jak Matt. I nie myliłam się. Jak widać, bliźnięta jednojajowe, oprócz odczuwania podobnych emocji w tym samym czasie, łączy coś jeszcze – gust.

– Mam nadzieję, że nie zechcesz znów sięgnąć po broń, bo to, co ci zamierzam powiedzieć, z pewnością ci się nie spodoba. – Tym razem to ja silę się na lekki żart, który, mam nadzieję, choć trochę zmniejszy napięcie.

Tayler unosi brew.

– Gdyby nie torebka, Matt nigdy nie wpadłby na Liv.

– Torebka? – Spogląda na mnie jak na największą kretynkę.

W odpowiedzi kiwam głową.



– Zgubiłam ją gdzieś po drodze, na cmentarzu, a Matt był tak miły i zaproponował, że pójdzie jej poszukać. To właśnie wtedy wpadł na Liv.

Tayler nic nie odpowiada, tylko w lekkiej zadumie kiwa głową. Na moje szczęście już się nie wścieka, sprawia jedynie wrażenie zasmuconego.

– Ona tego nie planowała. Przysięgam – dorzucam, bo naraz robi mi się go żal. – Liv nie odeszła od ciebie, bo chciała cię zostawić. Musisz zrozumieć, że ona nie miała wyjścia. Bez względu na to, jaką decyzję by podjęła, i tak ktoś by ucierpiał. Padło na ciebie – dodaję smutno.

Tayler wstaje. Podchodzi do okna i spogląda przed siebie smętnym wzrokiem.

Ponownie robi mi się go żal. Dziwi mnie własna reakcja, bo dotąd to uczucie było mi niemal obce. Wstaję więc i ja. Podchodzę do niego i kładę ręce na jego stężałych ramionach. Jest bardzo spięty, ale nie strąca moich dłoni. A to z kolei może oznaczać, że powoli przechodzi mu złość. Zaczynam zatem mieć nadzieję, że spróbuje mnie zrozumieć, może nawet na swój sposób pokochać. Nie marzę o niczym innym. Chcę tylko być szczęśliwa i kochana. Naprawdę mam już dość życia, jakie dotąd wiodłam. Pragnę zacząć od nowa, z nim.

Jest tylko jeden drobiazg, który od dłuższego czasu nie daje mi spokoju, a o którym boję się pisać choćby słówko. To ja nakłoniłam siostrę do podjęcia tej jakże trudnej dla nas wszystkich decyzji...

*– Liv? – Podchodzę do niej. Kładę dłonie na jej zimnych ramionach i spoglądam jej w oczy. – Matt nigdy nie pokocha żadnej kobiety, tak jak kocha ciebie – staram się wypaść wiarygodnie i łagodnie ją przekonać. – Początkowo nie liczyłam na zaangażowanie z jego strony. Przywykłam do przygodnych romansów i związków bez zobowiązań. Jednak w tym przypadku coś się zmieniło. Nagle zapragnęłam czegoś więcej. Zdziwiłam się, bo jak dotąd nie zależało mi na stałym związku i jednym mężczyźnie, u którego boku mogłabym budzić się codziennie rano. Zaskoczyło mnie to i nagle zaczęłam o tym marzyć. Tyle że Matt nie jest w stanie mi tego dać. Szybko dotarło do mnie, że Matthew nigdy mnie nie pokocha. On, pomimo że przez cały ten czas myślał, że odeszłaś*

*bezpowrotnie, zawsze kochał tylko ciebie. W jego sercu nie ma miejsca dla innej kobiety, Liv.*

Doskonale pamiętam, że Olivia spojrzała na mnie wówczas, jakby miała się rozplakać. Była taka rozbita.

*– Ale Tayler...*

*– Posłuchaj, Liv. Jestem pewna, że Tayler jest fantastycznym facetem. Nie może być inaczej. – Uśmiecham się do niej ciepło. Nie robię tego z czystego wyrachowania. Chcę ją pokrzepić, wesprzeć w tej jakże trudnej dla niej decyzji. – Nie spojrzałaabyś na żadnego gnojka, prawda?*

*Pociąga nosem i kiwa głową.*

*– Wiedz jednak, że granica pomiędzy miłością a wdzięcznością jest bardzo cienka. A ty zawdzięczasz mu naprawdę wiele.*

*Liv znów potwierdza znikomym skinieniem, choć z pewnością trudno jej się przyznać, że mam rację, bo według tego, co mówiła wcześniej, Tayler pod wieloma względami jest fantastycznym mężczyzną i ma mnóstwo zalet. Jest męski, silny, odważny i zabójczo przystojny – to akurat widziałam na zdjęciach, które miała w swoim smartfonie. A w jego spojrzeniu można się zatracić...*

„Ciekawe, co by zrobił Tayler, gdyby wiedział, jakie naprawdę kierowały mną pobudki?” – myślę naraz z lekkim niepokojem.

Liv zawdzięcza mu naprawdę wiele – przede wszystkim życie – ale nie odeszła od niego tylko dlatego, że wydawało się jej, że jest z nim jedynie z wdzięczności. Moja siostra zostawiła go przeze mnie, bo z czystego egoizmu wmówiłam jej, że tak musi postąpić. Ale oczywiście nie powiedziałam mu o tym. Boję się jego reakcji.

# Rozdział 6

## Tayler

Naprawdę nie wiem, co zrobić w obliczu informacji, jakie na mnie spadły. Przez chwilę chciałem nawet poprosić Liz o numer telefonu jej siostry. Bowiem ten, którym jako ostatnim posługiwała się Liv i który ja sam miałem, właśnie teraz należał do Elizabeth.

Zaplanowały prawie wszystko...

Szybko jednak porzucam ten pomysł. Bo co niby miałbym jej powiedzieć, gdybym w słuchawce usłyszał jej głos? Miałbym ją błagać, żeby do mnie wróciła?

Wszystko, ale nie to. Przyrzekłem sobie kiedyś, że nigdy nie będę zebrał o niczyją miłość. Zresztą jeszcze do niedawna nawet w nią nie wierzyłem. Wydawało mi się, że te wszystkie bajeczki o trzymaniu się za ręce, motylkach w brzuchu czy maślanych oczkach to stek bzdur. Niestety myliłem się, a o istnieniu prawdziwej miłości przekonałem się, gdy po latach ujrzałem Liv. Wcześniej zdawało mi się, że to, co do niej czułem, będąc młokosem, to była zwyczajna litość. Liv od dziecka nie miała łatwo. Matka zostawiła ją, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. A ojciec, pijak, pod którego była opieką... Ech, lepiej nie gadać.

Pamiętam, jak pewnego dnia stary Evans, pod nieobecność swojej córki, która akurat była w szkole, wyszedł na ulicę i zaczepiał przechodniów, próbując im wcisnąć chomika, za którego z pewnością zamierzał kupić gorzałę. Sam byłem biedny jak mysz kościelna, ale miałem kilka centów, a nawet dolarów – zbierałem je dość długo. Myłem szyby w samochodach na stacjach benzynowych, dorabiałem w lokalnym sklepiku, taszcząc skrzynki z warzywami i owocami. Za odłożone pieniądze zamierzałem wykupić sobie karnet na siłownię. Byłem jeszcze nieopierzonym gówniarzem, ale już wtedy marzyła mi się klata jak u samego Van Damme'a. Ojciec był jego wiernym fanem, dzięki czemu udało mu się we mnie zaszcześcić zamiłowanie do sztuk walki. Niestety mojej rodziny nie było stać, aby zapisać mnie do szkółki, gdzie mógłbym trenować,

więc postanowiłem zadowolić się siłownią. To właśnie wtedy zamiast moją ciężko zarobioną kasę wydać właśnie na ćwiczenia na siłce, kupiłem od Evansa tego jebanego gryzonia. Nie lubiłem chomików. Choć od szczurów różniły się diametralnie, chociażby długością ogona, bardzo mi je przypominały. A ja nie znosiłem szczurów. W Halletts Point było ich całe mnóstwo. I to głównie one przypominały mi, jak chujowe czeka mnie życie. Jednak na tego małego futrzaka spojrzałem łaskawszym okiem, bo zamierzałem go oddać Liv. Oczywiście los nie okazał się aż tak przyjazny, jak tego oczekiwałem, bo ten mały skurczybyk przegryzł kartonowe pudełko, w którym go przyniosłem do domu, i zwiął. Ja jednak nie traćłem nadziei. Liczyłem, że może nawet uda mi się go jakoś zwabić i złapać. Ale był mały problem. Matka panicznie bała się gryzoni i pod moją nieobecność ustawiła łapkę na myszy. Znalazłem go następnego dnia sztywnego, z oczami wielkości orzechów. W takim stanie nie było już sensu odnosić go właścicielce. Jedyne więc, co mi pozostało, to wyrzucić go do kosza na śmieci. Choć przemknęło mi przez myśl, że może Liv chciałaby go pochować. Nie odważyłem się jednak pójść do niej z martwym chomikiem, bo nie zamierzałem patrzeć na rozpacz tej małej smarkuli. Tak wiele przeszła, że szybko uznałem, iż powinienem jej tego oszczędzić. Poza tym... chyba już wtedy miałem do niej dziwną słabość, choć Liv ledwie odrosła od ziemi i za nic nie przypominała lasek, za którymi się oglądałem. Była jeszcze *bezkształtnym* dzieciakiem, ale potrafiła zwrócić na siebie moją uwagę. Nie byłem żadnym jebanym pedofilem – uchroni Boże! – po prostu czułem, że ta mała wyrośnie kiedyś na piękną kobietę. Może nawet już wtedy podświadomie liczyłem, że kiedyś zostanie wybranką mojego serca? Ale nie przypuszczałem, że za chwilę los spleta mi figła i wyjadę hen, daleko od Nowego Jorku. Daleko od niej.

Potem znalazłem swoją przystań w Meksyku, a życie nadal płynęło, trwało – bez niej. Właściwie był czas, że zupełnie zapomniałem o tej małej smarkuli. Otoczenie, w którym się obracałem, zrobiło swoje. Łatwe dziewczyny, których miałem na pęczki, a zwłaszcza brutalny świat, do którego z pewnością nie pasowałyby Olivia, sprawiły, że porzuciłem szczenięce marzenia o płomiennym romansie z ubogą sąsiadką.

Dopiero w chwili, kiedy w tym cholernym burdelu Craiga ujrzałem ją umierającą, odżyły wspomnienia. To wtedy uzmysłowiłem sobie, że wcale nie zapomniałem o byłej sąsiadeczce. To wówczas pomyślałem, że ja i ona... że być może nadszedł dla nas ten właściwy moment. Ale jak widać, myliłem się albo tylko to były moje pobożne życzenia.

Teraz pozostaje mi wziąć się w garść. Liv nigdy nie kochała mnie tak jak jego. I kiedy nadarzyła się okazja, zostawiła mnie i wróciła właśnie do Matta, który miał jej do zaoferowania znacznie więcej niż ja.

Spoglądam na śpiącą u mego boku Liz. Zasnęła, znużona rozmową, a właściwie moim wnikliwym przesłuchaniem. Tak, wypytywałem ją o najdrobniejszy szczegół, każdy najmniejszy drobiazg. Przede wszystkim chciałem wiedzieć, jak się czuje jej siostra i czy z jej sercem wszystko w porządku. Elizabeth zapewniała mnie, że Liv ma się świetnie. To dlaczego wciąż odnoszę wrażenie, że czegoś mi nie mówi?

Postanawiam mieć ją na oku. Nie ufam jej. Doceniam jej szczerość, ale jednocześnie jestem pewien, że nie wynika ona z dobrego serca. Ta dziewczyna po prostu się mnie boi, dlatego wypaplała wszystko jak na spowiedzi. Właściwie powinienem ją zabić, ale jakoś nie potrafiłem tego zrobić. Mam więc nadzieję, że to doceni i wkrótce się jakoś odwdzięczy.

Zerkam na nią po raz kolejny. Kiedy ma zamknięte oczy, jeszcze bardziej przypomina Liv. Uśmiecham się lekko, gdy mruczy coś niezrozumiale. Nie zamierzam sobie wyobrażać, o czym właśnie śni, bo znając ją, wiem, może to być tylko jedna rzecz. Ta dziewczyna lubi seks i jest napalona na okrągło. Ale teraz, po raz pierwszy, odkąd tu przyjechała, nie uprawialiśmy seksu, pomimo że wylądowaliśmy w jednym łóżku. Śmiem więc przypuszczać, że pewnie ją męczy pragnienie.

Poprawiam cienką kołdrę, która okrywa miękko jej biodra, a potem wstaję z łóżka i wychodzę. Muszę ochłonać. Pragnę jedynie się zdystansować od informacji, które niedawno od niej usłyszałem, a także od tego, co roi się nadal w mojej głowie. Od dawna nie czułem się tak jak teraz. Naprawdę nie wiem, co robić.

## Liv

Informacja o ciąży, która w zasadzie była tylko potwierdzeniem moich wcześniejszych przypuszczeń, sprawia, że mam ochotę się rozplakać. Zupełnie nie wiem, co mam zrobić w obliczu takich wieści. Nie mam pojęcia, jak jej przebieg wpłynie na moje zdrowie. Ale najważniejsze, co mnie trapi, to myśl, jak mam o tym powiedzieć Mattowi. Przecież wyraził się jasno, mówiąc, że nie chce kłopotów. Poza tym Matthew jest błyskotliwym facetem i z pewnością potrafi liczyć. Dlatego pewnie zapyta wprost, kto jest ojcem. A prawda jest taka, że nie mam bladego pojęcia. Obaj mogą nim być, bo w krótkim czasie spałam z każdym z nich – i z Mattem, i z Taylerem. Wiem, brzmi to tak, jakbym była zwykłą dziwką. Ale nie jestem i nigdy nie byłam puszczalska. Po prostu się pogubiłam. Kocham ich obu, jakkolwiek brzmi to irracjonalnie. Każdy z nich na swój sposób skradł moje serce, każdy dbał o mnie i także darzył uczuciem. Jak więc miałabym wybrać, któremu wyznać bezgraniczną miłość, skoro nie wiem, którego kocham bardziej?

– Proponuję udać się do kardiologa – zaleca ginekolog. – W pani przypadku ciąża jest bardzo ryzykowna.

– Wiem – mówię cicho, ściskając w ręce wydruk z USG. – Nie planowałam tego.

– Domyślam się. – Kobieta nieznacznie kiwa głową. – Na dziś to już będzie wszystko – dodaje po chwili, wręczając mi receptę z przepisаныmi witaminami i kwasem foliowym oraz skierowanie na badanie krwi. – To standardowe procedury – wyjaśnia, podsuwając mi pod nos kolejny kwitek. – Proszę jednak nie zapomnieć o kardiologu. Kiedy wróci pani do mnie za dwa tygodnie, powiem, co dalej. A tymczasem proszę o siebie dbać, dużo odpoczywać i pogratulować także ojcu maleństwa – dorzuca z ciepłym uśmiechem.

Nie mam pojęcia, czy zauważa grymas na mojej twarzy, ale dostrzegam, że przygląda mi się bacznie.

– Coś nie tak? – docieka, gdy wstaję i zaczynam pakować recepty do torebki.

– Nie – zaprzeczam, siląc się na obojętny ton. – Wszystko jest w jak najlepszym porządku – dodaję jeszcze, a potem rzuciwszy przez ramię ciche podziękowania, ruszam w stronę drzwi.

Nie odchodzę jednak zbyt daleko, bo naraz ciemnieje mi w oczach.

– Proszę pani... Pani Evans?!

\*\*\*

Świadomość odzyskuję w gabinecie doktora Williamsa. Ginekolog też tu jest. Zresztą nie tylko ona. Matt także. Właśnie przechadza się nerwowo po pokoju.

„A więc już o wszystkim wie?” – myślę strapiona.

– Co się stało? – pytam głosem, który nie przypomina mojego.

– Zemdlała pani. Ale proszę się nie martwić. Ani pani, ani dziecku nic nie dolega.

Zerkam na Matta. Zagryza nerwowo zęby, jego szczęki poruszają się rytmicznie, a mięśnie na policzkach drgają niespokojnie.

– Z sercem też na razie wszystko w porządku – do rozmowy włącza się mój kardiolog.

– Na razie? – powtarzam po nim.

– W pani przypadku zachodzenie w ciążę było co najmniej... nierozsądne – mówi, a ja natychmiast przenoszę wzrok na Matta.

Wygląda tak, jakby się ledwie powstrzymywał przed zwymyśleniem mnie od... lekkomyślnej, a może nawet... Nieważne. Ostatni czas był dla Matta nerwowy, przez co stał się bardziej wybuchowy i niekiedy zdarza mu się powiedzieć coś, czego potem z reguły żałuje. To był ciężki okres zarówno dla niego, jak i dla mnie, więc mu wybaczam. Ale gdy z jego strony podczas sprzeczki pada jakiś mało przyjemny epitet, jest mi bardzo przykro.

– Co mnie czeka, panie doktorze? – pytam mimo wszystko, choć, prawdę mówiąc, boję się usłyszeć odpowiedź.

– W najlepszym wypadku za kilka miesięcy urodzi pani zdrowe dziecko.

– A w najgorszym? – Muszę to usłyszeć.

– Pani Evans, na tym etapie leczenia jeszcze wszystko może się zdarzyć. Od ostatniego przeszczepu minął zbyt krótki okres, żeby...

– Co może się wydarzyć? – wchodzę mu w zdanie.

– Może pani stracić dziecko, a nawet sama umrzeć w wyniku komplikacji, jakie mogą się wydarzyć po drodze.

Nie odpowiadam, gdyż nie mam pojęcia, co miałabym takiego powiedzieć. Nie wiem, czy jestem już uodporniona na wieści o nadciągającej śmierci, czy może zwyczajnie milczę, bo właściwie nie mam nic do dodania. Za to, jak widać, Matt nie zamierza stać bezczynnie ani milczeć.

– Co pan proponuje, doktorze? – pyta.

– Nie rozumiem? – Doktor Williams patrzy raz na mnie, raz na mojego narzeczonego.

– Pytam, czy jest coś, co możemy jeszcze zrobić, zanim dojdzie do najgorszego.

– Jeśli – poprawia go ginekolog, ale Matt udaje, że tego nie słyszy.

– Żeby zapobiec ewentualnym komplikacjom, można usunąć ciążę – stwierdza Williams.

Zamieram. Patrząc po wszystkich i nie mogąc wykrztusić z siebie choćby słowa. Takiej informacji się nie spodziewałam, a już na pewno nie brałam takiego rozwiązania pod uwagę.

– Ile jeszcze nam zostało czasu na podjęcie ewentualnej decyzji o aborcji, pani doktor? – pyta kardiolog.

Kobieta nie odpowiada od razu. Przygląda mi się w milczeniu. Chyba analizuje sytuację.

– Jeśli pacjentka uzna, że tego chce – odzywa się po chwili. – Jeśli będzie na to gotowa...

– Ile mamy czasu?! – wtrąca się ponownie zniecierpliwiony Matt.

– Kilka tygodni.

– Ile? – naciska Matthew. – „Kilka” to zbyt ogólnikowe stwierdzenie.

– Trzy tygodnie. Ani dnia dłużej.

Mam dość! Nie wiem, skąd się we mnie bierze nagle ta siła, ale naraz wstaję z kozetki, a potem bez słowa opuszczam gabinet doktora Williamsa. Matthew oczywiście rusza za mną. Jest tuż za moimi plecami – czuję jego obecność – choć mnie nie dotyka. Po prostu idzie za mną w ciszy. Odzywa się dopiero na parking, kiedy ja, zamiast do zaparkowanego nieopodal samochodu Matta, ruszam dobrze mi znaną trasą wiodącą do parku.

– Liv?! – woła za mną, ale go ignoruję. – Liv, do cholery, dokąd to?!



Łapie mnie za ramię i zatrzymuje w miejscu, a następnie odwraca. Ostatnio naprawdę nie znoszę, gdy się tak zachowuje, choć nadal to toleruję.

– Muszę pomyśleć – wyjaśniam zdławionym głosem.

– Oboje musimy. Ale zrobimy to w domu – kwituje, próbując mnie zaciągnąć do samochodu.

– Puść! – Wyszarpuję ramię, czego się zupełnie nie spodziewa. Patrzy na mnie zdezorientowany, prawdopodobnie nie dowierzając, że jestem zdolna mu się sprzeciwić.

– Liv? – słyszę jeszcze za plecami, kiedy go wymijam i ruszam w stronę Central Parku.

# Rozdział 7

## Tayler

Kiedy wracam do sypialni, Elizabeth właśnie przeciera zaspane oczy.

– Musiałam przysnąć – mówi wyraźnie zakłopotana, próbując ukryć przede mną przeciągłe ziewnięcie. – Przepraszam – dorzuca, zabawnie marszcząc nos.

Czasami, w chwilach takich jak ta, bywa naprawdę urocza. A ja chyba nawet myślę wówczas, że wcale nie udaje. Ciekaw jednak jestem, czy teraz, w obliczu tego, że ją zdemaskowałem, nadal będzie grać.

– A ty? – pyta naraz.

– Co ja?

– Spać nie możesz? – Liz przeciąga się, siadając na łóżku.

– No jakoś nie bardzo – odpowiadam, zdejmując podkoszulek i rzucając go na fotel.

W pokoju jest piekielnie gorąco, bo Liz przykręciła klimatyzację. Przez długi czas wychowywała się w Polsce, więc nie dziwi mnie tak bardzo, że jest wrażliwa na skoki temperatur. A tu, w Meksyku, noce bywają naprawdę chłodne. Ja oczywiście przywykłem, ale ona, jak widać, ma z tym mały problem.

Liv, gdy tu była, reagowała tak samo. Początkowo myślałem, że to z powodu choroby, ale szybko odkryłem, że po prostu źle znosiła zmiany. Jej siostra pod tym względem jest do niej bardzo podobna – muszę to przyznać, jednocześnie dostrzegając pierwszą, łączącą je cechę.

– Od teraz będziesz spał w spodniach? – pyta, kiedy kładę się obok niej w jeansach.

– A co? Masz ochotę mi je zdjąć? – Posyłam jej łobuzerski uśmiech.

Chyba nie spodziewała się tego usłyszeć, ale widzę, że pozytywnie reaguje na moją, bądź co bądź, propozycję.

– Jeśli mi tylko pozwolisz – mówi, zagryzając dolną wargę.

Śmieję się w głos. Liz jest niemożliwa. Ale coraz bardziej mi się to w niej podoba. Kręci mnie to cholernie. Wolę prawdziwe laski niż udające paniusie. A ona w tej chwili niczego nie udaje.

– No to na co czekasz? – Rzucam jej wyzwanie.

Tej kobiecie nie trzeba powtarzać dwa razy. Natychmiast zajmuje się moim rozporkiem, a następnie spodniami, które po chwili lądują na podłodze.

– I co teraz? – pytam, widząc, że wodzi wygłodniałym wzrokiem po całym moim ciele i zatrzymuje wzrok na pobudzonym penisie.

– Może też się rozbiorę? – proponuje wówczas, co sprawia, że znów wyszczerzam się jak idiota. – Zrobiło się strasznie duszno – dodaje, udając, że się wachluje.

Po raz kolejny nie jestem w stanie zapanować nad śmiechem. Poważnieję dopiero w chwili, kiedy Liz leży już obok mnie, zupełnie naga.

– Zabrakło ci pomysłów? – drocę się z nią. Podoba mi się taka zabawa.

– Skąd! – zaprzecza z entuzjazmem. – Tylko badam grunt – dorzuca, po czym siada na mnie okrakiem, nadziejąc się na mojego gotowego fiuta.

– I jak? – pytam, prężąc się pod nią.

– Całkiem miło – odpowiada, poruszając lekko biodrami. – Ale może być jeszcze lepiej – dodaje szybko i przyspiesza odrobinę, dzięki czemu zanurzam się w niej jeszcze głębiej.

– Więc pokaż, na co cię stać – rozkazuję, klepiąc ją najpierw w jeden, a potem drugi pośladek.

Poskutkowało...

\*\*\*

Liz okazuje się całkiem znośna, kiedy oczywiście jest sobą. A przy tym, zrzucając maskę, udowodniła, że jest naprawdę rasową kochanką. W zasadzie wcześniej też niczego jej nie brakowało, ale dopiero teraz, gdy przestała udawać, pokazała, jaka z niej kocica. Rzeczywiście zna się na rzeczy, a jej łóżkowe fantazje chwilami nawet mnie – faceta, który wiele potrafi w tej materii i jeszcze więcej doświadczył – zdumiewają. Elizabeth jest naprawdę w porządku i pewnie dla niejednego faceta mogłaby się stać ucieleśnieniem

marzeń. Dla mnie jednak wciąż jest raptem namiastką własnej siostry. Po prostu nic do niej nie czuję, a w Liv zadurzyłem się po uszy.

– Wychodzisz już? – pyta Elizabeth, przeciągając się uroczo i wsuwając rękę pod kołdrę, by znów dosięgnąć mojego kutasa. Ta kobieta jest naprawdę nienasycona.

– Mam spotkanie – wyjaśniam. Wyślizguję się z łóżka i wkładam ubranie.

Przyjemności przyjemnościami, ale praca sama się nie wykona. Mam do obgadania pewną sprawę z Christianem. Przyjechał do Alvarado w interesach. Liczę, że doradzi mi, a nawet pomoże w pewnej sprawie. Mam do niego olbrzymi szacunek. I naprawdę cenię sobie jego zdanie. Jest moim przyjacielem i ma łeb na karku. Dziś niewiele jest takich osób.

– A nie możesz mnie zabrać ze sobą?

Liz patrzy na mnie tak niewinnie, że omal nie parskam śmiechem. Całą noc pieprzyła się ze mną niczym dzika kotka w rui, a tymczasem robi oczy jelonka lub innego, równie mocno wzbudającego litość zwierzęcia. W dodatku chce mi towarzyszyć.

Właśnie w takich momentach najbardziej przypomina mi swoją siostrę. Ona też patrzyła na mnie w ten sposób, ale jej spojrzenie nie było udawane. Liv była prawdziwa, Liz natomiast zachowuje się tak, bo chyba próbuje coś ugrać.

– Tay?

Słyszając, jak mnie nazywa, otrząsam się z własnych myśli, które niestety należą już do przeszłości. Niemniej naraz dociera do mnie, że jedyną osobą, która dotąd zwracała się do mnie w ten sposób, była Liv. Dziwnie się poczułem, gdy jej siostra używa tego zdrobnienia.

– Przepraszam. Zamyśliłem się.

Ani ja, ani tym bardziej ona nie komentujemy tego. Tylko że Liz przygląda mi się jakoś bardziej... uważnie. Odzywa się dopiero po chwili:

– Tęsknisz za nią?

Nie zamierzam być chamski, ale na język ciśnie mi się tylko jedna odpowiedź, która mogłaby nie spodobać się kobiecie. Opanowuję się jednak. Nie jestem aż takim burakiem.

– To aż tak widać? – odpowiadam jedynie.

Kiwa głową.

– Czy mogę ci jakoś pomóc się z tym uporać? – pyta nagle, znów mnie odrobinę zaskakując.

A niby jak miałyby to zrobić? Chciałyby polecieć do Nowego Jorku i na powrót zamienić się z Liv, tym razem oszukując tego... Matta? To nie jest dobry pomysł. Nigdy nie byłem święty, a nawet robiłem naprawdę złe rzeczy, ale nie znoszę kłamców, więc i sam nie zamierzam stać się jednym z nich.

### Liv

Nie wierzę, że Matt mógł zaproponować coś takiego. Nie sądziłam, że będzie chciał się pozbyć tego dziecka. Pomimo że ojcem mógł być on lub Tayler, nie miał prawa narzucać mi swojej woli. Już mu nie ufam. Jemu wcale nie zależy na ochronie mojego zdrowia. Chce się jedynie pozbyć problemu, kłopotu, jak niedawno nazwał dziecko, które rzeczywiście noszę pod sercem.

– Liv, do cholery! Nie zachowuj się jak gówniara! – podnosi na mnie głos. W pewnym momencie zrównuje się ze mną i idziemy już ramię w ramię.

Mam ochotę posłać go do diabła, ale jedyne, co mogę zrobić, to obdarzyć go pełnym niechęci spojrzeniem.

– Słyszałaś, co powiedział doktor Williams? – Udaje mu się mnie zatrzymać.

Spoglądam wymownie na jego dłoń zaciskającą się na moim barku, którą na szczęście szybko zabiera.

– Jak wiesz, lecę się na serce, nie na uszy – odszczekuję.

Doskonale słyszałam każde słowo. Doktor oczywiście nie był zachwycony, że w tak krótkim czasie, który minął od ostatniego przeszczepu, zaszłam w ciążę. Ale to nie on pierwszy zasugerował aborcję. To Mattowi od początku na tym zależało. To on próbował na wszelkie sposoby dowieść, że to będzie najwłaściwsze rozwiązanie. A prawda jest taka, że Matt zwyczajnie chciał, żebym dokonała aborcji, bo stchórzył. Tak, jestem pewna, że przerosła go myśl, że ojcem mojego dziecka może być on albo Tayler. Ja też nie skaczę z radości z powodu tej niepewności, ale nic nie mogę z tym zrobić. Swoją drogą zastanawiam się, jak zareagowałby Tay, gdyby się

dowiedział o mojej ciąży. Czy też postąpiłby jak Matt? Ale niestety tego akurat się nie dowiem. Nie zamierzam bowiem o niczym mu mówić. Gdybym chciała to zrobić, musiałabym przyznać się do zamiany, a ja zwyczajnie obawiam się jego reakcji. Tayler jest fantastycznym facetem, o czym miałam okazję się przekonać na własnej skórze, ale jest też gangsterem, a jak wiadomo, oni najczęściej nie mają skrupułów i kierują się innymi zasadami niż zwyczajni ludzie. Bałam się jego zemsty. Bałam się o Liz.

– Naprawdę chcesz urodzić to dziecko? – pyta nagle Matthew już bardziej opanowanym, choć wciąż lekko niepewnym głosem.

Nie odpowiadam od razu. Ale nie dlatego, że ogarniają mnie wątpliwości, a z powodu tego, że właśnie mijają nas para, która do złudzenia przypomina nas samych z czasów, kiedy zdawaliśmy się być naprawdę szczęśliwi. Oni, zupełnie jak my wiele miesięcy temu, zajadają hot dogi, które z pewnością zakupili w jednej z budek oferujących ten nowojorski przysmak. Dziewczyna upała się sosem, a on stał jej go kciukiem z brody, po czym oblizał palec.

Uśmiecham się smutno, zdając sobie sprawę, że bardzo tęsknię za tamtymi czasami. Teraz między mną a Mattem już nie jest tak jak dawniej. Odkąd wróciłam z Meksyku, wszystko się zmieniło. Niby Matt stara się być sobą, ale ja widzę wyraźną różnicę w jego zachowaniu. Zresztą ja także nie jestem już taka jak kiedyś. Zupełnie jakby część mnie została w Meksyku albo jakby coś we mnie zgaśło.

– Odpowiedz, Liv – słyszę zniecierpliwiony głos Matta.

Zatrzymuję się obok fontanny i spoglądam na rzeźbę anioła, stojącą pośrodku zbiornika wypełnionego wodą. Gdy byłam mała, Anioł Wód wydawał mi się przerażający. Zwłaszcza wieczorową porą, szczególnie wtedy, kiedy na jego skrzydłach, czy nawet głowie, przysiadły gołębie, których w Central Parku było całe mnóstwo. Ta rzeźba wówczas wyglądała naprawdę upiornie, tym bardziej po zachodzie słońca.

– Liv? – Matt nie odpuszcza.

– Tak – odpowiadam wreszcie. – Jeśli Bóg da, urodzę to dziecko, Matt – dorzucam, odruchowo kładąc dłoń na zupełnie płaskim brzuchu.

Teraz to on wymownie nabiera wody w usta i patrzy na mnie nieodgadnionym wzrokiem. Wiem, że nie jest zadowolony z takiej

odpowiedzi, z widoku również. Pewnie liczył, że chociaż się nad tym głębiej zastanowię. Tymczasem nie jestem w stanie sobie nawet wyobrazić, że mogłabym podjąć inną decyzję. To dziecko, bez względu na to, kim jest jego ojciec, to dla mnie cud. Jest też darem od Boga, podobnie zresztą jak serce, które postanowiła mi oddać Alejandra...

Z moim nowym serduszkim polubiliśmy się od razu, czego nie mogłam powiedzieć o poprzednim sercu, które od początku szwankowało. Z tym jednak nadawaliśmy na tych samych falach, podobnie jak z jego poprzednią właścicielką. Tak, z Alejandrą, pomimo wielu różnic, jakie nas dzieliły, naprawdę łączyło nas to coś, ten *flow*. Teraz szczególnie mi jej brakuje. Do niej bowiem, nieraz czując się obco w tak odległym od mojego kraju, mogłam się udać z każdym problemem. Była mi bliska jak siostra. Niestety z Liz nie mam takiej więzi. Jest moją rodzoną siostrą, w dodatku bliźniaczką, a jednak wydaje mi się obca. Może dzieje się tak, bo czasem odnoszę wrażenie, że nie jest ze mną do końca szczerą? Nie wiem, z czego wynika takie podejrzenie, bo w zasadzie nie mam powodu, żeby jej nie ufać, ale tak właśnie jest. Kiedy dzwoni, co ostatnio robi naprawdę rzadko, wydaje mi się, że słucha mnie tylko z grzeczności i że zupełnie mnie nie rozumie. Jeszcze by tylko tego brakowało, aby jak Matt namawiała mnie do aborcji.

To wydaje się całkiem możliwe, gdyż jej postrzeganie świata i pewnych spraw jest zgoła odmienne od mojego.

– A pomyślałaś, co będzie z nami? – pyta nagle Matthew.

Nie bardzo rozumiem sens tego pytania. Co ma z nami być? Nawet jeśli ojcem dziecka jest Tayler, to co miałyby mieć ten fakt wspólnego z nami? Przecież Matt także ma syna z inną kobietą, zresztą osobą bezwzględną, pozbawioną skrupułów. Jednak ja akceptuję Sammy'ego, a nawet bardzo go lubię. Dlaczego więc on miałby teraz nie zaakceptować mojego dziecka, którego ojcem rzeczywiście może się okazać inny mężczyzna?

– Zdajesz sobie sprawę z tego, na jaką próbę nas wystawiasz? – kontynuuje Matt.

Spoglądam z niedowierzaniem. Doskonale pamiętam dzień, kiedy odkryłam, że Matt jest żonaty. Początkowo ukrywał przede mną ten fakt, przez co w odruchu zareagowałam bardzo wybuchowo. Jednak

potem zaakceptowałam to, podobnie zresztą jak wieść o reszcie jego rodziny – ich wspólnym synu. To właśnie wtedy dotarło do mnie, że ludzie czasem się rozwodzą, a mnie trafił się facet z odzysku. I pogodziłam się z tym, choć nie było mi lekko. Kocham go, więc zdecydowałam się na związek z... balastem. Tak, rodzina partnera dość często może być ciężarem, problemem, który może zasiać zamęt w nawet najbardziej stabilnym uczuciowo związku. Ale, jak widać, Matt ma z tym dużo większy problem.

„A może on nie kocha mnie tak jak ja jego?” – myślę, przez co odczuwam coraz większy smutek.

– Jeśli dla ciebie to za dużo, to mogę...

– Co? – wchodzi mi w zdanie. Przygląda mi się przez chwilę, pocierając nerwowo szczękę. Zawsze tak robi, gdy nie wie, co będzie dalej. – Chcesz ode mnie odejść?

– Nie, Matt – zapewniam. – Nie, pod warunkiem, że nie będę musiała.

– Powiedz, że żartujesz. – Patrzy na mnie, mrużąc gniewnie oczy. Nie wiem, co go tak irytuje. Chcę być tylko absolutnie szczerą i uczciwą. I jestem, nawet za cenę własnego szczęścia.

– I dokąd pójdziesz, co? – drwi nagle. Coraz mniej mi się to podoba.

Fakt, niedawno dom, w którym się wychowywałam, zburzono. To właśnie on, mój narzeczony, przekonał mnie, że powinnam się pozbyć tej rudery – tak ciągle go nazywał, nie bacząc na moje uczucia – by wreszcie zapomnieć o tym, co było, i ruszyć do przodu. Posłuchałam go, zwłaszcza że znalazł się jakiś inwestor, który wykupował nieruchomości w tej dzielnicy. Na działkach zamierzał zbudować jakiś supermarket, więc i zapłacił uczciwie.

– Jeszcze nie wiem – odpowiadam z nutą niepewności w głosie. – Ale zapewniam cię, że dam sobie radę, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Matt śmieje się w głos, a ja wytrzeszczam oczy. Nie poznaję go. Zawsze był taki troskliwy, opiekuńczy, a tymczasem wychodzi z niego zwykły... cham i prostak. Zupełnie jakby już nie był tym samym facetem, w którym się zakochałam.

– Myślisz, że długo zdołasz się utrzymać za te grosze pozyskane ze sprzedaży tej... szopy? – rzuca z pogardą.



Spoglądam na niego gniewnie. Naprawdę przesadził. I ten ton...  
Zupełnie jakby zaczynał mną gardzić.

– A co, jak skończą ci się pieniądze? – kontynuuje szyderczo. –  
Za co utrzymasz bachora?

Nie wytrzymuję i uderzam go w twarz, czym niewątpliwie go zaskakuję. Nagle przelatuje mi przez głowę myśl, że gdybyśmy nie znajdowali się w parku, gdzie naraz staliśmy się obiektem zainteresowania sporej grupy przechodniów, oddałby mi. Jeszcze nigdy bowiem nie widziałam go aż tak wściekłego.

# Rozdział 8

## Tayler

Nigdy dotąd na tego typu spotkanie nie zabrałem żadnej kobiety. Dla Liz postanowiłem zrobić wyjątek. Zresztą to żaden problem. Umówiłem się z Christianem w galerii handlowej, więc ją zamierzałem wystać na zakupy. Poza tym pomyślałem, że to będzie dobre dla naszej wspólnej sprawy. Ludzie z branży powinni widzieć nas razem. W tym światku takie informacje rozchodzą się błyskawicznie, a nam potrzeba więcej wiarygodności. Craig bowiem chyba nie do końca uwierzył w naszą bajeczkę i nadal coś podejrzewał.

– Masz – mówię, wciskając jej w dłoń kartę płatniczą, na której była całkiem pokaźna sumka. – Kup sobie coś ładnego. I nie spiesz się.

– Czyli rozumiem, że mam nie przeszkadzać. – Dziewczyna uśmiecha się, chowając plastik do torebki.

Kiwam głową, również odpowiadając jej uśmiechem.

Liz jest naprawdę zabawna. I szczerza. Teraz nikogo nie udaje i nawet nie kryje się z tym, że bardzo lubi trwonić pieniądze. Zwłaszcza nie swoje. Nie przeszkadza mi to jednak. I stać mnie na to, więc nie widzę żadnego problemu.

– Zmykaj – dodaję, dając jej na odchodne klapsa, na co spogląda na mnie przez ramię, udając oburzenie. Podobało się jej, wiem to. Jest niemożliwa. – Dam znać, jak skończę.

Odchodzi, a ja natychmiast zmierzam w stronę restauracji, w której byłem umówiony z Christianem. Na miejscu okazuje się, że jeszcze go nie ma, dlatego zamawiam tylko kawę i siadam przy jednym ze stolików. Wyjmuję komórkę, żeby napisać mu krótką wiadomość i poinformować, że już na niego czekam, kiedy odkrywam, że wziąłem nie tę, co trzeba. Musiałem pomylić telefony, bo mój był identyczny. I zamiast swojego wziąłem telefon Liz – ten sam, który niegdyś należał do Liv. Kupiłem go jej przed wylotem do

Nowego Jorku. Nie lubię tandety, więc wybór był oczywisty – iPhone, taki sam model, jakiego i ja używałem. Stąd wynikła pomyłka.

Właściwie już wstaję z krzesła, żeby ruszyć za Liz i zamienić się aparatami, ale wówczas nadchodzi wiadomość. To SMS od Liv. Nie muszę nawet próbować łamać hasła, by zajrzeć do zawartości. Wiadomość jest krótka, więc zanim znika w chmurze, udaje mi się ją odczytać.

### ***Zadzwoń! Mam kłopoty.***

Przez chwilę zerkam na wygasający wyświetlacz, zastanawiając się, co oznaczają te słowa i jak w związku z nimi mam się zachować. Spoglądam przed siebie, wprost na wejście do restauracji. Nie wiem, czy chcę się upewnić, czy Liz właśnie przypadkiem nie wraca po swoją własność, czy po prostu patrzę tam odruchowo, bo nie mam pojęcia, co robić. Rzadko mi się zdarza być tak niezdecydowanym, wręcz niepewnym. Zawsze wiem, czego chcę i podejmuję błyskawiczne decyzje. Ale kiedy chodzi o Liv, zupełnie tracę pewność siebie.

Ponownie spoglądam na trzymany w ręku telefon. Jeszcze przez moment rozważam, czy po prostu nie porozmawiać o tym z Liz, jak wrócimy do domu, ale moja ciekawość wygrywa z rozsądkiem. Bez problemu odgaduję hasło, które oczywiście wcześniej zostało zmienione – kiedy dawałem ten telefon Liv, miał ustawienia fabryczne. Następnie wchodzę w wiadomości i odszukuję konwersację sióstr. Tak jak przypuszczałem, Liz kasuje wszystkie SMS-y na bieżąco. Nie znajduję zatem nic, co mogłoby mi choć trochę rozjaśnić w głowie. Otwieram więc wiadomość, która nadeszła przed chwilą. Odczytuję ją ponownie i znów się zamyślam.

Nie mam pojęcia, co z tym zrobić. Zadzwonić, tak jak nalegała?

Nie, to nie najlepszy pomysł. Przecież, jak usłyszy mój głos, to z pewnością się rozłączy.

Pozostaje mi zatem napisać do niej.

### ***Nie mogę teraz rozmawiać. Co się dzieje?***

Wiadomość zwrotna o treści: ***Moje przypuszczenia się sprawdziły*** pojawia się prawie natychmiast.

Nie wiem, o co chodzi, ale bardzo zaintrygowały mnie jej słowa. Nadal jednak muszę działać rozważnie, żeby czasem nie odkryła, z

kim tak naprawdę koresponduje.

**Tak?**

Początkowo wstukuję pytanie: **To znaczy?**, ale kasuję szybko treść SMS-a i wpisuję właściwe pytanie. Mam tylko nadzieję, że to wystarczy, a Liv sama powie mi coś więcej.

**Tak. I jak się pewnie domyślasz, Matt nie jest zachwycony. Nie wiem, co robić...**

Kiedy dostrzegam jego imię w kolejnej wiadomości od Liv, włosy jeżą mi się na głowie. Po tym, co powiedziała mi Liz, jestem wściekły na tego cwaniaczka w markowym garniturku. Nie doceniłem go, muszę przyznać. Matt to szczywany lis. Podstępem odebrał mi Liv. Grał – a może nawet wciąż to robi – na jej uczuciach. Mam co do tego absolutną pewność. Wiem także, że ona przez krótki czas kochała nas obu. Może nadal kocha. Nie mam tylko pojęcia, którego bardziej. Ale to bez znaczenia. Istotą problemu jest to, że ona SAMA powinna zdecydować, z którym z nas chce być. Tymczasem, jak napomknęła Liz, to Matthew od samego początku pociągał za sznurki, zmuszając Liv do podjęcia decyzji o powrocie.

Myśląc o tym kolejny raz, mam nieprzemogłą ochotę wpakować mu za to kulkę w łeb. To proste zadanie. W Nowym Jorku wciąż mam swoich zwolenników i kilku starych dobrych znajomych. Nie jest ich zbyt wielu, ale z pewnością znalazłby się ktoś, kto by chętnie wykonał za mnie brudną robotę. Poza tym w NYC mam również rodzinę. Myślę, że Kyle, mój młodszy brat, który już wcale nie jest dzieckiem, bez problemu dałby sobie z nim radę. Problem polega na tym, że nie mogę tego zrobić. Liv nie wybaczyłaby mi, gdybym się dopuścił zbrodni. Poza tym kocham ją zbyt mocno, żeby ją zranić.

Znów zaczynam się zastanawiać, czy do niej nie zadzwonić. Ale w momencie, gdy wybieram jej numer z listy, nadchodzi kolejny SMS.

**Nie mogę teraz rozmawiać. Matt wrócił, a ja nie chcę go drażnić.**

Zduszam przekleństwo, by uszanować to, że nie jestem w tym barze sam. Innym klientom, siedzącym przy sąsiednich stolikach, należy się szacunek.

Ale naprawdę, po raz pierwszy od dawna, nie wiem, co robić.

## Liz

Ten kombinezon jest... zajebisty! Elegancki, choć zarazem pobudzający wyobraźnię. Szykowny i jednocześnie seksowny. W dodatku w moim ulubionym kolorze. Od dziecka kocham pudrowy róż. Uważam, że jest taki... zmysłowy i słodki.

Zerkam jeszcze raz w lustro – wyglądam zjawiskowo. Góra prezentuje się świetnie. Kombinezon ma jedno szerokie ramiączko, z którego falbana miękką kaskadą spływa po skosie, tworząc idealną falę. Ma też taliowany pas, który idealnie podkreśla moje wcięcie. Do tego ten złoty paseczek – idealnie komponuje się ze szpilkami w tym samym kolorze od Louboutina.

„Te zakupiłam jako pierwsze” – myślę z rozpierającą mnie dumą.

Dół też jest boski. Spodnie są bardzo krótkie, ale eleganckie, w dodatku na kant, co dodaje im szyku. I tak pięknie podkreślają moją pupę, że nawet teraz obracam się raz po raz, przyglądając się swoim idealnym pośladkom. Ten ciuszek jest po prostu perfekcyjny i skrojony jakby dla mnie.

„Tayler oszaleje na mój widok!” – dorzucam w myślach, nie potrafiąc przestać się uśmiechać do własnego odbicia.

Nie zamierzam go zdejmować. Uznaję, że oderwę metkę i podam ją ekspedientce, kiedy będę musiała za niego zapłacić.

Gdy opuszczam kabinę przebieralni, z torebki dochodzi mnie dźwięk komórki. Wyjmuję ją, żeby odczytać SMS-a. Zdołałam jednak tylko rzucić okiem na nadawcę, którym okazał się niejaki Christiano, oraz zauważyć nazwę restauracji, a wiadomość znika. W tej samej chwili do mnie dociera, czyj telefon trzymam w ręce.

– Cóż, bywa – mówię do siebie, chowając na powrót telefon do torebki.

Kieruję się do kasy, żeby zapłacić. Nie zamierzam sobie zbyt wiele zaprzętać głowy tą pomyłką. Przecież jakoś znajdę tę knajpę, choć muszę przyznać, że jeszcze w tak wielkiej galerii nie byłam. W Polsce centra handlowe są duże, ale przy tym, do którego zabrał mnie Tayler, traciły w moich oczach. Śmiem przypuszczać, że tutaj naprawdę można było się zgubić.

Tak jak sobie zaplanowałam, przy kasie odrywam metkę i daję ją uśmiechniętej dziewczynie, która stoi za ladą. Nie wiem, co sobie o mnie myśli, ale nie obchodzi mnie to zbyt wiele. Chcę tylko wyrzucić jak

najlepsze wrażenie na Taylerze i nie zamierzam się przejmować tym, co pomyślą sobie o mnie inni.

Płacę złotą kartą, a potem ruszam na poszukiwania Porfirio's Coapa. Samo odnalezienie tablicy informacyjnej zajmuje mi więcej czasu, niż zakładałam, w dodatku te nowe, nierozchodzone szpilki mocno dają mi się we znaki.

„Cóż, może i narobię sobie pęcherzy, ale dla takiego faceta jak Tayler warto” – myślę, uśmiechając się od ucha do ucha.

Do restauracji, według tego, co odczytałam na tablicy, nie było już daleko, ale tymczasem w mojej torebce znów rozlega się brzęczenie.

„A może to Tayler? – gdybam. – Ale jeśli tak, to skąd znał PIN do mojej komórki, a właściwie telefonu mojej siostry? Przecież zmieniała go przy mnie”.

Nachodzą mnie pewne wątpliwości... Zaczynam więc grzebać w torebce w poszukiwaniu telefonu. Ten, jak zawsze, zawiera się pomiędzy wieloma innymi, równie niezbędnymi rzeczami, z którymi się nie rozstaję. Liczę tylko, że zdołam go w porę wyjąć i odczytać kolejną wiadomość albo chociaż jej fragment, jak poprzednim razem. Jednak teraz mam trochę mniej szczęścia niż wcześniej, bo wiadomość gaśnie w momencie, kiedy wreszcie udaje mi się wygrzebać telefon.

– Szlag! – warczę, gapiąc się w ciemny wyświetlacz i wpadając nagle na kogoś.

W ostatniej chwili łapię iPhone'a Taylera, który omal nie roztrzaskuje się o betonową posadzkę. Jestem pewna, że jest sporo wart i jego właściciel nie byłby zachwycony, gdyby jego smartfon uległ zniszczeniu. Problem w tym, że o ile zdołałam uchronić telefon przed zniszczeniem, o tyle własnej nogi przed skręceniem już nie. Nagle czuję ostry ból w kostce, a potem ląduję na pupie.

– Kurwa mać! – klnę w swoim ojczystym języku, zupełnie nie przejmując się tym, że inni mnie słyszą. Próbuję też jakoś się pozbierać. Jednak ból uniemożliwia mi jakikolwiek ruch.

– Nie wiem, co mówisz – słyszę gdzieś ponad swoją głową obcy, męski głos, który zwraca się do mnie po angielsku. – Ale wydaje mi się, że nie jest to nic miłego – dodaje, a następnie pochyla się i bez problemu podnosi mnie z podłogi.

Krzywię się, próbując stanąć o własnych siłach na obu nogach, ale zdaję sobie naraz sprawę, że nie zdołam tego zrobić. Dlatego po raz kolejny, tym razem jednak cicho, pod nosem, przeklinam.

– Nic ci nie jest? – interesuje się stojący naprzeciwko mężczyzna.

Dopiero teraz przyglądam mu się uważniej. Jest... wielki, w dosłownym znaczeniu tego słowa. Wysoki – z pewnością liczy ze dwa metry – z kolei muskulatury mógłby mu pozazdrościć niejeden kulturysta czy strongman. I do tego jeszcze cholernie przystojny z niego mężczyzna. Ciemne, idealnie przystrzyżone włosy, piękna oliwkowa cera i białe, niczym perły, zęby. A oczy? Cóż, te wydają się radosne, przyjazne, choć spod cieniowanych okularów, które ma na nosie, trudno mi to ocenić jednoznacznie.

– Chyba skręciłam kostkę – odpowiadam, próbując ukryć przed nieznanym grymas wyływający na moje usta.

– Pomogę ci – mówi i nie pytając mnie o zdanie, podrywa mnie z podłogi i bierze na ręce.

– Co robisz?! – piszczę. – Postaw mnie z powrotem! – Chyba zwracam się do niego odrobinę za głośno, bo kilka mijanych przez nas osób zerka w naszą stronę z zaciekawieniem.

Ale on najwyraźniej nie zamierza spełnić mojej prośby.

– Dokąd mam cię zanieść? – pyta jedynie, zupełnie ignorując mój protest. – A może lepiej byłoby od razu zawieźć cię do szpitala? Twoją nogę chyba powinien zobaczyć lekarz – dorzuca, przyglądając się powstającej w błyskawicznym tempie opuchliznie na mojej kostce.

– Nic mi nie będzie, do cholery! – warczę. Wiem, że zważywszy na okoliczności, to mało uprzejme, ale mam to gdzieś. Chcę tylko, żeby dał mi spokój. – A teraz mnie postaw – żądam.

– Mam lepszy pomysł – słyszę w odpowiedzi, a następnie zauważam, że facet, który wciąż trzyma mnie na rękach, przystaje, a potem sadza mnie na jednej z ławeczek. – Pokaż mi to – dodaje jeszcze, kucając i zdejmując mi but z mocno już obrzękniętej stopy. – Chyba ich długo nie ponosisz – kwituje, zajmując się drugim butem, który po chwili także mi zwraca. – Boli? – pyta, ostrożnie dotykając uszkodzonego stawu.

– Nie aż tak bardzo – szepczę, dziwnie zmieszana jego bliskością i samą troską.

– Nie wygląda to zbyt dobrze – rzuca. – Proponuję, żebyś jak najprędzej udała się z tym do szpitala.

Może i ma rację, ale prawda jest taka, że nie jestem stąd i zupełnie nie wiem, do kogo miałabym się zwrócić z tym problemem. Jediną osobą, do której powinnam pójść po pomoc, jest Tayler. Jeśli zatem ten naprawdę miły jegomość chce mnie poratować, to powinien jak najprędzej zanieść mnie właśnie do niego, bo chyba rzeczywiście w tym stanie ciężko mi będzie dotrzeć tam na własnych nogach.

– Naprawdę chcesz mi pomóc? – pytam niepewnie, wlepiając w nieznanego *ten* wzrok.

Lubię kokietować mężczyzn i owijać ich sobie wokół palca. Zwłaszcza tak cholernie przystojnych, niczym żywcem wyjętych z obrazka.

– Raczej nie mam wyjścia – słyszę w odpowiedzi. – Co prawda to ty wpadłaś na mnie, ale przecież nie mógłbym zostawić rannej, potrzebującej pomocy kobiety bez opieki, prawda? – dodaje i wyszczerza się do mnie w uroczy sposób.

Nie wiem, co we mnie wstępuje, ale zamiast posłać go do diabła, kiwam tylko głową i posyłam mu najbardziej czarujący uśmiech, na jaki mnie stać.

Nieznajomy ponownie bierze mnie na rękę. Teraz już mnie nie zaskakuje, jak za pierwszym razem, więc przylegam do niego odrobinę ciaśniej, dodatkowo obejmując jego szyję. Na jego idealnie skrojonych wargach pojawia się cień uśmiechu. Udaję, że tego nie widzę, ale przyznaję, to całkiem miły widok.

– To dokąd?

– Co dokąd? – pytam jak idiotka.

– Dokąd życzysz sobie, żebym cię zaniósł? – wyjaśnia, ponownie racząc mnie szerokim uśmiechem.

Niezwykłe rzadko się rumienię, ale właśnie na moje policzki wystąpiły soczyste rumieńce.

– Do Porfirio's Coapa.

– Do Porfirio's Coapa? – powtarza po mnie, ale nie czeka na odpowiedź i pyta: – Jesteś głodna? – Z zaciekawieniem unosi brew.

– A może...

– Co?



– Chcesz mnie zaprosić na kawę w zamian za pomoc?

Znów to robi. Po raz kolejny w tak krótkim czasie udaje mu się mnie zawstydzić. Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale ten facet ewidentnie robi mi wodę z mózgu. Dotąd nie udało się to żadnemu przedstawicielowi płci brzydkiej. Aż do dziś to było moje zadanie.

– Ani jedno, ani drugie – odpowiadam po krótkiej chwili namysłu. – Ktoś tam na mnie czeka.

– Chłopak?

Nieznajomy wydaje się jakoś przesadnie zainteresowany tematem.

W odpowiedzi uśmiecham się tylko, wzruszam ramionami, a on szybko dodaje:

– Szkoda.

Nie kwituję tego ani słowem, bo co miałabym powiedzieć. Prawdę? Sama nie wiem, gdzie ona leży, więc uznaję, że lepiej o tym nie wspominać. Zwłaszcza obcemu mężczyźnie, który może mieć układy z depczącą mi i Taylerowi po piętach bandą. Nie wygląda na takiego, ale pozory lubią mylić.

– Jesteś stąd? – pytam, widząc, że po galerii porusza tak swobodnie, jakby znał to miejsce na pamięć. Wydaje mi się jednak, że ma obcy akcent, ale mogę nie mieć racji.

– Nie. Jestem Włochem.

– Nie wyglądasz mi na mafiosa – walę prosto z mostu, na co on zaczyna się spontanicznie śmiać.

– A wielu ich znasz? – pyta po chwili, wciąż się szczerząc. Ma naprawdę cudowny, rozbijający uśmiech. Nie udaje mi się nawet otworzyć ust, a on już kontynuuje: – Wierz mi, nie każdy Włoch to gangster. Znam kilku, którzy trudnią się bardziej – zawiesza na chwilę głos – tradycyjną profesją. Mój dziadek na przykład jest kucharzem i od lat prowadzi małą knajpkę w Amalfi.

– Serio?

Kiwa głową.

Mam ochotę zapytać go wprost, czym w takim razie on się zajmuje, ale się powstrzymuję. Nie wypada, bo to zupełnie obcy dla mnie facet.

– Co zatem sprowadza cię do Meksyku? – zrećcznie zmieniam temat. – Interesy czy piękne kobiety? – dodaję, patrząc na mijającą

nas właśnie młodą, czarnowłosą, naprawdę śliczną Latynoskę, która wydaje się nim wyraźnie zainteresowana.

– To też – potwierdza. – Ale faktycznie przyjechałem tu, żeby spotkać się z przyjacielem. Ma kłopoty, a ja bardzo sobie cenię naszą przyjaźń, więc zamierzam uczynić wszystko, żeby mu pomóc – wyjaśnia. – A ty?

– Co ja?

– Co robisz w Alvarado? Nie wyglądasz mi na rdzenną Meksykankę.

Właściwie nie mam pojęcia, co powinnam mu odpowiedzieć. Że mój pobyt w tym kraju jest kolejną przygodą? Tak mogłabym to określić, ale nie zamierzam mówić tego na głos. Obawiam się, że nie zrozumiałby.

– Zatem? – docieka i widać, że nie zamierza odpuścić. Chce dowiedzieć się czegoś więcej na mój temat. Nie wiem, do czego mu ta wiedza potrzebna, ale odpowiem.

– Mieszkam tu – mówię, na co on znów obdarza mnie jednym z najbardziej czarujących uśmiechów, jakie w życiu widziałam. A myślałam, że tylko Tayler jest takim czarusem...

– Jesteśmy na miejscu – słyszę nagle, a ja odkrywam, że zbliżamy się do restauracji, w której – mam nadzieję – czeka na mnie Tayler. – To teraz dokąd?

Gdy tylko przekraczamy próg, rozglądam się po lokalu, wypatrując *mojego narzeczonego*. Jednak dopiero po chwili go zauważam. Jest zamyślony i sprawia wrażenie nieobecnego. Zupełnie jakby coś go trapiło, a to budzi we mnie uśpiony na moment niepokój.

– Tam. – Wskazuję ręką na pogrążonego w myślach mężczyznę siedzącego przy jednym ze stolików.

Mogłabym przysiąc, że Włoch, który wciąż trzyma mnie na rękach, zdziwił się. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi, ale szybko doznaję olśnienia.

– Tayler? – zagaduje.

– Christiano? – *Mój narzeczoney* podnosi głowę znad karty i зерka na Włocha, a potem szybko przenosi wzrok na mnie. – Liz?

# Rozdział 9

## Tayler

Nie spodziewałem się tak niecodziennego, a zarazem zaskakującego widoku. I w sumie nawet nie chodzi mi o to, że ujrzałem mojego przyjaciela niosącego na rękach moją fałszywą narzeczoną, a o to, że mało kto zdobywa się na takie gesty w miejscu publicznym.

Ale swoją drogą muszę przyznać, że byłaby z nich całkiem fajna para. Świetnie razem wyglądają.

– Miło cię widzieć, brachu – dodaje Christiano, posyłając mi lekko zaciekawione spojrzenie i sadzając dziewczynę na jednym z krzeseł należących do naszego stolika.

– A więc to z nim miałeś się spotkać... – Liz zerka niepewnie na wpatrującego się w nią mężczyznę.

– Na to wygląda – odpowiadam, a potem wstaję i witam się z przyjacielem. Ściskamy się z wzajemnością i uśmiechamy do siebie serdecznie.

– Nie przedstawisz nas? – odzywa się nagle Christiano, zdejmując okulary i wkładając je do kieszeni marynarki.

„Jak zwykle elegancki” – myślę z uznaniem.

– Po widoku, jaki mi zaserwowaliście – mówiąc to, zerkam na Liz, która przez ułamek sekundy naprawdę wygląda na zakłopotaną – sądziłem, że się już poznaliście. Może nawet ciut bliżej – sugeruję bez przesadnej uszczypliwości, na co Christiano wyszczerza się jak idiota.

– Skręciłam kostkę. – Do rozmowy włącza się Liz, tłumacząc się niepewnie. – A ten... miły pan... był tak uprzejmy... że...

– Miły pan był tak uprzejmy? – powtarzam po niej, wyraźnie się z nią drocząc. – Ciekawe – cmokam wymownie. – I przyznaję, że naprawdę mnie zaintrygowałaś – dodaję, mrugając do niej, na co rozdziawia usta jak ryba wyrzucona na brzeg. Przenoszę wzrok na sprawcę tego całego zamieszania, który wciąż się tylko nieznacznie uśmiecha.

– Christiano Santini. – Mój przyjaciel poważnie nagle i podaje dłoń zdezorientowanej dziewczynie.

– Liz – rzuca bezmyślnie, ale szybko zaczyna się tłumaczyć. – A właściwie...

– Wystarczy, Liv – wtrącam się naprędce, jednocześnie ją poprawiając.

Wciąż znajdujemy się w miejscu publicznym, więc wypada zadbać o te dość istotne szczegóły. Poza tym Christiano zna już pobieżnie historię obu sióstr, a mnie zależy tylko, żeby przypadkowi ludzie wierzyli w bajkę, którą sprzedałem Craigowi. Musimy więc zachowywać się jak należy, a co za tym idzie, bardziej ważyć słowa.

– A teraz pokaż tę nogę – mówię, pochylając się i biorąc w ręce jej opuchniętą stopę.

– Chyba powinien zobaczyć to lekarz – podpowiada Christiano.

W pełni się z nim zgadzam.

– Nie chcę być dla nikogo kłopotem. – Liz wygląda, jakby zupełnie opuścił ją dobry humor, a nawet jakby coś ją ugryzło.

Cóż, kobiety... Nigdy za nimi nie nadążysz.

– Nie marudź, tylko się zbierajmy – kwituję i teraz to ja, jak na *narzeczonego* przystało, biorę ją na ręce. Nie, żebym chciał odbierać tę niewątpliwą przyjemność mojemu przyjacielowi. Po prostu ktoś może nas obserwować.

– Ale przecież mówiłeś, że masz ważne sprawy, że...

A Liz jak zwykle nie potrafi zamknąć buzi. Gdyby nie okoliczności, a właściwie miejsce, w jakim się znajdujemy, znalazłbym sposób, żeby ją skutecznie uciszyć. Na myśl o tym mi staje.

– Porozmawiamy w samochodzie – mówię jednie, choć sam nie jestem pewien, czy zwróciłem się do niej, czy do Christiana, który właśnie zbierał jej rzeczy.

\*\*\*

Na szczęście staw nie jest złamany, choć skręcony i mocno nadwyrężony. Dlatego lekarz założył ortezę i przez najbliższe kilka dni kazał Liz oszczędzać stopę. A że ta dziewczyna jest wyjątkowo uparta, a nawet krnąbrna, zamierzałem osobiście zadbać o to, żeby zastosowała się do zaleceń doktora.

– Rzeczywiście sprawa wygląda dość nieciekawie – kwituje Christiano w drodze do mojej hacjendy. Jadąc do szpitala, ustaliliśmy, że zatrzyma się u mnie, a nie w hotelu, jak początkowo planował. A wszystko po to, by oszczędzić kłopotu nam wszystkim, zwłaszcza Liz, która tymczasowo została uziemiona. Nadal mieliśmy sporo do omówienia. Właściwie, jak dotąd, niczego nie ustaliliśmy. Tylko pobieżnie przedstawiłem przyjacielowi sytuację. – Potrzebny nam dobry plan.

To akurat wiem i ja. Dlatego liczyłem na jego pomoc. Wierzyłem, że razem znajdziemy sposób, by jakoś wykiwać Craiga, bez konieczności ponoszenia ofiary. Tak, dla mnie ślub z Liz tym by właśnie był, dlatego nie zamierzałem się żenić. O poważniejszym związku – niekoniecznie żeniacze – rozmyślałem dawno temu, gdy byłem młokosem i wyobrażałem sobie u mojego boku młodą sąsiadkę, do której miałem słabość. Ale potem na wiele lat przeszła mi ochota na tego typu... skomplikowane relacje. Gdybym jednak rzeczywiście kiedykolwiek miał zdobyć się na ten samobójczy krok, to z pewnością z kobietą, którą kocham. A przecież to nie Elizabeth kochałem. Z nią, póki co, łączy mnie jedynie dobry, wyuzdany seks, nic więcej. A i to mogło wkrótce się zmienić. Liz jest niestała w uczuciach, co odkryłem po wymienianych między nią a moim kumplem ukradkowych spojrzeń.

– Myślisz, że da się to jeszcze jakoś ogarnąć? – pytam Christiana.

– Nie wiem, Tayler – odpowiada zamyślony. – Ale daj mi chwilę, żebym to na chłodno przemyślał. Może jedną nockę, bo lecę z nóg.  
– Zasłania usta, ukrywając przed nami przeciągłe ziewnięcie.

No tak, kilkanaście godzin w samolocie zrobiło swoje. Christiana stać na prywatny odrzutowiec, ale zwyczajnie nie lubi się obnosić ze swoim bogactwem. Lata zwykłymi liniami lotniczymi, w garażu trzyma audi RS Q8, a nie jakieś wypasione ferrari, najlepiej w wersji cabrio, na które mógłby rwać laski. On jest moim zupełnym przeciwieństwem, bo nawet przesadnie dba o swój wygląd, do czego ja nie przykładam szczególnej wagi. Oczywiście niczego mi nie brakuje i lubię siebie takim, jakim jestem, ale przy Christianie wypadam blado, bo on wygląda niczym model z okładki żurnala. Ubiera się naprawdę elegancko, jak biznesmen. Dbą też o dodatki,

którymi ja nie zawracam sobie głowy. Odkąd pamiętam, stawiałem na luz. Wytarte jeansy, ulubiony, znoszony T-shirt, sportowe obuwie.

Jesteśmy z Christianem tak różni i mamy tak odmienne poglądy na życie, że aż trudno uwierzyć, że od lat łączy nas ta sama, nierozzerwalna więź – przyjaźń. Tak, Christiano jest moim najlepszym, w dodatku jedynym przyjacielem.

– Jasne, brachu. Odpocznij.

Powściągam uśmiech, zerkając w lusterku na naburmuszoną Liz, która siedzi na tylnym siedzeniu. Już w restauracji udowodniła, że jest humorzasta, a odkąd wyszliśmy z kliniki, naprawdę stała się nieznośna. Obecnie milczy jak zaklęta, a wcześniej narzekała, że nie będzie w tym chodzić, rzucając nienawistne spojrzenia w stronę bucika. W tym akurat zgadzam się z nią w stu procentach, bo przez najbliższe dni nie zamierzałem pozwolić jej się forsować, a to oznaczało, że osobiście dopilnuję, żeby ograniczyła chodzenie. Teraz jednak, patrząc, jak wydyma wargi, muszę przyznać, że wygląda jak mała, bezradna dziewczynka.

Pozory jednak naprawdę bywają zwodnicze.

## Liz

Ależ jestem zła! Nie, jestem wściekła, choć w zasadzie nie wiem, na kogo bardziej. Na siebie, za własną niezdarność i za to, że dałam sobie założyć to paskudztwo na nogę, czy na Taylera, który nawet nie zauważył, że specjalnie dla niego się wystroiłam, a do tego właśnie z jego powodu znosiłam teraz tę niewygodę.

„Tak, to wszystko jego wina – myślę, wydymając wargi. – Gdybym nie chciała zrobić na nim piorunującego wrażenia i gdybym nie kupiła tych zabójczo pięknych, choć równie niebezpiecznych szpilek, to teraz nie utykałabym jak kaleka”.

– Chodź, poniosę cię – mówi Tayler, kiedy wreszcie zaparkował pod swoją posesją.

A ta naprawdę robi wrażenie – muszę to przyznać po raz kolejny. Jest olbrzymia, a otaczający ją ogród też mi imponuje. Nigdy nie byłam jakąś psychofanką flory, ale przyznaję, że te wszystkie palmy, kaktusy, opuncje i inne dziwne drzewa oraz egzotyczne rośliny naprawdę dodają charakteru temu miejscu. Normalnie można było

się w tym zakochać. Podobnie zresztą jak we właścicielu tych ziem, który zdawał się mnie nie dostrzegać.

Jest mi przykro z tego powodu. Wyraźnie słyszałam, jak mówił do boskiego Christiana – nie umiem myśleć inaczej o tym facecie, bo naprawdę jest boski: elegancki, szarmancki i... miły, zupełne przeciwieństwo Taylera – że chce się jakoś wycofać z zaręczyn. W sumie nie powinnam mu się dziwić, bo nie jestem moją siostrą, dla której nie on jeden stracił głowę, ale zaboląło. I w kółko zadaję sobie pytanie: Co takiego ma Liv, czego brakuje mnie? Niestety odpowiedź nie nadchodzi, a ja powoli zaczynam obwiniać Olivię, a nawet ją nienawidzić za własne niepowodzenia.

Nie zamierzam się opierać, kiedy Tayler oferuje mi pomoc, bo raczej sama sobie nie poradzę. Poza tym, pomimo że znam go krótko, wiem, że i tak postawi na swoim. Tayler jest uparty jak... ja sama.

Cóż, bywa.

W chwili, kiedy się po mnie nachyla, zaczyna dzwonić jego telefon.

– Odbierz – słyszę gdzieś za nim głos jego przystojnego przyjaciela. – Ja zajmę się Liz.

Nadal jestem zła, bo obaj przez ostatnią godzinę zachowywali się tak, jakby mnie nie było. Rozmawiali o mnie, ale nie ze mną. Po prostu kalkulowali, jak się pozbyć kłopotu, którym w istocie dla nich byłam. Ale potrzebuję pomocy któregośkolwiek z nich, bo gdy próbuję podjąć ryzyko i samodzielnie stanąć na obu nogach, omal ląduję na ziemi.

– Uważaj!

Christiano chwytą mnie w ostatniej chwili, chroniąc przed zetknięciem z twardym podłożem.

– Nic mi nie jest – zapewniam, czując się bardzo niezręcznie.

Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale kiedy ten facet znów bierze mnie na rękę, moje serce zaczyna jakoś niespokojnie tłuc się w piersi.

„Nic dziwnego – myślę. – Przecież niejaki Christiano Santini nie jest zwyczajnym mężczyzną. Nie on jeden zresztą”.

Może obaj, zarówno Christiano, jak i Tayler, uważają mnie za pustą lalę, ale nie jestem głupia. Mnie nie zwiedzie nawet elegancki strój tego Włocha. Ten facet, podobnie zresztą jak Tayler, jest

gangsterem. Różni się od niego zwłaszcza wyglądem zewnętrznym, ale to może jedynie oznaczać, że działa w białych rękawiczkach. Jestem niemalże pewna, że obaj panowie trudnią się tym samym.

– Nie ma za co – słyszę w odpowiedzi i widzę, że niosący mnie na rękach mężczyzna lekko się uśmiecha, co zamiast mnie jeszcze bardziej rozsierdzić, tylko zawstydzia. Naprawdę nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie poznaję własnych reakcji.

Na szczęście, jak tylko Christiano zanosi mnie do sypialni Taylera, znika. Oddycham z ulgą, bo w jego towarzystwie czuję się mało komfortowo. Nie wiem nawet, jak mam to opisać, ale to narastające uczucie niepewności, to zażenowanie, które czuję w jego obecności, nie jest czymś, do czego byłam dotąd przyzwyczajona. Ja traktowałam mężczyzn – nieważne czy wychuchanych gogusiów w garniaczkach, czy niegrzecznych chłopców w skórzanych kurtkach – stereotypowo. Spędzałam z nimi noc, wpierywając się kolacją, a potem zjadając ich na śniadanie. Właściwie to żułam ich i wypluwałam. Cóż, już tak miałam. Życie nauczyło mnie, że nie warto się przywiązywać do żadnego faceta. Dla Taylera zapragnęłam zrobić wyjątek. Miał wszystko, czego potrzebowałam: mnóstwo kasy i naprawdę imponujących rozmiarów fiuta, którym umiał się posługiwać, rzecz jasna!

Zanim tu przyleciałam, większość informacji o Taylerze miałam od siostry, jednak ciekawe, dlaczego przemilczała wielkość jego penisa? Gdy Matt wymyślił całą tę podmiianę, zgodziłam się w ciemno, wierząc, że reszta kryteriów, jakimi kieruję się podczas wyboru partnera, także zostanie zachowana. I nie myliłam się. Teraz jednak chyba powoli zaczynam żałować, że dałam się wciągnąć w tę szopkę, bo Tayler, który od początku połapał się, że go oszukaliśmy, zwyczajnie mnie nie chciał. Więc co mi po jego... Nieważne.

No i jest jeszcze ten jego kolega gangusek. Chryste, jak on mnie onieśmiela! A ja tak strasznie nie cierpię tego uczucia. Lubię mieć pełną kontrolę, a przy nim czuję się tak niepewnie.

Cholera, chyba się trochę pogubiłam...



# Rozdział 10

## Liv

Sprawy wyglądają kiepsko. Matt od kilku dni nalega na aborcję. Używa jak zwykle tych samych argumentów, a kiedy te nie działają, zaczyna mnie szantażować. Grozi, że jeśli tego nie zrobię, wyrzuci mnie z domu. Naprawdę nie sądziłam, że byłby do tego zdolny.

Tymczasem rzeczywiście nie mam dokąd pójść. Darcy – dawna koleżanka z pracy, *przyjaciółka* mojego ojca – jeszcze do niedawna mieszkała w Nowym Jorku. Ale zaraz po śmierci ojca wyjechała do swojej rodziny. Wiem, że ciężko jej było oswoić się z tą stratą. Ona kochała go równie mocno jak ja. Wybaczała mu jego ciągłe potyczki, dbała o niego najlepiej jak potrafiła. Właściwie to chyba tkwiła w NYC tylko przez wzgląd na niego. Pamiętam, że kiedy było jej ciężko, gdy ojciec naprawdę ją zawodził, wspominała, że mogłaby się przenieść do Bostonu, gdzie się wychowała. Jednak nigdy nie zdobyła się na ten krok, a do tematu ponownego przyjazdu w rodzinne strony wróciła dopiero po pogrzebie. Powiedziała mi, że jej matka zachorowała, a ona musi się nią zająć. Oczywiście rozumiałam to, a nawet namawiałam ją do tego wyjazdu. Teraz jednak, kiedy znów popadłam w tarapaty i niełaskę losu, jest mi przykro, że jej tu nie ma, bo wiem, że była moją ostatnią deską ratunku. Gdyby Darcy nie wyjechała, pewnie przez jakiś czas, dopóki nie znalazłabym jakiejś pracy i nie stanęłabym na nogach, zamieszkałabym u niej.

Z żalem muszę wreszcie przyznać, że Matt ma rację. Za pieniądze ze sprzedaży rodzinnego domu nie uda mi się kupić choćby kawalerki. W rachubę wchodzi jedynie wynajem, na który też chwilowo mnie nie stać. Nie zamierzam bowiem roztrwonić jedyne go majątku po ojcu. Wolę zostawić go na czarną godzinę. Poza tym połowa tych pieniędzy należy się mojej siostrze. Nie mogę jej tego pozbawić. Chciałabym z nią o tym porozmawiać, ale Liz ostatnio ma chyba jakiś problem z telefonem, bo nie mogę się do niej dodzwonić. Ostatni raz kontaktowałyśmy się poprzez SMS-y i od tamtej pory

nastąpiła cisza. Pomimo że sama mam bardzo poważne problemy, martwię się o nią. Próbowałam nawet wypytać Matta o ewentualne komplikacje z łączami międzynarodowymi – wiem, że się na tym zna – ale zbył mnie, mówiąc, że ma własne, ważniejsze problemy.

Fakt, ma. I jest ich całkiem sporo, choć nie mam tu na myśli siebie ani swojego dziecka. Tak, nazywam je moim, skoro on go nie chce. Ale to nie my jesteśmy teraz jedynym utrapieniem mojego partnera. Matthew ma poważne kłopoty z byłą żoną i ojcem, którzy zamieszkali razem, zupełnie już nie kryjąc się ze swoim romanssem. W dodatku oboje zgodnie zapowiedzieli, że będą walczyć w sądzie o opiekę nad Samuelem. Matt oczywiście początkowo groził, że tego tak nie zostawi, ale potem zmiękł. Jego ojciec bowiem jako argumentu, mającego na celu wymuszenie na nim zmiany decyzji, użył mnie, a właściwie mojego serca. Anthony zapowiedział, że jeśli Matt spróbuje odebrać Megan prawa do opieki nad ich wspólnym synem, to on pójdzie na policję i zgłosi fakt nielegalnego przeszczepu. Jak wiadomo, gdyby to zrobił, to nie tylko ja wpadłabym w poważne tarapaty. Tayler również, a co za tym idzie, jego rodzina, która po części związana jest z nowojorską mafią. A gdzie mafia, tam na ogół kłopoty. Tego akurat jestem pewna. Poza tym jest jeszcze jeden, dużo poważniejszy problem, który męczy Matta. Gdy Grace, jego matka, dowiedziała się o romansie męża, podupała na zdrowiu. Wcale mnie to nie dziwi. Ja na jej miejscu pewnie też nie czułabym się zbyt dobrze. Kiedy poznałam ją i jej męża, wydawali się taką kochającą i szanującą się parą...

Na Matthew w tak krótkim czasie naprawdę spadło wiele. Dlatego staram się go usprawiedliwić i próbuję zrozumieć, mimo że nie mam zamiaru zgadzać się na aborcję. To dziecko jest cudem. I pomimo że całkiem niedawno dowiedziałam się o jego istnieniu, już teraz kocham je całym sercem. Nadal nie mam pomysłu, jak je utrzymam, jeśli przyjdzie mi się z tym zmierzyć w pojedynkę, a właściwie, o ile uda się nam obojgu przeżyć. Bo jednego jestem pewna jak żadnej innej rzeczy: jeżeli Matt będzie próbował zmusić mnie do usunięcia ciąży, zabiję się.

Wzdycham cicho i ścieram splotającą po policzku łzę. Kładę rękę na wciąż płaskim brzuchu i głaszczę go pieścotliwie. Nie mogę przeboleć, że tak może się skończyć moja historia. Do niedawna

wierzyłam, że los wreszcie się do mnie uśmiechnął, i liczyłam na dobre zakończenie tej bajki. Aż do dziś...

## Tayler

Nie wiem, co ugryzło Liz, ale od kilku dni jest autentycznie nieznośna. Początkowo starałem się usprawiedliwiać jej zachowanie. Miała *te* dni. Ale... No właśnie. Niejednokrotnie miewałem do czynienia z laskami, które zmagaly się z tą comiesięczną, kobiecą przypadłością, ale Liz przechodzi już samą siebie.

– Grzebałeś w moim telefonie? – naskakuje na mnie.

Patrzę na nią jak na kosmitkę. Dopiero po chwili przytomnieję i przypominam sobie, że rzeczywiście coś tam majstrowałem. Zablokowałem Liv. Ale nie po to, żeby ją wyeliminować z mojego czy Elizabeth życia. Zrobiłem to dlatego, że miałem nadzieję, iż dzięki temu spróbuje poszukać z siostrą innego kontaktu. Znam Liv i jestem pewien, że teraz szaleje z niepokoju o siostrę. Liczę więc, że może, jeśli wyczerpią się jej wszystkie pomysły, zwyczajnie wsiądzie w samolot i tu przyleci, by na własne oczy sprawdzić, czy nic nie grozi jej bliźniaczce. Adres przecież zna. Jednak teraz chyba nadszedł czas, by przyznać z goryczą, że najwyraźniej nie wiem o niej aż tyle, ile bym chciał. Minął tydzień, a ona wciąż nie stanęła w progu mojego domu.

– Nie wiem, o co ci chodzi – udaję głupiego. Nie mam ochoty na kolejne słowne potyczki.

– Pytam, czy wtedy, jak doszło do pomyłki i wzięłam nie swój telefon, grzebałeś w moim? – doprecyzowuje, nie kryjąc tego, że mnie przejrzała.

Jest na mnie zła. Zresztą nie od dziś. Nagle dociera do mnie, że właściwie pała do mnie niechęcią od tamtego dnia, od wyjazdu do galerii. Początkowo sądziłem, że wścieka się tak z powodu kontuzji i wpływającej z niej niemocy. Potem dostała okres, więc kolejna hipoteza nasuwała się sama. A teraz? Właśnie w tej chwili zrozumiałem, że Liz zachowuje się tak od przyjazdu Christiana. Jego pobyt w moim domu przeciągnął się odrobinę, bo wciąż nie znaleźliśmy sposobu, jak obejść tę niezręczną sytuację. Ale czy to jego obecność tak ją drażni? Przecież on naprawdę nie robi nic,

czym mógłby wzbudzać niechęć Elizabeth, a wręcz ją adoruje. Myślę nawet, że gdyby Liz nie była tylko moją udawaną narzeczoną, pewnie miałbym powody do zazdrości.

A może...?

Nie, to wykluczone. Liz nie zalicza się do grona kobiet, które się zakochują. Ona nawet nie wygląda na taką, która potrafi kochać.

Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

– Nie przypominam sobie – odpowiadam na jej pytanie.

Liz kiedyś odpowiedziała mi podobnie. To było tamtego dnia, po przyjeździe Christiana, niedługo po tym, jak korespondowałem z jej siostrą. Zapytałem Elizabeth wprost, czy Matt kiedykolwiek podniósł na nią rękę. Po tych kilku niewiele mówiących wiadomościach od Liv wywnioskowałem, że tamten nowojorski goguś jest damskim bokserem. Ale wówczas Liz zawahała się i zaprzeczyła. Nie wiem dlaczego, ale czułem, że nie mówi mi całej prawdy. Przecież z tej krótkiej konwersacji, jaką zdołałem przeprowadzić z Liv, można było jasno wywnioskować, że pomiędzy nią a niejakim Matthew Trainorem nie jest najlepiej. Nie mam pojęcia, jaką formę przemocy mógł na niej stosować, ale jestem pewien, że coś niedobrego dzieje się w ich związku. A Liz mogła sporo o tym wiedzieć. W końcu przez jakiś czas była kochanką swojego szwagra.

– Do cholery, Tayler?! – unosi się Elizabeth. – Próbujesz mi wmówić, że numer do mojej siostry sam się zablokował?

– A bo ja wiem? – Staram się nie zaśmiać, podchodząc do niej bliżej, choć to trudne, bo Liz wydaje się taka zabawna, kiedy się złości. – Jestem gangsterem, a nie informatykiem czy innym specem od elektroniki. Może sama przyduśiłaś coś tym ślicznym paluszkiem – dodaję, łapiąc ją za palec, którym właśnie przesuwam po ekranie telefonu, i całuję jego opuszek.

– Co robisz? – Zabiera rękę i patrzy na mnie, jakbym zrobił coś niewłaściwego.

Zachowuje się naprawdę dziwnie. Zupełnie nie jak dziewczyna, która tu przyjechała. Tamta laska była tak gorąca i chętna, że chwilami obawiałem się, że nie sprostim jej wymaganiom i potrzebom. A teraz? No właśnie, chwilowo prawdopodobnie coś jej się pozmieniało.

– Chcę się z tobą pieprzyć – mówię wprost. – Poczuj, jak na mnie działaś. – Łapię ją za rękę i kładę na wybrzuszeniu powstałym na jeansach.

Tu akurat nie kłamię. Mam straszną ochotę ją przelecieć, zwłaszcza że nie robiłem tego od kilku długich dni. Dotąd rzadko miewałem takie przerwy. Właściwie zanim w moim życiu pojawiła się Liv, seks był w nim moim motorem napędowym. Robiłem to z laskami wyrwanymi w klubach. Pieprzyłem służbę – ta zawsze była chętna i wyjątkowo *pomocna*. Zabawiałem się z dziwkami – szczególnie z Alejandrą, która traktowała mnie wyjątkowo, jak na stałego klienta przystało. Wynikało to też z jej uczuć, o których dowiedziałem się później. Po prostu jeszcze do niedawna w moim życiu królował seks, który zdawał się być pewnego rodzaju normą. Tylko na chwilę straciłem na niego chęć. Ale jestem pewien, że to naturalne. Po odejściu Liv nie miałem ochoty nawet na najprostsze, a zarazem niezbędne czynności, jak spanie, jedzenie czy nawet higiena osobista. To i miłosne igraszki nie były mi w głowie. Dopiero kiedy zjawiała się Liz, odżyłem. Ta mała jest wulkanem energii i boginią seksu, a ja lubię takie zestawienia. Gdy o tym myślę, nie mogę odżałować, że zakochałem się właśnie w Liv, a nie w Liz.

„Życie byłoby dużo prostsze, gdyby można było pstryknąć palcami i po prostu zmienić ustawienia we własnym sercu, wpłynąć na jego rytm” – rozmyślam.

– Nie, Tayler – odpowiada, strącając moją rękę. – Nie mam ochoty. Boli mnie głowa.

Omam nie roześmiałem się jej prosto w twarz. To śpiewka stara jak świat. Nie sądziłem, że doczekam chwili, gdy usłyszę coś takiego z jej ust. A jednak.

– No dobra. Nie, to nie. Będę musiał zadowolić się ręką – mówię, od razu zmierzając w stronę łazienki. – A może chociaż chcesz popatrzeć? – droczę się z nią oczywiście, za co niemal obrywam poduszką.

Robię unik i śmieję się w głos, a potem już znikam za drzwiami.

## Liz

Tayler ostatnio jest niemożliwy. Jeszcze przed chwilą byłam na niego wściekła, gdyż miałam niemalże stuprocentową pewność, że

to on coś kombinował z moim telefonem, a teraz... Cóż, jego oferta była kusząca, ale...

No właśnie. Coś się zmieniło. Może straciłam ochotę na seks, bo wiem, że nic dla niego nie znaczę? Od tygodnia słucham przecież o tym, jak załatwić sprawę z Craigiem. Tayler nawet nie kryje się z tym, że nie zamierza się ze mną żenić. Ale z drugiej strony wcześniej jakoś mi to nie przeszkadzało. Seks to seks. A ten nie ma nic wspólnego z miłością, a już tym bardziej przysięgą małżeńską. Przynajmniej tak mi się dotąd wydawało.

„Więc o co może chodzić tym razem?” – pytam samą siebie w kółko.

– Idę do ogrodu! – wołam, a kiedy zza zamkniętych drzwi nie dochodzi mnie żadna odpowiedź, kieruję się w stronę łazienki, by poinformować go o tym osobiście. W sumie nie muszę tego robić, ale skoro Tayler – dla mojego dobra, jak sam podkreślał, a raczej dobra mojej skręconej nogi – wziął się na mnie i postanowił kontrolować każdy mój krok, ułatwię mu zadanie. – Idę pospacerować – powtarzam, wkładając głowę pomiędzy framugę a drzwi.

Widok, jaki zastaję, totalnie mnie zaskakuje. Co prawda Tayler uprzedzał, że idzie sobie zrobić dobrze, ale sądziłam, że żartował. Tymczasem jego widok ze spuszczoneymi spodniami, z fiutem w ręce, naprawdę mnie szokuje.

– Ja pierdolę, Tay!

Wystrzelam stamtąd jak z procy.

– Nie wiesz, że przed wejściem komuś do kibla należy pukać? – słyszę jeszcze jego lekko posapujący głos, ale na szczęście jestem już poza zasięgiem jego wzroku. – A swoją drogą, jak już przysłaś, mogłabyś się zlitować i mi odrobinę pomóc – dodaje, a do moich uszu dochodzi przyspieszony, znajomo brzmiący dźwięk, łudząco podobny do mlaskania.

– Spadaj, Tayler – rzucam jedynie, a potem, uważając na kontuzjowaną nogę, po prostu stamtąd uciekam.

Na korytarzu wpadam na Christiana. Początkowo myślę, że stał pod drzwiami i podsłuchiwał, ale on szybko zaprzecza. Prawdopodobnie czyta mi w myślach.

– Nie podsłuchiwałem. Przyszedłem, żeby pogadać z Taylerem. Chyba mam pomysł, jak zaradzić waszym kłopotom.

– Serio?

Nie wiem, czy bardziej się ucieszyłam, czy zmartwiłam. Oczywiście powinno mi to być na rękę, bo wiedząc, że Tayler nie widzi mnie u swojego boku jako małżonki, nie mam ochoty skończyć w burdelu należącym do oblecha o imieniu Craig, ale... No właśnie. Czy zawsze musi być jakieś „ale”?

– Tak. – Mężczyzna potwierdza, wyglądając przy tym na bardzo zadowolonego. – Muszę to pilnie przekazać Taylerowi.

Już w zasadzie chwyta za klamkę, już przestępuje przez próg, ale zatrzymuję go.

– Zaczekaj! – Łapię go za rękę.

Obraca się powoli i przygląda mi się uważnie, z pewnością niczego nie rozumiejąc, co niewątpliwie zdradza jego mina.

– Tayler jest... zajęty – wyjaśniam.

– Ale to ważne, zatem...

– Wydaje mi się, że naprawdę możesz z tym chwilę poczekać, bo on... – Zagryzam dolną wargę.

Dotąd nie miałam większego problemu z komunikacją, a już tym bardziej z nazywaniem rzeczy po imieniu, ale przy tym facecie wyraźnie mam jakieś hamulce. Nie wiem, czego są efektem, ale muszę przyznać, że czuję się z tym co najmniej dziwnie. Zupełnie jak nie ja – przebojowa, pyskata dziewczyna, którą do tej pory byłam.

– Naprawdę? – Christiano szczerzy się do mnie, co pewnie oznacza, że tym razem to on rozumie mnie bez słów. – Myślałem, że on, że wy, no wiesz...

Jak widać, nie tylko ja miewam problemy z doborem właściwego słownictwa.

Uśmiecham się nerwowo i wzruszam ramionami, pokazując mu jednocześnie, żebyśmy sobie stąd poszli. Głupio się czuję, gadając z nim o tym, co jeszcze do niedawna wyczyniałam w łóżku z jego przyjacielem, w dodatku stojąc pod drzwiami, za którymi znajdował się sam zainteresowany i właśnie robił sobie dobrze.

– Ja i Tayler to przeszłość – wyjaśniam, kiedy wreszcie schodzimy na dół, a następnie udajemy się do ogrodu. Pogoda jest dziś

naprawdę piękna, więc grzechem byłoby nie skorzystać z możliwości pójścia na spacer. – Właściwie nigdy nic nas nie łączyło poza...

– Seksem? – podpowiada, marszcząc zabawnie nos.

W odpowiedzi kiwam tylko głową.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Zaskakuje mnie, ale szybko uznaję, że w sumie nic nie stoi na przeszkodzie i mogę się mu wygadać. Ostatnio męczy mnie ta sprawa, więc fajnie by było móc komuś o tym powiedzieć i wysłuchać jego opinii.

– Naprawdę cię to interesuje? – Upewniam się, czy nie robi tego z czystej grzeczności. Christiano to przyjaciel Taylera, ale w przeciwieństwie do niego jest dżentelmenem. Ręczę głową, że on nie wszedłby do mojego pokoju bez pukania, co jego kumplowi przychodzi bez problemu.

Kiedy idący ze mną ramię w ramię mężczyzna potwierdza skinieniem głowy, zacynam opowieść:

– W zasadzie początkowo seks był pewnego rodzaju grą. W końcu udawałam własną siostrę świętoszkę. – Przewracam oczami, na co Christiano po raz kolejny wyszczerza się w śnieżnobiałym uśmiechu.

– Ale przecież nie jesteś Włoszką – stwierdza nagle. – Czy może czegoś nie wiem?

– No, nie – potwierdzam natychmiast, nadal nie wiedząc, do czego zmierza. – Urodziłam się w Stanach, mój ojciec był Amerykaninem. Matka jednak pochodziła z Polski. I to tam zabrała mnie po rozwodzie i tam też się wychowywałam – wyjaśniam pokrótce. – Skąd w ogóle pomysł, że mogłabym być Włoszką?

– Tak jakoś pomyślałem – odpowiada powściągliwie i nie przestaje się uśmiechać.

– O co ci chodzi?

– O nic. – Wzrusza ramionami.

– Dlaczego ci nie wierzę?

– Bo nie mówię prawdy. – Wybuchu śmiechem, a potem, gdy w końcu przestaje się śmiać, na szczęście wyjaśnia: – Włoszki są uznawane za najbardziej temperamentne, a zarazem ogniste kobiety.

– Co sugerujesz? – dociekam, choć odpowiedź nasuwa się sama.

– Tylko tyle, ile zdołałem wychwycić między wierszami.



– To znaczy?

– Że jesteś w łóżku prawdziwą kocicą – mówi wprost.

– Żebyś czasem nie chciał się o tym przekonać.

Tylko udaję, że mu grożę. Już na samą myśl, że miałabym pójść do łóżka z tak świetnym facetem jak Christiano, na całym ciele dostaję przyjemnych dreszczy. Brakuje mi seksu.

– A co, jeśli powiem, że nie marzę o niczym innym? – pyta w chwili, kiedy przechodzimy obok basenu.

Nie wiem, czy jestem aż taką niezdarą, czy po prostu przy tym mężczyźnie ciągle pakuję się w tarapaty, ale nagle ślizgam się na mokrych płytkach i omal nie wpadam do wody. Christiano łapie mnie w ostatniej chwili, obejmuje w talii i zagarnia ciasno do siebie. Mój oddech przyspiesza, a w ustach raptem zasycha, jakbym nie wypła od wczoraj ani kropli.

– O, tutaj jesteście – słyszymy nagle gdzieś za nami, co sprawia, że czujemy się, jakby ktoś wylał na nas kubek zimnej wody. Christiano odsuwa mnie od rantu basenu, na którym omal nie wywinęłam orła, a potem mnie puszcza. Następnie odwraca się w stronę nadchodzącego z wolna Taylera. – Przeszkodziłem wam w czymś? – Mężczyzna chrząka wymownie, przez co czuję wypieki na całej twarzy.

Odruchowo poprawiam słomkowy kapelusz – złapałam go po drodze i założyłam na chwilę przed wyjściem – udając, że chronię się przed słonecznymi promieniami. Prawda jest jednak zgoła inna. W ten sposób próbuję ukryć się przed zaciekawionymi spojrzeniami obu mężczyzn, zwłaszcza Taylera, który jest dziś naprawdę niemożliwy.

– Liz, spiekłaś się na słońcu, bo masz ogień na twarzy.

– Nie przeginaj – ostrzegam go, na co Christiano uśmiecha się ciepło.

Ja pierdolę, to wyjątkowo nieodpowiedni moment, żeby o tym myśleć, ale nie umiem się powstrzymać. Jak na mnie działa ten uśmiech...

# Rozdział 11

## Liv

Ewidentnie prześladowuje mnie pech. Nie dość, że nie mam pieniędzy, to jeszcze zniszczyłam telefon. Wysunął mi się z kieszeni koszuli i wpadł do toalety, kiedy wymiotowałam. Niestety wciąż męczą mnie poranne mdłości, a że ostatnio nie rozstaję się z komórką, oczekując telefonu od siostry, to i wyszło, jak wyszło.

Przeklinam pod nosem, co nie uchodzi uwadze Matta i co kwituje kwaśną miną. Kiedyś nie zwracał uwagi, gdy zdarzało mi się przy nim zabluznić. Zresztą dawniej nie przeszkadzało mu całe mnóstwo innych moich wad fabrycznych, jak na przykład ubranie czy makijaż. A teraz nawet krytykuje mnie za to, że po domu chodzę dla wygody w dresie.

– Zamoczyłam telefon – wyjaśniam, pokazując mu ociekający wodą aparat. – Myślisz, że da się go jeszcze uratować?

– Proponuję kupić nowy – odpowiada chłodno.

„Ciekawe za co?” – myślę ze smutkiem i narastającą goryczą, powstrzymując ciche westchnienie. To, że jestem splekana, nie daje mi normalnie funkcjonować. A na pomoc finansową ze strony Matta ostatnio nie mam co liczyć.

Od tygodnia poszukuję pracy. W nowojorskim centrum pomocy rodzinie, gdzie przez lata pracowałam z Darcy, już przyjęli kogoś na moje miejsce, więc rozglądam się za czymś innym. Na razie szukanie nowej roboty idzie mi kiepsko, ale nie poddaję się. Dołączące jest to, że jeśli w ogóle ktoś chciał ze mną pomówić i zaprosił mnie na rozmowę kwalifikacyjną, to gdy tylko wspominałam o przeszczepie, natychmiast odsyłał mnie z kwitkiem. Jestem pewna, że byłoby jeszcze gorzej, gdybym od razu przyznawała się do ciąży, która dla niejednego pracodawcy jest czynnikiem eliminującym już na starcie. Nie pojmuję, dlaczego tak jest, ale nie zamierzam z nikim się o to spierać. Choć i poddawać się nie mam w planach.

– Podjęłaś już decyzję? – Matt pyta nagle, odkładając szczoteczkę do zębów do kubka. – Liv? – naciska jak zwykle.

Powinam się już do tego przyzwyczaić, ale nie potrafię.

– Nie, Matt.

– Co nie? Nie podjęłaś decyzji? Czy...

– Nie usunę dziecka – mówię wprost, choć boję się nawet na niego popatrzeć.

Matt wychodzi, trzaskając drzwiami. A ja siadam na zimnych kafelkach, podciągam kolana, kulę się jak mała, bezbronna dziewczynka i choć bardzo się staram jakoś trzymać, wybucham płaczem.

## Tayler

– Pomysł wydaje się całkiem spoko – mówię z pełnym przekonaniem i uznaniem. Właśnie dlatego poprosiłem o pomoc Christiana. Od początku byłem pewien, że tylko on może w tej sprawie wymyślić coś sensownego.

– Ale że co? – Liz patrzy na mnie z obawą. – Że zamierzacie mnie oddać jakiemuś typowi? Chcecie ryzykować moim życiem, fingując, że porwał mnie dla okupu, a na koniec zabił?

To już nie jest zwykła obawa. Liz jest przerażona. Jednak wcale mnie to nie dziwi, zwłaszcza że jeszcze do niedawna ten nasz brutalny, gangsterski świat był jej zupełnie obcy.

– Zapewniam cię, że ze strony człowieka, który miałby cię rzekomo porwać, nic ci nie grozi – mówi Christiano.

– Wiesz, jakoś nie przekonują mnie w tej chwili twoje zapewnienia. Mafioso to mafioso. Z tymi to nigdy nic nie wiadomo – odcina się.

Tu akurat powinienem jej przyznać rację. W naszej branży nieraz zdarzały się sytuacje, które nie przebiegały zgodnie z ustalonym wcześniej planem. Poza tym martwi mnie coś jeszcze. Liz jest naprawdę śliczna, w dodatku to blondynka, a jak wiadomo Włosi, oprócz makaronu, pasty, mozzarelli czy pizzy, kochają nieziemsko piękne jasnowłose kobiety. Co, jeśli rzeczywiście rzekomo godny zaufania człowiek, którego poleca Christiano, nagle się rozmyśli, bo zapragnie Elizabeth, która w dodatku jest w połowie Polką? Dla niejednego makaroniarza to zestawienie wręcz idealne. Polki bowiem, zaraz po Włoszkach, to jedne z najbardziej

temperamentnych kobiet na całym globie. Żeby się o tym przekonać, nie muszę nawet jechać do Włoch. Jeden z tamtejszych właśnie pożera ją wzrokiem. Liz chyba naprawdę wpadła mu w oko.

– Więc co proponujesz? – pyta Christiano. – Widzisz jakieś lepsze rozwiązanie? Masz jakiś pomysł?

– Nie wiem – odpowiada znużona, siadając na leżaku i wzdychając. – A może...?

– Co? – Zadajemy to pytanie jednocześnie.

– Może ty mógłbyś mnie porwać? – Liz patrzy na Christiana wzrokiem wyczekującym pilnej odpowiedzi.

– Z chęcią, laleczko. – Mruga do niej, na co policzki kobiety przybierają lekki odcień różu.

Cholera, między nimi jest jakaś chemia. Zaczynam być tego coraz bardziej pewien.

– Ale taki plan nie przejdzie – dorzuca szybko mój przyjaciel. – Craig i jego banda wszystkiego się domyślą. Wiedzą, że ja i Tayler przyjaźnimy się od lat. Nie uwierzą, że buchnąłem mu narzeczoną wprost przed ołtarza – dodaje jeszcze, a Liz już tylko kręci z niezadowolaniem głową.

– Ja pierdołę – burczy po chwili, a potem wstaje i bezceremonialnie pozbywa się sukienki.

Obaj patrzymy na nią jak zaczarowani, oczekując widoku jej nagiego, ponętnego ciała. Ale zamiast tego naszym oczom ukazuje się jedynie skąpe, budzące zmysły bikini.

– No co? – pyta, widząc, że się na nią gapimy. – Muszę popływać, ochłonać, bo inaczej zwariuję – wyjaśnia, po czym wskakuje do basenu.

Liz od kilku dni nie nosi już ortezy, więc może śmiało korzystać z życia i wygód, których tutaj jest pod dostatkiem.

– Ma rację – odzywa się nagle Christiano, kiedy kobieta znika na moment pod wodą. – A co, jeśli coś pójdzie nie tak?

– Nie wiem, kurwa – sarkam, sięgając po piwo.

– To może jednak się z nią ożenisz? – proponuje.

– Może sam to zrób? – warczę.

Nikt nie będzie mnie zmuszał do ożenku. Bez względu na okoliczności.

– Uwierz mi, zrobiłbym to chętnie, gdyby już do kogoś nie przynależała.

Christiano już nawet się nie kryje z uczuciami. Zadurzył się w Liz. Zakochał jak szczeniak. Nigdy nie widziałem go takim. On, podobnie zresztą jak ja, preferował znajomości na jedną noc. Tymczasem nawet nie tknął Liz palcem – pytałem ich obojga, czy między nimi nie doszło do zbliżenia, i zgodnie zaprzeczyli – a teraz składa tak poważne deklaracje.

– Ochłoń, stary – mówię, schodząc nieco z tonu, po czym wstaję i idę do domu.

Muszę pomyśleć, a warunki do tego są tutaj mało sprzyjające.

– Co? – pyta Christiano, gdy odchodząc, patrzę na niego przez ramię.

– Wykąp się może – sugeruję, nie szczędząc mu cwaniackiego uśmiechu.

Nie wiem, ale chyba liczę, że jak wejdzie do tego pieprzonego basenu i w końcu ją zaliczy, to mu przejdzie. Nie jestem przecież zazdrosny, po prostu tak bardzo brakuje mi Liv, że raczej nie zniósłbym widoku innej zakochanej pary.

## Liz

Przeptywam właśnie kolejną długość basenu, kiedy go zauważam. Odruchowo zawracam w przeciwnym kierunku, licząc, że zdolał dopłynąć do krawędzi basenu i z niego wyjść, zanim mężczyzna do mnie dopłynie. Może gdyby nie był zupełnie nagi, wcale bym nie uciekała, ale w tym przypadku nie mogę postąpić inaczej. Oczywiście Christiano okazuje się szybszy i bez problemu mnie dogania.

– Nie uciekaj przede mną. Przecież nie gryzę. – Wyszczерza zęby, podpływając bliżej.

– Ty nie, ale on... – Wymownie spoglądam w kierunku jego penisa.

– Zapewniam cię, że jego zadaniem nie jest robienie krzywdy, a sprawianie przyjemności.

Ja pierdolę! Powiedział to tak zmysłowym głosem, że już odczuwam między nogami znajome pulsowanie.

– Wy to tak po przyjacielsku? – pytam, zręcznie zmieniając temat.

– Ale że co? – Unosi brew.

– Tayler też zapomina zakładać gaci – wypalam, na co Christiano wybuchu gromkim śmiechem. – Bo mniemam, że nie wszedłeś do basenu bez bielizny, żeby celowo pochwalić się swoim... ptaszkiem.

– Sugerujesz, że mam małego penisa? – pyta z powiększającym się na ustach uśmiechem, patrząc z góry na obiekt naszej rozmowy.

„Ach, głupia, masz za swoje!” – besztam się w myślach.

– Niczego takiego nie powiedziałam – bronię się.

– Nie, ale insynuowałaś, nazywając go ptaszkiem.

– Jeśli cię uraziłam, to przepraszam – rzucam przez ramię, dopływając do rantu. Próbuję się wysliznąć na brzeg, ale oczywiście Christiano ma inny plan. Obraca mnie i oplata ramionami, tworząc z nich pułapkę, z której nie mogę się wydostać.

– Jedno „przepraszam” to za mało – mówi ochryplym głosem tuż przy moich ustach.

– To co mam zrobić, żebyś się na mnie nie gniewał? – pytam, próbując mu patrzeć w oczy, choć odruchowo zerkam na jego wargi.

– Może mnie pocałuj? – proponuje, a ja głośno przetykam ślinę.

– Nie możemy. Ktoś może patrzeć – wyjaśniam, ale wciąż nie mogę przestać się gapić na jego rozchylone wargi.

– To może dotknij mojego... węża i przekonaj się, jakich naprawdę jest rozmiarów?

Ja pierdołę! On to naprawdę powiedział!

– Jak go nazwałeś? – pytam, czując, jak serce niemal wyskakuje mi z klatki piersiowej.

– Różnie na niego mówiono, ale wąż, a nawet pyton, to jedno z częstszych określeń rzucanych pod jego adresem.

– Muszę cię więc rozczarować – drocę się z nim, choć wiem, że balansuję na krawędzi. – Nie znoszę gadów.

Nie jestem pewna, czy węże zaliczają się do gadów, płazów, czy innych równie obślizgłych zwierzątek, ale nie zamierzam właśnie teraz zawracać sobie tym głowy. Zaprzątają mnie ciekawsze myśli.

– Jesteś niemożliwa. – Christiano nie może przestać się śmiać. – Naprawdę, żyję już trochę na tym świecie, ale jeszcze nie spotkałem tak zabawnej, a zarazem pięknej i zmysłowej kobiety.

– A może zatem z twoim radarem jest coś nie tak? – wypalam jak ostatnia kretynka, myląc radar z GPS-em.

– Radarem? – pyta, ale nie zdołam nawet otworzyć ust, żeby mu wyjaśnić tę niezręczną pomyłkę, bo on już kontynuuje: – Uwierz mi, z moim radarem, nadajnikiem, czy jakkolwiek inaczej go sobie nazwiesz, jest wszystko okej. Przekonaj się sama – dodaje, łapiąc mnie za pupę i sadzając na sobie okrakiem.

Wstrzymuję oddech. Jego fiut jest olbrzymi, tak jak się chwilę temu przechwalał, a teraz od mojej spragnionej ostrego rżnięcia szparki dzieli go zaledwie materiał skąpego bikini. Wystarczyłoby je rozwiązać po bokach bądź zaledwie odsunąć na bok, by...

– Christiano – jęczę bezwiednie, obejmując go za szyję i wtulając twarz w jego obojczyk. – Jeśli nie przestaniesz mnie prowokować, to dojdę, zanim go we mnie włożysz – ostrzegam, czując, jak jego biodra poruszają się coraz szybciej, a twarde jak skała penis ociera się mocniej o moją łechtaczkę.

– Za późno, laleczko – słyszę w odpowiedzi, a potem dochodzi mnie chrapliwy dźwięk wydobywający się z jego gardła, co prawdopodobnie świadczy tylko o jednym. On doszedł przede mną. – I przepraszam – dodaje jeszcze. – Miałem na ciebie straszną ochotę, odkąd cię poznałem. A ty nie ułatwiałaś. Sam twój widok, nieważne czy w ubraniu, czy bez... – nie mam pojęcia, o czym mówi, ale to mało odpowiedni moment, by się nad tym zastanawiać – ...sprawiał, że stale chodziłem twarde. Dlatego nie wytrzymałem – dorzuca jeszcze, a później muska moje wargi. – Ale obiecuję ci to wynagrodzić – mówi, po czym mocno mnie całuje.

Słodki Jezu, jak on smakuje!

Następnie Christiano chwyta mnie pod pachy i sadza przed sobą. Nie czeka na przyzwolenie, tylko wprawnym ruchem pozbywa mnie dołu od bikini, którego materiał zdaje się parzyć moją skórę.

– Co robisz? – pytam, gdy kładzie mnie przed sobą, moszcząc się pomiędzy moimi nogami. Oczywiście nie chcę, żeby mnie teraz zostawiał, w dodatku w takim stanie, ale sądziłam, że zrobimy to bardziej dyskretnie, pod wodą. – Ktoś może nas zobaczyć!

– Chrzanić to – odpowiada jedynie, a potem zaczyna mnie *tam* lizać.

Rozpływam się. Nie pamiętam, kiedy albo raczej czy kiedykolwiek wcześniej w ogóle czułam coś podobnego, choć miałam wielu

kochanków. Jest niesamowicie. Jęczę, wiję się, poruszam biodrami, chcąc więcej.

– Christiano...

Szarpię go za włosy i dochodzę po raz pierwszy.

– Tak, laleczko? – pyta wówczas, choć wciąż znajduje się pomiędzy moimi udami. – Chcesz więcej? – składa mi propozycję, a zaraz potem wsuwa we mnie koniuszek języka.

– Tak – jęczę, próbując odzyskać zdolność myślenia. – Chcę znacznie więcej. I mocniej.

Christiano śmieje się gardłowo, a następnie przestaje mnie pieprzyć ustami. Zsuwa moje biodra odrobinę i wkłada we mnie penisa. Naprawdę nie przesadzał, chwając się jego imponującym rozmiarem. Wsuwa go we mnie do końca, a potem zaczyna się poruszać. Kilka jego płynnych, wytrenowanych ruchów sprawia, że świat trzęsie się w posadach, a ja znów jestem bliska osiągnięcia szczytu. Nie poznaję siebie. Mnie z reguły trudno zadowolić, ale z tym mężczyzną jest inaczej. Lepiej. O niebo lepiej. Nie mam pojęcia, dlaczego przy nim czuję się tak wyjątkowo, ale tak właśnie jest. Dla niego jestem laleczką, jak sam ładnie mnie nazywa. A mnie cholernie podoba się ta myśl.



# Rozdział 12

## Tayler

Już od samego patrzenia na nich robi mi się gorąco. Przez moment nawet się zastanawiam, czy nie pójść tam i się do nich nie przyłączyć. W przeszłości niejednokrotnie dzieliliśmy się z Christianem jedną laską. Jednocześnie rzecz jasna. Z reguły nie brakowało nam kreatywnych pomysłów. I nie przeszkadzało nam wcale, kiedy jeden był pod spodem i pieprzył laskę w tradycyjny sposób, a drugi zadowalał się jej tyłkiem. Obaj lubiliśmy takie wyuzdane, sprośne wręcz zabawy.

Śmiem podejrzewać, że Liz także by się spodobało. Jestem już zresztą gotowy, bo ostatnio tak mało bzykam, że właściwie jestem sztywny przez cały czas. Jednak kiedy już ruszam w ich kierunku, nagle jakaś niewidzialna siła czy coś, czego nie umiem nazwać – nigdy nie wierzyłem w takie rzeczy – każe mi się zatrzymać. Staję więc pod drzewem i po prostu patrzę na rozgrywającą się na moich oczach scenę. Zapowiada się naprawdę ciekawe widowisko...

Christiano najpierw dogadza jej ustami.

„Ja zrobiłbym to lepiej” – myślę z wrodzoną przekorą.

Gdy Liz dochodzi po raz pierwszy, mój przyjaciel zaczyna ją rżnąć. Ja pierdolę, nie sądziłem, że od gapienia się na nich, robi mi się aż tak gorąco. A jednak – płonę jak pochodnia.

\*\*\*

– Zakochałeś się w niej – kwituję, na co siedzący na tarasowym fotelu i sączący drinka Christiano podnosi leniwie powieki.

– Myślisz? – pyta półprzytomnym głosem.

Sprawia wrażenie skonanego. Nic dziwnego. Zabawiał się z Liz całe popołudnie, a seks naprawdę bywa wyczerpujący. Tych dwoje nie próżnowało. Najpierw pieprzyli się tutaj, gorsząc nie tylko mnie, ale i służbę – zwłaszcza chłopaków, którzy naprzemiennie latali do łazienki jak koty z pęcherzem – a potem ich jęki dochodziły jeszcze z pokoju, który zajmował Christiano.

– Znasz mnie – mówi, ziewając przeciągle. – Myślisz, że byłbym do tego zdolny? Że jestem w stanie się zakochać?

– Nie wiem tego na pewno, ale mnie kiedyś też wydawało się, że nie zdołam pokochać tak naprawdę i na całe życie. I wtedy pojawiła się Liv.

– A tak przy okazji. W końcu dowiedziałeś się, co u niej?

Kręcę głową. Od kilku dni nie miałem o niej wieści. Liz uparcie twierdzi, że nie ma z nią żadnego kontaktu. Właściwie dlaczego miałbym jej nie wierzyć. Ostatnio Elizabeth bardzo zyskała w moich oczach. Nie jestem pewien, co się za tym kryje, choć wyrobiłem sobie na ten temat pewną teorię. Wydaje mi się, że ją także ugodziła strzała Amora. Widziałem to dziś, kiedy Christiano posuwał ją na moich oczach. Ona się w nim kochała i przeżywała to w sposób, jakiego ze mną nigdy nie doświadczyła. I jak widać, jej również służyło to uczucie, czymkolwiek w istocie było.

– Nie wydaje ci się to co najmniej podejrzane? – pyta jeszcze mój przyjaciel, już jakby bardziej przytomnie.

– Nie wiem, stary. Liv nie ma lekko. Jest w związku z facetem, który wiele dla niej zrobił...

– A ty? – wchodzi mi w zdanie. – Co ty zrobiłeś? Zastanawiałeś się przypadkiem, co zawdzięcza właśnie tobie?

Wiem, do czego pije, ale nie zamierzam dać się wkręcić w tę dyskusję, czy jakkolwiek ją sprowokować. Nigdy nie oczekiwałem wdzięczności. Zwłaszcza od niej. Zrobiłem, co musiałem.

– Liv nie jest mi nic dłużna – odpowiadam tak, jak czuję.

– Ale ja wcale nie pytałem o dług. Wdzięczność to nie to samo co zobowiązanie, czyż nie?

I znów próbuje mnie podejść. Zmierza do tego, że kiedyś przed laty sam pomógł mi bezinteresownie, choć w naszym biznesie to słowo nie istnieje. Lecz prawdą jest, że Christiano zrobił to z dobroci serca, którego w mafijnym świecie nikt nie okazuje. Może właśnie dlatego tak się zachowywałem? Całkiem możliwe, że też pomogłem Liv, i zrobiłbym to ponownie, nie oczekując w zamian niczego, prócz zwyczajnej wdzięczności, ale ona...

Spoglądam na niego lekko rozżłoszczony. I naraz doznaję olśnienia. Christiano sugeruje, że Liv jest niewdzięczna. Fakt, z jego perspektywy może to tak wyglądać, ale ja nie jestem aż tak surowy

w jej ocenie. Może przez to, że cechuje mnie naiwność, a może z powodu tego, że wciąż tak bardzo ją kocham? Sam nie wiem.

– Wiesz co? – podsumowuję, poprawiając się na krześle. – Spadaj.

– Jak chcesz. – Przyjaciel wzrusza obojętnie ramionami. – Ale ja i tak będę obstawał przy swoim. Powinieneś jeszcze zawalczyć, Tayler. Skoro twierdzisz, że kochasz tę dziewczynę, to...

– Nie twierdzę – przerywam mu, choć już tego żałuję. W zasadzie powinienem uciąć temat, by Christiano przestał pieprzyć, ale zamiast tego dorzucam: – Ja to wiem.

– No to skoro wiesz, że ją kochasz... – Nie kończy, ale widzi, że drażni mnie ta rozmowa, więc zaraz przeskakuje na inny, chyba według niego lżejszy temat. – Swoją drogą teraz już rozumiem, dlaczego cię tak trafiło. Jeśli Liv jest chociaż w połowie tak zajebistą kobietą jak Liz...

– Liz nie dorasta Liv do pięt – uświadamiam mu z rozpierającą moje serce dumą.

Naprawdę tak uważam, choć jej siostra bliźniaczka rzeczywiście ostatnio zyskała w moich oczach. Polubiłem Liz, a nawet lubię ją coraz bardziej. Ale to Liv była tą lepszą wersją bliźniaczek – przynajmniej według mnie.

– Masz na myśli seks? – docieka Christiano. – Byłeś z obiema, więc...

– Nie, nie chodzi mi o seks. Liz w tej dziedzinie rzeczywiście wymiata.

– To prawda. – Szczerzy się i mogę przysiąc, że mu stanął. – Więc co takiego ma tamta dziewczyna, czego brakuje jej siostrze?

– Liv... – Zamyślam się na moment. – Ma w sobie to coś.

– Ja pierdolę – jęczy nagle Christiano, pocierając szczękę.

– Co? – Przyglądam mu się uważniej, bo naprawdę nie wiem, o co mu chodzi.

– Co ta miłość robi z mózgu – śmieje się. I naraz wszystko staje się jasne.

Wstaję, rzucam w jego stronę jedynie krótkie „spadaj”, ciskam w niego palemką ze swojego drinka i idę do domu.

**Liv**

– Nie, Matt!

Wiem, że to dziecinne, ale zasłaniam uszy obiema rękami. Nie zamierzam tego słuchać ani sekundy dłużej. On nie ma prawa do niczego mnie zmuszać. A już tym bardziej do tak ohydnej zbrodni! Tak, dla mnie dzieciobójstwo jest najgorszą zbrodnią z możliwych!

– Wolisz wylądować na ulicy? – pyta szyderczym głosem.

Nie poznaję go. Gdzie się podział ten pełen ciepła i zrozumienia mężczyzna? Co się stało z kochającym narzeczoną, przyjacielem, na którego mogłam liczyć? Kto zamienił mojego Matta, którego kochałam całym sercem, w tego strasznego potwora?

– Jeśli nie będę miała wyjścia, wybiorę ulicę – szepczę zmienionym z emocji głosem.

– Wierz mi, że trudno ci będzie na niej przeżyć choćby dzień – dodaje bez litości.

Ma rację. Pomimo że przeszczep się powiódł, wciąż istnieje ryzyko, że coś może jeszcze pójść nie tak. Powinnam o siebie szczególnie dbać. Zwłaszcza teraz, kiedy jestem w ciąży. Ale muszę podjąć to ryzyko. Dla niego, mojego maleństwa. I dla siebie.

– Masz czas do wieczora, więc zastanów się nad tym – dodaje Matt, podczas gdy ja uparcie milczę. Potem, jak zwykle trzaskając drzwiami, wychodzi, zostawiając mnie samą.

\*\*\*

– Jaką podjęłaś decyzję? – zadaje pytanie niemal od progu, kiedy tylko ponownie się zjawia.

Nie interesuje go, co mu ugotowałam na kolację, nie pyta, jak się czuję, tylko od razu przechodzi do sedna sprawy.

– Muszę zadzwonić do Liz – odpowiadam jedynie.

– Ale przecież nie masz telefonu – przypomina mi z pozoru zwyczajnym głosem, choć wyczuwam w nim kpinę.

Od jakiegoś czasu Matt na każdym kroku podkreśla, że bez niego nie dam sobie rady. Że bez niego nic nie znaczę w tym świecie. Że jestem zdana na jego łaskę. W zasadzie ma rację, ale... Kiedy wspomina przeszłość, nie mogę uwierzyć, że tak się zmienił. Stał się zimnym, obojętnym na krzywdę człowiekiem. Nie, on jest taki jedynie dla mnie. Innych traktuje jak dawniej albo raczej stara się to robić. Swojej rodziny nie poniewiera tak jak mnie.

– Liczę, że pozwolisz mi skorzystać ze swojego – sugeruję cicho.  
– Nie dziś – mówi, odbierając mi tym samym resztki nadziei. – Obiecuję jednak, że wkrótce pożyczę ci swój telefon. Ale mam dwa warunki.

– Aż dwa? – Ogarnia mnie niepokój.

– Tak. – Kiwa głową i poluznia krawat.

Cóż, nie mam wyjścia i muszę się zgodzić, choćby w ciemno. Lepsze ciasne, prawie że niemożliwe do przejścia wyjście niż żadne. Poza tym wreszcie pojawia się isierka nadziei, że coś drgnie w mojej sprawie, bo na razie tkwię w martwym punkcie. Zamierzam więc w pełni wykorzystać nadarzający się cię szansy. Drugiej okazji może już nie być. Nie wiem, chyba liczę na zbyt wiele, może nawet oczekuję cudu, ale wierzę, że telefon do Liz pomoże mi jakoś wyjść z tej sytuacji bez szwanku. Mam tylko nadzieję, że Matt dotrzyma słowa. Ostatnio stale mnie okłamuje. Wiem, że po tym, jak mój telefon uległ zniszczeniu, siostra próbowała się ze mną skontaktować właśnie przez niego. Ale on zbywał ją za każdym razem, a mnie – choć niejednokrotnie słyszałam, że prowadzi z nią rozmowę – wmawiał, że mam urojenia. Zazwyczaj wykręcał się tym, że rozmawiał z klientem. Ja jednak nie wierzyłam w ani jedno jego słowo. Ale nie mogłam z tym nic zrobić, byłam naprawdę bezradna. Raz próbowałam nawet pomówić na ten temat z jego matką, ale z Grace jest gorzej, niż przypuszczałam. Ma silną depresję, a leki zrobiły z niej osobę, która zdaje się być mi zupełnie obca. Gdy widziałam ją ostatni raz, pomyślałam nawet, że za chwilę sama będę tak wyglądać i podobnie się zachowywać. Matt wyraźnie do tego dąży. Nie wiem, dlaczego to robi, może z zemsty, że go zdradziłam i że poza nim kochałam jeszcze innego mężczyznę? Jednego jednak jestem pewna. Tak, jeszcze moment, a ten człowiek przez swoje zachowanie zupełnie mnie zniszczy. Jego pomysłowość w zadawaniu mi psychicznego bólu nie zna granic. Najpierw, kiedy nieumyślnie zniszczyłam komórkę, pozbył się telefonu stacjonarnego. Wcześniej zdawał się mu być niezbędny, choćby przez wzgląd na faks, który był potrzebny w jego pracy. Ale w chwili, gdy i mnie mógłby się do czegoś przydać, po prostu zniknął. Potem jeszcze zdarzały się inne wyskoki. Jednym z najgorszych, najbardziej podłych było to, że pewnego razu, kiedy usilnie zabiegał

o moją zgodę na aborcję, a ja odmówiłam, wyprosił mnie z jadalni, odbierając mi talerz z nieruszoną prawie kolacją. Tego dnia niemal nic nie jadłam. Rano byłam na badaniach, na które przychodzi się na czczo. Potem, gdy czułam się tak bardzo głodna, że aż mnie mdliło i jednocześnie ssało w żołądku, zjadłam kanapkę, którą wzięłam na drogę. Niestety chyba pochłonęłam ją zbyt prędko, bo szybko ją oddałam. A wieczorem za karę znów nie dostałam kolacji. Matt naprawdę tego dnia przesadził. I nie miał dla mnie krzty litości.

– Z mojego telefonu skorzystasz tylko raz – objaśnia, a ja natychmiast zamieniam się w słuch. Wiem, że to, co mówi, jest popieprzone, ale zamierzam wykorzystać nadarzącą się szansę najlepiej jak potrafię, więc mu nie przerywam. – I skontaktujesz się tylko z siostrą.

– Zgoda! – Naprawdę cieszy mnie ta nowina.

– Nie wiem, czy mnie dobrze zrozumiałaś, kochanie? – Jego słowa powinny zapalić w mojej głowie kontrolną lampkę. Ale ja w tej chwili myślę o czymś innym. O wolności, którą mi nagle odebrano. O jej odzyskaniu.

Szybko jednak schodzę na ziemię. *Kochanie...* Tak właśnie mnie nazwał. Kiedyś uwielbiałam, gdy Matt tak się do mnie zwracał. Teraz, słysząc ten zwrot, czuję jedynie chłód na plecach i robi mi się niedobrze. To z nerwów, jestem tego pewna. Znów zaczynam się obawiać, że po raz kolejny mnie oszuka, że ponownie coś wykombinuje. Przecież ostatnio stale to robi.

– Możesz odrobinę jaśniej? – pytam, głośno przetykając ślinę.

– Oczywiście. Wybierz formę. Możesz wysłać jeden krótki, składający się zaledwie z kilku słów SMS lub zadzwonić, tylko raz. Rozmowa nie może trwać dłużej niż minutę.

Ledwie zduszam w sobie przekleństwo, które mogłoby wszystko popsuć. Myślałam, że ta forma buntu już dawno za mną, ale, jak widać, w chwilach, kiedy Matt zaczyna stosować na mnie swoje najgorsze formy przemocy, mogę się nie powstrzymać. A przecież ostatnią rzeczą, jakiej teraz chcę, to znów go sprowokować.

– I pamiętaj, jeśli wybierzesz kontakt bezpośredni, osoba, do której będziesz dzwonić, ma odebrać. W innym razie tracisz szansę na kontakt.

On naprawdę jest psychopata! Nie podejrzewałam go o to. Nie sądziłam, że jest do tego zdolny, a jednak...

– Zgadzasz się na takie warunki, kochanie?

Zagryzam zęby, żeby mu czegoś nie odszczekać. Muszę tylko nie dać się sprowokować. Kiwam więc głową.

– A ten drugi warunek? – Aż boję się spytać, o co mu chodziło z tym drugim żądaniem.

– Że jeszcze dziś – wyjmuję telefon z kieszeni i niczym właściciel psa lub innego równie mądrego, tresowanego zwierzęcia, nęczonego ulubionym przysmakiem, dosłownie macha mi nim przed nosem – zgodzisz się na aborcję.

Dosłownie mnie zatyka.

– Możemy to przenegocjować? – pytam po chwili, choć nie wierzę, że się zgodzi. Ale nie byłabym sobą, gdybym się nie upewniła. Życie mnie nauczyło, by walczyć do końca, nawet jeśli sprawa wydaje się z góry przegrana.

– Oczywiście – odpowiada, sprawiając wrażenie bardzo zadowolonego z siebie.

Mam tylko nadzieję, że mnie nie wyśmieje, gdy usłyszy, co mam do zaproponowania. W końcu to on od kilkunastu dni stale mówi o kompromisie i wynikających z niego obopólnych korzyści. Ja tego tak nie widziałam. To, o co zabiegał Matt, było okrucieństwem w najgorszej postaci, wymierzonym we mnie oraz w moje nienarodzone dziecko.

– Zgodę podpiszę dzisiaj, ale obiecaj, że na zabieg zaprowadzisz mnie ostatniego dnia, jaki wyznaczył lekarz – wyduszam z siebie.

– W porządku – mówi uradowanym głosem, choć przez chwilę się waha. A ja, pomimo resztek nadziei, która we mnie wstępuje, znów ledwie się powstrzymuję, żeby mu powiedzieć, kim się ostatnio stał.

Teraz pozostaje mi już tylko wierzyć, że ten jeden telefon bądź SMS zdoła jeszcze coś zmienić.

# Rozdział 13

## Tayler

– Dodzwoniłaś się wreszcie? – pytam, wchodząc do sypialni Christiana bez pukania.

Liz obiecała, że znów spróbuje. Ostatnio stale jednak łączyła się z pocztą głosową Liv. Przypominałem jej o tym jakiś kwadrans temu, więc idąc tutaj, w zasadzie liczyłem, że albo jeszcze z nią rozmawia, albo właśnie skończyła i ma dla mnie jakieś wieści.

– Ja pierdolę! Nie umiesz pukać? – fuka na mnie, szybko owijając się cienką kołdrą.

Cóż, naprawdę nie chciałem im przeszkadzać, a jedynie byłem ciekaw, czy wreszcie udało się Elizabeth pogadać z siostrą, a zamiast tego nachodzę ją z Christianem w pozycji sześć na dziewięć.

– Wybaczcie. – Uśmiecham się głupkowato. – Zapomniałem, że jestem u siebie – dorzucam, na co Liz posyła mi mordercze spojrzenie.

Swoją drogą nie wiem, jak to jest z tą Liz, ale kiedy nagle z kochanki awansuje na kochankę najlepszego przyjaciela, to raptem robi się wstydliva i odczuwa skrępowanie. Przecież ja już to wszystko widziałem, więc po co teraz to przede mną ukrywa?

– Spadaj stąd, Tayler – mówi Christiano, a potem jak zwykle rzuca we mnie tym, co akurat ma pod ręką. Tym razem poduszką.

Robię unik i jeszcze szerzej się uśmiecham.

– Dodzwoniłaś się? – dociekam, patrząc już tylko na Liz.

– Nie – burczy. – Ten dupek też nie chce mi jej dać do telefonu i za każdym razem twierdzi, że nie ma jej w domu. A gdzie ma być, jak nie w domu? – nawija dalej. – Przecież w jej stanie...

Nagle nabiera wody w usta.

– Czy wiesz coś, czego ja nie wiem? – podchwytyję szybko, podchodząc bliżej. – Czy Liv znów jest... chora? – dodaję, czując suchość w ustach.



– Nie, Tayler – zapewnia, wypuszczając nagromadzone w płucach powietrze. Zachowuje się jakoś dziwnie, jakby mi czegoś nie mówiła. Nie podoba mi się to, ani trochę. – Chcę ci jedynie powiedzieć, że po przeszczepie Liv musi na siebie uważać. Nie forsować się zbytnio. Przynajmniej przez jakiś czas. Ale ty już to przecież wiesz – dorzuca, a ja na znak, że to prawda, tylko kiwam głową. – Nie wierzę więc, że za każdym razem, kiedy dzwonię do Matta i proszę siostrę do słuchawki, jej nie ma. A gdzie miałyby być? Przecież nie włączy się sama po mieście, w dodatku wieczorami.

Tak, w Nowym Jorku jest grubo po dziewiątej. Myśl, że Liv mogłaby przechadzać się sama, przeraża mnie. Pochodzę z NYC i wiem, jak niebezpieczne potrafi być to miasto, zwłaszcza nocą.

– A pytałaś go może, dlaczego jej telefon nie odpowiada?

– Matt twierdzi, że Liv ma z nim jakiś kłopot. Nie powiedział tylko, czy przypadkiem nie mówi o sobie – dodaje z ironią, wykrzywiając usta.

Nie ułatwia, a ja martwię się coraz bardziej.

– Koniecznie daj znać, jakby wreszcie się odezwała.

Liz potwierdza, potakując głową.

W zasadzie już doszedłem do drzwi, ale zatrzymuję się na moment. Nie jestem w nastroju do zabawy, ale też nie byłbym sobą, gdybym się z nimi odrobinę nie podroczył.

– A może się przyłączę? – pytam, mrugając porozumiewawczo do Christiana, który szybko podłapuje, że tylko żartuję. Wiem, że się zakochał w Elizabeth, a to prawdopodobnie oznacza, że za nic by się nią nie podzielił. Z żadnym facetem. Ze mną również.

– O czym on mówi? – Liz spogląda na swojego kochanka.

– Proponuje nam trójkąt, kochanie. Masz ochotę? – Cmoka ją w nagie ramię.

– Co?! – Patrzy na nas jak na idiotów, a kiedy nie odpowiadamy, warczy: – Wy jesteście naprawdę popieprzeni. – Najwyraźniej nie podłapuje niewinnego żartu.

Zostawiam ich samych z... problemem i wychodzę, ale wciąż uśmiecham się pod nosem. Jestem niemal pewien, że Christianowi się oberwie. Liz będzie mu czyniła wyrzuty, bo odkąd tych dwoje zaczęło ze sobą sypiać, ona traktuje go jak swoją własność. I naprawdę nie kryje się z tym, że jest o niego zazdrosna. Niedawno

widziałem, jak patrzyła na jedną z moich pokojówek, która narzucała się mojemu gościowi. Miała wyraźną ochotę wydrapać jej oczy, co byłoby interesującym widowiskiem, nie przeczę.

Naprawdę nie poznaję Liz. Kobieta, która kilka tygodni temu stanęła w progu mojego domu i udawała moją ukochaną Liv, była zupełnie inna od tej, której przemiany teraz stałem się naocznym świadkiem. Tamta była beztroska i lekkoduszna, natomiast ta jej druga wersja nie jest tak bardzo zapatrzona w siebie, a całą swoją uwagę poświęca boskiemu Christianowi, jak go sama czasem nazywa.

Pozostaje mi zatem wierzyć, że miłość naprawdę uskrzydla i nawet bestię czy innego złego potwora zmieni w końcu w potulną owieczkę albo laleczkę, jak mówi o Liz mój przyjaciel.

\*\*\*

Tej nocy nie mogę zasnąć, a jak już jakimś cudem udaje mi się zmrużyć oczy, budzę się zlany potem. Męczył mnie jakiś koszmar. W zasadzie nie wiem, co rzeczywiście mi się śniło, ale doskonale pamiętam, że przechadzałem się ulicami Nowego Jorku. Nie były to jednak te najbardziej popularne i cenione – głównie przez napływających tam tłumnie turystów – dzielnice. To były te rejony, do których lepiej nie zaglądać po zmroku, gdzie za każdym rogiem czai się zło. Widziałem też most. Nie jestem pewien, bo była noc, ale wydaje mi się, że to był George Washington Bridge. Nie mam pojęcia, co na nim robiłem, ale odczuwałem olbrzymi niepokój, kiedy zbliżałem się do jednej z balustrad. Jednak w chwili, kiedy próbowałem się wychylić i spojrzeć w granatową toń Hudsonu, mój sen nagle się urwał.

Oczywiście szybko zdaję sobie sprawę, że to tylko pełen niezrozumiałego niepokoju koszmar, ale gdy na powrót próbuję zasnąć, mam z tym niemały problem. Usilnie zaciskam powieki i zmuszam się do odpoczynku. Wreszcie jakimś cudem udaje mi się zdrzemnąć, choć szybko się budzę. Jestem mokry i lepię się od potu. I znów odczuwam ten irracjonalny lęk.

– Co to ma, do cholery, znaczyć? – burczę pod nosem, a potem wstaję i idę do łazienki. Uznaję, że dłuższe leżenie w łóżku nie ma sensu. Lepiej zająć myśli czymś innym.

## Christiano

Słyszę jakiś szmer. Nie śpię od kilku minut, więc to nie urojenia. Mało tej nocy spałem, bo Liz miała swoje potrzeby. Nie narzekam oczywiście. Ta kobieta jest tak wyjątkowa, a przy tym taka seksowna, apetyczna, że chce się ją jeść łyżkami. Więc jadłem, a właściwie wpierniczałem, aż mi się uszy trzęsły.

Znów wyraźnie słyszę dochodzące mnie chyba od strony balkonu niezidentyfikowane dźwięki. Pomimo wyczerpania muszę wstać i sprawdzić, co się tam dzieje.

„Może to jakiś ptak? – przemyka mi przez myśl. – Jeśli tak, to musi być wyjątkowo ranny ptaszek, bo za oknami wciąż jest ciemno. A zatem to raczej nietoperz”.

Wymykam się z łóżka; odsuwam głowę Liz, która spoczywa na mojej piersi, i wyciągam ramię. Kobieta mruczy słodko, a nawet mlaszcze cichutko, co natychmiast przywodzi mi wspomnienie jej zaciskających się na moim penisie ust.

Ja pierniczę. Muszę się opanować, ochłonać, bo nie mam ochoty, żeby znów stał mi przez pół nocy. Powinien choć przez chwilę odpocząć. Ja zresztą także.

Na goły tyłek zakładam jedynie spodnie i nie zapinając ich, od razu sięgam po pistolet, który zawsze noszę w wewnętrznej kieszeni marynarki. Odkąd zacząłem sypiać z Liz, jeszcze rzadziej wkładam bieliznę. Teraz jednak muszę przede wszystkim się pospieszyć. Mam naprawdę złe przeczucia, zwłaszcza że dochodzący mnie z balkonu szmer się powtarza. Podchodzę na palcach, zachowując absolutną ciszę, odbezpieczam magazynek i przeładowuję broń. Mógłbym przysiąc, że nieznacznym trzask, powstałym na skutek tej czynności, sprawia, że cień wyłaniający się zza ciężkiej zasłony się porusza. Muszę być bardzo ostrożny, by za wszelką cenę ochronić moją kobietę. Tak, Liz niewątpliwie jest moja.

Poruszam się bezszelestnie, nieco odsuwam powiewający na wietrze materiał, a wówczas zauważam, że jakiś typ trzyma w ręce telefon, którym nagrywa śpiącą w łóżku Liz. Odczuwam ulgę, bo początkowo sądziłem, że do niej mierzy ze spluwy, co jednak nie zmienia faktu, że nie powinno go tu być.

– Ręce – mówię cichym, choć stanowczym głosem. Chcę, żeby mnie dobrze zrozumiał, ale też wolałbym nie zbudzić Liz. Pragnę

oszczędzić jej stresu.

Chyba jednak nie obejdzie się bez hałasu, bo intruz ma wyraźnie inny plan – sięga za pazuchę...

## Liz

Kiedy gdzieś nieopodal rozlega się strzał, omal nie schodzę na zawał. Podrywam się na łóżku i spoglądam w bok. Jestem w nim sama.

– Christiano! – krzyczę przerażona.

Wtedy dochodzi mnie odgłos jakiejś szamotaniny. Wydaje mi się, że dobiega z balkonu. Gdy padają kolejne strzały, zamieram, zaciskając usta pięścią i tłumiąc wydobywający się z nich pisk.

Boję się poruszyć. Szamotanina co prawda ustaje, ale ja jestem przerażona jak nigdy dotąd. Przecież wyraźnie słyszałam strzały, a to mogło oznaczać, że... ktoś zginął.

Wyskakuję z łóżka i na miękkich nogach podbiegam do otwartego skrzydła, wiodącego wprost na balkon.

– Christiano? – szepczę, obawiając się, że jego tam nie ma albo co gorsza, że leży już nieżywy w kałuży krwi. – Kochanie? – chrypię, zdając sobie sprawę z tego, że już nie panuję nad emocjami.

– Już – słyszę Christiana, a następnie go zauważam. Przedziera się przez wiszące w przejściu zasłony. – Już dobrze – mówi i bierze mnie w ramiona.

Zarzucam mu ręce na szyję i rozklejam się na dobre. Żyje. Najważniejsze, że żyje! Nie zniostabym, gdyby odszedł. Tak bardzo go kocham. Zaczęłam to podejrzewać całkiem niedawno, ale teraz nabieram pewności – myśl o jego utracie sprawia mi fizyczny ból. Mój płacz przybiera na sile. Nie sądziłam bowiem, że jestem zdolna kogoś pokochać aż tak bardzo. Mało tego, jeszcze niedawno nawet nie podejrzewałam, że coś takiego jak miłość w ogóle istnieje. Tymczasem wreszcie zrozumiałam, że to wyjątkowe, a zarazem niepewne uczucie. Nie można go dostrzec gołym okiem i właściwie pojawia się znikąd, a czasem źle pielęgnowane umiera śmiercią naturalną. Ale istnieje naprawdę. Teraz mam już stuprocentową pewność.

Kiedy nagle rozbłyśka światło, naszym oczom ukazuje się Tayler. Celuje w naszą stronę z pistoletu. Nie przeraża mnie jednak ten

widok, bo wiem, że jestem bezpieczna w ramionach ukochanego.

Spoglądam w górę. Z łuku brwiowego Christiana sączy się krew.

– Jesteś ranny. – Próbuję opanować cichy pisk wynikający z przerażenia, ale też czuję pieczenie pod powiekami.

– Nic mi nie jest. To tylko draśnięcie – mówi, a następnie zaczyna zdawać relację Taylerowi.

Ten typ, którego ciało widzę teraz kątem oka, jest już martwy. Ale gdyby nie mój dzielny mężczyzna, mój Christiano, pewnie któreś z nas leżałoby tu trupem – może nawet oboje bylibyśmy martwi. Napastnik przyszedł tu w jednym celu. Miał nas zdemaskować i dostarczyć materiał Craigowi. Nie miałam o tym pojęcia, ale Tayler i Christiano ponoć od dawna podejrzewali, że wśród pracujących dla Taylera ludzi jest kret – wynika to z rozmowy, którą właśnie prowadzą. Prawdopodobnie doniósł na nas już wtedy, gdy kochaliśmy się z Christianem przy basenie. Tayler i jego przyjaciel potrafili się ostro zabawiać w trójkątach, dlatego dla Craiga nie było to wystarczającym dowodem. Przyłapanie kogoś w cudzym łóżku, w dodatku w pokoju gościnnym, to już coś innego. Nie widzę różnicy, ale nie warto z tym polemizować, zwłaszcza że mój facet krwawi. Teraz muszę się nim odpowiednio zająć. I zamierzam to zrobić najlepiej, jak potrafię.

# Rozdział 14

## Christiano

– Już nic się nie dzieje – zapewniam ją. – Jesteś bezpieczna. Wszyscy jesteśmy.

Zaraz po całym zajściu w tamtej sypialni Tayler kazał nam się przenieść do innego pokoju, a sam zajął się delikwentem, którego zastrzeliłem. Nie było już więc powodu, by Elizabeth nadal tak bardzo się przejmowała.

– Liz? – zagaduję, widząc jej zasmuconą minę. – Daj spokój, laleczko – mówię, kiedy zakładając mi na rozcięty łuk brwiowy opatrunek, znów zaczyna pociągać nosem. – To tylko draśnięcie. Dostałem z kolby, gdy się siłowałem z tym typkiem.

– Tym razem to tylko drobna rana, ale następnym możesz mocniej oberwać – odpowiada bliska płaczu.

Uśmiecham się lekko, pomimo że czuję dyskomfort spowodowany nieznacznym pieczeniem. Rozpiera mnie duma. A to jej zasługa. Liz myśli o przyszłości. Ze mną.

– Martwisz się o mnie? – pytam, a właściwie stwierdzam, sadzając ją sobie na kolanach.

– To chyba normalne, prawda? – Gładzi mnie czule po policzku. – Przecież mnie ochroniłeś. Gdyby nie ty...

Całuję ją lekko. Wydaje się zaskoczona, ale oddaje pocałunek. Nie ma w nim jednak namiętności czy żaru, z jakimi całowała mnie wcześniej. Ten jest subtelny, delikatny.

– Mogłeś zginąć – mówi po chwili, patrząc mi w oczy i przez cały czas obejmując mnie za szyję. Nadal jest bardzo przejęta.

– Nie pierwszy i nie ostatni raz.

Próbuję dodać tej rozmowie beztroskiego zabarwienia. Imponuje mi, że ta cudowna kobieta martwi się o mnie, ale uważam, że nie należy się paniki. W końcu nieraz znajdowałem się w znacznie poważniejszych tarapatkach i jakoś nadal żyję.

– Christiano...

– No co?

Uśmiecham się i teraz to ja gładzę kciukiem jej policzek.

– Bardzo mi na tobie zależy...

– Mnie na tobie również, laleczko – szepczę, znów biorąc w posiadanie jej zmysłowe, kuszące wargi. Chcę znacznie więcej, bo mój fiut znów jest twardy i gotowy, ale ona jakoś niespecjalnie ma na to ochotę. Ponownie odsuwa się odrobinę i jakoś dziwnie mi się przygląda. – Co się dzieje? – pytam wprost. Coś wyraźnie jest na rzeczy, bo Liz zachowuje się inaczej niż zawsze.

Spuszcza głowę i zagryza dolną wargę. Przez ułamek sekundy odnoszę wrażenie, że za chwilę się rozplacze. Czyżby aż tak przejął ją widok draśnięcia na moim czole?

– Liz? – naciskam na odpowiedź.

– A co, jeśli coś pójdzie nie tak? – pyta nagle.

Początkowo nie rozumiałem, o co pyta. Upływa chwila, zanim dociera do mnie, co ją trapi.

– Dołożę starań, żeby wszystko odbyło się zgodnie z planem. Przysięgam.

– Ufam ci, ale... – wzdycha, a następnie wstaje z moich kolan i podchodzi do otwartego na oścież okna balkonowego.

Zbliżam się do niej i obejmuję ją od tyłu. Odchyła głowę, a ja składam swoją na jej ramieniu.

Po chwili Liz odsuwa się ode mnie i wychodzi na balkon.

– Liz?

Idę za nią. Kiedy nie odpowiada, znów lekko ją obejmuję. Pomimo panującego tej nocy upału czuję, jak drży.

– Zimno ci? – pytam, rozcierając jej pokryte gęsią skórą ramiona.

Kręci głową, a następnie mówi bardzo cicho:

– Boję się.

Ma przejęty, nienaturalnie cichy głos i chwyta mnie nim za serce. Obracam ją natychmiast i patrzę jej w oczy.

– Ochronię cię, obiecuję – zapewniam, całując ją w czubek głowy i składając pocałunek na jej czole.

– A co, jeśli nie zdołasz? – W oczach dziewczyny nadal czai się strach, na który nie jestem obojętny. Sposób, w jaki na mnie patrzy, sprawia, że moje serce topnieje niczym lodowiec.

Ale zanim zdążę odpowiedzieć, z jej ust pada kolejne pytanie:

– Co może się stać, jeśli ten godny zaufania człowiek cię oszuka?

– Obiecuję, że uczynię wszystko, żeby nic takiego się nie wydarzyło – odpowiadam, ale ona chyba nie do końca daje wiarę w moje zapewnienia.

– Ten człowiek na balkonie – wzdycha. – Ten, którego zastrzeleś...

Już wiem, co chce mi powiedzieć, i brakuje mi argumentów, żeby ją zapewnić, że następnym razem nie wydarzy się nic złego.

– To jeden z ludzi Taylera – dorzuca.

Nadal uparcie milczę. Naprawdę nie wiem, co mógłbym jeszcze dodać.

– Sam widzisz – kwituje dziewczyna, po czym odsuwa się ode mnie i podchodzi bliżej barierki.

Przyglądam jej się przez chwilę. Patrzę, jak się wychyla i spogląda w stronę oświetlonego basenu, a potem jak znów zerka w ciemność. Boi się – nie mam żadnych wątpliwości. I nie wiem, co z tym zrobić.

– Liz?

Po raz kolejny podchodzę bliżej, ale tym razem już jej nie dotykam. Pragnę tylko, żeby czuła, że jestem; żeby uwierzyła, że zawsze będę blisko niej, kiedy będzie mnie potrzebowała.

– Takie rzeczy się czasem zdarzają – dodaję po chwili, a ona posyła mi sztuczny uśmiech. – W naszym świecie nic nie jest pewne. A ryzyko jest jego nieodzowną częścią. Nie wiedziałaś tego? – pytam, ale nie odpowiada. Kontynuuję więc, licząc, że ją jakoś przekonam: – Dlaczego zdecydowałaś się na przyjazd tutaj? Przecież musiałaś mieć świadomość, że nie jedziesz tu na zwyczajne wakacje.

– Chciałam pomóc siostrze – odpowiada po namyśle. Jestem pewien, że nie jest ze mną do końca szczerą i nie mówi mi całej prawdy.

– A jaki był prawdziwy powód? – dociekam wobec tego.

Odwraca głowę i znów spogląda w ciemność. Nie zamierzam poganiać jej z odpowiedzią, ale liczę, że kiedy znów przemówi, wreszcie zdobędzie się na szczerą.

– Rzekomo miałam szczęście – mówi nagle, lecz jej słów zupełnie nie rozumiem. Nie naciskam jednak, żeby doprecyzowała, co ma na myśli. Czuję, że zaraz sama się przede mną otworzy. – To mnie zabrała ze sobą matka, oszczędzając mi życia z pijakiem, dzięki



czemu nie musiałam wychowywać się w niedostatku, totalnej biedzie – wyznaje nagle.

Muszę przyznać, że nic o niej nie wiem. Poza tym, że jest udawaną dziewczyną mojego najlepszego kumpla i że z wzajemnością zadurzyłem się w niej po uszy. Liczę, że jej dość dziwnie rozpoczynająca się opowieść to zmieni.

– Wiesz, że przez wiele lat nie miałam pojęcia, że w ogóle mam rodzeństwo, w dodatku nie jakieś tam zwykłe, a siostrę bliźniaczkę? – prychna pod nosem, choć nie dopatruję się w tym złości. Przemawia przez nią żal, choć chce udawać, że jest inaczej. – O mojej rodzinie zza oceanu dowiedziałam się w chwili śmierci mojej matki – kontynuuje. – Jakoś wcześniej nie było jej po drodze, żeby o tym wspomnieć. Była zbyt zajęta układaniem sobie życia – dorzuca, lecz tym razem zupełnie nie kryje sarkazmu.

Nie potępiam jej za to, a nawet ją rozumiem. Bardziej niż może to sobie wyobrazić. Z moją matką też prawie nie utrzymywałem kontaktu. Wyszła za ojca dla pieniędzy. Urodziła mu syna, tak jak o tym marzył. A potem wzięła kasę i zniknęła, zabierając ze sobą moją starszą siostrę. Matilde nie nadawała się do kierowania rodem. Zresztą, nawet gdyby było inaczej, to ja byłem pierworodnym, w dodatku synem. Od urodzenia byłem skazany na to rodzinne brzemie. Poza tym, nawet jeśli moja siostra urodziła się mężczyzną, to prawdopodobnie i tak nigdy nie objęłaby władzy i nie zarządzała klanem. Według ojca była tak samo pazerna na pieniądze jak matka. A to w jego oczach sprawiało, że nie mogła sprawować funkcji przedstawiciela rodu. Nie wspominając już o tym, że w kółko powtarzał, iż ma mnie – wymarzonego syna i godnego następcę.

Kiedy matka oraz Matilde odeszły, byłem niedojrzały i nie rozumiałem, z jakiego powodu mnie zostawiły. Byłem mały i tęskniłem za ciepłem matczynych rąk, za przytuleniem się, ilekroć zdarłem kolano, czy za całusem na dobranoc. Gdy obie zniknęły, wielokrotnie, ledwie powstrzymując łzy, pytałem ojca, kiedy nas odwiedzą. Zbывał mnie wówczas, a i one chyba nigdy nie zamierzały wracać. Zadowolili się forszą, rzekomo grubą, czego dowiedziałem się dopiero po latach. Tyle była warta miłość, rodzina.

Dlatego rozumiałem Liz. Musiała mieć ważny powód, że wyrażała się o matce z taką niechęcią – jestem tego pewien.

– Długo biłam się z myślami, czy wypełnić jej ostatnią wolę – odzywa się ponownie. – Wiesz, że w liście, który mi zostawiła, poprosiła, żebym odnalazła siostrę i przeprosiła ją w jej imieniu, że to mnie wybrała przed laty, nie ją? – pyta z żalem, ale nie oczekuje odpowiedzi. Po prostu wyrzuca z siebie gorycz, która nadal gdzieś tkwi w niej głęboko.

Znów muskam kciukiem jej policzek. W odpowiedzi posyła mi coś na wzór słabego uśmiechu, a potem mówi:

– To była jedna z trudniejszych decyzji w moim życiu, ale pewnego dnia postanowiłam lecieć do Nowego Jorku. Pozamykałam wszystkie swoje sprawy w Polsce i wyjechałam.

W chwili, kiedy to powiedziała, poczułem ukłucie zazdrości. Podejrzywałem, że miała kogoś w Polsce, choć prawdopodobnie nie był dla niej na tyle ważny, by teraz o nim wspominać. Niemniej dziwię się odrobinę, gdy odczuwam nagle to dotąd nieznanne mi uczucie, jakim jest zazdrość. To ponownie daje mi do myślenia.

– Przed spotkaniem z siostrą byłam kłębkim nerwów – kontynuuje Liz. – Nie wiedziałam, co jej powiem, jak mam zachować się na jej widok. Nie znałam Olivii, więc nie miałam pojęcia, jak ona zareaguje na spotkanie po latach. Ale przecież nie jestem głupią, naiwną ani już tym bardziej strachliwą laską i byłam pewna, że jakoś to będzie. I nie myliłam się, choć do spotkania z siostrą nigdy nie doszło. Przynajmniej jeszcze nie wtedy. Pamiętam jednak, jak tamtego dnia, stojąc pod tą... szopą, w której Liv mieszkała z ojcem pijakiem, a na widok której poczułam odrazę, ogarnęła mnie ekscytacja. Nie na widok tej rudery – dorzuca, wzdygając się. – Naprawdę, patrząc na obdrapane drzwi, zrozumiałam, że dobrze zrobiłam, przyjeżdżając do Nowego Jorku. Nagle bowiem dotarło do mnie, że jestem ciekawa swojej siostry bliźniaczki. Tego, jaka jest, jak jej się żyje. Nie wiem, czy cieszyłam się na to spotkanie, bo zżerał mnie stres, ale czułam olbrzymią ciekawość pomieszaną z pewnego rodzaju fascynacją. W końcu za chwilę miałam ujrzeć dziewczynę, która rzekomo wygląda zupełnie jak ja – wzdycha. – Jednak nie doszło do żadnego spotkania czy nawet bliższego

poznania. Liv umarła, przynajmniej jeszcze wtedy tak się wszystkim wydawało.

Znam tę historię. Tayler opowiedział mi o wszystkim z najdrobniejszymi detalami. Wtedy jeszcze go nie rozumiałem. Nie pojmowałem, jak w imię rzekomej miłości do kobiety – w dodatku do dziewczyny, która podobno uganiała się za nim w dzieciństwie – mógł się tak poświęcać. Bo Tayler naprawdę wiele dla niej zrobił. Najpierw, kiedy konała w tym zatęchłym burdelu, wyrwał ją z łapsk tamtych oprychów, Craiga i Damiana. Potem zorganizował przeszczep, co jak dla mnie było naprawdę wielkim wyczynem. Ja także robiłem w życiu rzeczy, jakie się innym nie śniły, ale przeszczep serca to naprawdę coś. Mój przyjaciel z miłości do tej dziewczyny zorganizował nawet urnę z prochami, którą wysłał do Nowego Jorku, do jej bliskich. Wszystko po to, żeby ją zdobyć i zatrzymać u swojego boku. Cóż, prawie mu się to udało...

– To wtedy związałaś się z jej chłopakiem? – pytam wprost. Nie robię tego jednak, żeby jej jakkolwiek dopiec. Po prostu znam tę historię i chcę, żeby Liz miała tego świadomość. Tayler godzinami mi o tym opowiadał.

– Potępiasz mnie za to?

– Nie, po prostu staram się lepiej cię zrozumieć.

Widać, że jej ulżyło. Z lekką zadumą kiwa głową, a ja liczę, że zaraz będzie opowiadała dalej, bo zwyczajnie chcę poznać ją bliżej, a także porównać obie wersje, o których zdążyłem się już dowiedzieć. Tayler, kiedy mi o tym mówił, wydawał się na nią zły. I chyba nawet oceniał ją na swój sposób. Ja nie. I chcę jej wysłuchać do końca.

– Niefortunny zbieg okoliczności sprawił, że nagle, całkowicie sama, z dala od domu, w obcym, wielkim mieście, popadłam w tarapaty – ciągnie Liz. – Wtedy Matt mi pomógł. To było zaraz po pogrzebie Liv. – Mówiąc o pogrzebie, Elizabeth robi palcami cudzysłów. – Oboje byliśmy w trudnym momencie, więc... – Wzdycha, uciekając wzrokiem. Wyraźnie krępuje ją ta cała sytuacja.

Właśnie przez takie drobiazgi zyskuje w moich oczach. Nie sądziłem bowiem, że kobieta taka jak Liz jest w ogóle zdolna do uczucia, jakim jest wstyd. Podczas tych kilkunastu dni, jakie spędziłem w hacjendzie swojego przyjaciela, poznałem ją na tyle, że

wyrobiłem już sobie o niej pewne zdanie. Tymczasem znów mnie zaskakuje. Pozytywnie rzecz jasna.

– Co było potem? – pytam, widząc, jak skubie niewidoczną skórę u idealnie wypielęgnowanego paznokcia.

– Potem... – powtarza jak echo i ponownie spogląda w otaczającą nas zewsząd ciemność. – Potem uczepiłam się Matta jak koła ratunkowego. Nagle dotarło do mnie, że ja, pomimo iż wychowywałam się w miarę normalnych warunkach, nigdy nie zasmakowałam tego, czego zakosztowała Liv – dodaje ze smutkiem, ale też szybko dopowiada: – Christiano, Matt ją naprawdę kocha! Widziałam to na własne oczy. Byłam świadkiem jego bólu, tęsknoty. A ja...? – Wstrzymuje na moment oddech. – Postanowiłam nawet się poświęcić i dać mu namiastkę Liv, a przy tym choć przez moment poczuć to, co ona czuła.

Zaskakuje mnie tym wyznaniem. Nie szokuje, ale po prostu zaskakuje.

– Zazdrościłaś jej? – pytam więc.

– Nie wiem – odpowiada spontanicznie. – Ale pamiętam, że byłam na nią zła, stale słysząc dookoła, jaka z niej dobra, miła i uczynna dziewczyna. Próbowałam nawet być taka jak ona, żeby tylko otrzymać od życia to, co ona dostała.

– Ale ci się to nie udało – stwierdzam.

– Jak widać na załączonym obrazku – kwituje, rozkładając ramiona.

– Żałujesz? – Muszę to wiedzieć.

– Zależy czego – rzuca niejednoznacznie. – Jeśli chodzi ci o to, czy żałuję romansu z Mattem, to powiem: i tak, i nie.

Unoszę brew. Nie pojmuję, co ma na myśli, i chyba nie takiej odpowiedzi się spodziewałem. Czuję się lekko zawiedziony.

– Samego romansu trochę żałuję – wyjaśnia po chwili Liz. – Ten epizod niczego nie wniósł do mojego życia – doprecyzowuje. – Nie żałuję jednak tego, że byłam tam właśnie wtedy, kiedy Liv mnie potrzebowała. I nie żałuję, że dałam się namówić na wyjazd do Meksyku. Tutaj poczułam, że żyję.

Nie komentuję tego ani słowem. Między wierszami usłyszałem, że Liz się tutaj podoba. Wiem, co miała na myśli, przecież zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co nas tutaj otacza. A to z kolei oznaczało, że

przybyła tu dla luksusu, którego pragnęła za wszelką cenę. Tak jak moja matka i siostra. A ja nie potrzebowałem *takiej* kobiety.

Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej dochodzę do wniosku, że tak, to wszystko ma sens. Najpierw był niejaki Matthew Trainor i Nowy Jork, miasto celebrytów i bogaczy. Wcześniej był też ktoś w Polsce. Podejrzewam, że równie dobrze ustawiony koleś, którym się po prostu znudziła. Potem padło na Meksyk i na Taylera. Teraz kolej na mnie. Ciekawe, kto będzie następny. Bo że będzie, jestem pewien. Liz nie znosi nudy ani rutyny.

Teraz powoli zaczynam rozumieć, jaki jest jej cel w życiu. Liz po prostu nie jest bezinteresowna. To staje się aż nad wyraz oczywiste. Można to wywnioskować choćby z faktu, że w zasadzie każdy z nas, facetów, z którymi była – tylko o jednym nie miałem żadnych informacji, ale nietrudno się domyślić, że też był w posiadaniu grubego... portfela – posiadał to coś. Ja i Tayler oprócz kasy mieliśmy z pewnością to, co ona w facetach ceniła najbardziej: odpowiedniej wielkości instrument. A tej dziewczynie najwyraźniej odpowiadało takie zestawienie. Kasa i fiut imponujących rozmiarów – prosty, nieskomplikowany wybór, jak para idealnie pasujących do siebie butów.

– Powiedziałaś coś nie tak? – pyta nagle, obserwując mnie jakby uważniej. – Chciałam być z tobą szczerą, bo...

– Nie – zaprzeczam, choć nie przywykłem do naginania prawdy. Zawsze byłem autentyczny, szczególnie w relacjach z kobietami. Teraz jednak coś mnie przed tym powstrzymuje. – Dzięki za prawdę – dorzucam jeszcze. – Chodźmy spać. Późno już.

# Rozdział 15

## Tayler

Nie wiem, co oprócz tej wczorajszej strzelaniny zaszło jeszcze pomiędzy Christianem a Liz, ale rano oboje zachowują się inaczej. Początkowo przypuszczam, że to Liz strzeliła jeden ze swoich dobrze mi już znanych babskich fochów, ale szybko dochodzę do wniosku, że prawdopodobnie mylę się w tej ocenie, bo to raczej mój przyjaciel wygląda jak chmura gradowa. Zamierzam go wypytać o to po śniadaniu, ale oświadcza, że jest zajęty i że ma plany. Jedzie do miasta, rzekomo czegoś potrzebuje ze sklepu. Mówiąc to, wydaje się bardzo tajemniczy i... niedostępny. Proponuję, żeby towarzyszyła mu Liz – przecież wiem, że oboje jeszcze do niedawna świetnie się czuli w swoim towarzystwie – ale odmawia.

Wystarczy spojrzeć na Elizabeth, by domyślić się, jak bardzo jest jej przykro. Nic z tego nie rozumiem.

– Pokłóciliście się? – pytam, gdy zostajemy tylko we dwoje.

– Właściwie nie – odpowiada zamyślona.

– Właściwie? – podłapuję szybko.

– Nie wiem, Tayler – wzdycha. – Tylko rozmawialiśmy. Christiano chciał się czegoś o mnie dowiedzieć. W zasadzie sporo mu powiedziałam. A jego najwyraźniej przerosła ta wiedza.

Dla mnie takie tłumaczenie jest zbyt ogólne. Wypytuję ją więc o szczegóły. Wydaje się, że Liz jest ze mną szczerą, bo na każde z zadanych przeze mnie pytań odpowiada ze szczegółami, jak na spowiedzi.

– Już chyba rozumiem – podsumowuję.

– Naprawdę? – Spogląda na mnie z nadzieją. – To może mnie oświecić, bo ja nie wiem, co myśleć.

– Najpierw pogadam o tym z Christianem, okej?

– Skoro uważasz, że tak będzie lepiej.

Nie wygląda na przekonaną, ale na szczęście nie naciska. Nie poznaję jej. Zawsze była bardziej stanowcza i nigdy nie skrywała, że na ogół zdobywa to, na co ma ochotę. A na Christiana ma

szczególną chrapkę – tylko ślepiec by tego nie dostrzegł. Zresztą on także coś do niej czuje. Wystarczyła jednak nie do końca przemyślana, być może trochę mało klarowna rozmowa, by tych dwoje nagle nabrało do siebie dystansu. Z Christianem przyjaźnię się od dawna i życzę mu szczęścia. Liz także na nie zasługuje, co odkryłem stosunkowo niedawno. Niemniej pomimo błędów, jakie stale popełniała, jej także należy się lepsze życie, zwłaszcza u boku mężczyzny, który może jej to zagwarantować. To właśnie Christiano jest facetem, który się do tego idealnie nadaje. Zamierzam z nim o tym pogadać, jak wróci. Teraz jednak chcę jeszcze pomówić z Liz o innej sprawie, która wciąż nie daje mi spokoju.

– Udało ci się skontaktować z Liv? – pytam z nadzieją, choć po ostatnim razie obiecałem, że będę cierpliwie czekał na wieści. Nie wytrzymuję jednak.

– Nie. Matt wciąż nie odbiera, a jak już to zrobi, to sprzedaje mi tę samą śpiewkę.

Coraz bardziej denerwuje mnie ta chora sytuacja. Cóż, całkiem możliwe, że oboje z Liz dopatrujemy się w niej czegoś na siłę. Może ta cisza oznacza zaledwie tyle, że sama Liv nie chce z nami gadać? Domyślam się, że po powrocie do Nowego Jorku w jej związku niekoniecznie było kolorowo. Sam nie wiem, jakbym na miejscu tego... Matta czuł się z myślą, że moja kobieta, którą uznano za zmarłą, żyła, w dodatku sypiała z innym kolesiem. Może więc Liv postanowiła odciąć się od tego i próbuje jakoś naprawić swoje relacje z partnerem? To wydaje się całkiem prawdopodobny scenariusz.

– Zaczekaj chwilkę. – Liz przerywa moje rozmyślenia. – Zaraz znowu spróbuję się z nią skontaktować.

Patrzę, jak sięga po swoją komórkę, a potem od razu inicjuje połączenie.

– Bez zmian. Jej telefon nie odpowiada – mówi po chwili, już wybierając, jak się domyślam, numer faceta swojej siostry.

Trzymając słuchawkę przy uchu i czekając, aż Matthew Trainor odbierze, Liz patrzy na mnie. A więc ma sygnał. Podejrzewam jednak, że i ta próba kontaktu skończy się jak pozostałe, nagle jednak w oczach dziewczyny dostrzegam błysk.

– Halo, Matt?

Na moment milknie, a ja ledwie się powstrzymuję, żeby nie odebrać jej smartfona i nie nawciskać temu gnojkwowi. Nawet jeśli Liv zdecydowała się na życie u jego boku, miałem mu wiele do powiedzenia. I nie byłyby to miłe rzeczy. Powstrzymuję się jednak. Przecież nie jestem jakimś jebanym jaskiniowcem, który wszystko załatwia siłą.

– Możesz mi dać do telefonu moją siostrę? – odzywa się ponownie Elizabeth. – Wiesz, że stale to słyszę, Matt? – mówi z wyrzutem i spogląda na mnie wymownie. – Oczywiście. Mam świadomość, że o tej godzinie jesteś w pracy, ale kiedy dzwonię wieczorami, też nie mogę z nią pogadać.

Pocieram nerwowo szczękę. Naprawdę mam coraz większą ochotę poprosić Liz o słuchawkę i rozprawić się słownie z tym draniem. Znam sposoby na takich jak on. Zesrałyby się w portki, zanim zdążyłbym go postraszyć.

– Dobra, Matt – mówi dziewczyna i wzdycha teatralnie. – Trzymam cię za słowo. I czekam na kontakt od Liv do końca tygodnia. Ani dnia dłużej.

Znów zapada cisza, ale Liz wciąż trzyma telefon przy uchu, co wyraźnie wskazuje, że teraz mówi nowojorski goguś. Jednak po minie Elizabeth widać, że nie podoba jej się to, co słyszy. A mnie aż korci, żeby udzielić się w tej rozmowie.

– Wierz mi, coś wymyślę – mówi, a potem się rozłącza. – Mam złe przeczucia, Tayler – dodaje szybko, zwracając się w moją stronę.

Mam ochotę powiedzieć jej coś w stylu: a nie mówiłem? Ale powstrzymuję się. To niczego nie zmienia. Męczy mnie jednak myśl, że Liz jeszcze do niedawna sugerowała, że nie jestem lepszy od jej siostry, która według niej ma wyjątkowe skłonności do koloryzowania, i że niepotrzebnie dramatyzuję. Dziś, jak widać, zmieniła zdanie.

## Liv

Korzystając z ładnej pogody, idę na spacer.

„Ruch i świeże powietrze dobrze mi zrobią” – myślę, odruchowo głaszcząc płaski brzuch.

Może to dziwne, bo minęło raptem kilka tygodni, a ciąża nadal nie jest widoczna, ale kocham to maleństwo całą sobą. Nie ma dnia,



żebym nie wyobrażała sobie, jak dorasta, jak stawia pierwsze kroki, jak jeździ na rowerze...

Nie chcę go stracić, a czas kurczy się nieubłagalnie. Podpisałam cyrograf i jestem pewna, że Matt skrzętnie to wykorzysta. Muszę więc znaleźć sposób, żeby jakoś skontaktować się z Liz. Mam nadzieję, że ona będzie wiedziała, jak mi pomóc. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że moja siostra nie jest cudotwórczynią i całkowicie nie uwolni mnie od kłopotów, ale liczę, że coś wymyśli, a ja dzięki temu wyswobodzę się od Matthew.

Matt... Nie mogę uwierzyć, że to ten sam człowiek, który mnie niegdyś oczarował, w którym byłam zakochana po uszy i który też zdawał się mnie kochać do szaleństwa.

„Do szaleństwa – powtarzam w myślach. – Tyle zostało z miłości, którą mi niegdyś ofiarował. Czyste szaleństwo...”

Nie mam pojęcia, co stało się z tamtym Mattem, ale wiem jedno. Ten człowiek, z którym obecnie dzielę życie, nim nie jest. Tamten cudowny mężczyzna muchy by nie skrzywdził, a ten... Każdego dnia znęca się nade mną psychicznie. Nie ma godziny, by mnie nie kontrolował. Nie ma sekundy, żebym nie czuła na plecach jego oddechu.

Może rzeczywiście trochę dramatyzuję, co Matthew stale mi wytyka, ale nawet teraz wydaje mi się, że ktoś za mną chodzi. Podejrzewam, że wynajął kogoś, kto śledzi każdy mój ruch. Może zapłacił jakiemuś prywatnemu detektywowi albo znów poprosił o pomoc starego przyjaciela, którego ludzie już niegdyś mieli mnie na oku, choć w zupełnie innych okolicznościach. Ponieważ czuję się obserwowana, nie mogę nawet zahaczyć o pocztę, gdzie mogłabym wysłać list do siostry. Zbyt duże ryzyko, że Matt się o tym dowie. On nie może niczego podejrzewać, gdyż wymusił na mnie obietnicę, że do czasu, aż zezwoli mi na kontakt z Liz, sama nie będę próbowała się z nią jakkolwiek kontaktować. Poza tym wysłanie listu chyba nie jest teraz najlepszym pomysłem. Poczta pewnie nie działa aż tak szybko, bym zdążyła poinformować o wszystkim Elizabeth, zanim będzie za późno. Nie mogę odżalować, że nie zrobiłam tego wcześniej. Może wówczas byłaby jeszcze szansa dla mnie i mojego dziecka.

Kieruję się w stronę Central Parku. W NYC tylko tu można pooddychać względnie czystym powietrzem. A ja, pomimo kurczącego się czasu, robię wszystko z myślą o dobru rozwijającego się we mnie maluszka.

Po porannym deszczu tu, w samym środku parku, bez względu na cień, jaki zapewniają setki drzew, jest dość duszno. Ta nieznośna, wręcz zabójcza wilgotność to zasługa parujących trawników i otaczającej mnie zewsząd bujnej roślinności, pokrytej kroplami wody. Idę więc w stronę fontanny. Tam zazwyczaj panuje przyjemny chłód. Dzisiaj o tej godzinie na szczęście nie ma wokół zbyt wielu ludzi, zatem istnieje szansa, że uda mi się podejść na tyle blisko, by zaznać odrobiny wytchnienia. Prawdopodobnie właśnie dlatego, że nie ma tłumu, w oddali zauważam Kyle'a Maxwella. Stoi z jakimś chłopakiem, na moje oko niewiele starszym od niego, i chyba ubija z nim interes. Zdradzają go gesty i rzucone na boki ukradkowe spojrzenia. Wtedy i on mnie zauważa. Zamierzam od razu odejść, zwłaszcza że młodszy brat Taylera jakoś nigdy za mną nie przepadał, ale wówczas on mnie woła. Nie mam ochoty z nim gadać, ale nie mogę ot tak odwrócić się na pięcie i zwyczajnie odejść. Zastanawia mnie tylko jedna rzecz. Kyle wyraźnie woła „Liv”, nie „Liz”, a przecież według oficjalnej wersji prawdziwa Liv mieszka z jego bratem w Meksyku. Istnieje zatem całkiem spore prawdopodobieństwo, że Kyle się zapomniał. A może...? Przecież Liz wspominała, że Tayler chyba się czegoś domyśla. Więc jeśli to prawda, to może oznaczać, że nie tylko ja dziś popadłam w niełaskę losu. Biedna Liz...

– Cześć – słyszę po chwili, jak tylko chłopak do mnie podchodzi.

– Cześć – odpowiadam niepewnie.

– Dawno cię nie widziałem – zagaduje, co nadal nie musi oznaczać, że zwraca się do mnie, a nie do mojej siostry. Mógł się przecież pomylić albo nawet przejęzyczyć. Poza tym według tego, co mówiła Liz, miała już okazję poznać młodego Maxwella, więc może chciał zaczepić właśnie ją. – Spacer?

Kiwam głową, nie bardzo wiedząc, co jeszcze mogłabym powiedzieć, tym bardziej że wciąż nie mam pojęcia, na czym właściwie stoję.

W dodatku Kyle robi się nad wyraz gadatliwy.

– Mizernie wyglądasz. Dobrze się czujesz?

– Bywało lepiej – odpowiadam jedynie i już mam zamiar uciąć tę pogawędkę, wciskając mu kit, że się spieszę, a potem odejść, ale nagle docierają do mnie jego kolejne słowa.

– Nie zapytasz nawet, co u mojego brata i twojej siostry?

Zaskakuje mnie. Dlaczego zapytał o to w taki sposób, jakby był pewien, że mój kontakt z nimi zupełnie się urwał? A może wie coś, co i ja powinnam wiedzieć?

– Co... u nich? – pytam niepewnie.

– Bywało lepiej – słyszę w odpowiedzi.

Nie wiem, na ile Kyle jest wtajemniczony w osobiste sprawy brata, ale mam coraz gorsze przeczucia. Zamierzam więc zapytać go o szczegóły. Nagle jednak chłopak dostaje telefon, po którym żegna się ze mną w przelocie i odchodzi, zostawiając mnie z całą masą pytań bez odpowiedzi.

# Rozdział 16

Liz

Nie wiem, co ugryzło Christiana, ale nie zamierzam go prosić, żeby o tym ze mną porozmawiał. Bardzo mnie zawiódł. Wydawało mi się, że jest inny, że mu na mnie zależy jak na tej jedynej. Ale jak widać, jest taki sam jak oni wszyscy. Wystarczyło, że dostał ode mnie to, czego chciał, a szybko stracił zainteresowanie.

Jest mi przykro, że stale trafiam na takich samym facetów, ale muszę z tym jakoś żyć. Poza tym myślę, że może to i lepiej. W przyszłym tygodniu miałam zostać „porwana”, więc uznałam, że na wypadek, gdyby coś miało nie pójść po naszej myśli, lepiej nie angażować się zanadto. W razie porażki chociaż ból nie będzie aż tak wielki. Teraz wypadło się jeszcze odkochać. Mam tylko nadzieję, że pójdzie mi z tym sprawnie. Po moich doświadczeniach z mężczyznami wierzę, że tak właśnie będzie.

– Tayler, muszę tam z wami jechać? Serio? – wzdycham znużona.

Nie zamierzam mówić mu wprost, że nie mam ochoty na towarzystwo jego przyjaciela. Ale tak właśnie jest. Christiano naprawdę mnie rozczarował i postanowiłam go unikać.

– Tak. To konieczne.

– Naprawdę?

Jakoś mu nie dowierzam. Nie pojmuję, do czego jestem im obu potrzebna. Christiano chyba również nie daje temu wiary, bo ma minę, że lepiej nie gadać. Nie przekonuje mnie nawet to, że ten nasz wspólny wypad na plażę ma coś wspólnego z moim pozorowanym porwaniem.

– Naprawdę. – Tayler się upiera. – Ubierz coś praktycznego. I oczywiście załóż też wygodne obuwie. Szpilki nie nadają się na tego typu eskapady.

Mówiąc o tym w tak beztroski sposób, po raz kolejny udowadnia, że postanowił mnie tam z nimi zabrać, bo ma taki pieprzony kaprys. Bo niby po jaką cholere jestem im potrzebna na spacerze po plaży?

Mamrocząc coś pod nosem, idę do swojego pokoju. Tak, od niedawna wreszcie mam tutaj swój pokój. Nie musiałam o niego jakoś specjalnie zabiegać. Dostałam go, kiedy tych dwóch mięśniaków się mną znudziło i zaczęłam im zawadzać. Wcześniej nie narzekali na moje towarzystwo, szczególnie w łóżku. Teraz jednak nie byłam już potrzebna żadnemu z nich.

– Gnojki.

– Mówiłaś coś? – słyszę gdzieś z tyłu.

– Nie – rzucam i przeklinam bezgłośnie, a potem odchodzę, zostawiając ich samych w salonie.

Maszeruję na górę i od razu kieruję się do swojego pokoju. Wyjmuję z szafy szorty, luźną koszulkę i kładę je na łóżku. Przed wspólnym wypadem na miasto zamierzam jeszcze wziąć szybki prysznic. Nic mnie nie obchodzi, że te przystojniaczki będą musiały na mnie zaczekać.

Zdejmuję sukienkę i bieliznę, po czym nago ruszam do łazienki. Wchodzę do kabiny i polewam się chłodną wodą. Dziś w Alvarado jest piekielnie gorąco, więc właściwie ledwie kończę się kąpać, a już czuję występujące mi na kark kropelki potu. Niezrażona tym wycieram się ręcznikiem, a później wrzucam go do kosza na brudną bieliznę i wracam do sypialni. Omal nie schodzę na zawał, widząc siedzącego na moim łóżku Christiana.

– Co ty tu, kurwa, robisz?! – naskakuję na mężczyznę, szybko biorąc czyste ubranie, które leży obok niego.

Nie wiem, dlaczego tak się zirytowałam i z jakiego powodu nagle jestem zawstydzona swoją nagością, skoro on i tak już wszystko widział. Ale faktem jest, że naprawdę czuję się wyjątkowo niezręcznie, paradując teraz przed nim zupełnie goła.

– Czekam na ciebie – wyjaśnia, obserwując mnie, przez co mam problem z przywdzianiem garderoby. – Tayler mnie po ciebie wysłał, bo długo kazałaś na siebie czekać – dorzuca po chwili.

– A ty zapomniałaś już, że się puka? – Pomyślałam jednak, że mogłam zwyczajnie tego nie usłyszeć, więc dodaję: – Że nie wchodzi się do czyjegoś pokoju bez zaproszenia?

Nie odpowiada, czym wkurza mnie jeszcze bardziej. A potem wstaje i idzie do drzwi.

– Pospiesz się – rzuca przez ramię na odchodne.

– Palant! – piszczę i ciskam w drzwi szczotką do włosów, którą mam pod ręką.

\*\*\*

Zajmuję tylne siedzenie, choć Christiano, jak na pieprzonego dżentelmena przystało, proponuje mi fotel z przodu. Zdążył już nawet otworzyć przede mną drzwi, co zignorowałam. Oczywiście wybrałam takie miejsce, żeby mieć jak najwięcej prywatności. Z dala od wścibskich oczu Taylera, siedzącego za kierownicą i gapiącego się na mnie w lusterku, czy też głęboko wciśnięta za plecami Christiana. Jestem na niego tak wściekła, że postanowiłam unikać go na wszelkie możliwe sposoby. Właściwie jestem zła na nich obu, a nawet na każdego faceta stąpającego po ziemi, więc w takiej chwili marzę, żeby wszyscy pieprzeni macho zeszli mi z oczu.

Mężczyźni to jednak same dupki. Bez wyjątku.

\*\*\*

Kiedy dojeżdżamy na miejsce, słońce powoli styka się z linią horyzontu. Spoglądam na lekko pomarańczową tafłę wody. Rozpościerający się przed moimi oczami widok to czysta bajka. Jest tak cudownie, romantycznie, że jeszcze chwila, a westchnęłabym z wrażenia, oczywiście gdyby nie tych... dwóch, którzy mi się bezczelnie przyglądają.

Powstrzymuję się, a im posyłam niechętne spojrzenie i odwracam głowę w przeciwnym kierunku. Naprawdę nie chce mi się z nimi gadać.

\*\*\*

– Ale jak to? – pytam, zupełnie nie kryjąc niezadowolenia.

Oczywiście rozumiem już, dlaczego tu jestem. Tayler zabrał nas na strzelnicę, która leży blisko plaży, bo uznał, że powinien mnie trochę przeszkolić. Pewnie ma rację, mówiąc, że będzie lepiej, jeśli będę umiała się obchodzić z bronią. Nie sprzeczasz się z nim, bo wiem, co oznacza „na wypadek gdyby”. I zamierzam potraktować tę lekcję wyjątkowo poważnie. Nie rozumiem tylko jednego: dlaczego Tayler nagle postanawia nas opuścić?

– Zostawiasz nas samych? – podkreślam wymownie, dając mu jasno do zrozumienia, że nie mam ochoty zostawać sam na sam z

jego przyjacielem.

– Muszę wracać. Wypadło mi coś pilnego. Jak tylko się z tym uporam, dołączę do was. Masz moje słowo.

Wzruszam nonszalancko ramionami. Udaję, że w ogóle mnie to nie obchodzi. Bo cóż innego mogę jeszcze zrobić? Może, chcąc podkreślić własne niezadowolenie, powinnam zacząć tupać nogami? Co by to dało? W ich oczach już i tak uchodzę za głupią, pustą lalę, która nadaje się tylko do jednego.

– Rób, jak chcesz. Mnie już i tak wszystko jedno – rzucam chłodno.

Mogłabym przysiąc, że Christiano przez moment przygląda mi się uważniej. Nie obchodzi mnie jednak, co sobie właśnie pomyślał. Naprawdę mam już wszystkiego dość. Jego zwłaszcza. Tayler chociaż udawał miłego, a on? Szkoda gadać.

– Christiano cię wszystkiego nauczy – słyszę jeszcze na odchodne.

– Nie wątpię – mruczę pod nosem niezadowolona.

## **Christiano**

Jeśli wydawało mi się, że widziałem już wiele rozzłoszczonych, a zarazem niemożliwych kobiet, to byłem w błędzie. Liz dziś przechodzi samą siebie. W ogóle nie słucha, co do niej mówię, a moje rady traktuje powierzchownie. Po prostu mnie olewa. Nic dziwnego, że raz omal nie podbiła sobie oka bronią, która po wystrzale odbiła jej w rękach. Kiedy wycelowała, a następnie nacisnęła na spust, jej policzek dzieliły centymetry od kolby. Teraz daje radę utrzymać spluwę, ale tylko dlatego, że stanęła w rozkroku. Niemniej zamiast trafić do tarczy albo chociaż obok niej, wystrzeliwuje w górę, a sama ląduje na tyłku. Podbiegam do niej, choć widząc ją taką złą, w dodatku z lufą skierowaną ku górze, ryzykuję własnym życiem. Mimo wszystko wystawiam w jej kierunku rękę i proponuję pomoc, ale oczywiście ją odrzuca. Nawet na mnie nie spojrzy, tylko mamrocze coś pod nosem w swoim ojczystym języku, po czym podnosi się i staje na własnych nogach. Odnoszę wrażenie, że się odrobinę potłukła, bo krzywi się nieznacznie, choć stara się to przede mną ukryć.

– Boli cię coś? – pytam wprost.

Nie odpowiada, tylko posyła mi mordercze spojrzenie. Już naprawdę brakuje mi do niej cierpliwości. Mam ochotę potrząsnąć nią albo nawet przełożyć przez kolano i dać kilka porządnych klapsów. Muszę się jednak powstrzymać, bo pewnie po czymś takim skończyłoby się jednym.

– Chodź, zaczniemy od nowa – proponuję za to.

Na szczęście tym razem już nie oponuje. Wygląda na to, że zdaje sobie sprawę, że dopóki nie nauczy się trzymać broni, nie wyjdziemy stąd, choćby do rana albo i jeszcze dłużej. I dobrze, że wreszcie to do niej dociera, bo mam dość tych wszystkich dzisiejszych przepychanek. Nie chce ze mną gadać, to nie. Ale chociaż zamierzam nauczyć ją strzelać – dla jej własnego dobra.

Podchodzę bliżej i staję za jej plecami. Zastanawiam się, jak zareaguje, kiedy ją obejmę. Muszę to zrobić, żeby wreszcie pojęła, co takiego robi źle. Tylko tak mogę pokazać jej, jak właściwie dobierać pozycję, w jakiej odległości trzymać broń oraz jak prawidłowo strzelać.

Szczęśliwie obeszło się bez kaśliwej uwagi. Czuję jednak, że pod wpływem tej bliskości jej ciało wyraźnie się spina.

– Rozluźnij się – mówię tuż koło jej ucha. – Ręce w tej odległości. – Poprawiam je odrobinę i biorę w swoje dłonie. – Nogi troszkę szerzej – dodaję, wsuwając jej kolano pomiędzy uda. – Głowa prosto – dorzucam, a potem dociskam spust, na którym zaciska palec.

Powinienem się cieszyć, gdy kula utkwiała w samym środku tarczy, ale nie potrafię. Mam tylko ochotę trochę dłużej być tak blisko. Ona jednak od razu się odsuwa.

– Brawo! – chwalebę ją, biorąc się w garść. – Dobrze ci idzie. A teraz jeszcze raz.

Tym razem jednak Liz pudłuje. Przeklina cicho, więc ponownie uczę ją podstaw. Ta sama pozycja, ta sama nieznośna, choć zarówno kusząca bliskość.

Powtarzamy jeszcze kilka... naście razy, zanim wreszcie udaje jej się oddać pierwszy, samodzielny strzał. Poszedł jej całkiem nieźle, choć oczywiście nawet nie trafiła w tarczę. Snajpera raczej nigdy z niej nie będzie.

– Jeszcze raz – rozkazuję. A kiedy i tym razem kula przemyka obok, znów ją obejmuję. – Postaraj się – szepczę obok jej policzka,



po raz kolejny dbając o odpowiednią pozycję. – Pomyśl, że ta tarcza to twój cel. Że to ktoś, kogo nienawidzisz, kto chce zrobić ci krzywdę.

Naraz czuję, jak drży pod wpływem tych słów. Moim celem nie było jej straszenie, tylko zmotywowanie. Dlatego wspominając o tym, liczyłem, że wreszcie uda mi się to zrobić. W innym przypadku przyjdzie nam zostać tu do świtu. Gdyby między nami było tak jak wcześniej, nie miałbym nic przeciwko, zwłaszcza że okolica jest naprawdę piękna. Ale już nie jest tak jak na początku...

– Skup się, Liz – mówię zdecydowanym głosem, po raz kolejny zabierając ręce. Wciąż stoję tuż za jej plecami i pochylam się koło jej głowy. – Wyceluj dobrze. Przecież oboje nie chcemy, żeby ten typ cię dorwał w swoje łapy. Obojgu nam zależy, żeby włos nie spadł z twojej ślicznej główki.

Kiedy kolejny raz dziewczyna pudłuje, dorzucam:

– Albo lepiej wyobraź sobie, że to ja.

– Goń się! – słyszę naraz, po czym patrzę, jak ciska naładowanym pistoletem pod nasze nogi, co jest naprawdę durnym pomysłem, a sama wybiega na zewnątrz.

Gestem głowy przeproszam właściciela strzelnicy i lecę za nią. Nie mam pojęcia, co ją ugryzło, bo śmiem wątpić, aby to moje motywacyjne słowa tak na nią podziałały.

– Liz?! – wołam, widząc, że pędzi na oślep. – Zaczekaj, do cholery! – dodaję zniecierpliwionym głosem.

Nie słucha mnie jednak, dlatego przyspieszam. Doganiam ją dopiero w okolicy skał, za którymi rozciąga się plaża. Ale i tutaj nie zamierza ustąpić i zaczyna biec jeszcze szybciej. Zastanawiam się, skąd ma w sobie tyle pary, ale wiem jedno – muszę ją zatrzymać. Kiedy mijamy ostatnie głazy, a nasze stopy zatapiają się w piasku, znowu się z nią zrównuję, i chwytam ją za ramię, w efekcie czego oboje lądujemy na glebie. Obracam Liz na plecy. Mam ochotę naprawdę mocno ją skrzyczeć. Tak bardzo mnie wkurzała przez cały dzień, że zasługuje na znacznie więcej aniżeli porządny opierdol. Jednak szybko zmieniam zdanie, a na widok jej łez tracę zdolność mówienia.

– Puszczaj! – piszczy, próbując się wyswobodzić spod mojego ciężaru.

Nie reaguję, tylko się jej przyglądam z obawą. Naprawdę nie wiem, o co chodzi.

– Złaż ze mnie – mówi i pochlipuje, jednocześnie próbując mnie zepchnąć.

Już mam zapytać, co się dzieje, wyjaśnić z nią pewne kwestie, ale mnie ubiega:

– Lubisz takie zabawy, tak?! To o to chodzi? – naskakuje na mnie. Problem w tym, że nie mam pojęcia, o czym, do cholery, mówi. – Lubisz wykorzystywać głupie i naiwne kobiety, prawda?

Nadal nie pojmuję, co mi zarzuca. Poza tym w moich oczach nie uchodzi za głupią ani tym bardziej naiwną. Liz, jak mało która, wie czego chce, aż za bardzo.

– Nie dramatyzuj, Liz – odpowiadam jedynie, bo nie chcę wyjść na totalnego chama.

– Jesteś dupkiem, wiesz? – dodaje, a łzy nie przestają płynąć. – Cholernym, egoistycznym dupkiem. Jak każdy zresztą facet! – dorzuca i chyba nawet próbuje mnie uderzyć, ale nie ma na to dość siły, bo jej ręce znajdują się pode mną.

– Uspokój się i nie pogarszaj sytuacji.

– Zejdź ze mnie, a pokażę ci, jaka jestem spokojna – warczy mi prosto w twarz.

Mam ochotę się przekonać, co by zrobiła, gdybym teraz spełnił jej żądanie, ale zanim zdążę nad tym choć przez chwilę pomyśleć, znów wrzeszczy:

– Też uważasz, że nie zasługuję na miłość, co?! – Nie mam pojęcia, o czym mówi, a ona nie zamierza mnie dopuścić do głosu. – Każdy z was – warczy, łkając – ty, Tayler, Matt... Wy wszyscy uważacie, że jestem gorsza, prawda? I że nie zasługuję na żadnego z was!

Powoli chyba wszystko staje się jasne...

– Co ona ma takiego, czego brak mnie?

– Liz? – Próbuję się przebić przez jej wyrzucane z prędkością światła słowa, co wcale nie jest takie proste. Ona jest jak w transie. Krzyczy na mnie i płacze jednocześnie, wciąż wymyślając mnie od najgorszych i upychając do jednego wora ze swoimi byłymi. – Zamkniesz się wreszcie, do cholery?!

Skutkuje, choć nie mam pojęcia, na jak długo uda mi się zamknąć jej usta, bo spogląda na mnie gniewnie, jakby za chwilę znów miała przystąpić do słownej demolki.

– Posłuchaj...

– Nie. To ty posłuchaj! – przerywa mi, gdy próbuję w jakiś logiczny sposób zebrać myśli. – Dlaczego mi to robisz?

– Co takiego według ciebie robię?

– Ta rozmowa nie ma sensu – odpowiada, a potem znów stara się spode mnie wyślizgnąć.

Wtedy ją całuję. W zasadzie nie wiem, czy tak bardzo tego chciałem, czy po prostu to było silniejsze ode mnie. Niemniej jednego jestem pewien: muszę choć na chwilę zamknąć jej usta. Chcę bowiem zyskać choć trochę czasu, aby móc pomyśleć, co dalej.

– Zakochałem się w tobie, Liz – zdobywam się na prawdę, kiedy na moment odrywam się od jej warg. Nie mam pojęcia, gdzie mnie to zaprowadzi, ale uznałem, że powinna wiedzieć.

– Ty naprawdę oszalałeś...

– Być może – zgadzam się, co niekoniecznie się jej podoba. – Ale ja naprawdę cię kocham.

– To dlatego traktujesz mnie jak powietrze? – prychna.

I tu ma rację. Ostatnio stale jej unikam. Słabe to, nie przeczę. Przecież mogłem od razu powiedzieć jej, co mi leży na wątrobie.

– Wtedy, tamtej nocy po strzelaninie na balkonie, powiedziałaś mi, że nie żałujesz przyjazdu do Meksyku. To prawda?

Przez chwilę nie odpowiada. Mam nadzieję, że nie wymyśla w głowie jakiegoś tandetnego kitu, który mi sprzeda, a jedynie próbuje sobie przypomnieć z detalami, jak było, odtwarzając teraz tamten moment.

Kiwa głową.

– Co miałaś na myśli?

– Naprawdę nie wiesz? – Patrzy na mnie tak, jakbym ją skrzywdził albo, co gorsza, wbił nóż prosto w serce. – Wobec tego puść mnie, bo ta rozmowa nie ma najmniejszego sensu – mówi zdławionym głosem.

To jasne, że nie zamierzam jej nigdzie puszczać. A już na pewno nie pozwolę jej odejść, dopóki nie poznam prawdy i nie zrozumieję,

o co jej tak naprawdę chodzi. Pytam więc wprost:

– Nie jesteś karierowiczką?

– Co?! – pyta podniesionym głosem. Jest oburzona.

– Rzeczywiście nie chodziło ci o to, że zmieniając zamożnych facetów jak skarpetki, możesz się pławić w luksusach?

– Skąd ci to przyszło do głowy?! Poza tym mogłeś się chociaż odrobinę wysilić i spytać, czy ja w ogóle noszę skarpetki. Do szpilek pasują średnio, nie uważasz?

Jej odpowiedź mnie totalnie rozwała, ale jakimś cudem udaje mi się powstrzymać i nie roześmiać jej prosto w twarz. I nagle dociera do mnie, że chyba właśnie za to uwielbiam ją najbardziej. Jest odważna i wali prosto z mostu, co jej leży na sercu. Czy zatem byłaby w stanie mnie oszukać? Nie sądzę.

– Więc co miałaś na myśli? – pytam, usilnie patrząc jej w oczy.

Oczywiście tylko głupiec nie wpadłby na to, co chciała mi powiedzieć między wierszami, ale pragnę to usłyszeć od niej.

– Domyśl się – burczy, wydymając usta jak mała dziewczynka.

– Powiedz to, najdroższa.

Patrzy jeszcze przez chwilę w moje oczy. Nie wiem, czy się tylko ze mną droczy, czy rzeczywiście ma aż tak wielki problem z okazywaniem uczuć i mówieniem o nich wprost. A może jedno i drugie, albo nawet i trzecie – czymkolwiek za chwilę się okaże. Tak, znając jej temperament, to całkiem możliwe.

– Liz? – naciskam łagodnie.

– Kocham cię, Christianie. I jedyne, co chciałam ci wtedy dość nieudolnie przekazać, to tylko to, że gdybym nie dała się namówić na ten wyjazd, nigdy byśmy się nie spotkali.

# Rozdział 17

## Tayler

– Co ty mówisz, Kyle?

Mój brat właśnie przekazał mi, kogo spotkał w parku, ale nie mam ochoty tego słuchać. Dlatego, żeby go zbyć, udaję, że nie wiem, o co mu chodzi.

– No mówię ci, brat, to była ona. Naprawdę o tym nie wiedziałeś? Sądziłeś, że laska, która do ciebie wróciła, to Liv?

Oczywiście, że o wszystkim wiedziałem, choć mojej rodzinie nie pisałem o tym ani słowa. Zresztą o czym tu było mówić? Miałem się chwalić, że kobieta, którą kocham, doprawiła mi rogi? Obawiam się, że nie udźwignąłbym tego ciężaru, no i samych rogów, z którymi średnio sobie radzę.

– Do sedna, Kyle. Co u niej? – Chcę mieć to z głowy.

Przez moment mój brat milczy, co oznacza, że nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Mija chwila, zanim znów zaczyna mówić:

– Nie wyglądała najlepiej.

Nie spodziewałem się takiej odpowiedzi. Nie sądziłem, że od razu wypali z grubej rury. Przypuszczałem, że będzie mi wiercił dziurę w brzuchu, dopominając się szczegółów. A tymczasem on wyskakuje z czymś takim.

Natychmiast ogarnia mnie niepokój, choć jednocześnie jestem mu wdzięczny za szczerść. Pragnę jednak poznać więcej szczegółów, choćby po to, by wreszcie wyrobić sobie na ten temat jakieś sensowne zdanie. Od kilku dni mam straszny mętlik w głowie.

– Możesz trochę jaśniej?

– Była blada i miała podkrążone oczy – wyjaśnia niemal od razu. – Wpadłem na nią w Central Parku...

Kyle zaczyna coś pieprzyć o swoich interesach, ale w tej chwili nie mam ochoty dłużej słuchać o jego sprawach. Muszę się tylko dowiedzieć, co z nią. A potem? Nie wiem, może o niej zapomnę?

– Kyle? – przerywam mu zniecierpliwiony. – Do sedna.

– Stała przy fontannie. Już z daleka widać było, że coś jest z nią nie tak. Miała przygarbione plecy i gapiała się w dal. Oględnie mówiąc, wyglądała mizernie.

Wkurza mnie coraz bardziej, gadając o tych nieistotnych pierdołach. Ja oczekuję konkretów.

– I? – dociekam.

– Nie jestem pewien, ale wydawało mi się, że płakała. Nie obeszło mnie to jakoś specjalnie, bo nigdy za nią nie przepadałem, a poza tym sam wiesz, jakie są baby. Stale ryczą i to z byle powodu.

W tej jednej kwestii zgadzam się z nim w pełni. Liz właśnie udowadniała, co potrafią wyczyniać rozzłoszczone kobiety. Smutne zatem – wierzę, że Liv męczy poczucie winy, że mnie zostawiła w ten sposób – pewnie zawyżają wszelkie inne statystyki.

– Niestety wiem – wzdycham.

Kyle milczy i – jestem pewien – uśmiecha się. Nie wściekam się na niego. Czekam, aż znów zacznie mówić.

– Podeszedłem do niej i zapytałem, jak się czuje. Była bardzo powściągliwa. Powiedziała jedynie, że bywało lepiej. Myślisz, że znów ma problemy z sercem?

– Nie wiem, Kyle. Już niczego nie jestem pewien – dorzucam, rozmyślając o tym, o czym wcześniej zapewniała mnie Liz, przekonując, że z sercem jej siostry jest w porządku.

Mój niepokój narasta jednak z każdą minutą, a nawet z każdą pieprzoną sekundą. Dodatkowo mam taką pustkę w głowie, że nawet nie wiem, co myśleć. Naprawdę się martwię.

Wiem, że jeśli chcę odzyskać spokój, muszę coś zrobić. Cokolwiek. A najlepiej raz na zawsze zamknąć ten temat. Tylko rozmowa z Liv może to zagwarantować.

– Mam do ciebie prośbę, bracie...

\*\*\*

– No bez jaj, gołąbeczki – mówię, przyłapując ich na stole.

Jestem rad, widząc, że wreszcie wyjaśnili sobie wszelkie nieporozumienia, choć nie sądziłem, że właśnie teraz przyłapię ich w swojej kuchni, w dodatku w *takiej* sytuacji. Muszę jednak przyznać, że ich kreatywne pomysły wykraczają poza jakiegokolwiek schematy. Nic, tylko pozazdrościć.

„A i blaty trzeba porządnie powycierać, umyć, a najlepiej przetrzeć jakimś środkiem dezynfekującym, zanim powstanie na nich kolejny posiłek” – przelatuje mi przez głowę.

– Czego chcesz, Tayler?

Christiano zupełnie się nie przejmuję, że ich nakryłem. Nadal jest... w niej.

– Musimy pogadać. Więc zakładajcie gacie, oboje – podkreślam, na co Liz się rumieni. – Widzimy się w ogrodzie – rzucam na odchodne, a potem wychodzę, żeby dać się im ogarnąć.

Swoją drogą, przez co ja ostatnio przechodziłem... Stale natykałem się na tych dwoje, którzy jak się nie pieprzyli, to się do siebie mizdrzyli. Czasem aż rzygać się chciało od tego widoku. A ja co? Nie miałem nawet czasu, żeby choć na moment zajrzeć do burdelu. Właściwie może to i lepiej, bo nie marzyłem o oglądaniu szpetnych gęb Craiga czy Damiana. Poza tym – muszę to wreszcie przyznać – najlepszy burdel w mieście nie był już taki sam, odkąd odeszła Alejandra. Brakowało mi jej. Zwłaszcza w takich chwilach. Zawsze chadzałem do niej, kiedy potrzebowałem czegoś więcej niż tylko ostrego ruchanka. Była moją przyjaciółką, choć wiem, że stałem się dla niej kimś znacznie bliższym. Ta dziewczyna była naprawdę świetną laską i niczego jej nie brakowało. Ale moje serce od zawsze należało do Olivii, choć na lata zdałem się o tym zapomnieć.

„To nieźle pokręcone, że serce Alejandry już zawsze będzie częścią Liv” – przelatuje mi przez głowę.

Myśląc o niej, znów czuję niepokój. Obawiam się, że zapewnienia Elizabeth już mi nie wystarczają. Bo co, jeśli ona o czymś nie wie i tym razem dojdzie do odrzutu? Tu, na miejscu, byłbym w stanie temu zaradzić. Choć i tak nie jestem pewien, czy Liv, mając świadomość, w jaki sposób się to odbyło za pierwszym razem, ponownie zgodziłaby się na przeszczep. A i szczerze wątpię, że znalazłaby się taka druga Alejandra, która podarowałaby kolejne serce mojej ukochanej. Tak czy inaczej, moje dywagacje są raczej nie na miejscu, bo Olivia była tam, a moje możliwości nie sięgały aż tak daleko. Konflikt klanów spowodował, że nie mogę pojawić się w Nowym Jorku. Jeśli tylko moja noga postałaby na terytorium wroga, rozpętałaby się prawdziwa wojna. A jak wiadomo, każda wojna

pociąga za sobą ofiary, którymi z całą pewnością byłiby członkowie mojej rodziny. Kyle poszedłby na pierwszy ogień. Nie mogłem tego zrobić bratu ani tym bardziej matce. Nie wybaczyłaby mi.

– Stało się coś? – słyszę za plecami.

Odwracam się powoli i widzę dwie wpatrujące się we mnie twarze.

– Dzwonił Kyle.

– Kto? – pyta Liz.

– Mój brat – wyjaśniam, na co ona kiwa głową.

Wygląda na to, że Liz chyba go sobie przypomina.

Wiem, że miała z nim styczność, choć ich spotkanie nie zaliczało się do najprzyjemniejszych. Sam mi o tym opowiadał. Elizabeth pomylił z Liv, którą obwinił za śmierć naszego najmłodszego brata, Dave'a, i potraktował ją nieelegancko. Kyle jest honorowy, a za rodziną skoczyłby nawet w ogień. Ale w tym konkretnym przypadku nie miał racji, o czym go po fakcie uświadomiłem. Dave sam prosił się o kłopoty. I niestety te zaprowadziły go donikąd.

– Aa, *ten* brat. – Dziewczyna nagle doznaje olśnienia. – Milusiński.

Nie kwituję tego ani słowem, bo wiem, jaki potrafi być. Ona zresztą też nie zalicza się do najśłodszych istot na Ziemi i ma cięty język. Nie powinna więc aż tak się czepiać Kyle'a. Jak to mawiają? Swój swojego zrozumie?

– Ten sam – mówię jedynie.

– Ma jakieś wieści o Liv?

Kiwam głową, a potem pokrótce opowiadam im o przeprowadzonej z nim rozmowie.

– Ja pierdolę. Mam złe przeczucia. – Liz jak zwykle mówi, co myśli, nie przebierając w słowach.

– Nie ty jedna. – Mam ochotę wytknąć jej, że wcześniej zapewniała mnie, że Liv ma się dobrze, ale przemilczam tę kwestię. Nie czas na kłótnie.

– Uważasz, że powinnam znów zadzwonić do Matta? – proponuje.

– A co to da?

Przewiduję z góry, jak potoczy się kolejna rozmowa, o ile w ogóle do niej dojdzie. Ten facet to straszny chuj.

– Wciąż czekam na obiecany kontakt – wyjaśnia kobieta. – Myślisz, że Matt mnie oszukał?



– Nie wiem, Liz. Poprosiłem jednak Kyle'a, żeby jakoś sam skontaktował się z twoją siostrą. Obiecał, że się tym zajmie. Poczekajmy jeszcze.

– Ale na co ty chcesz czekać?! – pyta oburzona.

– Liz ma rację – popiera ją Christiano, który do tej pory tylko przysłuchiwał się naszej wymianie zdań. – Chyba nie powinniście dłużej z tym zwlekać.

– I co mamy zrobić? – Spoglądam po nich. – Jeśli ten... Matt nie zechce gadać z Liz, to mamy lecieć do Nowego Jorku, żeby się osobiście przekonać, co się tam naprawdę dzieje?

Puszczają mi nerwy. Pocieram nerwowo szczękę, a potem dodaję:

– Wiesz przecież, że mam zakaz wstępu do tego miasta. Poza tym uważam, że pośpiech z reguły bywa złym doradcą. Może jeszcze rzeczywiście ten... – powstrzymuję się przed kolejnym epitetem, którego stale używam wobec tego niewartego mojej uwagi faceta. – Matt dotrzyma słowa, a ona wreszcie powie nam, co się dzieje. Czy w ogóle coś się dzieje – dodaję, kładąc mocny nacisk na jedno słowo.

– Boże, Tayler, mam naprawdę coraz gorsze przeczucia – jęczy Liz. – A co, jeśli...

Nie wiem, co chce powiedzieć, ale nagle błednie.

– Liz?

– A jeśli ona... Jeżeli Liv... Przecież Kyle mówił, że źle wyglądała.

– Też o tym pomyślałem – wtrąca się Christiano. – Może jednak z jej sercem...

– Nie to miałam na myśli – przerywa mu nagle Elizabeth, po czym spuszcza głowę.

Coś przed nami ukrywa. To pewne. Zdradza ją mina.

– Liz? – Spoglądam na nią coraz bardziej zły. Nie znoszę takich sytuacji, a niedomówień jeszcze bardziej.

– Liv jakiś czas temu wspomniała, że podejrzewa, że...

– Ja pierdołę, wyduś to z siebie wreszcie! – Nie wytrzymuję.

– Liv może być w ciąży!

– W czym? – wypalam jak skończony idiota.

– Nie wiesz, skąd się biorą dzieci? – dopieka mi.

Słusznie. Dostaję za swoje. Sam próbowałem ją tego nauczyć. Najpierw myślimy, potem mówimy. Nigdy odwrotnie.

– Wiesz coś więcej na ten temat? – Nie mam pojęcia, co chciałbym usłyszeć, ale liczę na więcej szczegółów, dzięki którym – mam nadzieję – zrozumieć, o co tyle zachodu.

– Choćby to, że jeśli Liv naprawdę zaliczyła wpadkę, to ojcem może być Matt lub ty, Tayler – wyrzuca z siebie wreszcie Elizabeth.

Zatyka mnie, ale tylko na moment, bo przecież wiem, co powinienem powiedzieć, i nie waham się ani chwili dłużej.

– Nawet jeśli to prawda – cedzę przez zęby – to gdyby Liv chciała, żebym to ja został ojcem jej dziecka, znalazłaby sposób, żeby mi o tym powiedzieć!

## Liz

– Przepraszam, Tayler.

Jest mi przykro. Wiem, że powinnam od razu podzielić się z nim tymi informacjami czy też przypuszczeniami, którymi w zasadzie nadal są, ale właściwie od początku miałam związane ręce. Po pierwsze, kiedy Liv mi o tym mówiła, tylko spekulowała o ciąży. A przecież sianie zamętu na podstawie samego podejrzenia było co najmniej niepoważne. Po drugie, wtedy jeszcze nie byłam pewna, czy Tayler rzeczywiście połapał się w naszej intrydze i całej tej podmianie. A potem? Później zwyczajnie zapragnęłam stabilizacji. Wiem, byłam pieprzoną egoistką, ale naprawdę przez chwilę zamarzyłam o unormowanym, pełnym równowagi życiu u boku naprawdę zajebistego mężczyzny. Wcześniej może i nie fantazjowałam o stałym związku, zwłaszcza z gangsterem, ale nadarzyła się okazja i właśnie *taki* facet był w moim zasięgu, w dodatku robił ze mną *takie* rzeczy...

Cóż, zaślepiło mnie.

Potem jakoś się zwyczajnie nie złożyło, żeby pogadać z Taylerem o mojej ostatniej rozmowie z siostrą. Zresztą tak wiele się działo, w dodatku na mojej drodze stanął ktoś, dla kogo zupełnie straciłam głowę. No i Liv przestała się odzywać, więc na chwilę zapomniałam o jej *rzekomym* problemie.

– Naprawię to. Obiecuję – zapewniam go, ale chyba nie dość wystarczająco, bo widzę, że patrzy na mnie z powątpiewaniem.

Nie wytrzymuję tego i piszę SMS-a do Matta, prosząc go o kontakt z siostrą. Muszę coś zrobić, cokolwiek, bo obawiam się, że w innym

przypadku zjedzą mnie wyrzuty sumienia. Mam tylko nadzieję, że Matthew przekaże wiadomość Liv, bo w tej chwili naprawdę się niepokoję. Widok Taylera, który nie potrafi usiedzieć w miejscu, po prostu mnie martwi, choć i rozczula jednocześnie. I po raz kolejny zdaję sobie sprawę, jak bardzo ten facet kocha moją siostrę. I jak bardzo obie go skrzywdziłyśmy.

## Liv

– Co to za dzieciak, z którym spotkałaś się w parku? – pyta Matt podczas kolacji.

A więc jednak przeczucie mnie nie zwiodło i miałam rację, podejrzewając, że ktoś mnie śledził. Czułam to od jakiegoś czasu, tylko aż do teraz nie miałam na to żadnych dowodów, których, jak się okazuje, w zasadzie nie musiałam zdobywać – Matthew podał mi je na tacy.

– Dlaczego mnie śledzisz? – odpowiadam.

– Bo już ci nie ufam, Liv – mówi to tak zwyczajnie, jakbyśmy dyskutowali o pogodzie.

– Pamiętasz, co mi obiecałeś?

Matt marszczy czoło, jakby się nad czymś zastanawiał. Gra – widzę to w jego kpiącym spojrzeniu. Niespecjalnie się z tym kryje. Nie znoszę, kiedy zachowuje się w ten sposób.

– Przypomnij mi, co takiego ci obiecałem, bo trochę się tego nazbierało – mówi po chwili z cwaniacką miną, która mnie tak irytuje.

Muszę przyznać, że w zasadzie jest sporo racji w tym, co mówi. Gdy zachowywał się jeszcze w miarę normalnie, obiecywał mi, że przeprowadzimy się na obrzeża miasta. Zachwalał tamtejsze czystsze powietrze i zapewniał, że żyje się tam o wiele spokojniej niż w centrum Manhattanu. Mówił też, że dla mojego serca ta przeprowadzka to najlepsza z możliwych decyzji. Oczywiście nie omieszkał mi wówczas przypomnieć, że wszystko, co robi, czyni z myślą o mnie.

Ale ja nie o to go pytałam. Już nie przekonywały mnie jego szczerze chęci i nie miałam ochoty na przeprowadzkę. A już z pewnością nie z nim.

– Chciałabym skontaktować się z Liz – wyjaśniam więc. – Pewnie się o mnie zamartwia.

– Ona? – Matthew unosi brew.

Znów drzwi. Teraz jednak nie jestem pewna, czy ze mnie, czy z mojej siostry. Pewnie zaraz się tego dowiem.

– Ty naprawdę jej nie znasz – kwituje. Chcę mu coś powiedzieć, byleby przestał ironizować, ale nie mam ku temu okazji, bo naraz wypala: – Pewnie masz rację.

– Nie... rozumiem.

– Dzisiaj do mnie pisała – wyjaśnia tak zwyczajnie, jakbyśmy znów wrócili do tematu pogody.

– Naprawdę?

Staram się zapanować nad emocjami, co jest niezwykle trudne, bo naraz budzi się we mnie odebrana mi przez niego na wiele tygodni nadzieja.

Matt zaledwie kiwa głową, a następnie pokazuje, żebym zaczęła jeść. Problem w tym, że z przejęcia nie jestem w stanie nic przełknąć. Mam żołądek zaciśnięty w ciasny supeł.

– Matt, proszę. Zjem wszystko, tylko pozwól mi napisać do Liz.

– Napisać? – szybko podłapuje.

Potakuję głową.

– Proszę. – Podaje mi nagle telefon. Wydaje się zadowolony z mojej decyzji. – Tylko pamiętaj. Wiadomość ma być krótka i bez podtekstów. Zanim ją wyślesz, sprawdzę – zastrzega.

– Oczywiście – zgadzam się. – Najpierw pójde siku, dobrze? – pytam, siląc się na błagalne spojrzenie, które zawsze na niego działało.

– Jasne – rzuca, kiedy już pędzę do łazienki. – Widzisz – dochodzi mnie jeszcze zza pleców, zanim znikam za drzwiami. – Jeszcze mi podziękujesz, jak już pozbędziesz się tego dzieciaka. Megan też stale latała do toalety jak kot z pęcherzem. Noce były najgorsze.

Nie słucham go już. Zamykam drzwi i opieram się o nie plecami. To jest ten moment, ta chwila. A ja tak bardzo się boję...

# Rozdział 18

## Christiano

– To wszystko moja wina. – Liz chlipie w moje ramię. – Jak widzisz, miałeś rację, uważając mnie za pustą lalę – dorzuca łamiącym się głosem.

Zamierzam zaoponować, choćby po to, żeby odrobinę poprawić jej nastrój, ale nim zdolałam otworzyć usta, ona mnie ubiega:

– Nie zaprzeczaj. Mam świadomość, co narobiłam, i domyślam się, co o mnie pomyślałeś. I wiesz co? Ja naprawdę byłam durną pindą!

– Kim?

Ostatnie słowo wymamrotała w swoim ojczystym języku, więc nie zrozumiałem. Niemniej Liz powiedziała to z *taką* miną i w *taki* sposób, że nietrudno było się domyślić, że właśnie zwymyślała samą siebie.

– Nieważne. – Macha ręką. – Byłam głupia i samolubna – wyjaśnia jedynie.

Ja tak nie uważam. Odkąd zrozumiałem, co powodowało jej lepsze bądź gorsze decyzje, czy co kryło się za często niewłaściwymi wyborami dziewczyny, przestałem ją tak surowo oceniać. Ona po prostu chciała kochać i być kochana. Czy to tak wiele? Od chwili, kiedy to pojąłem, zrozumiałem również, że Liz pod płaszczykiem pewnej siebie, często wyuzdanej kobiety skrywała małą Lizzie, która potrzebowała opieki i silnego męskiego ramienia. Teraz wiem, że tylko udawała hardą. Tak po prostu było jej łatwiej.

– Nawet jeśli to prawda – mówię – to najważniejsze, że w porę się opamiętałaś i że postanowiłaś to zmienić.

– Gdyby nie ty...

– To co? – dociekam, choć jestem niemalże pewien, że wiem, co chce powiedzieć.

Nigdy nie byłem narcyzem, ale moje ego urasta do gigantycznego rozmiaru, gdy Liz patrzy na mnie w *ten* sposób. I lubię, kiedy mnie chwali – tak, jestem pewien, że zaraz to zrobi. A może po prostu

trochę się dowartościowuję? Przecież nigdy nie uważałam się za lepszego od innych.

– Kocham cię, Christianie – szepcze Liz, tuląc się do mnie. – To twoja zasługa, że w końcu wkroczyłam na dobrą drogę. To przez ciebie i dla ciebie się zmieniłam.

– Bo się popłaczę – żartuję, cmokając ją w czoło.

– Śmiało – odpowiada, zadzierając głowę i spoglądając mi w oczy.

– Przyznam, że jeszcze nie widziałam mażącego się gangusa.

Jej nieoczekiwane wyznanie sprawia, że zaczynam śmiać się w głos. Liz bywa naprawdę niemożliwa, a do tego tak cholernie podniecająca – urocze zestawienie.

– Pragnę cię, laleczko – mówię cicho, pochylając się i muskając ustami jej wargi.

– No co ty nie powiesz – droczy się ze mną, choć już odpina pasek moich spodni.

Zanim zdążę się zorientować, zsuwa je z moich bioder, a sama zajmuje pozycję klęczącą i odpowiednio się mną zajmuje. Bierze mnie głęboko, do samego końca. Zna się na rzeczy, jak żadna inna.

Kładę ręce na jej głowie, zamykam oczy i chłonę rozkosz, jaką mi daje. I czuję się wspaniale...

\*\*\*

Liz przeciąga się leniwie, leżąc na moim ramieniu.

– Wyspałaś się, laleczko? – pytam, całując ją w czubek głowy.

– Kiedyś miałam przyjemność żyć w czasach, gdy przesypiałam całutką noc – odpowiada, ziewając.

– Czyżbym słyszał nutę utyskiwania na swój nieszczęsny los? – Tylko ją podpuszczam.

– No skąd – zaprzecza natychmiast. – Nie narzekam. Seks jest o niebo lepszy od snu.

– O niebo, powiadasz?

Wyszczierzam się jak idiota. Uwielbiam ją za takie podejście. Nie każda kobieta jest tak aktywna seksualnie. Niejedna szybko się nudzi, a potem facet tylko słyszy wymówki typu: boli mnie głowa lub inne, równie absurdalne argumenty.

„A przecież nie od dziś wiadomo, że seks jest dobry na wszystko, zwłaszcza na ból głowy!” – myślę z przekorą.

– To może mała powtórka? – proponuję, całując jej powieki, policzki i szyję. Tylko krok dzieli mnie od jej sutków, które już stoją na baczność.

– Chętnie – jęczy rozkosznie, odsuwając kołdrę. – Ale najpierw sprawdzę telefon, odczytam wiadomości...

– To może zaczekać – naciskam, natychmiast rozprawiając się z jej piersiami. – To nie – dodaję, napierając na jej brzuch gotowym członkiem.

– Christiano?

– No co? – śmieję się, schodząc jeszcze niżej. – Nie podoba ci się?

– Podoba – odpowiada, rozchylając uda. – Tylko się pospiesz.

Nie umiem się powstrzymać i wybucham śmiechem. Ta kobieta wychodzi poza wszelkie ramy. I pewnie za to Kocham ją najbardziej.

## Tayler

– Zobacz, co właśnie do mnie dotarło – słyszę nagle.

Liz weszła do pokoju bez pukania. Początkowo jednak jest tak bardzo zajęta czymś w swoim telefonie, że nawet nie zauważa, że nie jestem sam. Dopiero po chwili, gdy podnosi wzrok znad ekranu komórki, doznaje olśnienia. Tak, jestem z kobietą. Zadzwoiłem po dziewczkę, bo od tego ciągłego patrzenia na nią i Christiana, którzy naprawdę nie próżnowali, odnosiłem już wrażenie, że eksploduję.

Dziewczyna, która przed chwilą zaczęła mi robić laskę, na moment się wstrzymuje. Jest profesjonalistką, ale najwyraźniej i ją ta sytuacja nieco zaskakuje.

– Ja pierdolę, Tayler! – Liz najpierw teatralnie zamka oczy, a potem, zachowując się odrobinę nie w swoim stylu, zawraca w stronę drzwi. – Jak skończysz, to zajrzyj do mnie, bo mam ci coś do pokazania – rzuca przez ramię, a później znika.

– A nie możesz zrobić tego teraz?

Wiem, dziwne to, ale kieruje mną wyłącznie ciekawość. Poza tym od dziecka cierpliwość nie była moją mocną stroną.

– Nie – słyszę zza niedomkniętych drzwi. – Nie będę pokazywała ci zdjęcia siostry, kiedy ty...

Już nie słucham jej wywodu. Odsuwam laskę, która nadal trwa w zawieszaniu, po czym szybko zakładam spodnie i wręczam jej

gotówkę ze sporym napiwkami. Oczywiście wie, co robić dalej – od razu zaczyna zbierać wszystkie swoje rzeczy. Nie ma tego zbyt wiele, więc idzie jej sprawnie i szybko wychodzi.

Doganiam Liz na schodach. Nadal uparcie wlepia oczy w wyświetlacz telefonu.

– Pokaż! – mówię i, nawet nie czekając na przyzwolenie, odbieram jej z rąk komórkę.

Patrzy na mnie jak na wariata, ale nie komentuje tego ani słowem. Po prostu mi się przygląda, zupełnie, jakby oczekiwała ode mnie jakiejś konkretnej reakcji.

Spoglądam na dziewczynę ze zdjęcia. To moja Liv... Tęskniłem za nią. Wciąż za nią tęsknię, ale nie sądziłem, że jej widok, a właściwie aktualna fotografia, wywoła we mnie tak silne emocje.

Olivia z pewnością zrobiła sobie selfie. Siedzi przy stole, podpierając brodę wolną ręką. Za jej plecami rozciągają się wysokie okna, tworzące szklaną ścianę, z której można podziwiać panoramę Manhattanu. Nie byłem tam dosyć długo, ale ten obraz wyrwał mi się w pamięci na całe życie. Jednak to nie Nowy Jork staje się teraz obiektem mojego niekontrolowanego westchnienia. To widok patrzącej w smartfon rozmytym wzrokiem dziewczyny sprawia, że moje oczy zachodzą mgłą.

Liv, pomimo delikatnego, choć starannie zrobionego makijażu, wygląda na zmęczoną, nienaturalnie bladą. Zupełnie jakby nagle nad jej głową zawisły czarne chmury, przez które nie mogło przebić się słońce, albo nie opuszczałyby swojej szklanej klatki, choć ten jej... partner mówił co innego.

Instynktownie muskam palcami ekran. Nie wiem, po co to robię. Prawdopodobnie chcę wierzyć, że poczuję w ten sposób ciepło jej skóry, jej niewinny, subtelny dotyk. Ale niestety – oprócz narastającego żalu – nie czuję nic.

Zerkam na przyglądającą mi się w milczeniu Liz. Patrzy na mnie z politowaniem. Na ogół tego nie znoszę, ale w tej chwili chyba jest mi to obojętne.

– Tayler?

Kładzie mi dłoń na ramieniu, usilnie wpatrując się w moje oczy.

– Daj spokój, Liz – mówię jedynie, po czym znów przenoszę wzrok na ekran trzymanego w rękach smartfona.



Powiększam odrobinę obraz. Chcę się po prostu ostatni raz lepiej przyjrzeć tej słodkiej dziewczynie z fotografii. Pomimo że w chwili, gdy robiła to zdjęcie, na jej ustach błąka się nieznaczny uśmiech, jej oczy nie wyglądają na uradowane. Liv zdaje się przygnębiona. Ma puste, pozbawione wyrazu spojrzenie. Znam ją i pamiętam, w jaki sposób potrafi patrzeć, kiedy jest radosna. Jej oczy wówczas wyrażają bezwarunkowe szczęście.

– Jak widzisz, nic jej nie jest – odzywa się ponownie Liz.

Pozostaje mi przyznać, że rzeczywiście ma rację. Może i Liv nie skacze z radości, ale w sumie wygląda na zadowoloną z życia.

– Napisała coś? – pytam jeszcze mimochodem, oddając jej siostrze telefon.

Obawiam się, że jeśli nie przestanę się w niego gapić, na siłę zacznę wypatrywać czegokolwiek, co mogłoby mnie skłonić do działania, czymkolwiek to by było. Myślałem o tym wielokrotnie, czekając na wiadomość od Liv. Zastanawiałem się, co zrobię, jeśli okaże się, że dzieje się z nią coś złego lub co najmniej niepokojącego. Nie przychodził mi wówczas do głowy żaden pomysł, bo przecież nie miałem wstępu do NYC, a jednak podświadomie wyobrażałem sobie, że lecę tam, żeby ją ratować.

– Nie – odpowiada Liz. – Wysłała tylko to jedno zdjęcie.

– Skasuj je – burczę, a potem zawijam się na pięcie i ruszam schodami w dół, sam. Muszę się przewietrzyć, bo nagle robi mi się duszno.

## Liz

Żal mi Taylera. Życie nauczyło mnie, że nie należy litować się nad ludźmi, bo ci zazwyczaj nie są tego warci, ale on naprawdę budzi we mnie silne emocje. Ma cierpienie wymalowane na całej twarzy. Zresztą jego pięknie zbudowane i na ogół prężne ciało teraz wygląda, jakby uszła z niego cała para, która dotąd trzymała go w pionie.

A ja nie mogę nic zrobić, nie umiem mu pomóc. Nawet pocieszyć go nie mam jak. On tego nie chce.

Kiedy oddaje mi telefon i zbiega schodami, przez moment patrzę, jak się oddala. Ale gdy zupełnie znika mi z oczu, zaszywając się gdzieś w ogrodzie, nadal tkwię w bezruchu, nie mogąc zdecydować,

czy pójść za nim, czy wrócić do swojego pokoju. Po chwili jednak wybieram opcję numer dwa. Uznaję bowiem, że jeśli ktokolwiek jest jeszcze w stanie mu pomóc, to z pewnością tym kimś nie jestem ja. Za mocno mu ją przypominam.

# Rozdział 19

## Christiano

Liz nie przesadzała. Tayler jest w kiepskiej formie. Jeszcze nigdy dotąd nie widziałem go tak strapionego, tak cholernie przygnębionego. To do niego niepodobne.

– Mogę coś dla ciebie zrobić? – pytam, podchodząc do niego z wolna.

– A masz coś konkretnego do zaoferowania? – odpowiada pytaniem, bez złości, jednak nie szczędząc mi nutki kpiny. – Dla mnie już nic nie da się zrobić, przyjacielu – dodaje po chwili smutnym, przybitym głosem. – Przynajmniej nie w tym konkretnym przypadku. Liv to przeszłość. I im szybciej się oswoję z tą myślą, tym lepiej na tym wyjdę. To przegrana sprawa.

Kiwam jedynie głową. Wiem, co ma na myśli, bo znam go nie od wczoraj. Kiedy Tayler miewa czymś zaprzątniętą głowę, nie myśli logicznie. A przecież czekała nas poważna akcja – jak dotąd najpoważniejsza z tych, w których braliśmy wspólnie udział. W grę wchodziło bezpieczeństwo, a może nawet życie Liz, mojej kobiety. Zatem obaj musieliśmy uczynić wszystko, żeby cała operacja przebiegła zgodnie z planem. Do tego potrzebowaliśmy spokoju ducha.

– A może wyskoczylibyśmy na miasto? – proponuję. – Tylko my dwaj. Co ty na to?

– I tak jak za starych dobrych czasów może byśmy wyobracali tę samą laskę? – dorzuca z ironią Tayler, choć bez przesadnej złości.

– No tego akurat nie mogę ci obiecać. Liz urwałaby mi jaja, gdybym ją zdradził.

– Sam widzisz. – Rozkłada bezradnie ręce. – Beznadziejny przypadek.

– O jakim beznadziejnym przypadku rozmawiacie? – Dochodzi do nas damski głos gdzieś z głębi ogrodu.

To moja dziewczyna. Jednak nie umiała się powstrzymać i musiała wsadzić swój wścibski nosek w nie swoje sprawy. A prosiłem ją,

żeby dała nam trochę czasu.

– Moja mama mawiała, że nie ma beznadziejnych przypadków – dopowiada Liz, nie czekając na nasze wyjaśnienia. – A nawet jeśli są, to święty Juda pomoże.

– Kto? – Obaj przyglądamy jej się jak wariatce.

– No tak – wzdycha teatralnie i dla wzmocnienia efektu wzrusza ramionami. – Ja tu mogę pieprzyć o patronach od spraw beznadziejnych, Judzie, Ricie czy innych zmyślonych postaciach – zaśmiewa się z własnego żartu – a tymczasem gadam do dwóch gangsterów, którym pewnie daleko jest do wiary w cuda.

Zerkam kątem oka na Taylera. Uśmiecha się powściągliwie, a to już coś. Potem przenoszę wzrok na Liz. Mruga do mnie porozumiewawczo.

Chryste... Albo właściwie: o święty Judo! Jak ja ją kocham.

## **Tayler**

Nie wiem, jakim cudem udało im się mnie wyciągnąć, ale przyznaję, że chyba warto było opuścić swoją kryjówkę. Na mieście nawet zwykłe piwo smakuje lepiej niż jakikolwiek inny, nawet z najwyższej półki alkohol wypity w domu. Żeby nastrój był przedni, musiały być jeszcze staranna oprawa oraz dobra zabawa, o które, rzecz jasna, ciężko we własnych czterech ścianach.

Kelnerka przynosi do naszego stolika kolejną tacę z drinkami i przekąskami, wśród których królują nachosy oraz miniaturowe tortille, którymi ja i Christiano chętnie zagryzamy alkohol. Oczywiście Liz nie zamierza tknąć jedzenia, mówiąc wprost, że to niezdrowe i kaloryczne. Cóż, może i jest na swój sposób wyjątkowa, ale w tej materii nie różni się od większości kobiet przesadnie dbających o figurę.

To chyba czwarta kolejka, więc w zasadzie wszyscy mamy już dość. Liz w szczególności. Pijąc z nami łąb w łąb tequilę, pewnie chciała nam zaimponować. Jak widać, nie wytrzymała tempa i teraz jest tak pijana, że Christiano będzie ją musiał nieść do samochodu. To nic wielkiego, bo sama Liz waży tyle, co piórko, ale jest mi jej żal. Właściwie bardziej współczuję przyjacielowi. Jutro jego dziewczyna niewątpliwie będzie miała gigantycznego kaca. A wiadomo, kiedy

laskę pokroju Elizabeth coś boli, to lepiej zapobiegawczo usunąć się jej z drogi.

„Biedny Christiano” – myślę, upijając ze szklanki łyk kolejnego drinka.

– No popatrz, Maxwell – słyszę nagle, a już po sekundzie dostrzegam zakazaną mordę Craiga. – Ostatnio jakoś ciągle na siebie wpadamy.

– No popatrz, Edison. To dziwne, że w tej lepszej części miasta znów musiałem natknąć się na szczura.

– Ale mu dowaliłeś – odzywa się bełkotliwym głosem Liz, która dotąd zdawała się przysypiać na ramieniu swojego chłopaka. Wydaje się bardziej niż zadowolona.

– A tobie co? – Craig spogląda na nią podejrzliwym wzrokiem. – Narzeczony ci się pomylił?

– Nic ci do tego – rzuca cierpko i jeszcze mocniej uczepia się ramienia Christiana, który patrzy na mnie tak, jakby oczekiwał wskazówek.

– Mnie to w zasadzie wszystko jedno, z kim się pieprzysz. Najlepszy przyjaciel narzeczonego... – Cmoka wymownie, czym naprawdę mnie wkurwia. – Czemu nie? Możesz nawet rznąć się z połową miasta, ale za mąż radziłbym ci wyjść za właściwego kolesia – dodaje, a potem pokazując mi, że nadal będzie mnie obserwował, zawraca w stronę, z której nieoczekiwanie przyszedł.

– Pierdol się ty... – warczy bełkotliwym głosem Liz. Chyba zamierza dodać coś jeszcze, co jest *bardzo* w jej stylu. Albo zwyczajnie zapomniała imienia faceta, który ją ewidentnie prowokował, co zdradza jej mina.

– Liz... – Próbuję ją uciszyć szeptem, ale jest już na to za późno.

Craig, słysząc jej zaczepkę, zatrzymuje się w połowie drogi i ponownie obraca w naszą stronę.

– Nie poznaję cię, Liv – mówi. – Zwyczajnie nie mogę uwierzyć, że tak się zmieniłaś – dorzuca, wkładając do ust wymemłaną wykałaczkę, którą dotąd miętosił w swoich brudnych łapskach, i zaczyna ją żuć.

Craig coś podejrzewa. Jestem tego absolutnie pewien. Ale dopóki nie ma dowodów, nic nie może zrobić. Niemniej i tak muszę jakoś

zareagować, zanim sprawa zupełnie wymknie się spod kontroli, bo on kontynuuje:

– Dziewczyna, którą znałem, była...

– Nie zapominaj, że dziewczyna, którą przed laty miałeś niewątpliwie zaszczyt znać – przerywam mu, insynuując, że nigdy na nią nie zasługiwał – teraz ma serce jednej z twoich dziwek – dorzucam, patrząc mu z pogardą w oczy. – A to zmienia postać rzeczy.

Nie odpowiada, tylko dalej skubie zębami drewniany patyk i lekko kiwa głową. Na szczęście po chwili przebąkuje jeszcze pod nosem ciche „tik, tok”, co w praktyce oznacza kończący się czas, a potem zwyczajnie odchodzi.

Spoglądam na Liz, która lekko przytomnieje i już otwiera buzię, żeby coś odszczeknąć do oddalającego się Craiga, ale powstrzymuję ją.

– Cisza – mówię spokojnym, ale stanowczym głosem, co szczęśliwie wystarcza. – Zbierajmy się – dodaję, po czym wstaję od stolika i ruszam do wyjścia.

\*\*\*

Ostatnio miewam kłopoty ze snem. Na ogół do rana nie mogę zasnąć, a kiedy jakimś cudem udaje mi się zapaść w krótką drzemkę, budzę się zlany potem. Nawiedzają mnie dziwne majaki, w których główne skrzypce gra oczywiście nikt inny jak Liv. Nie ma dnia, bym nie próbował wyrzucić jej ze swojej głowy, zwłaszcza kiedy odkryłem, jaka jest naprawdę, ale, jak widać, nie jest to takie proste. O pewnych osobach nie zapomina się tak łatwo. Są ludzie, którzy na zawsze zapisują się w naszych myślach. Podobnie zresztą jak uczucia, które do nich żywimy. Te także zostawiają po nich trwałe ślady w naszych sercach.

Naprawdę zawiodłem się na Liv. Początkowo starałem się jakoś wytłumaczyć jej wybór, zrozumieć ją. W końcu mnie i temu gogusiowi z Manhattanu wiele zawdzięczała. Poza tym zdawałem sobie sprawę, że to właśnie on zapewniał jej stabilizację i spokój, o który walczyła przez całe swoje życie. Może i byłem w stanie dać jej namiastkę harmonii, o której marzyła, ale spokoju u mojego boku raczej nigdy by nie zaznała. Dlatego musiałem się pogodzić z jej

decyzją i pozwolić jej żyć tak, jak chciała. Jednak kiedy ujrzałem to jej pozowane zdjęcie...

Coś we mnie pękło. Znałem ją, nawet więc jeśli na tej fotografii uśmiechała się do mnie, to widziałem, że jej uśmiech jest sztuczny i nie była w stanie ukryć przede mną smutku, który wycierał z jej oczu. Liv nie była szczęśliwa. Trwała w związku, który ją wypalał, a robiła to dla wygody i własnego interesu. Rozumiałem, że nie chciała wracać do slumsów, w których wychowywała się przez lata, tak samo jak ja. Ja też nie planowałem powrotu do tego, co było, ale nie mogłem pogodzić się z myślą, że rezygnując ze mnie i świata, jaki miałem jej do zaoferowania, wybrała życie w złotej, a właściwie szklanej klatce.

To zabolowało mnie podwójnie. Poczuję się gorszy, a ta myśl mnie dobiła. Nie mogłem dać jej wymarzonego spokoju, ale za to pragnąłem dać jej wszystko inne. Chciałem ofiarować jej siebie. Tak, marzyłem, aby obdarować ją wszystkim, co najcenniejsze: własną miłością. A ona potraktowała mnie jak chłopaka z ulicy, którym byłem przed laty. Jak szczeniaka, który dzielił się z nią własnymi kanapkami, nie mając jej nic więcej do zaoferowania. I miała w dupie moją miłość. Liv jest taka jak inne kobiety. Najwyższa pora pogodzić się z tą myślą.

## Liv

Już drugi dzień czekam na jakieś wieści od Liz. Wciąż mam nadzieję, że coś wymyśli i się do mnie odezwie. Ale ona uparcie milczy, a mnie kurczy się czas. Zatrwożona odliczam pozostałe do zabiegu minuty. Tak – Matt nazywał aborcję zwykłym zabiegiem...

Ostatnio chodzi cały w skowronkach. Ponoć to zasługa tego, że coś drgnęło w związku z prawem do opieki nad jego synem. Nie wypytuję o szczegóły, bo nie jestem w nastroju, wiedząc, co w międzyczasie zamierza zrobić z naszym dzieckiem. Tak naprawdę nadal nie mam pewności, kto jest ojcem maluszka, który we mnie rośnie, ale ponieważ dzielę życie z Mattem, to właśnie jego widzę w tej roli – bez względu na krew, która płynie w żyłach dziecka.

– Chciałabym wyjść na spacer – przerywam mu, kiedy znów rozckliwia się nad własnym życiem.

Właściwie to nie wiem, o czym mówi, bo go nie słucham. Mam własne, znacznie poważniejsze problemy niż wybór kolejnego przedszkola dla Sammy'ego. To, do którego chodził, też było jedną z najlepszych, najbardziej prestiżowych placówek w mieście. Ale Matt uparł się, żeby przenieść syna. Oczywiście twierdzi, że robi to wyłącznie z myślą o jego dobru. Ja jednak wiem, że podjął taką decyzję, żeby zrobić na złość Megan i pokazać jej, że on i tak zawsze dopnie swego. I muszę przyznać, że jest w tym naprawdę dobry.

– Przecież zaraz będzie padać. – Przygląda mi się wnikliwie.

Zerkam za siebie i patrzę w okno. Myślę, że z tych ledwie co zagęszczających się obłoków deszczu nie będzie.

– Nie jestem z cukru – mówię. Nie zamierzam się z nim spierać. Po prostu liczę, że pozwoli mi wyjść. – Poza tym, kiedy mnie poznałeś...

Chcę mu powiedzieć, że nieraz spacerowałam po mieście w dużo trudniejszych, a nawet ekstremalnych warunkach, często niedostatecznie ubrana, nawet w strugach deszczu, ale on mnie ubiega:

– Byłaś wtedy inną osobą.

– To prawda.

Kiwam z zadumą głową. I nie mam tu na myśli swojego nowego serca, które rzekomo mogło stać za moją przemianą – to kolejna *niepodważalna* opinia Matta – a jedynie myślę o tym, że wówczas, pomimo biedy, z jaką musiałam się stale zmagać, mimo nieustających problemów, które lgnęły do mnie niczym magnes do metalu, byłam na swój sposób szczęśliwa.

Wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, że szczęście ma tak różne oblicza. Żyjąc w ubóstwie, wydawało mi się, że jego absolutne spełnienie objawia się domem lub luksusowym apartamentem, takim jak ten, w którym zamieszkałam z Mattem. Pełnym żołądkiem czy nawet ciepłą puchówką, która zapewniała dostateczne ciepło w jesienne lub zimowe, mroźne nowojorskie poranki. Dziś jednak rozumiem, że gdy mieszkałam w dzielnicy slumsów z ojcem alkoholikiem, też byłam na swój sposób szczęśliwa, a już z pewnością bardziej, niż jestem obecnie. Wtedy miałam dach nad głową – dziurawy, nie przeczę, ale własny. Miałam też pokój, w



którym mogłam się zaszyć i nie czułam tej ciągłej kontroli, która mnie teraz tak przytłacza. I miałam ojca, którego, pomimo wielu wad, kochałam nad życie. Z wzajemnością. A dziś...? Dzisiaj po raz kolejny dociera do mnie, że można mieć wszystko i być otoczonym luksusem, a jednak wciąż pozostawać biedakiem.

– Muszę się przewietrzyć, Matt – powtarzam cicho, licząc, że się zgodzi.

– Daj mi chwilę, kochanie. Ja również z chęcią zaczerpnę świeżego powietrza.

Muszę podjąć szybką decyzję, żeby Matt się przypadkiem nie rozmyślił. Mam do wyboru spacer z człowiekiem, którego nienawidzę, lub więzienie, które dla mnie stworzył. Z dwojga złego wybieram spacer...

# Rozdział 20

## Liz

Budzę się z językiem przyschniętym do podniebienia i pragnieniem tak olbrzymim, że gdyby na świecie wyschły wszystkie rzeki, byłabym w stanie wypić do ostatniej kropli wodę choćby z sedesu, gdyby ta miała się okazać ostatnim jej źródłem. W dodatku głowa mi pęka. Ten ból jest nie do zniesienia, a najmniejszy ruch czy nawet zwykłe mrugnięcie powieką tylko go potęgują.

Unoszę głowę z poduszki, co okazuje się nie lada wyczynem, bo wiruje mi w niej okrutnie. Rozglądam się po pokoju. Christiano gdzieś przepadł, choć mogłabym przysiąc, że to on dzisiejszej nocy przyniósł mnie do łóżka. Próbuję sobie przypomnieć coś jeszcze z minionej nocy. Wiem, że wypiliśmy morze tequili i byłam tak pijana, że nie mogłam utrzymać się na nogach.

„Wstyd!” – besztam się w myślach, naprawdę czując się fatalnie.

Z powrotem, choć z niezwykłą ostrożnością, kładę głowę na poduszce, ale nawet znikomy kontakt z miłym w dotyku materiałem potęguje ból w skroniach.

– Cierp ciało, coś chciało – jęczę bezradnie.

Na szafce nocnej, po mojej stronie łóżka, dostrzegam butelkę z wodą mineralną i opakowanie ibuprofenu. Nawet nie muszę zgadywać, kto je tu położył. Christiano jest najlepszym facetem, jakiego mogłam spotkać.

Z trudem przybieram pozycję pólśiedzącą, a następnie wyłuskuję z blistra od razu dwie tabletki – na takie cierpienie jedna to stanowczo za mało – wkładam je do ust i pijam dużą ilością gazowanej wody.

Chryste... Smakuje tak wybornie.

Znów zlegam w pościeli. Mam nadzieję, że jeśli poleżę chwilę – kwadrans, góra dwa – poczuję się odrobinę lepiej, bo na razie jest fatalnie. Kręci mi się w głowie, że o bólu nie wspomnę. I jest mi niedobrze. Ufam, że nie będę wymiotować, nie znoszę tego.

Swoją drogą zastanawia mnie, jak udało mi się nie zarzygać wszystkiego wokół. Po takiej dawce alkoholu na ogół tak to się dla mnie kończyło.

Dla pewności rozglądam się jeszcze uważniej, by się zupełnie uspokoić. Byłoby mi strasznie wstyd, gdyby okazało się, że będąc nieprzytomna, wymiotowałam i w dodatku niczego nie pamiętam. Co by o mnie pomyślał Christiano?

Chcąc odepchnąć od siebie te nieprzyjemne wizje, sięgam po swój smartfon. Liczę, że zdołam zająć czymś myśli. Nie zamierzam dłużej wracać wspomnieniami do wieczora, który pamiętam jak przez mgłę. Wiem, że byliśmy w klubie. Tequila lała się hektolitrami, a ja głupia chciałam pokazać chłopakom, że mogę im dorównać. Cóż, nawet nie kojarzę, w którym momencie urwał mi się film. Wiem tylko, że wtuliłam się w ramię mojego chłopaka i zasnęłam. Potem na krótko, zdaje się, odzyskałam świadomość. Ale czy na pewno? Bo jeśli tak, jeżeli to, co właśnie sobie przypomniałam było prawdą, to chyba nieźle wkurzyłam tamtego typa.

Craig! Tak, teraz sobie przypominam. Zwłaszcza jego imię. Wyraz tej parszywej gęby także. Zaczepiał nas, prowokował. A ja, choć byłam półprzytomna, miałam ochotę mu wygarnąć. Gdyby nie Tayler...

Teraz jest mi wstyd i zamierzam jeszcze dziś przeprosić go za swoje zachowanie. Christiana zresztą także, może nawet bardziej. On na pewno nie powinien mnie oglądać w takim stanie.

Kiedy więc ból ustaje na tyle, że mogę chodzić, wstaję, a potem idę do łazienki. Zanim udam się do mężczyzn, by się przed nimi pokajać, muszę się jakoś ogarnąć. W tym stanie – choć pewnie jest o niebo lepszy od tego sprzed kilku godzin – nikt nie powinien mnie widzieć.

## Liv

Sądziłam, że znów mnie zwodzi, ale tym razem Matt dotrzymuje słowa. Po południu zabiera mnie na spacer. Nie pojechaliśmy jednak do Central Parku, który tak lubię, a na plażę. W zasadzie chyba jest mi wszystko jedno. Tutaj powietrze jest jeszcze czystsze niż w parku, w dodatku przesiąknięte oceaniczną bryzą. Podoba mi się takie zestawienie.

„Nic, tylko korzystać z chwili – myślę, spoglądając w ocean. – Bo ta może się nie powtórzyć lub być ostatnią” – dodaję jeszcze ze smutkiem.

Powinam walczyć, postarać się bardziej – mogłabym pójść do jakiegoś ośrodka, których jest sporo w całym mieście, i poprosić o pomoc, ale nie potrafię. Nie mam pojęcia, z czego to wynika. Może mam depresję? Ciężko wyczuć. Wiem tylko, że powoli odechciewa mi się żyć...

Mój *zabieg* zaplanowano za dwa dni, a ja wciąż nie mam żadnego planu, by jakoś temu zapobiec. Liz najwyraźniej musiała przeoczyć wiadomość, jaką jej wysłałam, albo... Cóż, moja siostra ma własne życie. Wiedzie je u boku mężczyzny, którego kocham całym sercem, a którego z poczucia obowiązku wobec Matthew zostawiłam. Teraz już jestem pewna, że dałam się namówić Mattowi na tę mistyfikację, dlatego że czułam, iż jestem mu coś winna. On jako pierwszy wyciągnął do mnie rękę i mi pomógł. Wyrwał mnie z macek biedy i zabrał w miejsce, które stało się moim schronieniem, moją oazą spokoju, o której marzyłam przez całe długie lata. To właśnie Matt pokazał mi świat, do którego chciałam trafić, będąc małą, nieszczęśliwą dziewczynką. Dlatego się w nim zakochałam – z wdzięczności. Jednak stosunkowo niedawno zrozumiałam, że zakochać się to coś zupełnie innego, aniżeli naprawdę kogoś kochać. Dotychczas myślałam, że to jest to samo, a nawet zdawało mi się, że uczucia rodzące się z obowiązku to stek bzdur. Dziś dostrzegam różnice. I jestem już absolutnie pewna, że nigdy nie kochałam bardziej żadnego innego mężczyzny tak jak Taylera. Nie ma dla mnie znaczenia, jaką ma przeszłość ani kim jest. Nie obchodzi mnie, że jest gangsterem i prowadzi interesy, o których wolałabym nie wiedzieć. Bo Tayler kochał mnie równie mocno, jak ja wciąż kocham jego. Tak, kochał... Czas przeszły. Teraz jest w związku z moją siostrą, która pojechała do Meksyku, by udawać mnie.

– Zobacz, Liv! Delfiny – zagaduje Matt, wbijając się swoimi słowami gdzieś pomiędzy moje ponure myśli. Wskazuje przy tym gdzieś hen, daleko przed siebie.

Nie widzę nic więcej poza spienionymi wodami Atlantyku. Zaczynam więc podejrzewać, że Matthew próbuje mnie celowo

zagadać, ugłaskać. Ostatnio odrobinę zmienił wobec mnie nastawienie. Już nie jest taki oschły, a nawet stara się, by było jak dawniej. Wspominał coś o zakupie psa. Mówił, że przyda mi się jakieś codzienne zajęcie. Może i wyprowadzanie czworonoga zaliczało się do tych czynności, ale ja wcale nie potrzebowałam zwierzęcia. Po prostu chciałam świętego spokoju, którego tak bardzo mi brakowało. Poza tym jestem pewna, że gdybym tylko mogła urodzić to dziecko, które nosiłam pod sercem, nie nudziłabym się. I miałabym dla kogo żyć, nawet zamknięta w klatce, którą dla mnie stworzył Matt.

– Liv? – odzywa się Matt. Stoję zwrócona do niego plecami i spoglądam w ocean. – Kochanie?

Od jakiegoś czasu nie znoszę, kiedy się tak do mnie zwraca, ale jedyne, co teraz mogę, to udawać, że jest jak dawniej. Przecież ten koszmar już niebawem się skończy.

– Uśmiechnij się. Wszystko będzie dobrze – przekonuje mnie łagodnie, głosem tak bardzo podobnym do człowieka, którego niegdyś szanowałam. Obejmuje mnie od tyłu i zagarnia do siebie. – Czas płynie, a problemy, które teraz wydają się nie do przeskokoczenia, kiedyś staną się zwyczajnym, niewartym zapamiętania wspomnieniem.

Ledwie powstrzymuję się, żeby nie wybuchnąć histerycznym śmiechem, choć jednocześnie pod powiekami czuję pieczenie. Czy on słyszy samego siebie? Czy nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji?

Nie mogę jednak uronić choćby łzy, bo Matthew właśnie odwraca mnie w swoją stronę, zmuszając tym samym, bym na niego popatrzyła.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnia tym samym cichym i kojącym głosem, którym mnie kiedyś oczarował. Wierzyłam wówczas w każde jego słowo. Ufałam mu...

Dziś jednak nie daję już wiary żadnym jego zapewnieniom. Nie widzę też tej świetlanej przyszłości, którą przede mną usilnie roztacza. Dla mnie bowiem przyszłość miała się skończyć już za dwa dni.

– Liv? – dochodzi do mnie z oddali.

Początkowo uznaję, że rozum płata mi figle, zaś zasłyszane na wietrze słowa są zaledwie wytworem mojej wyobraźni. Ale nawoływanie, które zdaje się dochodzić gdzieś z okolic mola, powtarza się. Nadal nie jestem pewna, czy nie mam urojeń, ale ten głos... Wydaje mi się, że już go gdzieś wcześniej słyszałam, tylko że dochodzący od strony spienionego Atlantyku szum jest zbyt silny, żebym od razu mogła ten głos rozpoznać.

I nagle dostrzegam podążającego w naszym kierunku chłopaka. To Kyle. Już nie mam żadnych wątpliwości.

– Liv! – woła ponownie, a potem podchodzi na tyle blisko, że słyszę już wyraźnie każde jego słowo. – Próbowałam się z tobą skontaktować, ale...

Nie wiem, o czym mówi, ale zanim zdążę zapytać go o szczegóły, Matt chwytą mnie za ramię i zaczyna ciągnąć w stronę łądu.

– Idziemy, kochanie – warczy mi do ucha.

– Liv, zaczekaj!

Kyle także nie odpuszcza. Nie wiem, o co mu chodzi, bo nigdy mnie nie lubił, a teraz jest przesadnie zainteresowany kontaktem ze mną.

A może... Może ma dla mnie jakieś wieści?

Nie mam jednak szansy, żeby się nad tym głębiej zastanowić, bo Matthew nie zamierza przystanąć choćby na chwilę. Ciągnie mnie, boleśnie wbijając palce w moje przedramię.

– Liv, do cholery, porozmawiajmy! – naciska Kyle i podąża za nami.

– Matt?! – Próbuję jeszcze wyszarpnąć ramię z żelaznego uścisku, ale mężczyzna trzyma mnie zbyt mocno. – To Kyle, mój dawny sąsiad – przekonuję go łagodnie. – Nie rób scen – dodaję najciszej, jak tylko zdołam.

– Wracamy, Liv – upiera się i w ogóle mnie nie słucha, a potem ciągnie jeszcze mocniej.

– Liv?! – woła Kyle. Dystans między nami wyraźnie się zwiększa, przez co jego głos staje się cichszy. – Chciałem tylko pogadać. Tay...

Niestety nie słyszę ani słowa więcej – każde kolejne zabiera ze sobą wiatr.

## Tayler

– Nie, Kyle! – warczę do słuchawki.

Jestem zły i nie mam ochoty dłużej tego słuchać. Ten etap życia uznaję już za zamknięty. Właściwie najlepiej byłoby od razu uznać go za niebyły.

– Ale sam mnie o to prosiłeś, Tayler – przypomina mi z pretensją w głosie mój młodszy brat. – Wiesz, jakie miałem szczęście, że na nią przypadkowo wpadłem? Dostanie się do niej to nie lada wyczyn. Zupełnie jak przebrnięcie przez zabezpieczenia tego apartamentowca, które okazały się ponad moje możliwości – dodaje. – A jednak nieopodal mola, gdzie akurat robiłem interesy z chłopakami...

Naprawdę nie obchodzi mnie to. Czego on jeszcze nie ogarnia? Nie chcę o niej mówić. Nie chcę o niej nawet słyszeć. Ta dziewczyna to już przeszłość.

– Czego ty, do cholery, nie rozumiesz, Kyle? – pytam, przerywając jego zbytęcną paplaninę. – Ona mnie nie obchodzi! Czy to aż tak trudno pojąć?

Po drugiej stronie wreszcie nastaje upragniona cisza. I dobrze, bo mam dość tej nieklejącej się rozmowy. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że sam prosiłem go o kontakt z Liv, ale temat uważam już za nieaktualny. Już nic nie chcę wiedzieć. Liv dokonywała świadomych wyborów i wybrała życie beze mnie, więc i ja nie zamierzam dłużej oglądać się za siebie. Pragnę wreszcie ruszyć z miejsca i żyć tak jak dawniej, bo chwilami zaczynam odnosić wrażenie, że lada moment oszaleję.

– Skoro tak mówisz – słyszę jeszcze w odpowiedzi.

– Lepiej powiedz, co u mamy, co w domu? – zmieniam zrećznie temat. Uznaję, że skoro już rozmawiamy, to może chociaż pogadamy o czymś przyjemniejszym.

Matka, pomimo upływu lat, wciąż nie może przeboleć, że ich nie odwiedzam. Wiem to od ojca, który czasem wytyka mi to, gdy uda nam się pomówić. Na ogół język mu się rozplątuje, kiedy przesadzi z alkoholem. Staje się wtedy bardziej wylewny i odważny. Nie mam o to żalu do staruszka, ale ciężko mi się tego słucha, bo być może trudno mu w to uwierzyć, ale ja też tęsknię za nimi wszystkimi, za domem. Bo chociaż leży w owianej złą sławą dzielnicy NYC i daleko

mu do ideału, wychowałem się w nim i mam masę ciepłych wspomnień związanych z tym miejscem.

Wracając jednak do mamy. Ona prawdopodobnie albo się wszystkiego domyślała, albo wiedziała więcej, niż chciała przyznać. Nigdy bowiem nie zapytała wprost, co stoi za moją decyzją o bezpowrotnym zniknięciu, ale zdawała się na swój sposób pogodzona z tym, że nigdy jej nie odwiedzę w Nowym Jorku. Nie nalegała także na wizytę w moim domu w Meksyku, co prawdopodobnie oznacza, że rozumie więcej, niż chce powiedzieć. Uszanowała moją decyzję i zadowolona była tymi naszymi znikomymi kontaktami, krótkimi telefonami, czasem jakąś wideorozmową, podczas których nie naciskała na żadne wyjaśnienia, co w sumie było do niej niepodobne. Byłem jej za to szczególnie wdzięczny, zwłaszcza że nie zamierzałem jej opowiadać ze szczegółami, jak przed laty popadłem w niełaskę gangu, z którym miałem układy. Po prostu o pewnych rzeczach nie powinna wiedzieć.

– Mama jak to mama – słyszę w odpowiedzi. – Zajmuje się domem i ciągle zrędzi, że wszystko musi robić sama.

– To może jej pomóż, głąbie?

– A myślisz, że tego nie robię? – fuka. – Ale ty zdaje się zapomniałeś, jaka ona jest. Najpierw każe mi coś zrobić, a potem wytyka, że nikt nie robi tego lepiej od niej samej.

Uśmiecham się. Czas płynie nieubłaganie, ale, jak widać, pewne rzeczy czy zachowania się nie zmieniają. Nie jestem już smarkaczem, którego matka nieraz zdzieliła ścierką po głowie, ale nawet to wspomnienie wciąż powoduje we mnie ciepłe odczucia. Doskonale pamiętam, jak mama stale czeptała się o bałagan i o to, że nic nie robimy, nie pomagamy jej, choć my, na swój pokrętny sposób, naprawdę się staraliśmy. Ojciec, który na ogół miał gdzieś jej marudzenie, czasem tylko oznajmiał, że i tak nie ma nic lepszego do roboty, więc niech sama się wszystkim zajmie. Ciekawe, że miał w zwyczaju tak gadać, kiedy właśnie gdzieś pilnie wychodził? Rozsądne z jego strony, nie przeczę.

– Radzicie sobie jakoś? – pytam jeszcze. – Wystarcza wam na bieżące wydatki? – dociekam, bo wiem, jaka jest mama. Pierwsza sama nigdy nie poprosi o pomoc, nawet jeśli będzie jej potrzebowała. Od wielu lat pomagam im finansowo, ale ojciec



ostatnio wspominał coś o przeciekającym dachu, więc wolę się upewnić.

– Spoko. Dajemy radę.

– Ale jakby coś...

– Tak, dam ci znać – Kyle zbywa mnie. Jest podobny do matki, tak samo uparty i dumny jak ona.

Nie zamierzam dłużej wiercić mu dziury w brzuchu. Po prostu podczas kolejnej rozmowy z ojcem wybadam, co i jak. On powie mi prawdę.

– Muszę kończyć, Kyle – oznajmiam, bo słyszę nagle, że ktoś próbuje się ze mną skontaktować na drugiej linii.

Zerkam na wyświetlacz. To jeden z moich ludzi, zatem prawdopodobnie to coś niecierpiącego zwłoki.

– Mam ważny telefon – dorzucam.

– Zaczekaj, bracie!

– Tak, Kyle?

– Dzięki za te kwiaty, które wysłałeś na grób Dave'a. Mama była szczerze wzruszona.

– Nie ma sprawy. – Próbuję powstrzymać ciche westchnienie.

Dave, mój młodszy brat, który zginął w strzelaninie, może nie był moim ulubieńcem wśród młodszego rodzeństwa, ale należał do rodziny i traktowałem go z szacunkiem. Nadal, pomimo że od miesięcy gnije na dnie swojej mogiły, jestem na niego zły, że dał się tak załatwić. Padł ofiarą Damiana i jego parszywego gangu, którego macki sięgały nawet Nowego Jorku. Ostrzegałem go, żeby się z takimi nie zadawał – nie chciałem, żeby popełnił takie same błędy jak ja, kiedy byłem mniej więcej w jego wieku. Ale on, jak zawsze, chciał być mądrzejszy, choć miał jeszcze mleko pod nosem.

Dziś mam tylko nadzieję, że zarówno Kyle, jak i matka wreszcie przestali obwiniać za tę bezsensowną śmierć Liv. Ona nie była niczemu winna. Liv także padła ofiarą tych oprychów. I mimo że tak bardzo mnie zraniła swoim wyborem, w tej kwestii nie zamierzałem zmieniać zdania. Nie ona ponosiła winę za śmierć mojego młodszego brata. To on sam był temu winny.

# Rozdział 21

## Christiano

Tayler akurat prawi o czymś przez telefon ze swoim młodszym bratem, więc korzystając z chwili, postanawiam zajrzeć do Liz. Kiedy po nieprzespanej nocy, podczas której biegałem z miską i pilnowałem, żeby nie zachłysnęła się własnymi wymiocinami, wychodziłem od niej nad ranem, na moje oko miała się już w miarę okej. Widać było, że jeszcze potrzebuje odrobiny czasu, by w pełni dojść do siebie, ale według mnie nie było najgorzej. Przynajmniej torsje już całkowicie ustały, zatem nie obawiałem się o jej życie i mogłem ją zostawić samą.

Daję jeszcze znać Taylerowi, że wychodzę, i od razu idę do sypialni, którą ostatnio znów dzielę z Liz. Po drodze zgarniam z kuchni wielką, soczystą pomarańczę. Liczę, że moja dziewczyna będzie już w lepszym stanie i zechce cokolwiek wziąć do ust.

Uśmiecham się do własnych myśli, choć te wcale nie są zdrożne. Niemniej na myśl o tym, co jeszcze Liz mogłaby wziąć do buzi, natychmiast czuję ciasnotę w spodniach. Tym razem jednak nie zamierzam jej pieprzyć, tylko ją nakarmić. Chcę, żeby szybciej odzyskała formę.

Do pokoju wchodzę bez pukania. Staram się być bardzo cicho, na wypadek gdyby wciąż spała. Liz jednak już zdążyła się obudzić. Odziana w szlafrok, z turbanem z frotowego ręcznika na głowie, ze smartfonem w rękach leży na łóżku.

– Cześć, laleczko – zagaduję, na co posyła mi uroczy uśmiech, który szybko przemienia się w grymas bólu.

Jestem pewien, że nadal boli ją głowa. Po takiej ilości wypitej tequili nie dziwi mnie to jakoś specjalnie.

– Hej – odpowiada, a potem na powrót przenosi wzrok na wyświetlacz telefonu.

– Co oglądasz? – Kładę się obok niej. – Mogę też zobaczyć? – Zaglądam w ekran smartfona.

Wtedy podsuwa mi komórkę, a moim oczom ukazuje się oblicze dziewczyny do złudzenia przypominającej moją ukochaną. Tyle że nie jest to zdjęcie Liz. Fotografia przedstawia Olivię – szybko nabieram pewności. Nigdy jej nie poznałem osobiście, bo w chwili, kiedy oboje z Taylerem spotkali się po latach, byłem zajęty własnymi interesami i nie mogłem przylecieć do Meksyku, żeby mi ją przedstawił. Mój ojciec popadł w konflikt z jednym z sycylijskich bossów, więc musiałem mu pomóc, a to wymagało mnóstwa energii i zaangażowania. Skupiłem się tylko na tym. Nie w głowie były mi ekscesy miłosne Taylera. Zresztą jeszcze wtedy nie wierzyłem w miłość, w jej istnienie. Więc nawet gdyby przyjaciel starał się mnie przekonać, że jest inaczej, wyśmiałybym go.

– Twoja siostra? – upewniam się. One są naprawdę prawie nie do rozróżnienia.

Liz kiwa głową.

– Tayler kazał mi usunąć tę fotkę – mówi po chwili. – Ale... nie posłuchałam go. Nie byłam w stanie tego zrobić – wzdycha. – Myślisz, że mnie za to zastrzeli?

Wiem, że żartuje, bo zabawnie marszczy nos – wystarcza zaledwie tyle, by znów na jej twarz zawitał cień grymasu wywołany bólem.

– Myślę, że nie – odpowiadam, udając totalną powagę.

– Może uznasz mnie za niepoważną, ale jest coś, co nie daje mi spokoju. – Liz nadal uparcie przygląda się dziewczynie ze zdjęcia. Wyraźnie się waha i na moment milczy wymownie. Odzywa się po chwili: – W zasadzie nie wiem nawet, co mnie dręczy i dlaczego wciąż przyglądam się temu zdjęciu, ale jestem pewna, że nie wolno mi go przenieść do kosza – dorzuca, wpatrując się znów w ekran swojego telefonu.

– Pokaż – mówię, wystawiając po niego rękę. Liz natychmiast oddaje mi swojego iPhone'a.

Ponownie wpatruję się w fotografię i mogę jedynie znowu stwierdzić, że Liv jest lustrzanym odbiciem swojej siostry. Te same wydatne usta, kości policzkowe, broda. Wysokie czoło, na które teraz miękko spływa kilka pasemek jasnych kosmyków. Tak, nawet włosy mają identyczne. I oczy – poza spojrzeniem, które odrobinę odróżniało obie siostry, były niemal takie same.

– Obie jesteście...

– Piękne? – sugeruje nieskromnie Liz, mrugając zalotnie rzęsami.

– Z ust mi to wyjęłaś. – Uśmiecham się i przewracam oczami. –  
Masz więcej jej zdjęć?

– Nie – odpowiada i natychmiast poważnieje. – A co?

– Nic. Po prostu pomyślałem...

– Nawet gdybym miała, i tak bym ci nie pokazała – wypala nagle,  
odbierając mi telefon.

– Dlaczego?

Nic z tego nie rozumiem. Patrzę prosto w oczy swojej kobiety,  
oczekując szczerych wyjaśnień.

– Strzeżonego pan Bóg strzeże – odpowiada wówczas.

Nadal nic nie pojmuję. Ani tego powiedzenia, które mi rzuca na  
odczepnego, ani tym bardziej jej zachowania. Ale jest jeszcze coś,  
co mnie niepokoi. Liz wydaje się zła, choć nie ma powodu, by się na  
mnie złościć. Przecież nic nie zrobiłem.

– Możesz powiedzieć to w sposób bardziej... zrozumiały? –  
pytam, licząc, że załapię, o co chodzi.

Przez chwilę w ogóle nie reaguje, ale potem mruży oczy, zupełnie  
jakby chciała mnie przestraszyć – swoją drogą niesamowicie mnie to  
podnieca – i wyjaśnia:

– Pewnie, że mogę. A zdjęć siostry nie pokazałabym ci z obawy  
przed tym, że i ty się w niej zakochasz.

– Słucham?

Spoglądam na nią jak na zupełnie obcą osobę, choć w tak krótkim  
czasie stała mi się bliska jak żadna inna. Nie wierzę, że to  
powiedziała. Aż tak bardzo mi nie ufa?

– No co się tak patrzysz? – odpowiada zupełnie poważnie, choć  
przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy mnie nie wkręca. Liz  
ma specyficzne poczucie humoru, o czym zdążyłem się już  
przekonać, więc w tej chwili chyba bardziej liczę na to, że ze mnie  
żartuje. – Spróbuj postawić się na moim miejscu. Przez ostatni czas  
wszyscy faceci, którymi byłem zainteresowana, padali jej do stóp i  
wzdychali właśnie do niej. Może więc i ty...

– Przyrównujesz mnie do nich? – pytam, wciąż niedowierzając w  
to, co słyszę.

– Sam mówiłeś, że ty i Tayler macie podobne gusta. A nawet że w przeszłości zabawialiście się z tymi samymi kobietami jednocześnie. Wobec tego jak mam myśleć, że możesz się od nich aż tak bardzo różnić?

Nie jestem pewien, czy mnie obraziła, czy tylko uraziła, bo mnie nie tak łatwo dotknąć. Ale nagle czuję się naprawdę kiepsko z myślą, że po tym, co między nami zaszło, upycha mnie do jednego wora ze wszystkimi kolesiami, których dotąd zaliczyła. Sądziłem, że znaczę dla niej więcej.

## Liz

Kiedy Christiano wstaje, a potem trzaska drzwiami i wychodzi, baranieję. Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale nagle czuję się fatalnie, zupełnie jakbym oprócz zwykłego kaca złapała jeszcze moralniaka. Nie mam pojęcia, za co się na mnie obraził, skoro powiedziałam tylko prawdę. Ale faktem jest, że zaskakuje mnie, gdy nagle opuszcza pokój i zostawia z własnymi myślami, bo te podobają mi się coraz mniej.

Także wstaję z łóżka, choć najchętniej nie wychodziłabym z niego do wieczora. Zdejmuję szlafrok i nago ruszam do garderoby. Z wieszaka zdejmuję pierwszą z brzegu sukienkę, a z półki na dole sięgam po klapki na koturnie. Ubieram się pospiesznie, a potem zerkam jeszcze w lustro. Gdyby nie ten nieustający ból głowy, nie byłoby najgorzej.

„Picie takiej ilości tequili jednak nie było najrozsądniejszym pomysłem – myślę, będąc na sobie nadal zła. – Podobnie zresztą jak ta nieszczęsna rozmowa, jaką odbyłam z Christianem”.

– Czasem szczerłość nie popłaca – rzucam z przekąsem i zdejmuję z głowy ręcznik.

Nie zamierzam suszyć włosów, bo jest tak gorąco, że wystarczy im raptem kwadrans, żeby całkowicie wyschły w naturalny sposób. Przeczesuję je jedynie szczotką i wychodzę z pokoju. Muszę znaleźć Christiana. Jeszcze nie dokończyliśmy rozmowy.

Niestety nie ma go w domu, a w ogrodzie wpadam na Taylera. Właśnie rozmawia o czymś z jednym ze swoich ludzi. Nie chcę mu przeszkadzać, więc rozglądam się uważniej po całym terenie, ale i tu po Christianie ani śladu. Wówczas, przechodząc obok, w geście

powitania kiwam tylko do zajętego własnymi sprawami Taylera, a potem ruszam w drugą stronę ogrodu, licząc, że może koło basenu odnajdę swojego chłopaka. Wiem, że lubi pływać, toteż mam nadzieję, że właśnie w tym miejscu się przede mną ukrył.

– Nie ma go tam – słyszę jednak za plecami, gdy raptem postępuję zaledwie kilka kroków w tamtym kierunku.

Odwracam się natychmiast i spoglądam na Taylera, oczekując, że zaraz mi wyśpiewa brakującą resztę. Nie myślę się, bo szybko wyjaśnia:

– Wskoczył na motocykl i odjechał.

– Na motocykl?

Rozkłada ręce, a do mnie dociera, że wciąż tak mało wiem o Christianie.

– Pokłóciliście się? – pyta Tayler. Odsyła swojego pracownika, a gdy ten spełnia rozkaz, Tay pokazuje mi, żebym się przysiadła do niego.

– Mieliśmy drobną wymianę zdań. Nic więcej – odpowiadam, nie zamierzając raczyć go szczegółami dotyczącymi naszej prywatnej rozmowy. Jeszcze i on by się na mnie wkurzył, kiedy odkryłby, że nie skasowałam zdjęcia siostry, choć wyraźnie mnie o to prosił.

– Drobną, powiadasz... – Uśmiecha się wymownie, unosząc brew i ściągając zabawnie usta.

Bardzo-kurwa-śmieszne!

– O co ci chodzi? – warczę. Ta rozmowa zaczyna mi się coraz mniej podobać.

– O nic. Po prostu jeszcze nigdy nie widziałem go aż tak przejętego – wyjaśnia. – Christiano, pomimo że jest Włochem, to oaza spokoju. Jego naprawdę rzadko ponoszą nerwy. Dlatego kiedy z czymś sobie nie radzę, gdy w grę wchodzi emocje, nad którymi nie mam pełni kontroli, właśnie jego proszę o pomoc. Więc nie mów mi, że to była drobna wymiana zdań. – Tayler robi cudzysłów palcami, dodatkowo odrobinę mnie przedrzeźniając. – Bo to, co się stało, z pewnością wytrąciło go z równowagi.

Na to, co usłyszałam, nie jestem w stanie nic odpowiedzieć, bo natychmiast dociera do mnie, że nie mam nic na swoją obronę. Tak, nawaliłam. Może nawet bardzo, ale Christiano też powinien się postarać i mnie zrozumieć. Może właśnie on bardziej. Ja naprawdę

chcę mu zaufać do końca, ale problemy z byłymi nauczyły mnie, bym zachowywała ostrożność. Jak dotąd faceci bawili się mną, a potem szybko się mną nudzili i jak na zabaweczkę przystało, odstawiali w kąt. Nauczyłam się więc nabierać większego dystansu, a w każdym związku stawiałam jedynie na szeroko pojęte przyjemności. Uczucia stały się sprawą drugorzędną.

To Christiano sprawił, że zmieniłam zdanie i nastawienie do życia. Ten facet jest dla mnie bardzo ważny. I tak, pokochałam go całym sercem – mogę się wreszcie do tego przyznać, nawet przed samą sobą, co wcześniej nie zdarzało mi się ani razu. Tym bardziej zależy mi na tym, żeby i on czuł to samo, by myślał podobnie. Pragnę, aby się nam udało, żeby to właśnie Christiano był dla mnie tym jedynym, tym, o którym podświadomie marzyłam przez całe swoje życie, choć bałam się do tego przyznać. I zamierzałam dmuchać na zimne, byleby tylko postawić na swoim.

Teraz, gdy minął już jakiś czas, a ja ochłonęłam, nie mogę przeboleć, że nie ugryzłam się w język. Gdybym po prostu zamknęła... buzię, kiedy wziął do rąk ten przeklęty telefon i z przesadnym zainteresowaniem zaczął się przyglądać fotografii mojej siostry, pewnie nie wyszedłby z pokoju wzburzony. Na usprawiedliwienie mam jedynie to, że się przestraszyłam. Naprawdę przez chwilę pomyślałam, że i on – jak cała reszta – się w niej zadurzy. Przecież przerabiałam to wielokrotnie i nie chciałam przechodzić przez to znowu, bo cholernie zależy mi na tym facecie.

– To naprawdę nie twoja sprawa, Tayler – mówię jedynie, a następnie wstaję i ruszam w stronę domu. Chcę zostać sama.

– Tak myślisz? – słyszę za sobą.

Zerkam przez ramię. Tayler także podnosi tyłek z krzesła, a potem podchodzi do mnie i zastępuje mi drogę.

– Christiano to mój najlepszy przyjaciel. Jest mi bliski jak brat, więc...

– Więc co? Będiesz mnie teraz przepytywał, obwiniął i... Bóg wie co jeszcze tam sobie wymyśliłeś?!

Jestem wściekła. Nie wiem tylko, na kogo bardziej. Na Taylera, który wściubia nos w nie swoje sprawy, czy na siebie za własną głupotę i niewyparzony jęzor. Besztam się w myślach, bo już wiem,

że mogłam w porę zakończyć rozmowę z Christianem albo jej w ogóle nie zaczynać.

– Nie – słyszę w odpowiedzi. – Ale też nie zamierzam stać z boku i patrzeć, jak wszystko spektakularnie pierdolisz.

– Słucham?! – Spoglądam na niego, groźnie mrużąc oczy.  
Jak śmie?!

– No co się tak na mnie patrzysz? – pyta drwiąco. Nawet się jakoś specjalnie nie ukrywa z tą swoją wyższością. – Może i jesteś mistrzynią rozpieprzania sobie życia, ale nie pozwolę, żebyś przy okazji zniszczyła je mojemu przyjacielowi.

Nie mogę uwierzyć, że to powiedział. Że to niby ja rozwalalam sobie życie? On jest jednym z wielu na mojej prywatnej liście, przez których moje życie nie wygląda tak, jak powinno wyglądać. Pierwszym z nich był Matt, który zabawiał się ze mną, ale nie traktował mnie poważnie. Tayler także nie był święty. Sypiał ze mną, pozwalał wierzyć, że niczego się nie domyśla, choć od samego początku wiedział o zamianie. Zataił to przede mną, żeby móc bez żadnych przeszkód robić ze mną w łóżku wszystko, na co miał tylko ochotę. A teraz jeszcze wtrąca się tam, gdzie go nie proszą, jak zwykle zrzucając na mnie winę za całe zło tego świata.

– Nie zamierzam tego dłużej słuchać – mówię ze złością, próbując go ominąć.

– Ale niestety będziesz musiała!

## **Tayler**

Łapię ją za rękę i ciągnę w stronę strefy wypoczynkowej, a następnie siłą sadzam na jednej z kanap. Liz jest oburzona, ale nie stawia oporu. I dobrze, bo nie mam ochoty pokazywać jej, jak walczę z niesubordynacją. Zamierzam jednak powiedzieć jej wszystko to, co już dawno miałem na końcu języka, tylko jakoś się nie złożyło, żebym jej to wygarnął.

– Christiano miał trudne dzieciństwo – wyjaśniam na wstępie.

Nie jestem ślepy i widzę, że Liz ledwie się powstrzymuje, żeby mi powiedzieć, że nie on jeden, ale na szczęście milczy. I dobrze. Znam jej historię i współczuję jej na swój sposób, ale to, co przeszła, jest niczym w stosunku do tego, co przeżywał przed laty mój przyjaciel. Ktoś, kto urodził się w rodzinie włoskiego mafiosa, nie mógł mieć



lekkie. Christiano nie został gangsterem z wyboru tak jak ja. Nie mógł sobie niczego zaplanować po swojemu. Jemu zwyczajnie zostały narzucone reguły, których musiał się sztywno trzymać. Urodził się po to, by zarządzać mafijnym klanem. I odkąd zaczął dorastać, nie miał własnego życia. Zresztą od gówniarza borykał się z piętnem mafii i widział śmierć, na którą żaden dzieciak, zwłaszcza tak mały, nie powinien patrzeć. Na pewne rzeczy, do tego stopnia okrutne i bezwzględne, trzeba się odpowiednio przygotować i do nich dorosnąć. Jemu niestety odebrano tę możliwość. Matka, która powinna go wspierać w tak trudnym dla niego momencie, wzięła kasę i jedno z dzieci, po czym zniknęła. A on... Cóż, Christiano naprawdę sporo przeszedł.

Dlatego, kiedy przez lata uparcie twierdził, że miłość nie istnieje, rozumiał go. Sam, pomimo że nie byłem w stałym związku, miałem ciut inne zdanie na ten temat, ale nie przekonywałem go na siłę. To i tak niczego by nie zmieniło. Bo czy człowieka można zmusić do miłości? Nie. Nie można go też jej nauczyć. Każdy musi ją najpierw odkryć w sobie, by potem móc się nią dzielić z innymi, czy nawet karmić nią samego siebie. Albo zwłaszcza samego siebie! Opuściłem więc, uznając, że nie ja będę go przekonywał, że się myli.

Tymczasem, jakby z przekory losu, to właśnie Liz sprawiła, że wreszcie odnalazł ścieżkę, która wiedzie do miłości, a jego zatwardziałe serce zmiękło. Nie zamierzam zatem dopuścić do tego, by znów skamieniało albo żeby właśnie teraz zawrócił z tej drogi. Przynajmniej chciałem spróbować go przed tym uchronić. Zakochany Christiano podobał mi się dużo bardziej od faceta, który zdawał się nie mieć serca.

– On cię kocha, Liz – mówię jedynie, oszczędzając kobiecie wywodu na temat tego, kim był mój przyjaciel, zanim ją poznał. Dochodzę bowiem do wniosku, że jeśli Christiano będzie miał na to ochotę, to kiedyś sam się przed nią otworzy.

– I okazuje to w taki sposób? – prychna.

– O co tak naprawdę wam poszło? – pytam, żeby wreszcie zrozumieć źródło konfliktu.

– Nie pytaj – burczy.

– Liz? – naciskam.

– O zdjęcie – mówi wreszcie, wzruszając ramionami.

Przyglądam jej się w nadziei, że coś doda, bo nadal nic z tego nie rozumiem.

– O zdjęcie mojej siostry – doprecyzowuje. – Tak, to samo, które kazałeś mi usunąć – uprzedza mnie, kiedy już otwieram usta, żeby ją o to zapytać.

Kiwam głową. Cenię sobie jej szczerość. W końcu mogła się obawiać, że ją za to ukarzę. Liz była tylko moim gościem, a goście w moim domu... powinni mnie słuchać. Cóż, tak już było. Mój świat różnił się od tego, w którym ona się wychowała. Tutaj rządziły inne prawa.

– I co w związku z tym zdjęciem? – dociekam.

– A co ma być? – fuka jak dzika kotka. – Christiano chyba aż tak bardzo nie różni się od ciebie czy Matta, bo na widok Liv... Nieważne. – Macha lekceważąco ręką.

– Chcesz mi powiedzieć, że uważasz, że Christiano zakochał się w twojej siostrze, a właściwie w jej zdjęciu? – pytam wprost, ledwie powstrzymując złośliwy uśmiech.

– Przeginasz, Tayler – ostrzega, celując we mnie palcem.

– Nie, to ty przeginasz, Liz – kwituję. – Większej bzdury nie słyszałem. Christiano kocha ciebie, Liz, nie twoją siostrę. Uwierz mi, bo sam ledwie to pojmuję – dodaję, jakby z przekorą. Dopiekam jej celowo. Muszę. Tylko tak jest w stanie mnie zrozumieć. – Ale im wcześniej pojmiesz, że to prawda, tym lepiej – dorzucam. – On świata poza tobą nie widzi.

– Naprawdę? – pyta Liz, głośno połykając ślinę.

Gdy potakuję głową, w jej oczach błyszczą łzy.

„A to coś nowego” – przyznaję z niemałym zaskoczeniem i uznaniem.

– A jeśli Christiano był przesadnie zainteresowany zdjęciem Liv, to może oznaczać tylko jedno – dodaję, zanurzając się głębiej w tej nieoczekiwanej myśli, która pojawia się w mojej głowie. – On coś podejrzewa, Liz.

– Co?

– Jeszcze tego nie wiem. Pewnie oboje dowiemy się tego, jak wróci – podsumowuję, sięgając do kieszeni po telefon.

# Rozdział 22

## Liv

– Nie ciągnij mnie tak, proszę.

Ledwo łapię powietrze. Brakuje mi formy. Nic dziwnego – przez ostatnie tygodnie siedziałam zamknięta w swojej prywatnej klatce i przez olbrzymie szklane połacie podziwiałam chmury. Nie znoszę takiej bezczynności, a dodatkowo dziś, patrząc na płynące po niebie obłoki, pragnęłam ich dotknąć, poczuć wolność, cokolwiek mogło to oznaczać. Ostatnio gubię się we własnych myślach. Nic nie jest oczywiste, zwłaszcza myśli...

– Powiedziałem: do domu! – syczy złowrogim głosem tuż koło mojego ucha.

– To boli – jęczę, kiedy zgniata w palcach moje ramię.

– Zboli mocniej, jeśli jeszcze raz spróbujesz wyjść bez mojej zgody.

To prawda. Dzisiaj opuściłam mieszkanie bez pozwolenia. Ale musiałam. Po prostu dusiłam się i chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza. A po deszczu, który właśnie zrosił ziemię i okoliczne chodniki, mogłam na to liczyć. Oczywiście wolę naturę i jej wonne aromaty, ale zapach parującego świeżością betonu też mi odpowiada. Tak bowiem wyobrażam sobie zapach wolności, której jestem tak bardzo spragniona.

– Liv? – słyszę nagle za nami.

Do niedawna nie przepadałam za Kyle'em, ale dziś, ponownie słysząc jego głos, obudziła się we mnie dziwna tęsknota.

– Zaczekaj! – dodaje, ale Matt nie zwalnia kroku i ciągnie mnie do głównego wejścia do drapacza chmur, na szczycie którego ma swój apartament.

– Potrzebujesz pomocy? – pyta Kyle, kiedy nas dogania i zastępuje nam drogę.

Matthew nie ma wyjścia i musi się zatrzymać choćby na moment, bo wbijający w nas swoje spojrzenie chłopak nie zamierza tak łatwo odpuścić.

– Jesteś blada i źle wyglądasz – dorzuca mój dawny sąsiad.

– To nie twój zasrany interes, gówniarzu – wtrąca się Matt, na co Kyle mruży gniewnie oczy.

W tym momencie wydaje się tak bardzo podobny do swojego brata. Obawiam się więc, czy teraz, podobnie jak Tayler, nie wyciągnie spluwy, o ile ją posiada. Jestem pewna, że Tay nie zawahałby się ani przez chwilę.

– Jestem w ciąży, Kyle – wyrzucam z siebie nagle, bez zastanowienia. Właściwie nie wiem, dlaczego zdobyłam się na taką szczerość przed tym chłopakiem, skoro już jutro miało być po *sprawie*. Matt wszystko zaplanował. Ze szczegółami.

– Do domu – warczy mi właśnie wprost do ucha *ukochany*.

– To chyba zmienia postać rzeczy – słyszę jeszcze gdzieś za nami, kiedy Matt wymija chłopaka i wprowadza mnie do budynku, który od jakiegoś czasu stał się moim więzieniem.

## Liz

Odchodzę od zmysłów, przez co nie mogę usiedzieć w miejscu. Przechadzam się w tę i z powrotem, zagryzam dolną wargę. Ledwo się powstrzymuję, żeby się nie rozpłakać.

Christiano nie odbiera telefonów ani nie wraca. Mam coraz gorsze przeczucia. I wyobrażam sobie tak niewiarygodne scenariusze, że, prawdę mówiąc, nie chce mi się już tylko płakać, a wyć na całe gardło.

– Uspokój się – mówi łagodnym, choć mało przekonującym tonem Tayler. – Christiano zaraz wróci.

– Jasne – odpowiadam drżącym, niepodobnym do siebie głosem.

– Bo ty znasz go lepiej – dodaję z lekką ironią.

– To akurat prawda.

Nie sprzeczam się z nim, ale też nie zamierzam kontynuować tematu. Po prostu nie chcę, żeby mnie do tego przekonywał siłą.

– To Christiano. Nic mu nie będzie – dorzuca jeszcze.

Chciałabym mu wierzyć. Powtarza mi to od dwóch godzin. Może rzeczywiście Tayler ma rację, ale chyba o czymś zapomniał. Poznałam go już na tyle dobrze, by być pewna, że i on się martwi i tylko robi dobrą minę do złej gry. Niepokoi się wcale nie mniej ode mnie. Poza tym, jeśli sądzi, że nie widzę, jak ukradkiem raz po raz

sprawdza swój telefon, jakby czekał na jakąś ważną informację, która z całą pewnością musi być ściśle związana właśnie z Christianem, to chyba ma mnie za kompletną idiotkę.

– Czegoś mi nie mówisz, prawda?

Nie odpowiada, więc z pewnością się nie mylę. A to z kolei sprawia, że moje złe przeczucia potęgują się, aż wybucham:

– Nie wytrzymam tego dłużej!

Chowam twarz w dłoniach i zanoszę się płaczem.

Tayler szybko znajduje się obok. Zagarnia mnie ciasno, zamyka w ramionach i całuje w czubek głowy, czym mnie totalnie rozczula.

– Nic mu nie będzie – zapewnia, kołyszając mnie lekko. – Obiecuję.

\*\*\*

Prawdopodobnie straciłam rachubę czasu, gdy Tayler mnie pocieszał, ale kiedy znów zaczynam kontaktować, od razu zauważam podążającego w naszą stronę Christiana. Widząc nas w objęciach, nie wygląda na najszcześliwszego, ale nie tym sobie teraz zaprzęgam głowę. Zauważam nagle, że mój facet, który zawsze jest taki wymuskany, idealny, ma na sobie brudne ubranie, w dodatku zaplamione krwią!

– Christiano!

## **Christiano**

Nie takiego powitania oczekiwałem, ale kiedy Liz na mój widok wrywa się z uścisku Taylera, wykrzykuje moje imię i wręcz rzuca się na mnie, uwieszając mi się na szyi, przyznam, że czuję się całkiem... wyjątkowo.

– Nic mi nie jest...

Próbuję jej jakoś delikatnie wytłumaczyć, że nie odniosłem poważniejszych obrażeń, ale Liz mnie nie słucha. Płacze, mówi coś do siebie i dotyka mnie, jakby chciała się upewnić, że jestem cały.

– Naprawdę nic mi nie jest, laleczko – dodaję, lekko ją od siebie odciągając, żeby jej pokazać, że oprócz kilku siniaków czy drobnych skaleczeń, nie odniosłem większych ran.

– Co się stało? – pyta Tayler, wymownie spoglądając na moją zabrudzoną odzież i otarcie na czole, które podbiegło krwią.

Zauważyłem je w toalecie na stacji benzynowej, kiedy było już po wszystkim. To właśnie stamtąd zadzwoniłem po taksówkę, którą wróciłem do hacjendy Taylera. Mój telefon podczas wypadku uległ zniszczeniu.

– Wyglądasz, jakbyś się z ciężarówką zderzył. – Mój przyjaciel żartuje sobie ze mnie, a Liz odwraca się w jego stronę i patrzy na Taylera, jakby go miała zamordować wzrokiem.

Uroczą jest. I taka kochana. Martwiła się o mnie. I chyba nawet płakała. To dobrze, bo już przeszła mi na nią cała złość. Za mocno ją kocham, żeby się na nią gniewać.

– Luigi mnie wystawił – odpowiadam.

– Luigi... – powtarza po mnie Tayler. Ma kamienny wyraz twarzy, któremu niestety Liz nie daje wiary.

– To ten typ, który miał nam pomóc w naszej wspólnej sprawie?! – pyta Liz wprost, a właściwie stwierdza, i zerka raz na mnie, raz na Taylera, który udaje, że nie słyszy jej pytania.

Ja również nie odpowiadam, ale nie dlatego, że ją ignoruję. Pragnę zaoszczędzić jej zmartwień. W odpowiedzi głaszczę jedynie jej zimne, dygoczące w upale ramiona.

– Umówiłem się z nim na spotkanie – kontynuuję, mając nadzieję, że nie będzie drażyła tematu. – Mieliśmy dogadać szczegóły transakcji. Niestety wystawił mnie i na spotkanie nie przyszedł sam. Działał w zмовie z Damianem. – Kiedy o nim wspominam, Liz zastania usta dłonią. – A właściwie zjawił się z jego kilkoma goryłami. Zastawili na mnie zasadzkę. Nie mieli odwagi, żeby się ze mną zmierzyć wprost, dlatego na drodze rozciągnęli kolczatkę, w efekcie czego rozjechałem ci motor, Tayler – dodaję, licząc, że nie będzie o to żywił do mnie zbytnej urazy. Oczywiście zamierzam mu go odkupić, ale jednocześnie mam nadzieję, że nie był bardzo przywiązany do tej maszyny.

– Nic się nie stało. Ważne, że ty jesteś cały – słyszę w odpowiedzi.

Posyłam mu uśmiech wdzięczności, a potem znów spoglądam na Liz. Wygląda jak sto nieszczęść.

– Naprawdę się o mnie martwiłaś? – pytam wprost, uśmiechając się nieznacznie, a kiedy kiwa głową, dodaję: – To słodkie.

– Słodkie to są lody waniliowe albo mleczna czekolada – odcina się Liz, jak to ona, co w praktyce oznacza, że powoli wraca do formy.

Liczę na to ogromnie, bo po naszej porannej, w sumie niepotrzebnej sprzeczce naprawdę tęskniłem za tą wersją Elizabeth.

Przytulam ją mocniej i jeszcze raz całuję czubek jej głowy.

– Co z moimi ludźmi? – pyta nagle mój przyjaciel.

Początkowo byłem na niego zły, gdy odkryłem, że mam ogon – Tayler wysłał za mną swoich goryli. Jednak potem, kiedy zrobiło się gorąco, zacząłem być mu wdzięczny. Sam mógłbym sobie nie poradzić z armią Damiana. Było ich zbyt wielu.

– Wybacz, stary. Twoi żołnierze się starali, ale jak to na każdej wojnie, ofiary bywają nieuniknione.

Tayler tylko kiwa głową. Ten facet ma wiele wad, bywa chamski, zwłaszcza dla pracujących dla niego ludzi, ale jego największą zaletą jest lojalność i odpowiedzialność właśnie za nich, co czyni go naprawdę dobrym szefem. I przyjacielem.

– Skoro Luigi cię wystawił, to znów nie mamy planu – kwituje, na co moja dziewczyna wlepia w niego swoje wielkie, przerażone oczy. Wolałbym jej tego zaoszczędzić, ale chyba niemówienie jej prawdy, szczególnie na tym etapie działań, jest co najmniej złym pomysłem. Liz ma prawo wiedzieć, co się święci. Zwłaszcza że cała ta śmierdząca sprawa dotyczy głównie jej.

– Zostało nam jeszcze kilka dni, więc mam nadzieję, że wspólnie coś wymyślimy – mówię zdawkowo. – W najgorszym wypadku ożenisz się z Liz.

– Co? – Elizabeth patrzy na mnie jak na idiotę. – Nie zamierzam wychodzić za mąż, nie za niego! – dodaje pospiesznie.

Uśmiecham się. Domyślam się, czego nie dopowiedziała i cholernie mnie to cieszy. A jej reakcję mogę potraktować niczym pewnego rodzaju deklarację, może nawet ciche oświadczenie. Rajcuje mnie ta myśl, choć dotąd sądziłem, że to facet powinien prosić o rękę kobietę, nie odwrotnie.

– Ja także nie zamierzam się żenić. A już na pewno nie z nią – oświadcza bez większej złości Tayler, a do mnie mruga porozumiewawczo.

Jak zwykle się z nią przekomarza. Ostatnio robi to często, co dla mnie, z perspektywy widza, jest dość interesujące i naprawdę arcyzabawne.

– Niestety może się okazać, że to niezbędne – dodaję, korzystając z rozluźniającej się atmosfery.

– I co? – Tayler przygląda mi się już całkiem poważnym wzrokiem.  
– Jak ty to widzisz? Liz wyjdzie za mnie za męża, a ty będziesz tu do nas wpadał co jakiś czas, na chwilę, i okazjonalnie bzykał moją żonę? – rzuca z sarkazmem.

Elizabeth patrzy na niego w taki sposób, jakby miała mu za chwilę wydrapać oczy. Dlatego znów głaszczę ją po ramionach, dając jej tym samym do zrozumienia, że nie powinna przesadzać z emocjami. Poza tym uważam, że sprawa wciąż jest rozwojowa, więc nie należy dramatyzować na wyrost. A jej ślub z Taylerem to ostateczność. Nie zamierzam bowiem dopuścić, żeby przez głupi błąd, a już tym bardziej z powodu urażonej męskiej dumy, Liz spadł choćby włos z głowy. Oczywiście nie podoba mi się myśl, że kobieta, którą kocham, miałaby zostać żoną mojego najlepszego przyjaciela. Przecież to by oznaczało, że zostałem raptem jej kochankiem. Liz jest tą jedyną i mam względem niej plany. Liczę więc, że jeszcze coś wymyślę. A jeśli nie, to jestem w stanie nawet uwierzyć w cud. Dla niej wszystko.



# Rozdział 23

## Tayler

Kyle, pomimo że wciąż odrzucałem bądź ignorowałem jego połączenia, nie dawał za wygraną. Wydzwaniał do mnie przez cały dzień, aż do wieczora. To stawało się nie do wytrzymania. Zamierzałem oddzwonić do niego później – jak tylko uda mi się coś jeszcze ustalić z Christianem – i poprzysiągłem porządnie go opieprzyć za jego nachalność. Mój brat musiał zrozumieć, że skoro powiedziałem raz, że sprawa z Liz się zakończyła, to tak właśnie jest. Teraz jednak zamierzam się skupić na innym problemie, bo czas na pozytywne załatwienie innej sprawy mocno się kurczy.

Zwołuję wszystkich swoich najlepszych i najbardziej zaufanych ludzi i poruszam z nimi kwestię Craiga i Damiana, którzy wciąż deptali nam po piętach i obserwowali każdy nasz ruch.

Swoją drogą nie pojmuję, dlaczego Craigowi tak bardzo zależy na odzyskaniu Liv. Przecież od dawna nic go z nią nie łączy. Poza tym może mieć całe mnóstwo innych kobiet – i wcale nie mam tutaj na myśli pracujących dla niego dziwek. Craig, jak każdy gangster, jest obrzydliwie bogaty, a jak wiadomo, laski często lecą na kasę. Przykład Liv nasuwał mi myśl, że nie tylko na same pieniądze są łase kobiety. Wygoda też się liczy. Niemniej jestem absolutnie pewien, że dziewczyny uwielbiają także przepych i luksus, a zwłaszcza nie pogardzą wysokim statusem społecznym. Bycie panienką wpływowego gangusa to nie byle co. Dlatego podtrzymuję tezę, że Craig mógłby mieć każdą, jakiej tylko zapragnie. Dlaczego więc uparł się i wciąż rościł sobie prawa wobec Olivii?

– Zastanówmy się po raz kolejny, co moglibyśmy jeszcze zrobić w tej sprawie – mówię trochę jakby do siebie, jednocześnie oczekując, że może za chwilę ktoś z naszych wpadnie na jakieś skuteczne rozwiązanie. Właściwie bardzo na nie liczyłem, bo naprawdę nie miałem ochoty na żeniaczkę. Liz w zasadzie była spoko, ale to laska mojego przyjaciela. Ta sytuacja była naprawdę niecodzienna. I dziwna. Dla nas wszystkich.

\*\*\*

Oczywiście nie wymyśliliśmy nic mądrego. Stale tylko gdybaliśmy, jak przechytryć Craiga i jego zbirów, ale nikt z nas nie wpadł choćby na jeden, konkretny pomysł, jak uchronić Liz przed skończeniem w burdelu albo wystąpieniem przed ołtarzem u mego boku.

Kiedy jest grubo po północy, każę chłopakom się rozejść i przespać z myślami. Zdaję sobie sprawę z tego, że sen i spojrzenie na problem od nowa, z rana, często okazuje się strzałem w dziesiątkę. Wierzę, że tak właśnie będzie i tym razem.

Ja też postanawiam wrócić do siebie. Po drodze, zza zamkniętych drzwi sypialni, w której zatrzymali się Christiano z Liz, dochodzą mnie odgłosy ich miłosnych zabaw.

„Oni chyba nigdy nie mają dość” – myślę, kręcąc głową i uśmiechając się pod nosem.

W końcu docieram do właściwego pokoju. Jestem zmęczony i zamierzam się wkrótce położyć. Najpierw jednak prysznic, a potem jeszcze telefon do brata. Muszę wreszcie się z nim skonfrontować, bo nie mam ochoty na zaspamowaną pocztę, w której co rusz pojawia się informacja o nieodebranym połączeniu od Kyle’a. Chwilowo dodałem go do czarnej listy, ale to nie uchroniło mnie przed ciągłymi powiadomieniami o próbie kontaktu. Zanim jednak znów go odblokuję, zdejmuję przepocone ubranie, idę do łazienki i od razu wchodzę do kabiny. Woda jest przyjemna; nie za zimna i nie za gorąca – taka, jaką lubię najbardziej. Zamykam oczy i wznoszę twarz w kierunku deszczownicy. Po całym dniu nieustających po sobie wydarzeń mam cholerny mętlik w głowie. Od rana stale coś się działo. Najpierw ta idiotyczna sprzeczka Liz i Christiana, potem jego spontaniczny wypad za miasto. A na koniec jeszcze *te* wieści...

Naprawdę liczyłem, że plan Christiana się powiedzie. I już nawet nie tak bardzo chodziło mi o to, że nie chciałem żenić się z Liz – przecież była spoko dziewczyną. Trochę pyską, co na swój sposób było nawet urocze, ale była też dobra. Tak, ostatnio zmieniłem o niej zdanie. Nie mogę jednak jej poślubić, bo widzę, jak Christianowi na niej zależy. Zakochał się w Liz bez pamięci. A że mój najlepszy kumpel jest facetem czynu i honoru, jestem pewien, że będzie chciał sformalizować ten związek. Oczywiście nie powiedział tego wprost, ale przecież znam go zbyt dobrze, żeby się tego nie domyślić.

„Gdyby tylko Liv nie wybrała tego paniczyka ze szklanego wieżowca z Manhattanu...” – myślę z przekąsem, pocierając mokłą twarz.

Zakręcam wodę i opuszczam kabinę. Sięgam po ręcznik, którym niedbale wycieram włosy, a potem owijam go sobie wokół bioder. Za chwilę zamierzam się położyć, bo jestem naprawdę skonany, więc ubieranie się w cokolwiek nie ma sensu. Wracam do pokoju. Zanim jednak wejdę do łóżka, muszę pogadać z bratem. Odblokowuję jego numer, a następnie inicjuję połączenie. Odbiera po pierwszym sygnale.

– Wreszcie, do cholery! – pada w mojej słuchawce. – Zamierzałeś się tak przede mną ukrywać w nieskończoność?

Zaskakuje mnie. Może nawet trochę wkurza, zwłaszcza kiedy podnosi na mnie ten swój pełen pretensji głos. Ale jego zachowanie wywiera też na mnie niemałe wrażenie. Chłopak dorasta, męźnieje, a ja szczerze zaczynam być z niego dumny. Kyle, którego pamiętam, był maminsynkiem. A ten, wrzeszczący mi do ucha młody mężczyzna, za nic go nie przypomina.

„Chyba jeszcze będą z niego ludzie” – gdybam z uznaniem.

– Czego chcesz? – pytam, podchodząc do stolika, na którym stoi napoczęta butelka z whisky. Przytrzymuję telefon ramieniem i nalewam sobie trochę bursztynowego płynu do szklaneczki.

– Widziałem się z Liv.

Mam ochotę powiedzieć mu, że się powtarza, a nawet przypomnieć, że nic mnie to nie obchodzi, albo zwyczajnie się rozłączyć, ale zanim zdolałam o tym pomyśleć, on już kontynuuje:

– Ona naprawdę ma kłopoty, Tayler.

– Nic mnie to nie obchodzi, Kyle – rzucam, naśladując jego głos. Wiem, jak tego nie lubi.

– Wyluzuj, bracie – słyszę raptem ciche ostrzeżenie, więc uśmiecham się pod nosem. Po raz kolejny muszę przyznać, że ma gość jaja. – Przeczytałem się pod tym wieżowcem, w którym Liv mieszka z tym wychuchanym lalusem.

Podoba mi się sposób, w jaki nazywa tego... Matta, choć dalej pierdoli swoje. Nadal mnie nie słucha i chyba wciąż nie rozumie, że ja naprawdę nie chcę już nic wiedzieć na ten temat. Nie rozłączam się tylko dlatego, że nazwał GO „wychuchanym lalusem”.

„Dobre!” – chwale go bezgłośnie.

– Tam dzieje się coś niedobrego, Tayler. Ten typ chyba ją bije.

A jednak mam, kurwa, dość. Choć z drugiej strony nasza mnie ochota wykrzyzczyć bratu, że nawet jeśli to prawda, to Liv sobie na to zasłużyła! Ale przemilczam to, bo wiem, że wcale tak nie myślę i przemawia przede mną jedynie gorycz. Olivia zostawiła mnie, wybrała, świadomie... Albo i nie! Już sam nie wiem, co myśleć. Pogubiłem się, zdaje się zupełnie jak ona. I już mam ochotę powiedzieć o tym swojemu rozmówcy, ale Kyle znów mnie ubiega:

– Poza tym jest coś jeszcze, bracie.

Zduszam w sobie przekleństwo. Ledwie się powstrzymuję, żeby się nie rozłączyć. Nie pojmuję, czego jeszcze Kyle nie rozumie? Przecież wyrażam się jasno.

– Ona jest w ciąży.

– I co, kurwa, z tego?! – wyrzucam z siebie wreszcie.

– Jak to co? – pieje mi do słuchawki. – Sypiałeś z nią czy tylko bawiliście się klockami Lego? – drwi ze mnie.

Ależ mnie wkurwia!

– Nie twój zasrany interes – warczę, przywołując na myśl te chwile, kiedy naprawdę ostro się zabawialiśmy. – Poza tym klocki Lego są spoko – drwię, ale nawet to nie powstrzymuje mojego brata przed wyrażeniem kolejnej opinii.

– Liv nie powiedziała tego wprost, ale...

– Nie chcę tego słuchać – przerywam mu ze złością.

Wiem, do czego zmierza. Kyle chce mi wmówić, że być może to ja jestem ojcem jej dziecka. Może i jestem?! Ale gdyby chciała, żebym był nim naprawdę, nie wybrałaby jego! Nie postawiłaby na wygodę! Na niego.

Wciąż mam przed oczami jej zdjęcie w tych... luksusach. Z tą... panoramą w tle i otaczającym ją blichтром. Na tej fotce Liv nie wyglądała na matkę poszukującą ojca dla swojego... dziecka.

– Tayler, wiem, że przemawia przez ciebie gorycz, ale...

Ja pierdolę! Jeszcze minutę wcześniej byłem z niego dumny, a teraz zwyczajnie mam dość tej jego przemądrzałej gadki. Dorosły się, kurwa, znalazł!

– Kyle... – ostrzegam go.

– Zaczekaj! – słyszę w słuchawce. – Powiem ci tylko, że zanim zupełnie się od niej odwrócisz, przemyśl to jeszcze raz. Przecież wiesz, że nigdy za nią nie przepadałem, a nawet obwiniałem ją za śmierć Dave’a. Nie bronię jej bez powodu.

To właśnie martwi mnie najbardziej. Kyle dotąd nie znosił Liv, a nagle stał się jej obrońcą. Nic z tego nie rozumiem, ale też nie mam ochoty zagłębiać się w tym zanadto. Po prostu mnie to przerasta.

– Wiesz, że nigdy jej nie trawiłem. Te jej dziwne przebrania – wzdycha, a ja mógłbym przysiąc, że jeszcze wzdryga się przy tym. Zdarzało mu się to często, kiedy był ledwie odrośniętym od ziemi smarkaczem. Zwłaszcza kiedy chciał podkreślić swoje zniesmaczenie jej widokiem. – No i te wielkie oczy, jak u jakiegoś zwierzaka z disnejowskiej kreskówki. Tego jej spojrzenia chyba najbardziej w niej nie lubię. Wkurza mnie.

– Kyle?

Czuję coraz większe zniecierpliwienie. Poza tym, gdy zaczyna mówić o jej oczach, w mojej głowie rozkwita ich obraz w pełni. Ja jednak, w przeciwieństwie do brata, uwielbiałem te wielkie oczy. Kiedy Liv patrzyła na mnie niczym jelonek Bambi – tu Kyle także ma rację, przyrównując ją do postaci z bajki dla dzieci – budziły się we mnie instynkty, o jakie nawet siebie nie podejrzewałem. Pragnąłem ją chronić, być obok niej na dobre i na złe. Problem w tym, że ona chciała czegoś zupełnie innego.

– Tayler, czy nie rozumiesz, że Liv cię potrzebuje? – rozlega się nagle w słuchawce. – Myśl, bracie, myśl! – upomina mnie.

A niby co innego robię przez ostatnich kilka tygodni?! Stale tylko myślę, rozpamiętuję i gdybam. I co mi po tym? Nic. No może tylko niesmak w ustach.

– Pomyśl, po co wspominała o dziecku? – A ten gówniarz nadal nie przestaje gadać. – Skoro ułożyła sobie życie z tym... lalusiem.

Przyznaję, że choć Kyle nadal wkurza mnie tą przemową, właśnie teraz sprawił, że znów się lekko uśmiechnąłem. On, podobnie zresztą jak ja, równie mocno nienawidził takich wychuchanych lowelasów w garniturach szytych na miarę. Przeze mnie jednak przemawiała zazdrość, bo w Matcie widziałem rywala, więc mogłem być nieobiektywny. Ale kiedy mój młodszy brat po raz kolejny nazwał

go lalusiem, uznałem, że coś rzeczywiście musi być na rzeczy, a Matt zasługuje na każdy z tych epitetów.

– Tayler, zastanów się nad tym jeszcze – nalega, a mnie, muszę przyznać, zaczyna brakować argumentów, żeby go zbyć i ostatecznie zakończyć tę rozmowę. – Wiesz, że jeśli tylko kiwniesz palcem, znajdę sposób, by porozmawiać z Liv... na osobności.

Wzdycham. Już naprawdę nie wiem, co mam myśleć na temat tej rozmowy. Co prawda przyrzekłem sobie, że ten rozdział mojego życia jest zamknięty, ale kiedy Kyle uparcie nalega... nie mam pojęcia, jak się zachować.

– Ty już lepiej nic nie rób – ostrzegam go.

– Ale...

– Pomyślę o tym, Kyle – przerywam mu, bo chwilowo mam mętlik w głowie.

– Obiecujesz?

Nie wiem, dlaczego tak bardzo mu na tym zależy, ale zgadzam się.

– Tak, obiecuję się jeszcze nad tym zastanowić.

Czeka mnie ciężka noc.

## Christiano

Na dzień dobry całuję ją w czoło. Uśmiecha się przesłodko, po czym na moment wtula nos w moją nagą pierś. Nadal wygląda na śpiącą, a przy tym jest taka urocza. Zaróżowione policzki, lekko powiększone wargi i zaspane, ledwie widoczne oczy, które zauważam spod połowy opuszczonych powiek.

– Budź się, śpiochu – mówię, łaskocząc ją opuszką palca po ramieniu. – Musimy pogadać.

– Hm – mruczy tylko, wtulając się jeszcze ciaśniej w moje ramiona. – To może zaczekać.

Wiem, co kombinuje. Jest taka niezaspokojona i znów ma ochotę na seks, choć kochaliśmy się dwa razy w nocy.

– Liz? – cmokam ją najpierw w policzek, potem w nos, a następnie w brodę i usta. Chce więcej, ale będzie musiała poczekać, bo przed nami pilna rozmowa. – Kochanie, popatrz na mnie.

Otwiera szerzej oczy i trzepocze rzęsami. Razi ją słońce wpadające przez niezastłonięte okna, więc krzywi się odrobinę, przy

okazji marszcząc zabawnie nos.

– Mów szybko, o czym chcesz ze mną rozmawiać, bo długo tak nie wytrzymam – oznajmia, próbując ukryć twarz pod kołdrą.

Uśmiecham się. Uwielbiam ją, nawet – albo zwłaszcza – kiedy zachowuje się w ten sposób.

– Masz jeszcze to zdjęcie? – pytam pełen obaw, że znów na mnie naskoczy albo że, nie daj Boże, po tym jej wybuchu zazdrości po prostu je usunęła.

– Masz na myśli *to* zdjęcie? – Od razu przytomnieje i przygląda mi się nieufnie.

W odpowiedzi potakuję i powstrzymuję ją przed zamiarem wyjścia z łóżka. Chcę wytłumaczyć jej, co mi chodzi po głowie, zanim na dobre się rozżłości. Myślałem o tym już wczoraj, ale te następujące po sobie wydarzenia – cała ta zasadzka, wypadek czy strzelanina, z których na szczęście wyszedłem cało – skutecznie ograniczyły mi dalsze działania w tym temacie. Teraz jednak wiem, że muszę powrócić do tej kwestii.

– Chcesz mnie znowu wkurzyć? – fuka Liz, próbując wyśliznąć się z moich ramion i wstać, ale jej to uniemożliwiam. Żeby zrozumieć, musi mnie wysłuchać do końca.

– Mam siostrę – zaczynam.

– No popatrz, ja też – sarka, na co staram się nie zwracać większej uwagi. Liz jest niemożliwa, zwłaszcza w takich chwilach, ale i do tego zaczynam się powoli przyzwyczajać. Dlatego nie komentując jej zachowania, kontynuuję:

– Moja matka, kiedy odchodziła od ojca, zabrała ją, a mnie zostawiła z nim. Podzielili się nami – dodaję po chwili.

O czymś jej to przypominało, jestem tego pewien, bo naraz sztywnieje w moich ramionach. Ale już na szczęście chociaż nie zamierza uciekać.

– Matilde wydawała mi się taka jak ona – kontynuuję zatem.

– Jak matka? – pyta Liz, patrząc na mnie dziwnie zatrwożonym wzrokiem.

To każe mi sądzić, że ona w podobny sposób myślała o swojej siostrze i oceniała ją przez pryzmat ojca pijaka. Wiedziałem o wszystkim. O tym, jaki był niejaki Paul Evans także. Tayler mi opowiadał.

W odpowiedzi kiwam głową i znów zaczynam snuć swoją opowieść:

– Matilde nienawidziłem równie mocno jak matki. I to siostrę obwinałem za to, że mama wybrała właśnie ją, a nie mnie.

Przyglądam się uważniej Liz. Nic nie mówi, ale jej mina wyraża wszystko. Zna problem od podszewki i prawdopodobnie nieraz zastanawiała się, co by było, gdyby jej rodzice dokonali innego podziału. Może nawet wyobrażała sobie, jak wyglądałoby jej życie w slumsach Nowego Jorku u boku nałogowca?

– Dlaczego mi to mówisz? – pyta, patrząc na mnie spłoszonym wzrokiem.

Właściwie nie wiem, czego się boi, bo nie zamierzam jej krzywdzić tym, co chcę jej powiedzieć. Po prostu pragnę, żeby zrozumiała, do czego dążę.

– Pewnego dnia dostałem od Matilde wiadomość na Messengerze.

Nie jestem pewien, czy Liz zechce mnie wysłuchać do końca, ale skoro jeszcze nie ucięła tej rozmowy, to liczę, że cierpliwie dotrwa do finału historii bez happy endu.

– Moja siostra wysłała mi zdjęcie. Jedno – podkreślam, opuszczając łóżko i sięgając po spodnie.

– I? – docieka Liz, patrząc, jak się ubieram.

No i tutaj właśnie zaczyna się prawdziwa historia Matilde Santini.



# Rozdział 24

## Liz

Wciąż nie czuję się komfortowo, a nawet jestem zazdrosna – tak, muszę to w końcu przyznać, jestem o niego piekielnie zazdrosna – ale po tym, co powiedział Christiano, zwyczajnie nie mogę zbagatelizować przesłania, kryjącego się w tej jakże zagmatwanej opowieści, jaką mnie uraczył. Z pewnością w reszcie historii, którą niewątpliwie za moment usłyszę, kryje się jakieś drugie dno. Nie jestem pewna, czy ma ono coś wspólnego z moją siostrą, ale żeby się o tym przekonać, prawdopodobnie najpierw muszę poznać losy Matilde.

– To było z pozoru zwykłe zdjęcie – odzywa się Christiano po chwili namysłu.

„Zupełnie jak mojej siostry” – dopowiadam w myślach, ale nie komentuję tego choćby słowem. Nie zamierzam uprzedzać faktów. Chcę to po prostu usłyszeć.

– Matilde wyglądała na nim na zadowoloną, wtedy nawet sądziłem, że na szczęśliwą. Przecież odkąd wyjechała z matką, stale myślałem o tym, jakie to ona wiedzie pomyślne życie u boku naszej rodzicielki. Wymyślałem w głowie obrazy ich wspólnie spędzanego radosnego czasu, ich więzi, której mi tak strasznie brakowało. Ojciec mnie nie rozpieszczał. Szefowi mafii przecież nie wypadało – dodaje z westchnieniem.

Stojący obok łóżka mężczyzna milknie i pociera szczękę. Wygląda na przybitego. Może przerastają go wspomnienia twardej, ojcowskiej ręki? To tylko podejrzenie, bo niczego takiego nie powiedział wprost, ale robi mi się go żal. Nikt nie powinien bić dzieci, zwłaszcza rodzice.

– W afekcie rozpieprzyłem telefon o ścianę, przeklinając Matilde i matkę. Nienawidziłem ich obu – dorzuca z goryczą. – Chyba nie muszę ci mówić, że ojciec nie był zachwycony tym faktem – dodaje, robiąc minę udręczonego, małego chłopca, co boleśnie chwyta mnie za serce.

„A więc miałam rację, a moje podejrzania są prawdziwe...” – myślę ze smutkiem.

– Telefon był nowiutki. Ledwie co mi go kupił – wyjaśnia. – Ojciec wkurzył się na mnie i oznajmił, że skoro tak *szanuję* jego ciężko zarobione pieniądze – Christiano się krzywi, zupełnie jakby nadal się nie zgadzał ze zdaniem swojego ojca – poniosę konsekwencje.

Aż boję się spytać, co dla młodego chłopaka, w zasadzie jeszcze dzieciaka – nie chcę mu przerywać, by dokładnie wypytać, ile miał wówczas lat – oznaczała ta zapowiedź kary. Przecież wychowywał się w mafijnym świecie, w którym jego rodzic stał na samym szczycie jednego z klanów – powiedział mi o tym jakiś czas temu, uznając, że mam prawo wiedzieć. Wracając jednak do jego ojca – tacy ludzie nie mają litości. Jestem o tym przekonana.

– Oberwało mi się za to...

– Ojciec cię bił? – Nie wytrzymuję, muszę to wiedzieć. Dlatego pytam wprost.

Sama także nie miałam lekko, bo moja matka zafundowała mi życie, jakiego sobie z pewnością nie wymarzyłam, ale myśl, że można krzywdzić fizycznie własne dziecko, przytłacza mnie.

– To nic wielkiego – odpowiada z markotnym uśmiechem, wzruszając obojętnie ramionami.

Kłamie, bo odwraca się do mnie tyłem, udając, że patrzy w okno. Wstydzi się przyznać do słabości, choć w moich oczach to żadna ujma. Był dzieciakiem, kiedy stał się ofiarą przemocy.

Wstaję z łóżka, owijam się cienkim prześcieradłem i podchodzę do niego. Pragnę go dotknąć, pocieszyć, ale się powstrzymuję. Nie zamierzam naruszać jego przestrzeni, skoro właśnie jej potrzebuje. I rozumiem go, bardziej niż mu się wydaje. Przecież był raptem chłopcem, kiedy ojciec podnosił na niego rękę. Jak miał się zatem bronić? Ja też kiedyś byłam małą, bezradną dziewczynką. Moja matka, w odróżnieniu od ojca Christiana, nie biła mnie. Ale przerzucała mnie z kąta w kąt, jak niepotrzebną zabawkę. Czułam się jak zbędny balast.

– Christiano...

Kiedy przez dłuższą chwilę milczy, odważam się i dotykam jego pleców. Pragnę mu pomóc. Jeśli tylko zdołam.

– Tyle razy dostawałem wpierdol, że przywykłem – słyszę wówczas.

Zaciskam dłonie w pięści. Oczywiście właśnie takiej odpowiedzi się spodziewałam, ale chyba nie byłam na nią gotowa. Gdybym tylko teraz dorwała w swoje ręce tego skurwysyna... Pewnie i tak nic bym nie zrobiła, bo pomimo że mam cięty język i nie brakuje mi odwagi, to resztki rozumu podpowiadają mi, że konfrontacja z tym człowiekiem mogłaby się dla mnie fatalnie skończyć. A przecież nie jestem samobójczynią.

– Wiesz co jednak było najgorsze? – pyta, ale nie czeka na odpowiedź, tylko kontynuuje: – Nie to, że ojciec kolejny raz sprzął mnie na kwaśne jabłko...

Kiedy to mówi, wielka klucha staje mi w gardle. Ale nie mogę mu teraz pokazać własnej słabości. Czekam więc, aż dokończy.

– Nawet nie to, że przez tydzień wstydzilem się przebierać w szkolnej szatni w strój na gimnastykę – dorzuca, a ja mrugam tylko powiekami, żeby się nie rozplakać. – Najgorszy w tej historii był zakaz – odzywa się nagle Christiano.

– Jaki zakaz?

– Przez pół roku zabronił mi używać telefonu i korzystać z social mediów. A pół roku to strasznie długo... – wzdycha, a następnie odwraca się w moją stronę.

– Christiano...

Ledwie się trzymam, ale wciąż udaje mi się zapanować nad łzami. Boję się jednak zapytać o finał tej historii, więc tylko kładę dłonie na jego ramionach, bo nie wiem, jak się zachować, gdy znów na dłuższy czas milknie. Wyraźnie waży w głowie słowa, do tego patrzy na mnie niewidzącym wzrokiem. To do niego niepodobne.

– Gdybym umiał się powstrzymać i gdybym nie rozpierdolił tego cholernego telefonu – odzywa się ponownie. – Zdążyłbym.

Nie wiem, co chce mi przez to powiedzieć, ale kiedy nagle czuję pod palcami zimne dreszcze na jego gładkiej, opalonej skórze, nabieram pewności, że nie będzie to nic miłego. Że prawdopodobnie usłyszę mrozącą krew w żyłach historię, która w jakiś sposób może dotyczyć zarówno mojej siostry, jak i mnie samej.

– Kiedy zakończyła się moja kara, za własne kieszonkowe kupiłem kolejny telefon. Wiesz, ile wiadomości spłynęło na wszystkie moje

komunikatory? Odgrzebywałem się z nich jakiś... tydzień – dodaje z zadumą. – I chyba właśnie po siedmiu dniach wpadłem na tę starą wiadomość od siostry. Pół roku to szmat czasu – powtarza smętnym, tak bardzo do niego niepasującym głosem.

Naprawdę zrobiłabym wszystko, żeby mu jakoś pomóc, ale jedyne, co teraz mogę, to ponownie pogłodzić go czule po barkach. Dodatkowo na ramieniu mężczyzny składam delikatny pocałunek. Christiano uśmiecha się niepewnie, smutno i całuje mnie w czoło. A potem dalej mówi:

– To zdjęcie było apelem. Matilde wołała o pomoc.

Chyba powoli zaczynam rozumieć, dlaczego chciał jeszcze raz obejrzeć fotografię Liv. W zasadzie podejrzewałam to od samego początku, ale zżerała mnie zazdrość, nad którą nie potrafiłam zapanować.

– Emocje wróciły, jak tylko znów natknąłem się na to zdjęcie – wzdycha – i przyjrzałem mu się uważniej. Matilde tylko z pozoru wyglądała zwyczajnie: uśmiechała się, wyglądała zdrowo, normalnie. Ale gdy powiększyłem obraz, na jednej z jej dłoni, która, jak się okazało, znalazła się tam nieprzypadkowo, ujrzałem małą, prawie niewidoczną dla ludzkiego oka, czarną kropkę.

Zamieram. I nie wiem, co powiedzieć. Współczuję mu, ale w tej chwili nie jestem w stanie pokazać, jak bardzo mi przykro, bo... tak boję się o własną siostrę!

– Ja pierdolę, Christiano – wyduszam przez zaciśnięte z emocji gardło, a następnie od razu zawracam po swój telefon, który zostawiłam na nocnej szafce, przy łóżku.

## Tayler

Od dawna jestem w ogrodzie. Przyszedłem tu, kiedy było jeszcze ciemno. Od natłoku szalejących w mojej głowie myśli nie mogłem zmrużyć oka. Wyszedłem więc z domu, żeby się przewietrzyć. Na dworze jednak panuje straszliwa duchota, dlatego trudno mi się skupić.

Co mam zrobić z tą informacją, którą wieczorem potwierdził Kyle? Właściwie od jakiegoś czasu byłem na nią przygotowany. Liz pierwsza poinformowała mnie, że całkiem możliwe, iż jej siostra spodziewa się dziecka. Dlatego ten *hot news*, który mi wczoraj

przekazał brat, nie zrobił na mnie większego wrażenia. Tylko co miałem teraz z nim zrobić? Powinienem skontaktować się z Liv i dochodzić prawdy? Ustalać, kto jest ojcem jej dziecka? Mnie ta wiedza w zasadzie nie była do niczego potrzebna. Ale nie dlatego, że obawiałem się, iż to nie ja jestem ojcem. Nawet gdyby to Matt miał nim być, nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Jeśli Olivia wybrałaby mnie, nie jego, kochałbym to dziecko i wychował jak swoje. Najlepiej jak potrafię. Uznałbym je, bez względu na geny. Ale niestety moja ukochana, słodka Liv, za którą wskoczyłbym w ogień, a nawet poszedłbym do samego piekła, wybrała jego.

Muszę przyznać, że widok Christiana w samych spodniach oraz Liz, owiniętej jedynie w prześcieradło, jest dość... niecodzienny. Kilkoro ochroniarzy, którzy kręcą się w pobliżu, również patrzy na nich jak na przybyszy z obcej planety. Wcale się im nie dziwię. W moim domu działy się w przeszłości różne rzeczy, ale głównie za jego murami, z dala od zbyt publiczności – ochrona nigdy nie brała udziału w orgiach.

– Mogę wiedzieć, co was naszło, że na golasa paradowacie po ogrodzie? – pytam wprost, odrobinę przesadzając z tym „na golasa”.

– Spójrz na to – mówi Christiano i podaje mi telefon. To smartfon Liz.

Wystawiam po niego rękę i zerkam przelotnie na dziewczynę. Wydaje się taka... zagubiona. Nie mam pojęcia, co się dzieje. Może się znów pokłócili? A może...?

Spoglądam na wyświetlacz, na którym znów widzę to zdjęcie, i w jednej chwili mój już i tak chujowy nastrój jeszcze bardziej się pogarsza.

– Kazałem to skasować – burczę i od razu zamierzam oddać telefon stojącemu na wprost mnie Christianowi. Ale się rozmyślam, bo przecież równie dobrze mogę to zrobić sam.

– Czekaj! – Christiano, który najwyraźniej zauważa, co zamierzam, zdaje się ma mi coś jeszcze do powiedzenia. Oczywiście nie mam ochoty dłużej słuchać jego wywodów o tym samym, ale kiedy mój przyjaciel chwyta moją dłoń, w której nadal spoczywa telefon Liz, dociera do mnie, że raczej nie mam wyboru. – Nie usuwaj tej wiadomości – mówi przekonującym głosem. – I przyjrzyj jej się ponownie.

– Wiesz, o co mnie, kurwa, prosisz?! – wykrzykuję mu prosto w twarz. Nie wytrzymuję.

Nie zamierzam im obojgu tłumaczyć, jak bardzo rani mnie widok uśmiechniętej Liv, wiodącej pełne wygód życie u boku nowojorskiego biznesmena. Nie jestem jebanym mięczakiem, żeby komukolwiek opowiadać o swoich słabościach. Ale tak, to prawda, widok jej szczęścia jest dla mnie nie do zniesienia!

– Uspokój się, Tayler – upomina mnie Liz.

– Ktoś cię pytał o zdanie?! – naskakuję na nią, a Christiano mruży gniewnie oczy.

– Nie przeginaj – ostrzega mnie.

– A na chuj się wtrąca?! – wydieram się. – Najpierw wszystko planuje z tym... paniczykiem z miasta, a teraz nagle postanawia mi pomóc? W dupie mam taką pomoc!

– Wiesz co? – Liz krzyżuje ramiona na piersiach, zupełnie jakby stawała do walki.

Ja pierdolę... Czy ona nie rozumie, że już i tak nic nie ugra? Zwłaszcza takim zachowaniem.

– Też mam cię w dupie, Tayler – dodaje wściekle, a ja aż prychem ze złości pod nosem. Nie rozumiem, po co w ogóle zaczynaliśmy tę rozmowę. – Ale mylisz się, sądząc, że przyszliśmy tu, żeby ci pomóc.

– Nie?! – rzucam z kpiną.

Unoszę brew i wykrzywiam twarz, dając upust swojej złości, ale to tylko kropla w morzu moich możliwości. Ledwie się powstrzymuję, żeby nie pokazać Liz, co robię z takimi jak ona. Gdyby nie była kobietą mojego przyjaciela, odpowiednio bym się z nią policzył.

– A co? Może chcecie mi pogratulować domniemanego ojcostwa? – drwię, wypełniając ciszę, która na moment zapadła.

– Co? – Liz ma oczy wielkości spodków. – A więc to jednak prawda... – mówi jakby do siebie.

– Skąd ta pewność, że Liv spodziewa się dziecka? – pyta nagle Christiano, który przez moment stał w milczeniu, na straży i tylko przysłuchiwał się naszej pyskówce. – Rozmawiałeś z nią?

Kręcę głową i wzdycham. Nie mam ochoty właśnie teraz wracać do tego tematu, ale wiem, że żadne z nich tak łatwo nie odpuści, więc wyjaśniam:

– Rozmawiałem wieczorem z Kyle'em. Wpadł na Liv – dodaję, oszczędzając im szczegółów, których sam nie do końca rozumiem. Nadal bowiem nie pojmuję, dlaczego mojemu bratu nagle się tak pozmieniało w uczuciach. Przecież on naprawdę nie znosił Liv, a teraz wyraźnie starał się jej pomóc, choć go o to nie prosiłem.

– Co z nią?! Ma się dobrze. I...

A Liz już zasypuje mnie pytaniami. Ależ ona jest męcząca... Jak Christiano z nią wytrzymuje?

– Liv powiedziała Kyle'owi o dziecku – ucinam tę jej bezsensowną paplaninę.

– Kyle'owi? Twojemu bratu? – upewnia się Liz, na co kiwam głową. – Nie sądzisz, że to dziwne?

Mam ochotę powiedzieć jej, że sama jest dziwna, ale powstrzymuję się. Takie przepychanki słowne chyba nie mają większego sensu.

– Teraz wszystko staje się jasne, Christiano – zwraca się nagle do swojego chłopaka, a on przyznaje jej rację.

Nic z tego nie rozumiem.

– Spójrz na zdjęcie, Tayler – dziewczyna nalega.

Na końcu języka mam ciętą ripostę, ale nie zdążam nawet otworzyć ust, bo Christiano wtrąca się do rozmowy:

– Zrób, o co prosi Liz. I lepiej od razu powiększ obraz – dorzuca, kiedy tylko ponownie zerkam na ekran telefonu.

Udaję niewzruszonego, gdy znów spoglądam na jej fotografię. Prawda jest jednak taka, że widok mojej ukochanej kobiety i świadomość, że należy do innego faceta, mocno mnie ranią.

– Mam dość – wyduszam szeptem i zamykam oczy. Ledwie nad sobą panuję.

Czuję, jak ktoś kładzie mi ręce na barkach. Na szczęście to Christiano. Doceniam, że się o mnie martwi, ale wkurzam się zarazem, bo nie oczekuję litości. Zwłaszcza z jego strony. Dotąd obaj jej nie potrzebowaliśmy i dzięki temu otaczający nas ludzie mieli do nas szacunek.

– Spójrz na jej dłoń – mówi łagodnie.

Dalej nie wiem, o co mu chodzi, ale już bez większego oporu spoglądam ponownie na wyświetlacz telefonu. Nadal nie widzę

niczego szczególnego, nic, na co mógłbym zwrócić większą uwagę. Po prostu widzę ją.

– Tutaj. – Christiano powiększa obraz, a potem wskazuje na coś palcem. – Tylko popatrz – dodaje.

Wtedy zauważam małą, czarną kropkę. Wciąż nie mam pojęcia, co oznacza, ale teraz widzę ją wyraźnie.

– Liv ma kłopoty.

– Sama się o nie prosiła! – podnoszę głos. – A dziecko to rzeczywiście kłopot – prychem z ironią. – Zwłaszcza kiedy nie ma się pewności, kto jest jego ojcem.

Nawet nie zauważam, że Liz podchodzi bliżej. Wymierza mi policzek, a później wydziera na mnie gębę. W dodatku zwymyśla mnie od idiotów, chamów i prostaków.

Aż mnie, kurwa, nosi! Jak śmie?!

Postępuję w jej stronę, ale ona nie cofa się nawet o krok, taka jest harda. Za to mój przyjaciel zagrausza mi drogę i wchodzi pomiędzy nas.

– Odsuń się, bo nie ręczę za siebie – warczę, zaciskając dłonie w pięści.

– Uspokój się – mówi, przez co wpadam w jeszcze większy gniew. Zwyczajnie wkurwia mnie ten jego spokój i w ogóle to, że się wtrąca. Nie powinien mnie teraz ugłaskiwać, a... umoralnić swoją dziewczynę. Czy oczekuję zbyt wiele? W końcu jest moim najlepszym przyjacielem!

– Ja mam się uspokoić?! – rzucam rozjuszonym głosem, wciąż słysząc, jak ta durna pinda wyzywa mnie od najgorszych.

– Powiedziałem dość! – wykrzykuje Christiano. – Oboje! – Nagle wyparowuje z niego całe to wcześniejsze opanowanie i teraz patrzy ze złością już nie tylko na mnie, ale także na Elizabeth, dlatego dziewczyna od razu zamyka jadaczkę. – Ochłoń, Liz – dodaje po chwili już odrobinę spokojniej, po czym na powrót zwraca się do mnie. – A ty posłuchaj. – Jego głos brzmi stanowczo.

Milczę więc, ale nie dlatego, że się przestraszyłem jego wybuchu, a jedynie z powodu szacunku, jaki do niego żywię.

– Czarna kropka oznacza, że dana osoba ma kłopoty. Jej zadaniem jest pomóc w rozpoznaniu ofiar przemocy domowej.



Mam ochotę zapytać, czy postradał rozum, ale zamiast tego jedynie kwituję pełnym ironii pytaniem:

– Nie sądzisz, że to już nie moja sprawa? – Przecież się tego domyślałem. Ale skoro zdecydowała się na Matta... – Wybrała jego, nie mnie! Poza tym Liv jest dorosła i z pewnością wie, co robi.

– A może się mylisz? – słyszę w odpowiedzi. – A co, jeśli znalazła się w potrzasku?

Potrząsam głową. Nie daję wiary w ani jedno słowo. Być może Liv uchodzi za słabą kobietkę, ale ja znam ją od dziecka i wiem, że od zawsze drzemała w niej silna i zdecydowana kobieta. To, przez co przeszła, to, co stale ją spotykało, mogło powalić na kolana nawet twardego mężczyznę, ona jednak zawsze walczyła do końca. Jak więc mam teraz uwierzyć w tę jej nagłą słabość, tę cholerną niemoc?

– Nie znasz jej – odpowiadam, siląc się na spokój, który zupełnie ze mnie wyparował.

– Może i masz rację – mówi Christiano i kiwa głową. Ale wyraz jego twarzy zaprzecza, aby się ze mną zgadzał. Mam więc ochotę definitywnie zakończyć tę farsę, tylko że wtedy ponownie się odzywa: – A może... – wzdycha – dlatego że nie znałem własnej siostry, przyczyniłem się do jej śmierci.

Patrzę na przyjaciela w osłupieniu. Nie mam pojęcia, o czym mówi. O jego rodzinie wiem sporo, ale o siostrze i matce słyszałem zaledwie tyle, ile sam mi powiedział. Rodzice Christiana się rozwiedli. Stary Santini ponoć wypłacił swojej byłej żonie zadośćuczynienie z dobrej woli – mieli podpisaną intercyzę i nie musiał jej niczego dawać. Podzielili się też dziećmi. Ona zabrała córkę, a jemu zostawiła syna, następcę. Wzięła kasę i Matilde, po czym obie wyjechały. Christiano był wówczas smarkaczem. Wyobrażam sobie, co przeżywał, ale sądziłem, że wydorósł i przeszłość zostawił już za sobą. Ale jak widać, wciąż do niej wracał. W dodatku obwiniał się o śmierć osoby, która w moim odczuciu miała go w... głębokim poważaniu. Nie rozumiem więc ani trochę jego nagłych emocji.

– Przestań pieprzyć, brachu – odzywam się po chwili. – Oboje dobrze wiemy, że to nie twoja wina, że Matilde nie żyje.

– Moja, nie moja. Już nigdy się tego nie dowiem. Ale chcę żebyś wiedział, że Matilde też na chwilę przed śmiercią wysłała mi

wiadomość z czarną kropką.

Patrzę na Christiana i nie wiem, co powiedzieć. Nigdy mi o tym nie wspomniał choćby słowem. Do dziś.

– Nie mam pojęcia, co z tym zrobisz, Tayler, ale moim zdaniem Liv prosi o pomoc i w ten sposób pokazuje, że jest w niebezpieczeństwie.

## Rozdział 25

### Liv

Wiem, że ucieczka nie jest najlepszym pomysłem, ale to moja ostatnia szansa, więc się jej chwytam. Wyjmuję z dna szafy swój stary, sfatygowany plecak w cekiny i gładzę go dłonią. Wiąże się z nim mnóstwo miłych, a zarazem niezapomnianych wspomnień. Moje dzieciństwo i marzenia, które sprawiały, że pomimo biedy byłam szczęśliwa. Pamiętam, jak wyjmowałam z kartonów – tata przechowywał je w piwnicy – te wszystkie rzeczy, które wyrabiali z matką. Rodzice mieli wspólny biznes. To było zanim tatę, a właściwie nas, zostawiła mama. Plecak też kilka lat przeleżał w jednym z pudeł. Ojciec z sentymentu przechowywał go wraz z mnóstwem innych gadżetów. A ja? Bawiłam się nimi. Rozkładałam na łóżku, a nawet niektóre rzeczy przymierałam, czując się jak gwiazda z paryskiego wybiegu.

Znów czule głaszczę układające się pod wieloma kątami błyszczące kóleczka i nachodzą mnie kolejne wspomnienia.

Pierwsze randki z Mattem... Pamiętam, jak przyglądał się temu *tworowi* z przesadnym zainteresowaniem. Chyba niespecjalnie mu się spodobał mój plecaczek, ale był za dobrze wychowany, żeby mi o tym powiedzieć. Wtedy był cudownym, naprawdę wyjątkowym mężczyzną... W zasadzie pewnie nadal drzemie w nim ten sam facet, w którym się zakochałam, tylko się pogubił, bo zbyt wiele na niego spadło. Rozstanie państwa Trainorów – psychologowie dowodzą, że rozwód rodziców dotyka ich dzieci bez względu na wiek – zdrada... Tak, Matt ma prawo czuć się skrzywdzony i zdradzony, zwłaszcza że te wszystkie oszustwa i nieuczciwości spadały na niego po kolei, niczym grom z jasnego nieba. Najpierw była sprawa z Meg. Ta kobieta okazała się naprawdę wyrachowaną, puszczalską suką. W dodatku potem okazało się, że kolejnym amantem z jej dość długiej listy kochanków jest jego własny ojciec. To było naprawdę perfidne zarówno ze strony Anthony'ego, jak i byłej żony Matthew. Dlatego współczułam i jemu, i jego matce, Grace, która słabo znosiła

tę całą sytuację. A na końcu i ja mu dołożyłam. Wiem, że po moim powrocie nie było mu lekko żyć z myślą, że przez cały ten czas, kiedy on wierzył, że umarłam, ja żyłam z innym facetem. W dodatku z mężczyzną, który był moją pierwszą miłością.

Zerkam na plecak i wzdycham cichutko. Znowu bierze mnie na wspomnienia...

*Jestem w skąpanym słońcem Meksyku. Odwiedza mnie Alejandra. Ma randkę i nie wie, w co się ubrać. Trochę mnie to dziwi, bo szafę ma przecież po brzegi wypchaną sukienkami. Ale ona ten jeden raz nie chce wyglądać wyzywająco, nazbyt odważnie, i pożycza ode mnie wypłowiałe jeansy i zwyczajny top. Jest taka śliczna, że i w pospolitym zestawie wygląda jak bogini.*

*Widzę, jak bierze do rąk mój plecak. Podoba się jej. I słusznie, bo uważam, że ten krzykliwy i mocno rzucający się w oczy gadżecik jest naprawdę wyjątkowy. Pożyczam go jej, choć przez moment targają mną obawy, czy powinnam. W końcu, pomimo znikomej wartości, był mi bardzo drogi.*

„Alejandro... – szepczę w myślach, a do moich oczu napływają łzy. – Gdybyś tylko wiedziała...”

Staram się odepchnąć myśl, która pojawia się jako kolejna.

„To tylko ostateczność” – przekonuję się resztkami sił.

Wachluję się dłonią, bo nie zamierzam płakać. Łzy już niczego nie zmieniają ani w niczym nie pomogą. Muszę jeszcze tylko zawalczyć. Choćby ostatni raz.

Nie zamierzam brać ze sobą zbyt wielu rzeczy, tylko te najpotrzebniejsze, żeby jakoś przeżyć przez pierwsze dni na ulicy. Chcę spróbować. Wiem, że nie będzie łatwo, ale jestem odpowiedzialna już nie tylko za siebie, ale i za dziecko, więc muszę podjąć próbę. Dlatego przyrzekam, że się nie poddam. Kilka dni zamierzam spędzić w miejscach, do których Matt raczej nie zajrzy, bo pewnie nawet nie ma pojęcia o ich istnieniu. A potem? Co będzie później, jeszcze nie zdecydowałam. Może poproszę o pomoc Brooke? Trochę się obawiam, że mi odmówi, bo od jakiegoś czasu znów się z kimś spotyka – do niedawna leczyła złamane serce – i pewnie byłabym dla niej ciężarem. Niemniej zamierzam spróbować, oczywiście licząc się z jej odmową. Zanim Matt zamknął mnie w

domu, umówiłam się z nią na kawę. To właśnie wtedy opowiedziała mi o swoim nowym chłopaku. Znowu wydawała się taka zakochana. Zazdrościłam jej, bo ja swoją jedyną i prawdziwą miłość – wtedy naprawdę zdałam sobie z tego sprawę – zostawiłam daleko od Nowego Jorku, w gorącym jak piekło Meksyku. W dodatku zrobiłam to w imię przyzwoitości i poczucia obowiązku.

„A może spotkam się z panią Maxwellową? – myślę jeszcze. – Wiem, że jeden z jej synów, Kyle, mnie nie lubi, a drugi nie chce mnie znać, ale... Zrobię wszystko, żeby ratować to maleństwo” – dodaję, głaszcząc nadal płaski brzuch.

Jeszcze raz sprawdzam zawartość plecaka. Chyba mam wszystko. Zapinam go i rozglądam się po apartamencie. Był czas, że tryskałam tutaj szczęściem. Matthew był dla mnie cudowny i czuły. Dbał o mnie, opiekował się mną. Kochał mnie – przynajmniej tak mi się wówczas zdawało. Ale przede wszystkim czułam się tutaj bezpieczna. Tak, tego jednego nie mogłam mu zarzucić. To Matt, jako pierwszy, dał mi poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji.

A teraz?

W tej chwili to miejsce kojarzy mi się wyłącznie z cierpieniem i poniżeniem. Matt stał się zupełnie innym człowiekiem, choć bywają momenty, w których wydaje mi się, że to moja wina. Ale pewnych rzeczy nie da się usprawiedliwić, a już z pewnością nie można usprawiedliwić przemocy. Nieważne pod jaką postacią przejawiana.

Na stole w jadalni zostawiam karteczkę z krótką wiadomością do Matta oraz pierścionek. Nie mogę go już nosić.

Liczę, że Matthew kiedyś mi wybaczy...

Oglądam się za siebie i patrzę w okna. Ostatni raz zerkam na rozciągającą się panoramę Nowego Jorku, która – obojętnie o jakiej porze dnia – z tego miejsca naprawdę zachwyca. Omiatam jeszcze spojrzeniem salon – nawet widok skąpanego w promieniach zachodzącego słońca Manhattanu w tej chwili staje się bez znaczenia. Teraz muszę ratować własne dziecko. Tylko ono się dla mnie liczy. Nikt ani nic więcej nigdy nie było i nie będzie ważniejsze od niego.

Poprawiam czapkę z daszkiem, którą podkradłam Mattowi – jedyną zresztą, jaką miał w swojej garderobie – a dodatkowo naciągam na głowę kaptur. Wiem, że na dworze jest ciepło, ale liczę,

że dzięki temu kamuflażowi zdołam jakoś wymknąć się z budynku niezauważona. Wierzę w to głęboko, bo w przeciwnym razie moja misja ratunkowa nie miałaby najmniejszego sensu.

– Żegnaj, Matt – mówię do siebie, a następnie zmierzam do drzwi. Chwytam klamkę, naciskam ją, a potem wpadam na... niego.

## Liz

– Nie ma mowy – upiera się mój chłopak.

– Chcesz się założyć? – warczy jego przyjaciel.

Przesadza. Tayler dziś naprawdę przechodzi samego siebie. Najpierw zachowuje się tak, jakby chciał nam obojgu wydrapać oczy za wciskanie nosa w nie swoje sprawy. A teraz? No właśnie... W tej chwili zamienił się w nieodpowiedzialnego szaleńca. To do niego niepodobne. Nie znam go zbyt długo, ale zdążyłam już wyrobić sobie o nim własną opinię. Tayler to macho. Tak – jebany, kurwa, macho. Pod każdym względem. Ale to też świetny facet. Z zasadami, z jajami, jakkolwiek to dwuznacznie brzmi. On nie zalicza się do grona mężczyzn, którzy zabawę i przyjemności stawiają na pierwszym miejscu. Oczywiście Tayler uwielbia imprezowanie, w każdym znaczeniu tego słowa. Ale on nie myśli kutasem, jak większość facetów, tylko głową, którą co dzień nosi dumnie na karku. Tym bardziej nie mogę pojąć, dlaczego upiera się, by lecieć z nami do Nowego Jorku. Sam przyznał, że nie było go tam przez wiele długich lat i że właściwie nie powinien się tam pokazywać. Nie rozumiem więc, dlaczego teraz postanowił się wychylać i aż tak narażać. Właściwie chyba nawet chwytam, o co w tym wszystkim chodzi. Tayler tak bardzo kocha moją siostrę, że jest w stanie poświęcić nie tylko życie własne, ale i wielu innych osób, żeby ją tylko ratować. A to, muszę przyznać, czyni go w moich oczach wielkim. I wyjątkowym.

Niemniej teraz zamierzam mu dopiec. Jednak nie robię tego ze złości, ale tylko po to, żeby mu pokazać, że działa zbyt pochopnie.

– Wiesz, czasem się zastanawiam, czy Bóg cię nie stworzył jedynie po to, żebyś mnie wkurwiał – wypalam, na co mruży gniewnie oczy. Nie pała już jednak chęcią mordy, jak wcześniej, kiedy to nie krył się z tym, że ma ochotę udusić mnie gołymi rękami.

– No popatrz – prycha Tayler. – Najwyraźniej przyświecały mu takie same przesłanki, tylko w odwrotną stronę, kiedy miał plan na ciebie.

– Z wami naprawdę można oszaleć – kwituje Christiano, przewracając oczami.

Zwracamy się w jego stronę i uśmiechamy przesłodka, na pokaz, co może rzeczywiście świadczyć o tym, że Tay ma rację, sugerując, że jesteśmy do siebie podobni. Zapomniał tylko dodać jednego. Bóg stworzył nas oboje na własne podobieństwo, żeby nam obojgu dopiec, a sobie przysporzyć swoistej rozrywki.

– Lecę z wami. Koniec tematu – upiera się Tayler.

– Wiesz, jakie to ryzykowne? – Mój facet nie odpuszcza. – I niebezpieczne.

– Wiem – odpowiada mu przyjaciel, nerwowo przeczesując palcami odrobinę za długie włosy. – Ale Liv mnie potrzebuje. To moja kobieta.

Przez moment oboje z Christiano przyglądamy się sobie w milczeniu. Wobec takiego argumentu chyba żadne z nas nie ma już nic do powiedzenia. Musimy więc tylko ustalić, jak to dalej rozegrać, żeby wszelkie straty okazały się jak najmniejsze.

– Ogarnąłeś już samolot? – pyta Tayler, raz po raz zerkając nerwowo na zegarek.

– Tak. – Christiano kiwa głową. – Polecimy prywatnym odrzutowcem. Tak jak chciałeś.

Wylot mamy za trzy godziny. Pewnych rzeczy po prostu nie da się przyspieszyć – powoli zaczynam to rozumieć – ale trzeba zebrać właściwych ludzi, ekipę. Tymczasem Tayler zachowuje się tak, jakby z marszu zamierzał jechać na lotnisko. Nosi go. Wstaje z fotela i nawet na nas nie czekając, rusza w stronę drzwi wiodących do ogrodu.

– Idź za nim – proszę Christiana, kiedy Tayler znika nam z oczu. – I uspokój go trochę, zanim znów zacznie coś odpieprzać.

– Jasne – zgadza się, a na odchodne dorzuca: – Mówiłem ci dzisiaj, że cię kocham?

Mój facet – Boże jak cudownie myśli się o nim w taki sposób – rozkłada mnie na łopatki tym nieoczekiwanym wyznaniem.

– A ja cię – odpowiadam zdławionym, pełnym szczerego wzruszenia głosem. Przesyłam ci jeszcze całusa, a potem zostaję sama.



# Rozdział 26

## Christiano

Nie podoba mi się ten szalony pomysł, ale przecież nie mogę mu niczego zabronić. Zresztą Tayler jest do tego stopnia nakręcony, że i tak by nie posłuchał żadnej, nawet najbardziej przemyślanej rady. Wiem, że wiele ryzykuje, decydując się na wyjazd do Nowego Jorku, ale staram się go zrozumieć. Też zrobiłbym wszystko dla Liz. I robię – mam przynajmniej taką nadzieję. Liczę, że nasz wyjazd do NYC okaże się na tyle udaną wyprawą, że przy okazji rozwiążemy naszą wspólną sprawę. Do konfrontacji z Craigiem i jego ludźmi została raptem nieco ponad doba, a my wciąż nie mamy planu B. Oczywiście, jeśli nie będzie wyjścia, Tayler ożeni się z Liz – nie ma mowy, żeby trafiła w łapska tego parszywca Craiga i jego ludzi – ale to naprawdę ostateczność. Sam chciałbym poprosić ją o rękę i wyjechać z nią do Włoch, do domu. Gdyby jednak ślub z Taylerem okazał się konieczny, nie mógłbym jej nigdzie zabrać, a sam musiałbym wrócić na wyspę. Miałem tam całe mnóstwo własnych obowiązków. Dlatego ewentualny, choć niewykluczone, że całkiem możliwy ożenek mojego najlepszego przyjaciela i mojej kobiety wiele by w naszym życiu zmienił i skomplikował zarazem. Trudno mi nawet sobie wyobrazić, jak wyglądałyby nasze relacje po ich ślubie. Ja na drugim końcu oceanu, ona tutaj. Czy taki związek miałby w ogóle szansę przetrwać?

W tej chwili jedynym ratunkiem dla naszego związku wydaje się powrót Liv. Pozostaje mi jeszcze wierzyć, że siostra Liz będzie chciała wrócić z nami do Meksyku. Nie znam jej, więc nie jestem w stanie odgadnąć, jak się zachowa, kiedy staniemy w progu jej domu, a właściwie apartamentu jej kochanka. Pewnych zachowań, zwłaszcza ofiar przemocy domowej, nie da się przewidzieć. Osoby takie bardzo często odpychają od siebie wszelką pomoc. Jedne robią to ze wstydu, inne ze strachu, ale są również i takie, które decydują się tkwić w toksycznym związku, bo nie widzą przyszłości.

A jeszcze inne wierzą, że oprawca się zmieni, co z reguły nigdy nie następuje. Stereotypowe zachowania.

Dlatego nie wiem, jak zachowa się Liv. Czy da sobie pomóc i wróci z nami do Alvarado? Mam głęboką nadzieję, że tak, bo to jedyne wyjście. Dla nas wszystkich.

– Współczuję mu. – Liz szepcze mi do ucha i zerka z obawą na Taylera, który ma zamknięte oczy, ale – jestem pewien – nie śpi. – I jednocześnie mam nadzieję, że moja siostra wreszcie doceni to wszystko, co dla niej robi.

– Też na to liczę – mówię cicho. – Sądziś, że Liv może odmówić przyjęcia pomocy?

– Nie wiem, Christiano – wzdycha. – Nie znam jej. Spędziłyśmy z sobą za mało czasu, bym mogła wyrobić sobie o niej jakąś opinię. Ale mam nadzieję, że doceni to, co dla niej robimy. W końcu poniekąd sama zwróciła się do mnie po pomoc, czyż nie?

Kiwam głową. Ma absolutną rację.

– Możecie przestać spekulować? – odzywa się Tayler, spoglądając na nas z pretensją. – Co ma być, to będzie – dorzucą jeszcze.

Oboje z Liz nabieramy wody w usta. Nie chcemy go drażnić, bo i tak słabo radzi sobie z tą sytuacją. Nic dziwnego. Niebawem podchodzimy do lądowania i tak naprawdę wciąż nie wiemy, czego możemy się spodziewać po opuszczeniu pokładu samolotu. Niby wszystko mamy pod kontrolą – wystarczy tylko trzymać się planu, a nic złego nie powinno się wydarzyć – ale jeśli okaże się, że wyciekła informacja o tym, że Tayler złamał zasady i ma zamiar stanąć na ziemi, na którą ma zakaz wstępu, może zrobić się naprawdę gorąco.

\*\*\*

Samolot już drugi raz kołuje nad płytą lotniska. Na pierwsze podejście do lądowania nie otrzymaliśmy zezwolenia od kontrolera lotu. Rzekomo zmieniający się wiatr był w tym momencie niesprzyjający. Ja jednak obawiam się, że to wcale nie wina wiatru – dotąd ani razu nie poczułem turbulencji. Mam złe przeczucia. Tayler chyba także, bo zerka niespokojnie przez okno, przy którym siedzi.

Kiedy wreszcie lądujemy i zbieramy się do opuszczenia samolotu, wymieniamy się porozumiewawczymi spojrzeniami, po czym ruszamy do wyjścia. Ja idę pierwszy, potem Tayler, a na końcu Liz.

Każde z nas jest uzbrojone, ale ustaliliśmy, że jeśli na zewnątrz zrobi się gorąco, Liz ma zawrócić i kazać pilotom znów wystartować. Liczę, że chociaż ten jeden raz mnie posłucha.

Wychodzę z kabiny i staję u szczytu schodów. Oślepia mnie słońce, więc wyjmuję z kieszeni marynarki okulary i wsuwam je na nos. Tayler nic nie mówi, ale stoi tuż za moimi plecami, tak że wyraźnie czuję jego narastający z sekundy na sekundę niepokój.

– Wydaje się, że jest czysto – oznajmiam, gdy jeszcze raz wnikliwie przeczesuję wzrokiem płytę lotniska.

Oprócz opancerzonego hummera z przyciemnianymi szybami nie widzę żadnego innego pojazdu, który mógłby wzbudzać podejrzenia.

– Idziemy – rzucam po chwili, a potem zapuszczam się schodami w dół.

Przez cały czas jestem czujny i obserwuję teren oraz przyglądam się ludziom, którzy tu razem z nami przybyli. Każdy z nich może być wtyką. Przekonaliśmy się o tym tej nocy, kiedy jeden z ludzi Taylera nagrywał nas z balkonu. Już wtedy nabraliśmy z Taylerem podejrzeń, że może być więcej takich osób. Niestety nie wpadliśmy na kolejny trop. Dlatego podejmujemy podwójne ryzyko, gdy Tayler schodzi na sam dół, a jego stopy stykają się z nowojorską ziemią. Asekuracyjnie trzymam rękę na broni. Jeśli tylko dostrzegę jakikolwiek budzący niepokój ruch, nie zawaham się jej użyć. Zerkam jeszcze w stronę Liz. Nadal stoi w wejściu, a jej dłoń spoczywa na spluwie.

„Zuch dziewczynka!” – chwalebę ją w myślach.

Upływa zaledwie chwila, a zamówiony przeze mnie hummer podjeżdża, by nas zabrać. Kiedy otwierają się drzwi, zaciskam mocniej palce na pistolecie. Na szczęście i tutaj nie wyczuwam zagrożenia, bo z samochodu wysiada tylko jedna osoba, prawdopodobnie ten sam facet, z którym rozmawiałem przez telefon. Nie mylę się, to on. Rozpoznaję go po głosie, gdy się ze mną wita i wręcza mi kluczyki. Pozostaje jeszcze tylko sprawdzić środek. Tu też jest czysto.

– Usiądź z tyłu – mówię do Taylera, który bez słowa sprzeciwu wykonuje moje polecenie.

Kiedy mój przyjaciel znika we wnętrzu, kiwam do Liz. Idzie niepewnie po schodach. Widzę, jak nogi uginają się jej w kolanach.

Nic dziwnego, boi się. Ja na jej miejscu też bym się bał. Zresztą, pomimo że przesiąkłem światem, w którym nieraz widziałem śmierć, nadal, w chwilach takich jak ta, czuję zimny pot na karku. A to przecież jeden z objawów strachu.

Gdy Elizabeth do mnie podchodzi, biorę ją za rękę. Jest zimna i spocona jednocześnie. Przez moment patrzę swojej kobiecie prosto w oczy i uśmiecham się pokrzepiająco. Odpowiada niepewnym drgnieniem warg, więc nie przeciągam tej chwili, tylko prowadzę ją do samochodu. Otwieram przed nią drzwi i każę zająć miejsce pasażera z przodu. Zaraz dołącza do nas jeszcze jeden z ludzi Taylera i siada obok niego, z tyłu. Pozostaje mi zasiąść za kierownicą i w końcu stąd odjechać.

Oddycham z ulgą, gdy opuszczamy teren lotniska, choć wiem, że to jeszcze nie koniec, a co najwyżej początek. Największy stres wciąż przed nami.

## Liv

– Matt, proszę... – chlipię.

– Jeszcze mi za to podziękujesz – mówi, a potem łapie mnie za szczękę i na siłę wciska we mnie tę cholerną tabletkę. Nie wiem, co to jest, ale jestem pewna, że to coś bardzo złego. – Pij – rozkazuje, przystawiając mi do ust szklankę z wodą.

Nie chcę, bo obawiam się, że jak połknę tę pastylkę, to będzie po wszystkim i stracę nawet tę ostatnią szansę, jaka mi została.

– Matt...

Znów wykrzywia mi buzię i wlewa mi do ust niemal całą zawartość szklanki. Dławię się, a woda ścieka mi po brodzie i oblewa dekolt, ale on nie ma litości.

– Połykaj! – ryczy wściekłym głosem.

Nie mam wyjścia i przełykam to świństwo, które mimo wody zostawia gorzki posmak na języku.

Boję się o dziecko, choć jednocześnie mam świadomość, że już nie jestem w stanie go uratować. Nie myślę się, bo to gówno, które Matt raptem chwilę temu wcisnął mi do gardła, niemal natychmiast zaczyna działać. Kręci mi się w głowie, a moje ciało staje się wiotkie. Nie panuję nad nim i gdyby nie Matthew, który łapie mnie w ostatniej chwili, upadłabym na podłogę.

– No już, mała. Już... – szepcze w moje włosy, obejmując mnie. – Zaraz będzie po wszystkim, a nasze życie wróci do normy – dodaje, a potem bierze mnie na ręce i... urywa mi się film.

\*\*\*

Świadomość odzyskuję dopiero w gabinecie. Początkowo nie wiem, gdzie jestem, bo mam mroczki przed oczami i ogólnie rozmywa mi się obraz. Ale po chwili, jak przez mgłę, zauważam fotel ginekologiczny, a do moich uszu dochodzi niepokojąca rozmowa.

– Nie ma mowy!

Nie rozpoznaję tego głosu, ale z pewnością należy do mężczyzny. Nie znam go – jestem tego absolutnie pewna.

– Płaczę, więc wymagam – mówi Matt. Jego głos rozpoznaję od razu.

– Nie zgadzam się – odpowiada mu tamten. – I ostrzegam, że jeśli nadal będzie pan nalegał na uczestnictwo w zabiegu, odwołam go.

Nagle dociera do mnie, kim jest nieznajomy, a nawet gdzie jesteśmy. Na myśl, że ten człowiek za chwilę wyrwie ze mnie dziecko, które jest w moim łonie, chce mi się płakać.

Próbuję coś powiedzieć, ale te cholerne prochy, które wcisnął we mnie Matt na chwilę przed opuszczeniem mieszkania, jeszcze mnie trzymają, bo mam zasupłane w pętelkę gardło. Poza tym powieki ważą z tonę i naraz znów nastaje ciemność, a jedynym zmysłem, jaki funkcjonuje mi bez zarzutu, jest słuch.

– Żebyś wiedział, poszukałbym innego lekarza – warczy Matt, po czym dochodzi mnie jeszcze głośnie trzaśnięcie drzwiami.

Za chwilę słyszę ciche pukanie, a potem do moich uszu dociera damski głos:

– To był partner pacjentki?

– Tak.

– Zdenerwowany.

– Jak oni wszyscy – mówi mężczyzna, który według mnie jest lekarzem albo raczej rzeźnikiem, który się za niego podaje. – Proszę przygotować pacjentkę – dorzuca jeszcze, a zaraz potem wyraźnie słyszę oddalające się kroki.

– Dobrze, panie doktorze – odpowiada kobieta. Zgaduję, że to pielęgniarka.

– Dziewczyna jest pod wpływem jakiegoś świństwa, prawdopodobnie narkotyku – dodaje mężczyzna. – Jej partner twierdzi, że wzięła coś, żeby się rozluźnić, ale zapytany, co brała, nie umie odpowiedzieć.

Nie mam dość siły, żeby wydusić z siebie choćby słowo i zaprzeczyć temu oszczerstwu. Przecież niczego nie brałam! A już na pewno nie z własnej woli!

– Pobrałem próbkę krwi i właśnie idę oddać ją na cito do analizy. Musimy wiedzieć, co wzięła, zanim ją znieczulimy. Nie chcemy jej przecież zabić. Nie jesteśmy mordercami – dorzuca.

Nie? Gdybym tylko mogła mówić, usłyszałby, co myślę o takich jak on.

– Proszę ją przebrać. Idę do laboratorium – mówi. – Jak tylko będę miał wyniki badania toksykologicznego, od razu przystąpimy do zabiegu.

– Oczywiście, szefie – pada zwięzła odpowiedź, a później już tylko słyszę odgłos zamykanych drzwi.

Nie mija chwila, a czuję na swoim ciele czyjś dotyk. Jest delikatny, ale za jego sprawą ktoś pomału pozbawia mnie ubrania. Nie mam siły, żeby się przed tym obronić czy temu jakkolwiek przeciwstawić, a pielęgniarka – śmiem przypuszczać – zdejmuje ze mnie bluzkę. Chcę ją powstrzymać, opowiedzieć, co mnie spotkało – liczę, że mnie wysłucha i zrozumie – ale jestem w stanie jedynie dźwignąć powieki. Początkowo obraz jest nieostry, bardzo rozmyty, ale zaraz zaczynam widzieć lepiej. Przyglądam się młodej kobiecie w zielonym kitlu i czepku w takim samym kolorze, która właśnie zdejmuje ze mnie spodnie. Wydaje się skupiona na wykonywanej czynności, bo nawet nie zauważa, że na nią patrzę. I nagle jakimś cudem udaje mi się ruszyć głową, a nawet lekko poruszyć palcami, dzięki czemu zwracam jej uwagę.

– Wreszcie się ocknęłaś – stwierdza i patrzy mi w oczy. – Pomożesz mi trochę? – pyta, trzymając w rękach szpitalną koszulę.

Nadal nie jestem w stanie udzielić jej odpowiedzi, bo pomimo że otwieram usta, nie dobywają się z nich żadne słowa. Dlatego skupiam się i próbuję pokręcić głową, co słabo mi wychodzi, bo ona tego nie dostrzega. Tylko tak zdołałabym wyrazić sprzeciw wobec tego, do czego miało niebawem dojść.

– Nie płacz – słyszę nagle.

To właśnie wtedy dociera do mnie, że rzeczywiście po moich policzkach płyną łzy. Są oznaką mojej bezsilności i bezradności.

– Zaraz będzie po wszystkim – dodaje kobieta.

Wydaje się miła, a z jej głosu bije współczucie. Podejrzewam, że gdybym tylko zdołała jakoś się z nią porozumieć, pomogłaby mi.

Zamykam oczy i biorę głębszy wdech przez usta. Muszę zawalczyć. Albo chociaż spróbować to zrobić. Będę walczyć!

– Nie chcę. – Zbieram się w sobie i próbuję jej wytłumaczyć, że zostałam tu zaciągnięta siłą, ale z moich ust, zamiast słów, dobywa się jedynie niezrozumiały charkot.

– Próbujesz mi coś powiedzieć? – pyta kobieta, wsuwając mi na ramiona koszulę. W odpowiedzi ledwie kiwam głową. – Nie możesz mówić, bo brałaś prochy? Rozumiem. Swoją drogą trochę przesadziłaś – dorzuca karcącym tonem. – Oczywiście wiem, że to trudna decyzja, zwłaszcza dla ciebie, ale...

– Nie – wreszcie wyduszam z siebie ochryplym, zupełnie niepodobnym do mojego, głosem.

– Co „nie”? – Pielęgniarka na moment zaprzestaje wszelkich czynności i skupia całą swoją uwagę na mojej twarzy.

– Nie. – Jakimś cudem udaje mi się powtórzyć. – Ja nie... – Robię małe postępy, ale słowa wciąż grzęzną mi w gardle.

– Co chcesz powiedzieć? – Pochylająca się nade mną kobieta przygląda mi się badawczo.

Najpierw kręcę głową, a potem znów próbuję mówić:

– Nie... brałam...

Moje wyznanie sprawia, że przyglądająca mi się pielęgniarka wytrzeszcza oczy. Zaskoczenie na jej twarzy jest przeogromne.

– Ale przecież doktor mówił... Przecież wyraźnie widać, że jesteś naćpana.

– Matt – wyduszam z siebie.

– Kto?

– Matthew.

– Twój chłopak ci to zrobił? – pyta i jednocześnie zerka w stronę drzwi. Mam tylko nadzieję, że po niego nie pójdzie.

W odpowiedzi kiwam głową, a do oczu znów napływają mi łzy.

– Czy on próbuje cię zmusić do aborcji? – Wreszcie doznaje olśnienia.

– Tak – chrypię, rozklejając się na dobre.

Szybko zaczynam żałować swojej nieprzemyślanej szczerości, bo właśnie odkrywam, że kobieta już zmierza w stronę drzwi. Próbuję ją zatrzymać, ale jestem taka wyczerpana, że nie mam siły wydobyć z siebie choćby słowa. Zamykam oczy i zanoszę się jeszcze żałośniejszym płaczem.



## Rozdział 27

### Liz

– Normalnie jak Bonnie i Clyde – mówi Tayler i posyła nam cwaniacki, choć zmęczony uśmiech.

Cieszę się, że powoli opuszcza go stres, choć nie rozumiem, do kogo nas porównał.

– Kto? – pytam więc.

– Jesteś za młoda, żeby o nich słyszeć – wyjaśnia Tayler, podczas gdy Christiano wysiada, obchodzi samochód, po czym otwiera drzwi od strony pasażera i podaje mi rękę.

– Starzec się odezwał – rzucam zaczepnie na odchodne, na co mój facet szczerzy do mnie zęby.

Christiano także sprawia wrażenie już trochę mniej spiętego – po wylądowaniu niestety w niczym nie przypominał siebie. A może po prostu go nie znam? Nie aż tak, jak powinnam?

„Jeśli tylko wyjdziemy z tego cało, koniecznie trzeba będzie to zmienić” – przyrzekam sobie.

– O czym on mówił? – dociekam. Już taka moja natura.

– Tayler przyrównał nas do... – Christiano myśli przez chwilę – do pana i pani Smith.

– Aaa, teraz rozumiem. Sugeruje, że taka z nas wybuchowa para.

– Uśmiecham się szeroko i spoglądam na Taylera, który chyba już trochę dochodzi do siebie, na co wskazuje jego głupkowata mina, za którą, prawdę mówiąc, trochę się już stęskniłam. – Podoba mi się.

– Uważajcie na siebie – słyszymy jeszcze na odchodne, a potem we dwoje przemierzamy podziemny parking i kierujemy się w stronę wind.

Zżera mnie strach. Boję się, że coś może pójść nie tak, jak to sobie zaplanowaliśmy. Poza tym liczę, że Matt nie pozmieniał kodów, ale nawet jeśli to zrobił, to wierzę, że i z tym poradzi sobie mój naprawdę mądry chłopak. Christiano w tak krótkim czasie wielokrotnie udowodnił, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych. Dlatego szczerze mu ufam i liczę, że w razie czego złamie kod w

windzie i bez problemu dostaniemy się na górę. Tam pozostanie nam już przekonać Liv albo właściciela mieszkania, aby nas do niego wpuszczono.

Na szczęście kod umożliwiający skorzystanie z windy okazuje się ten sam. Przed nami tylko krótka przejażdżka i spotkanie, którego wciąż się trochę obawiam. Nie wiem, jak na nasz widok zareaguje Liv, ale jestem pewna, że Matt nie przywita nas chlebem i solą.

– No to jedziemy – mówię, wduszając odpowiedni numer piętra.

– Na samiułtkim szczycie – mruży pod nosem Christiano. – Luksusowo.

Nie komentuję tego, bo nie ma po co. Domyślam się, że podobnie jak Tayler, on też nie przepada za Mattem. Każdy z nich jednak z innego powodu odczuwa niechęć wobec Matthew Trainora. Tayler nie znosi go choćby za to, że odebrał mu Liv. A Christiano? On chyba wciąż jest odrobinę zazdrosny o tę niechlubną część mojej przeszłości, w której to dzieliłam łóżce z obecnym partnerem mojej siostry. Moje przypuszczenia potwierdza nieznośna cisza, która nastaje w windzie, a której nijak nie umiem przerwać. Oddycham zatem z ulgą, gdy wreszcie dojeżdżamy na miejsce, bowiem przez to kłujące w uszy milczenie po raz pierwszy w życiu nie wiem, jak się zachować. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie powinnam porozmawiać na ten temat z Christianem i raz na zawsze zamknąć ten uwierający nas oboje temat, ale tchórzę. Poza tym to chyba nie był właściwy moment na takie rozmowy.

Kiedy winda zatrzymuje się na właściwym piętrze, wysiadamy. Patrzymy na siebie wzajemnie, ale wciąż milczymy. Zdaje się, że zjada nas stres. Mam tylko nadzieję, że nasze spotkanie we czwórkę – nie jestem pewna, czy Matt znajduje się w mieszkaniu, ale taką ewentualność biorę pod uwagę – przebiegnie bezproblemowo

Wreszcie stajemy pod drzwiami apartamentu Trainora. Serce chce mi wyskoczyć z piersi. Odważam się kolejny raz spojrzeć na Christiana. Tylko udaje opanowanego. Też w rzeczywistości jest zdenerwowany.

Niemniej musimy działać. Pukam niepewnie do drzwi, spoglądając ukradkiem na towarzyszącego mi mężczyznę. Jest skupiony, ale na policzkach drgają mu mięśnie.

– Chyba nikogo nie ma – odzywam się, a wtedy Christiano najpierw wdusza dzwonek, a gdy i to nie odnosi zamierzonego skutku, wali w drzwi pięścią.

– Spróbuj zadzwonić do siostry – rozkazuje, gdy z wnętrza wciąż nie dochodzi nas żaden szmer.

Robię, co mi każe. Szybko wybieram numer Olivii, ale jak zwykle w słuchawce rozbrzmiewa informacja z sieci, mówiąca o tym, że abonent jest poza zasięgiem lub że ma wyłączony telefon.

– Bez zmian.

– Zadzwoń do niego.

Spełniam kolejny jego rozkaz, ale oczywiście Matt również nie raczy odebrać. Zza zamkniętych drzwi nie słychać również dzwonka jego telefonu. Prawdopodobnie więc nie ma go w mieszkaniu. Tylko czy Liv tam jest?

– Liv?! – wołam i teraz to ja zaczynam się dobijać. – To ja, Liz. Wpuść mnie.

Odpowiada mi głucha cisza.

Spoglądam na Christiana, który wyjmuje coś z kieszeni. To wytrych, jestem tego pewna, choć prawdę mówiąc, widzę coś takiego po raz pierwszy w życiu.

– Zamierzasz tam wejść? – pytam, przyglądając się w osłupieniu, jak wkłada to coś do zamka i zaczyna tym kręcić.

– Tak – pada sucha odpowiedź.

– Ale to włamanie! – piszczę cicho. – To nielegalne – dodaję przerażona, zniżając jeszcze bardziej głos.

Już sobie wyobrażam wzywającego gliny Matta, który nakrywa nas na gorącym uczynku. Nie chcę trafić do więzienia.

– Panie przodem – mówi naraz mój facet i przepuszcza mnie w progu.

Oglądam się za siebie, bo chcę się upewnić, czy nikt nas nie obserwuje, a potem wchodzę niepewnie i od razu zaczynam się rozglądać po mieszkaniu, które, jak zawsze jest w idealnym porządku. Wygląda tak samo jak w dniu, kiedy wychodziłam z niego ostatni raz. Każda rzecz znajduje się na właściwym miejscu: równiutko poustawiane buty, zawieszony na wieszaku parasol. Nawet wazon ze świeżymi kwiatami wydaje się stać dokładnie w tym samym miejscu na ogromnym stole. Swoją drogą zawsze się

zastanawiałam, po co Mattowi taki olbrzymi stół. On nie jest typem imprezowicza, więc nie zaprasza zbyt wielu gości, którzy mogliby przy nim zasiąść.

„A może ten stół od zawsze służy mu do czegoś innego? – przemyka mi przez głowę na wspomnienie, którym nie chcę się dzielić z Christianem, zwłaszcza że czuję na sobie jego spojrzenie. – Matthew raz wziął mnie właśnie na nim”.

Odpycham tę myśl i znów zaczynam się rozglądać. To właśnie wtedy zauważam na podłodze plecak Liv, który nijak ma się do całej idealnej reszty. Podnoszę go, obracam w dłoniach, bo, jak na zawołanie, powracają wspomnienia z nim związane.

– Liv?! – wołam i odkładam plecak na właściwe miejsce, po czym idę w głąb mieszkania w poszukiwaniu siostry. – Matt? – dorzucam na wypadek, gdyby mój *szwagier* też jednak gdzieś się tu czaił.

Zerkam na Christiana. Prostuje się odruchowo, czym po raz kolejny uświadamia mi, że nie trawi tego człowieka.

– Upewnię się tylko, czy naprawdę ich nie ma w którymś z pomieszczeń. Tymczasem ty stój na czatach – informuję go, a potem ruszam dalej.

– Bądź ostrożna – słyszę za plecami.

Choć jestem przekonana, że tutaj nic mi nie grozi, kiwam głową i uśmiecham się nieznacznie. To miłe, że Christiano tak się o mnie troszczy. Nikt nigdy nie dbał o mnie ani o moje bezpieczeństwo tak jak on.

– Liv?! – nawołuję, zaglądając po kolei do każdego z pokoi. – Siostrzyczko?

Po raz pierwszy tak ją nazywam, ale muszę przyznać, że podoba mi się wydźwięk tego słowa. Mam więc nadzieję, że wkrótce będę mogła używać go częściej. Muszę tylko znaleźć Liv.

Zaglądam w każde miejsce, w każdy najdrobniejszy zakamarek, a jest ich tu co niemiara. Wiem, że to kompletnie bez sensu, bo przecież Liv nie jest już małą dziewczynką i nie chowa się po kątach, a zwłaszcza nie zamyka się w szafach, w których jej mimo wszystko szukam.

– Liz?! – dochodzi mnie z centralnej części mieszkania. – Chodź do mnie! – woła Christiano.

Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale mam złe przeczucia. Pędzę do salonu, ufając, że mój facet zaraz mnie uspokoi. Ale sądząc po jego minie, nie ma dla mnie dobrych wieści.

– Zostawiła pierścionek – wyjaśnia. – I list – dorzuca, wręczając mi małą karteczkę.

Wybacz mi. I żegnaj.

Liv

– Co to ma być? – pytam, ponownie odczytując krótką wiadomość.  
– Christiano, to nie wygląda dobrze – jęczę przerażona.

Po raz pierwszy naprawdę się o kogoś martwię. I tym kimś jest moja siostra. Ostatnio drżałam z niepokoju o Christiana, kiedy po naszej kłótni przepadł na pół dnia. Ale wówczas miałam u boku Taylera, który mnie zapewniał, że mojemu chłopakowi nic nie grozi. I oczywiście miał rację, a ja mu wówczas uwierzyłam. Teraz powinnam liczyć na wsparcie Christiana, ale jego spojrzenie ani trochę nie jest pokrzepiające. A poza tym moja siostra bliźniaczka nie jest silną, pewną siebie kobietą. Z opowieści, jakich się nasłuchiwałam o niej od Matta czy nawet Taylera, mogłam wywnioskować, że czasem zachowywała się jak mała, bezradna dziewczynka. Jak więc mogłam być spokojna i się o nią nie martwić?

– Znajdziemy ją – mówi Christiano i przytula mnie. Cała dygocę. – Obiecuję.

## Christiano

Liz słabo sobie radzi z tym wszystkim, co się dzieje z jej siostrą, więc muszę za wszelką cenę zminimalizować stres, który zaczyna ją pokonywać. Ja również, idąc z nią tutaj, czuję olbrzymią presję. Nie miałem ochoty na spotkanie z facetem, który posuwał przede mną moją dziewczynę. Jednak nie chodziło mi tylko o to, że był pierwszy, że w ogóle *był*, choć nie ukrywam, nadal wkurwia mnie ten fakt. W końcu Tayler też ją miał, ale on był wyjątkiem. Poza tym mojemu przyjacielowi, który na krótko grzał łożę Elizabeth, nie przyświecał taki sam cel jak temu paniczycowi z Manhattanu. Tayler chciał się tylko zabawić, a ten typ... Po prostu odkąd zrozumiałem, jak traktował najpierw moją kobietę, a teraz prawdopodobnie także i jej siostrę, gardzę nim.

– No już – mówię cichym, kojącym głosem, nie przestając jej tulić.  
– Weź kilka głębszych wdechów, a następnie pomyśl, gdzie mogła pójść Liv.

– Nie mam pojęcia – stwierdza zrozpaczonym głosem. – Już ci mówiłam, że prawie jej nie znam.

Liz wspominała o tym niejednokrotnie, bez większych emocji. Teraz jednak ubolewa nad tym faktem.

– A jeśli... – Odsuwa się ode mnie i zerka w stronę drzwi.

– O czym pomyślałaś? – dociekam, ale Liz nie odpowiada.

– Skoro Liv odeszła od Matta – mówi nagle i zagryza nerwowo wargę – to dlaczego zostawiła plecak?

– Nie rozumiem.

Dopiero teraz odkrywam, że przygląda się błyszczącemu, damskiemu plecakowi, który zaraz po wejściu podniosła z podłogi i umieściła na wieszaku, obok parasola.

– Liv ponoć się z nim nie rozstawiała. Darzyła go szczególnym sentymentem – wyjaśnia po chwili namysłu. – To jeden z pierwszych wyrobów naszych rodziców. Przed rozwodem wspólnie prowadzili interes – tłumaczy.

Kiwam głową. Teraz wszystko powoli staje się jasne. Liv naprawdę musi być bardzo sentymentalna i wrażliwa, co nieraz podkreślał Tayler, bo ta błyskotka wygląda na mocno sfatygowaną.

Liz po raz kolejny bierze do rąk plecak należący do jej siostry. Teraz jednak nie przygląda się mu, tylko od razu go otwiera.

– Zobacz – mówi przerażonym głosem. Wygląda, jakby za chwilę miała dostać ataku paniki. – Spakowała osobiste rzeczy – dodaje, badając zawartość plecaka. – Ale go z sobą nie wzięła. Coś musiało się wydarzyć!

– Myślisz, że Matt mógł jej coś zrobić? – walę wprost, choć wiem, że tym pytaniem tylko podsycę jej przerażenie, które i tak już maluje się na twarzy Liz.

– Nie wiem, Christiano. – Patrzy na mnie oczami pełnymi łez. Jej broda i głos drżą. Ledwie nad sobą panuje. – Mnie nigdy nie skrzywdził. Nie w ten sposób.

Gdybym tylko teraz dorwał tego dupka, rozjebałbym go. Nie mamy czasu, więc mówię:

– Musimy iść. Może Tayler będzie miał pomysł, gdzie jej szukać.

Liz kiwa głową i pociąga nosem, a potem oboje ruszamy do drzwi. W chwili, kiedy łapię za klamkę, te otwierają się i staje w nich Matthew Trainor, jak mniemam.

– Liv? – zwraca się do mojej dziewczyny. Początkowo zdaje się mnie nie zauważać albo zwyczajnie mnie ignoruje. – Tu się schowałaś, ty mała, podła...

Zabiję skurwysyna!

– Nie jestem moją siostrą – oznajmia pospiesznie Elizabeth, chwilowo ratując sytuację, w której się znalazł ten... typ. Naprawdę gdyby nie ona, rozpierzdziłbym go, a przecież nie taki był plan. Przynajmniej na razie.

– Aaa, to ty. – Trainor obrzuca moją Liz wzrokiem, który coraz mniej mi się podoba. Muszę się kontrolować. – Niegrzeczna wersja swojej siostrzyczki – dorzuca, a potem rozpina marynarkę i poluznia krawat. – Laska, która rozkłada nogi przed każdym facetem własnej siostry. Pamiętasz, jak rznąłem cię na tym stole? Mruczałaś jak kotka w rui.

Nie wytrzymuję. W sekundę wymijam Liz i chwytam skurwiela za gardło. Jestem od niego wyższy i niewątpliwie silniejszy, choć typ nie wygląda na wątłego. Poza tym mam nad nim wyraźną przewagę: ja jestem trzeźwy, a od niego na metr wali gorzała.

– Christiano! Nie! – Liz szarpie mnie za ramię.

Mijają kolejne sekundy, zanim puszczam gnojka, który upada na podłogę i ledwie łapie powietrze. Wymijam go i zamykam drzwi wejściowe. Nie potrzebujemy widowni, a ja przecież jeszcze z nim nie skończyłem.

– Co tu, kurwa, robisz? Jak weszłaś do mojego domu? – słyszymy po chwili, gdy próbuje wstać i spogląda wściekle na Liz. – I kim jest ten facet? To twój kolejny kochanek?

Jeśli nie przestanie, nasz plan legnie w gruzach, a ja... zabiję go, przysięgam.

Na szczęście Matt zamyka mordę i wreszcie zbiera się z podłogi, po czym siada przy ścianie, opierając się o nią plecami. Znowu spogląda na nas, wymownie przy tym łapiąc się za gardło.

– Gdzie jest Liv, do cholery?! – krzyczy Elizabeth.

– Sam chciałem to wiedzieć – odpowiada zdawkowo.

Nie wytrzymuję. Wyjmuję spluwę i mierzę do niego, obserwując, jak jego lekko przekrwione oczy stają się wielkości spodków.

– Popierdoliło cię?! – wydziera się, choć jego głos brzmi niczym dźwięk mielonego szkła.

– Gdzie jest Liv? – tym razem to ja zadaję to pytanie, licząc, że za chwilę oboje z Liz poznamy na nie odpowiedź. W przeciwnym razie poleje się krew.

– Już mówiłem, że nie mam pojęcia!

Przeładowuję broń.

– Nie! Christiano, nie! – Liz zasłania go własnym ciałem. Oczywiście wiem, że nie robi tego wiedzona uczuciem, ale z litości, a może nawet z obawy przed czekającymi nas konsekwencjami, ale i tak mnie wkurza. Nie powinna chronić tego gnojka.

– Co jej zrobiłeś? – Moja kobieta nie zauważa, że wykrzywiam usta w grymasie, tylko od razu zwraca się do siedzącego na podłodze faceta.

– Nic, kurwa, choć zasłużyła na wszystko, co najgorsze! – Trainor wyrzuca z siebie słowa w pijackim bełkocie.

Oj, przesadził...

– Ani się waż! – ostrzega mnie Liz, zerkając przez ramię. Po jej minie poznaję, że ma świadomość, iż gdybym naprawdę chciał go zastrzelić, nie powstrzymałaby mnie przed tym. To mnie odrobinę uspokaja. – A ty mów, co z Liv! – ponownie żąda odpowiedzi od siedzącego pod ścianą mężczyzny.

– Jak to co? Uparła się, żeby urodzić tego bachora. Nie trafiały do niej żadne argumenty, choć oczywiście niemal każdy z nich prowadził do nieuchronnego.

– Czyli? – Liz naciska, choć ja już wiem, do czego zmierza ten... chuj.

Ja pierdolę, nie sądziłem, że facet jego pokroju jest zdolny do czegoś tak okrutnego. Naprawdę ciężko w to uwierzyć, zwłaszcza że od jakiegoś czasu był ojcem.

– Nawet jej kardiolog sugerował aborcję! – broni się Matt.

Liz odskakuje od niego jak oparzona. Szokują ją jego słowa. Mnie nic nie jest w stanie zdziwić, ale ja, w odróżnieniu od niej, pochodzę z innego świata i naprawdę wiele już widziałem.



Spoglądam na pijanego typa. Mógłbym zabić go jednym precyzyjnym strzałem, prosto w głowę. Ale powstrzymuję się. Chcę nam wszystkim zaoszczędzić dodatkowych kłopotów. Poza tym w pewien sposób jest mi go nawet żal. Widać, że ciężko pracował na to, dokąd zaszedł, ale pokonało go samo życie i wynikające z niego problemy, które na ogół pojawiają się bez zapowiedzi.

– Co jej zrobiłeś? – Włączam się do rozmowy.

– Poza tym, że zabrałem ją na zabieg, nic.

Ledwie się opanowuję, ale to Liz nie radzi sobie z emocjami.

– Zabiję cię!

Muszę ją powstrzymać, by nie zrobiła jakiejś głupoty. W tym momencie nie możemy go zabić, ale nie z litości, a dlatego, że być może Matt jest naszą jedyną nadzieją na to, byśmy dowiedzieli się, gdzie jest Liv. Dopóki ten facet żyje, nadal mamy szansę to z niego wyciągnąć.

– Nie, laleczko. – Łapię ją i odbieram z rąk dziewczyny gnata, którego już zdążyła wyjąć zza paska od spodni.

Liz jest roztrzęsiona i płacze, więc marna szansa, że mogłaby strzelić celnie, ale wolę ją spacyfikować, niż ryzykować, że przy okazji sama sobie wyrządzi krzywdę.

– Liz? – Trzymam ją mocno i zmuszam, żeby na mnie spojrzała. – Uspokój się, proszę.

– Słyszałeś, co... on powiedział?

– Tak. Każde słowo. Ale emocje to teraz ostatnia rzecz, jaką powinniśmy się kierować.

– Przyganiał kociół garnkowi!

Nie bardzo wiem, co oznacza to powiedzenie, bo słyszę je po raz pierwszy, ale nie mam czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Teraz musimy wyciągnąć z Matta jak najwięcej informacji, które mogą nas przybliżyć do Liv.

– Dokąd ją zabrałeś? Konkretny adres – warczę, mierząc do niego.

– Nie wiem, po co o to pytasz, skoro mówię, że jej już tam nie ma. Nawiąta. Chyba ktoś jej pomógł. Zapłacą mi za to – dorzucą na koniec, jakby do siebie.

– Adres! I nazwisko tego skurwysyna, który się zdecydował jej to zrobić – powtarzam, znów do niego celując, tym razem jednak

podchodzę jeszcze bliżej. Facet ma szczęście, że chce współpracować, bo i mnie puszczają nerwy. Wyśpiewuje nam wszystko jak na spowiedzi. – Idziemy, Liz. – Biorę za rękę swoją dziewczynę i zmierzaamy do drzwi, kiedy dochodzi mnie jego utyskiwanie.

– Szukałem jej wszędzie. – Żałosny jest. – Byłem nawet na tym jebanym moście, licząc, że znowu tam poszła...

Po raz kolejny czuję do niego litość, ale nie okazuję mu jej. Po prostu razem z Liz wychodzimy.

– Przymierzam, że ją znajdziemy – składam jej obietnicę, gdy jesteśmy sami. Mam tylko nadzieję, że nie bez pokrycia.

# Rozdział 28

## Liv

Kiedy wydaje mi się, że już wszystko przesądzone, i gdy tracę wszelkie nadzieje na to, że jeszcze zdołam coś zmienić, nagle następuje zwrot akcji. Ta pielęgniarka, która jakiś czas temu wyszła stąd wzburzona, wraca. Nie przychodzi tu jednak z Mattem, tak jak się spodziewałam. Zauważam za to, że pcha przed sobą wózek inwalidzki.

– Nie mamy zbyt wiele czasu, więc ubierzemy cię w to – mówi i pokazuje mi jakiś sweter. – Masz siłę, żeby usiąść? – pyta, a ja tylko kiwam głową. Wciąż jestem zdezorientowana i nadal nie do końca jej ufam. Ale chyba nie mam wyjścia. Komuś muszę. – Pomogę ci na trzy, okej?

– Tak – odpowiadam, a dosłownie już po chwili siedzę.

W głowie wiruje mi okropnie, ale ignoruję to i słucham kolejnych poleceń.

– Podnieś ręce – mówi kobieta, a potem luźny, zbyt obszerny sweter ląduje na moich ramionach. – A teraz pomogę ci usiąść na wózku.

Jak powiedziała, tak zrobiła. Wciąż jestem słaba i wiem, że bez jej pomocy nie dałabym rady. Gdy znajduję się już na wózku, pielęgniarka wsuwa mi na stopy buty, po czym taksuje mnie wzrokiem, jakby chciała się upewnić, że niczego mi nie brakuje.

– Dziękuję – szepczę.

Kobieta nie odpowiada, tylko potakuje nieznacznie, podchodzi do drzwi, wychyla się przez nie, a następnie wypycha mnie z gabinetu.

Nie widzę w pobliżu Matta, więc zachodzę w głowę, gdzie przepadł. To do niego niepodobne. On zawsze wszystkiego dopilnowuje osobiście. Kiedyś uważałam tę cechę za niewątpliwą zaletę, dziś widziałam w tym jedynie obsesję.

– Nie bój się – słyszę, gdy przemierzamy korytarz i kierujemy się do windy znajdującej się na samym jego końcu. – Nie ma go tutaj. Jakiś czas temu wysłałam go do działu kadr. Wmówiłam mu, że nie

wypełnił czegoś właściwie. Musimy się jednak pospieszyć, bo w każdej chwili możemy wpaść na niego albo na doktora. Nie chcę mieć kłopotów.

Kiwam tylko głową. Wciąż wszystko boli mnie okrutnie – zwłaszcza ta część ciała – ale wiem, że wytrzymam. Muszę.

Po chwili wjeżdżamy do windy. Drzwi zasuwają się za nami, a towarzysząca mi kobieta znów tłumaczy:

– To dźwig techniczny, wyłącznie dla personelu. Pielęgniarki wożą tędy odpady przeznaczone do utylizacji. Mało prawdopodobne, że tutaj ktoś na nas wpadnie.

– Dziękuję. – Słowa nadal ciężko mi się układają w zdania, ale z minuty na minutę jest coraz lepiej. To świństwo, które we mnie wmusił Matt, najwyraźniej przestaje działać. – Gdyby nie pani...

– Nie oczekuję wdzięczności – wchodzi mi w zdanie. – Każda kobieta na moim miejscu postąpiłaby tak samo. Wierzę w to. Ty też powinnaś.

Wydaje mi się, że ma rację.

Kiedy winda zatrzymuje się na najniższym poziomie, opuszczamy ją wspólnie. Miejsce, do którego mnie zabiera pielęgniarka, jest przerażające – chyba jesteśmy w piwnicy, która w tych okolicznościach wydaje mi się wyjątkowo odpychająca. Nie narzekam jednak. Tutaj chociaż nikt nie będzie mnie szukał. Przynajmniej taką mam nadzieję.

– Poczekaś tu na mnie – słyszę za plecami, po czym kobieta wpycha wózek przez drzwi wiodące do jakiegoś tajemniczego pomieszczenia. – Wybacz, to nie jest pokój pielęgniarek – mówi, a ja spoglądam na metalowe półki wypełnione szpitalnymi płótnami i innymi tkaninami, jakich używa się w tego typu placówkach – ale istnieje realna szansa, że tutaj nikt nie będzie cię szukał.

Kiwam głową. Rozumiem, że wiele dla mnie ryzykuje – może nawet utratę pracy. Podejrzewam bowiem, że jeśli Matt dogadał się z jej szefem, to stała za tym gruba kasa. To, co chciał mi zrobić, jest przecież nielegalne. Jestem tego pewna, bo nie podpisałam żadnej zgody na wykonanie aborcji. A zatem Matthew musiał po prostu słono zapłacić za tę wątpliwą usługę. Domyślam się, że jeśli przekupny doktor dowiedziałby się o tym, że jego podwładna mi pomagała, to miałyby naprawdę wielkie kłopoty.

– Za dwie godziny kończę pracę – wyjaśnia nagle kobieta. – Wtedy po ciebie przyjdę i obie opuścimy klinikę. Tymczasem odpocznij, o ile zdołasz – dorzuca, a potem wychodzi. Zostaję sama.

\*\*\*

Nie wiem, jak długo się tu ukrywam, ale wydaje mi się, że siedzę w tej klitce całą wieczność, wyczekując powrotu pielęgniarki. Zapowiedziane dwie godziny chyba dawno minęły, bo mogę już samodzielnie stać na nogach, ale chodzenie wciąż sprawia mi niemały kłopot.

Zastanawiam się, co robić. Tkwić tutaj, oczekując powrotu pielęgniarki, czy spróbować wydostać się stąd na własną rękę? Obie możliwości budzą we mnie skrajny niepokój, ale nie dramatyzuję i podejmuję ostatecznie decyzję o wyjściu.

Podchodzę do drzwi. Na szczęście nie są zamknięte na klucz, więc naciskam klamkę, popycham je, a później ostrożnie stąpając, wychodzę na budzący we mnie grozę korytarz. Mam nadzieję, że zapamiętałam drogę powrotną, bo myśl, że mogłabym się tutaj zgubić, mnie przeraża.

Udaje mi się odnaleźć właściwą drogę i z wolna zmierzam w stronę windy. Tylko tak mogę się wydostać z piwnicy, bo nie widzę innego wyjścia. Stawiam małe, nieporadne kroki i jedną ręką asekuruję się, przytrzymując ściany. Nie jestem w pełni sił i żeby nie upaść, muszę naprawdę uważać. Te prochy, które podał mi Matt, musiały być bardzo silne. Martwię się o dziecko, więc wolną rękę odruchowo kładę na brzuchu.

– Jeśli mamy umrzeć – mówię – to razem. Nie pozwolę, żeby ktoś zrobił ci krzywdę.

Na czoło występuje mi pot, ale zatrzymuję się dopiero przed windą, którą natychmiast przywołuję. Muszę chwilę odczekać, zanim się zjawi, lecz dzięki temu wyrównuję oddech. Gdy tylko rozsuwają się przede mną drzwi, wchodzę do środka,. Naciskam poziom zero. Muszę jak najprędzej wydostać się z tej cholernej, niczym z piekła rodem, kliniki.

Na parterze z wielką obawą opuszczam to ciasne, duszne pomieszczenie. Ruszam do wyjścia. Wybieram jednak nie główne drzwi, a te znajdujące się na tyłach budynku – jak zgaduję, służą one

do ewakuacji pacjentów. Popycham je i natychmiast uderza mnie powiew rzeńskiego, chłodnego powietrza. Nadal nie wiem, jak długo siedziałam w tym składziku w piwnicy, ale z pewnością przez wiele godzin, bo na dworze panują już egipskie ciemności.

Spoglądam w niebo. Gwiazdy zdają się już gasnąć i za chwilę nastanie świt. Opuszczam głowę i stawiam pierwsze kroki prowadzące do wolności – teraz naprawdę zaczynam wierzyć, że już nikt mnie nie zatrzyma.

– Jesteśmy bezpieczni – mówię czułym szeptem do swojego dziecka, które jakimś cudem udało mi się ochronić. – I wolni.

# Rozdział 29

Tayler

*Wcześniej...*

Odchodzę od zmysłów, kiedy Liz i Christiano tak długo nie wracają. Zastanawiam się, czy nie powinienem pójść za nimi na górę, by sprawdzić, co się tam naprawdę dzieje. Ufam Christianowi, ale wiem, że dla Liz pewne rzeczy są nowe, więc istnieje ryzyko, że nie poradzi sobie z tą sytuacją. Może nawet dojść do strzelaniny, a Elizabeth z pewnością nie jest na to gotowa. Poza tym tak cholernie boję się o Liv. Ona najbardziej mogłaby ucierpieć, gdyby coś poszło źle. Przecież jest w ciąży.

W końcu ich dostrzegam – są sami, nie ma z nimi Liv, co sprawia, że zaczynam wariować z niepokoju. Liz i mój przyjaciel wysiadają z windy i szybkim krokiem zmierzają w stronę samochodu, w którym czekam na nich z jednym z naszych ludzi. Inni znajdują się w pojazdach, które krążą gdzieś po okolicy.

– Gdzie ona jest?! – wrzeszczę, kiedy oboje wchodzą do auta i zajmują swoje miejsca.

Christiano odpala silnik.

– Nie mamy czasu, Tayler – słyszę jedynie w odpowiedzi. – Opowiemy ci wszystko po drodze.

\*\*\*

Omam, kurwa, nie oszaleję! To, co powiedzieli mi Christiano z Liz, przeszło moje najśmielsze wyobrażenia. Co ten skurwiel chciał jej zrobić?! Mam nadzieję, że nie doszło do najgorszego – oboje zgodnie zapewniają, że nie, ale chcę się o tym przekonać na własne oczy – bo w innym wypadku całkowicie pogwałcę narzucone mi przed laty zasady: wrócę tam i go zabiję.

– Szybciej – ponagliam Christiana, choć wiem, że niczego to nie zmieni, bo o tej godzinie na mieście panują korki. Nowy Jork wieczorem tętni życiem, zupełnie jak za dnia.

– Już dojeżdżamy – słyszę w odpowiedzi.

Rzeczywiście mija raptem kilka minut, które dla mnie stają się wiecznością, a on parkuje pod jakąś kliniką.

– Siedź i nie wyściubiaj nosa – ostrzega mnie Christiano, po czym razem z Liz opuszcza samochód. – Znajdziemy ją. Całą – obiecuje jeszcze. Patrzą, jak oboje przemierzają parking, kierując się w stronę głównego wejścia.

Zaciskam zęby. Z bezsilności i ze strachu o moją ukochaną Liv mam ochotę drzeć się na całe gardło, choć wiem, jaki to absurdalny pomysł. Przecież nie powinienem rzucać się w oczy, zwracać na siebie uwagi...

Pocieram twarz. Muszę ochłonać i dalej cierpliwie czekać. Ale jak to zrobić, skoro ledwie opuszczam powieki, a w mojej głowie od razu pojawia się kolejne wspomnienie Liv, które tylko podsycza mój niepokój...

*Od momentu, kiedy Alejandra wpadła do mojego domu, prosząc mnie o pomoc, mija raptem kilkanaście minut. Choć do burdelu nie było daleko, gnam jak szalony. Muszę, skoro towarzysząca mi dziewczyna nalega. Alejandra wydaje się zmartwiona, a ja robię to wyłącznie dla niej. Nie zamierzam bowiem być czyjąś niańką, tłumaczem czy kimkolwiek innym. Mnie nigdy nikt nie pomagał, więc i ja nie czułem się w obowiązku pomagać innym. Bynajmniej nie na siłę czy w stopniu, który wymagałby ode mnie zbyt wielkiego poświęcenia. Tym razem jednak postanawiam uczynić wyjątek.*

*Parkuję auto przed hacjendą Craiga, a chwilę potem wraz z pracującą tu na co dzień dziewczyną podążam korytarzami jego posiadłości. Są tak samo mroczne i pokręcone jak on – taka nagle nachodzi mnie myśl. Nigdy nie lubiłem typu i gdyby nie prośba Alejandry... Nieważne.*

*Teraz kątem oka obserwuję, jak kilku ochroniarzy znajdujących się wewnątrz budynku patrzy na mnie wilkiem. Nie lubią mnie, podobnie jak ja ich. Na ich szczęście żaden nie ma odwagi mnie zaczepić. I słusznie, bo nie zamierzam przed nikim się tłumaczyć. Skoro towarzyszy mi ich dziewczyna, która podąża przodem i na której zgrabny tyłek właśnie patrzę, musi im to wystarczyć za wyjaśnienie.*

*Po pokonaniu tego istnego labiryntu korytarzyków i zaułków wreszcie wchodzimy do jakiegoś pomieszczenia. Oprócz ubranego w lekarski fartuch faceta, który prawdopodobnie z medycyną ma tyle*



wspólnego co weterynarz – może odrobinę przesadzam, bo nigdy dotąd nie widziałem tak upaćkanego lekarza od zwierząt – było tam jeszcze kilka dziwek. Większość z nich znam osobiście, ponieważ dość często bywają gośćmi w moim domu. Moi chłopcy nie próżnują. Lubią się ostro zabawić, a ja nie żałuję im na to kasy.

– Ona jest tam – odzywa się nagle Alejandra i wskazuje na niedomknięte drzwi sąsiedniego pomieszczenia.

Wzdycham mimowolnie, bo naprawdę coraz bardziej żałuję, że dałem się w to wciągnąć. Po prostu tam wchodzę. Chcę mieć to wreszcie za sobą. Za drzwiami, ku mojemu zdziwieniu, panuje mrok. Proszę więc o zapalenie światła, które wkrótce zalewa pokój mdłą poświatą. Na końcu tego mrocznego, mocno zaniedbanego pokoju widzę łóżko. Dopiero po chwili zauważam na nim dziewczynę. Alejandra nie przesadzała, mówiąc, że z tą nową jest źle, bo rzeczywiście wygląda, jakby konęła. Nawet z dużej odległości dostrzegam nienaturalnie bladą, wychudzoną twarz młodej kobiety, częściowo skrytą za maską, przez którą dostarczano jej tlen. Wytężam wzrok, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Przez moment przelatuje mi przez myśl, że być może się spóźniłem, ale wtedy ona się lekko porusza. W dodatku nasze spojrzenia się krzyżują. Dosłownie przez ułamek sekundy wmawiam sobie, że mam zwidy, że może nawet wciąż odczuwam efekty działania koki, którą kosztowałem kilka godzin temu, ale... Widziałem te oczy dawno temu. Tego spojrzenia nie jestem w stanie pomylić z żadnym innym.

– Liv?

– Co jest, szefie? – głos Lorenza sprowadza mnie na ziemię. Otwieram oczy i zerkam w bok.

– Życie – odpowiadam jedynie.

### **Christiano**

– Pan posłucha – warczy Liz, a facet w lekarskim kitlu groźnie mruży oczy. Sam się prosi o kłopoty.

– Nie, to pani niech posłucha. Nie wiem, gdzie teraz jest pani siostra. Tak samo zresztą, jak nie miałem pojęcia, że do aborcji próbował zmusić ją jej partner.

– Mam uwierzyć, że panu o tym nie wspomniała? – Elizabeth ironizuje.

– Już mówiłem. Ta dziewczyna trafiła do gabinetu naćpana.

Wstrzymuję oddech, bo wiem, jak to może się odbić na zdrowiu Liv, która jest po przeszczepie, i jaki to może mieć wpływ na jej nienarodzone dziecko. Liczę jednak, że Bóg oszczędzi ich oboje.

– I nie zaniepokoił pana taki widok?

– W zawodzie lekarza...

– Chyba rzeźnika – odcina się złośliwie Liz.

– Pracuję od wielu lat – kontynuuje niewzruszony. – I proszę mi wierzyć, że sporo się naoglądałem. Wiele kobiet wspomaga się różnymi środkami, bo aborcja to strasznie trudna do podjęcia decyzja...

– „Straszne” to jest właściwe określenie na to, co pan robi – rzuca wściekle moja dziewczyna.

Liz bywa irytująca, kiedy tyle gada, ale w tej kwestii popieram ją w stu procentach. Ja, pomimo że jestem facetem, w dodatku włoskim mafiosem, również nie zaliczam się do zwolenników dzieciobójstwa.

– Proszę pani, ta rozmowa staje się naprawdę absurdalna – odpowiada lekarz.

– O proszę, to zupełnie jak pański zawód, który wykorzystuje pan do niecznych interesów.

Oczywiście ja i Liz doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, że aborcja w tym kraju jest legalna, ale nie zamierzam się wtrącać ani już tym bardziej podważać jej zdania, choć nie przeczę – dyskusja tych dwojga naprawdę powoli staje się nie do zniesienia i niczego nie wnosi do naszych poszukiwań. A my potrzebujemy konkretów.

– Dość, Liz! – Biorę sprawy w swoje ręce. Mój ton jest na tyle stanowczy, że powinna zrozumieć, że ta rozmowa nie ma żadnego sensu. Na szczęście po raz kolejny mnie słucha, czym ponownie pozytywnie mnie zaskakuje. Zasłużyła na nagrodę, ale chwilę będzie musiała na nią poczekać. – A pana proszę o zamiary na tę pielęgniarkę, która jako ostatnia widziała Liv.

Ta kobieta rzekomo nagle zapadła się pod ziemię. Tak przynajmniej twierdzi od samego początku ten człowiek.

– Robię to tylko dlatego – słyszymy w odpowiedzi, kiedy lekarz, sięga po kartkę i długopis – że nie chcę mieć kłopotów. Ale proszę mi wierzyć, że nawet jeśli to ona stoi za zniknięciem pani Trainor – oj, gdyby Tayler to usłyszał... – to i tak nic z niej nie wyciśnięcie –

dodaje, podsuwając mi pod nos informacje zawierające numer telefonu i adres.

– Nic tu po nas – biorę kartkę i zwracam się do Liz, a potem oboje wychodzimy.

– Nadal nic nie mamy – odzywa się Elizabeth, kiedy wracamy na parking. – Tayler będzie załamany.

– Przeżyje. Musi.

„Ma dla kogo – myślę. – Przynajmniej wciąż mam taką nadzieję”.

\*\*\*

Ten szemrany typ z kliniki właściwie miał rację, choć nie do końca. To, że ta pielęgniarka nie odbiera od nas telefonu, nie oznacza jeszcze naszej kapitulacji. I skoro nie pozostawia nam wyboru, składamy jej wizytę. Otwiera drzwi, ale od razu próbuje na powrót zamknąć nam je przed nosem. Ubiegam ją jednak i wpycham się do środka, a za mną wchodzi Liz.

– To ty... – Przerażona kobieta odzywa się na widok mojej dziewczyny. – Przecież ci pomogłam. Dlaczego więc nachodzisz mnie w moim domu?

– Pomogła pani mojej siostrze? – pyta Liz.

– Siostrze? – Kobieta jest zdezorientowana.

– Tak. Jestem bliźniaczką dziewczyny, którą zmuszono do wizyty w klinice.

– Przysięgam, jak się tylko o tym dowiedziałam, od razu zaczęłam działać. Mój szef pewnie mnie za to wyleje z roboty, ale nie mogłam postąpić inaczej – tłumaczy pielęgniarka i zerka błagalnym wzrokiem raz na mnie, raz na *kopię* niedoszłej pacjentki.

– Gdzie ona teraz jest? – pytam wprost. Szkoda mi czasu na zbędne gadanie.

– Zawiozłam ją do piwnicy. Do składziku na pościel.

– Zawiozłaś ją? – skrzeczy Liz, porzucając wcześniejsze konwenanse. – Co wy jej żeście zrobili?

– Nic, przysięgam! – Kobieta bije się w piersi. – Ten jej facet otumanił ją jakimś gównem, po którym na długo straciła kontrolę nad własnym ciałem. Ja tylko jej pomogłam. Ubrałam ją i ukryłam w miejscu, gdzie, uznałam, będzie stosunkowo bezpieczna.

– Stosunkowo?!

– Uspokój się, kochanie – proszę łagodnie, bo Liz wyraźnie ponoszą nerwy. A to zła wróżba.

– Jak mam być, kurwa, spokojna, kiedy moja siostra od wielu godzin siedzi w jakiejś jebanej piwnicy?!

– Obiecałam, że po nią wrócę – wyjaśnia pielęgniarka skruszonym głosem. – Tylko że po moim powrocie na górę rozpętało się piekło. Pan Trainor szalał po oddziale. Domagał się wyjaśnień. Był agresywny. Nie mógł mi niczego udowodnić, ale mnie podejrzewał. Przestraszyłam się, że może zechce mnie śledzić. Nie mogłam narazić jego dziewczyny na takie niebezpieczeństwo. Naprawdę chciałam ją chronić.

Liz już otwiera buzię. Staram się ją usprawiedliwić, bo bardzo martwi się o siostrę, ale uważam, że niekiedy trochę przesadza i mogłaby czasem pomyśleć, zanim coś chlapnie w złości. Dlatego ją uprzedzam:

– Dobrze pani zrobiła. A teraz pospieszmy się – zwracam się do obu kobiet.

– Słucham? – Pielęgniarka patrzy na mnie zatrwożonym wzrokiem.

– Jedzie pani z nami. Musi nas pani do niej zaprowadzić. Inaczej tego nie widzę.

# Rozdział 30

## Liv

Dobrze się aż tutaj na własnych nogach, w dodatku w tym stanie, graniczyło z cudem, ale nie poddałam się. Od samego początku, kiedy tylko pojawiły się pierwsze oznaki świadczące o tym, że nadchodzi mój koniec, tak to sobie zaplanowałam. To tu odmieniło się moje życie i to dzięki temu miejscu poczułam, jakbym narodziła się na nowo. Tutaj też – od pewnego czasu – zamierzałam je zakończyć. Na dłuższą metę nie wyobrażałam sobie bowiem egzystowania na ulicy. Nowy Jork to pełne możliwości miasto, ale nie dla chorej kobiety i maleńkiego człowieka, na którego czyhało mnóstwo niebezpieczeństw. Poza tym w tym dniu uświadomiłam sobie, że nie jestem w stanie sprostać problemom, które na mnie tak nieoczekiwanie spadły, i że nie dam rady ochronić własnego dziecka, gdyby ktoś znów spróbował je skrzywdzić. Nie wiem, czy oprócz Matta jeszcze komuś zależałoby na śmierci tego maleństwa, ale samo przeświadczenie, że stało się ono obsesją Matthew Trainora, popychało mnie do czynu, którego tak bardzo chciałam oszczędzić sobie, a przede wszystkim temu cudowi, który nosiłam pod sercem. Ale teraz kolejny raz stwierdzam, że nie mam wyboru. Wiem, że nie jest to idealne rozwiązanie i ostatnim czego chcę, jest śmierć mojego dziecka, ale czuję, że muszę to zrobić. Wydaje mi się, że wybrałam dobrze, na pewno najlepiej jak potrafiłam. Pociesza mnie myśl, że moje maleństwo umrze w ciepłym łonie, a ja razem z nim. Niemniej to straszna decyzja...

Wiele razy zastanawiałam się, jaką będę matką. Wyobrażałam sobie także chwile, w których biorę malca w ramiona, tulę go i śpiewam mu kołysanki do snu. Jednak, mając świadomość, że te chwile mogą nigdy nie nastąpić, a napędzany szaleństwem Matt może znów spróbować nas skrzywdzić, postanowiłam z tym skończyć raz na zawsze. Nie boję się śmierci. Ocierałam się o nią tyle razy, że zdążyłam się z nią oswoić. Nie obawiam się nawet samotnego macierzyństwa. Jestem pewna, że z trudem, ale

poradziłabym sobie ze wszystkim, gdyby tylko Matthew dał mi spokój. Doświadczylam już jednak jego obsesji i wiem, że człowiek jego pokroju nie spocznie, dopóki nie pozbędzie się *kłopotu*, nie postawi na swoim. Długo nad wszystkim myślałam i po wielu tygodniach piekła, z jakim musiałam się zmierzyć, wybrałam tę, a nie inną drogę. Uznałam bowiem, że mojemu dziecku należy się godniejsza śmierć.

Gdyby nie pielęgniarka, która okazała mi litość, mój skarb umarłby w niewyobrażalnych męczarniach – widziałam kiedyś film, na którym szczegółowo pokazano zabieg aborcji, to było straszne doświadczenie. Mam ochotę wznieść twarz ku niebu i krzyczeć z bezsilności.

Zamiast tego podchodzę do barierki i spoglądam w toń rzeki Hudson. W jej czarnej, lekko smaganej wiatrem tafli połyskują resztki wciąż niewygasłych na niebie gwiazd. Przez chwilę wpatruję się w ich odbicie niewidzącym wzrokiem. Świadomość, że już nigdy więcej nie zobaczę choćby jednego z takich widoków, zasmuca mnie ogromnie, ale też daje wiarę, że tam – gdzie, jak liczę, wkrótce się wybiorę – ujrzę o wiele piękniejsze pejzaże. Przynajmniej mam taką nadzieję, bo według religii, którą wyznawałam przez całe swoje życie, niebo jest zamknięte dla samobójców. Ale ja naprawdę nie mam wyjścia, więc pozostaje mi wierzyć, że zostanie mi to wybaczone i że wkrótce oboje – kładę rękę na brzuchu – trafimy do raju.

– Przepraszam – mówię, na powrót wznosząc twarz ku jaśniejącemu z każdą upływającą minutą niebu. – I dziękuję. Za wszystko.

## Tayler

Omam, kurwa, nie odchodzę od zmysłów. Przez całą noc jeździmy ulicami Nowego Jorku i szukamy Liv, wypatrując jej za każdym rogiem, w każdej, nawet najmroczniejszej uliczce, w każdym najciemniejszym zakamarku tego wielkiego miasta.

Niestety, los wyraźnie nam nie sprzyja w poszukiwaniach. Najpierw nie zastaliśmy jej w mieszkaniu, potem w klinice, do której wróciliśmy z tą kobietą. Czas kurczył się nieubłaganie, a my nadal

niczego nie mieliśmy, dosłownie niczego – żadnego punktu zaczepienia.

Wydałem dodatkowe rozkazy, a nasze poszukiwania nabrały jeszcze większego rozmachu. Moi ludzie jeżdżą po całym mieście. Jedna z ekip waruje pod wieżowcem, w którym znajduje się mieszkanie Matthew Trainora. Rozważamy każdą możliwość, nawet powrót Liv do tego potwora. Ponoć ofiary przemocy często wracają do swoich oprawców, nie widząc bez nich przyszłości. Nie rozumiem tego, ale powoli zaczynam wierzyć, że Christiano może mieć rację. To jego teza.

Nie poddajemy się. Najpierw zaglądamy na cmentarz, na którym pochowany jest Paul Evans. Mój przyjaciel oczywiście jest przeciwny temu, żebym szedł tam z nimi, ale udaje mi się go jakoś przekonać. Mało prawdopodobne jest, że nawet jeśli jakimś cudem wyciekła wieść o moim pobycie w Nowym Jorku, ktoś będzie mnie szukał właśnie w takim miejscu, w dodatku pod osłoną nocy.

Liz prowadzi nas do kwatery, w której leży jej ojciec. Jednak oprócz nagrobka, na którym dopalają się resztki znicza, nie zastajemy żywej duszy. Głęboko rozczarowany wracam do auta. Liz i Christiano po chwili do mnie dołączają. To jednak jeszcze nie koniec poszukiwań.

Kolejnym tropem jest Central Park. Przeczesujemy go wzdłuż i wszerz. Właściwie moi ludzie to robią; ja dowodzę całą akcją z samochodu. Ale kiedy okazuje się, że i tam nie ma śladu po Liv, od razu obieramy inny kierunek. Zmierzamy do miejsca, z którym mam całą masę przeróżnych wspomnień. To dzielnica, w której się wychowywałem. Liv również. Mieszkała po drugiej stronie ulicy – teraz powstaje tu jakaś fabryka. Jedziemy bardzo powoli, samochód właściwie się toczy. Wnikliwie obserwujemy teren. Pomału chyba zaczynają się nam wyczerpywać pomysły, gdzie jeszcze moglibyśmy jej szukać, ale nie składamy broni. Niestety tutaj również nie możemy wypatrzeć jej drobnej, jakże charakterystycznej sylwetki.

– Zatrzymaj się – mówię do Christiana, gdy przejeżdżamy obok domu moich rodziców. Widzę, że w kuchni, w której na ogół stacjonuje moja matka, pali się światło.

– To nie jest dobry pomysł – ostrzega mój przyjaciel, patrząc na mnie we wstecznym lusterku, ale wykonuje moje polecenie.

– Nie ty o tym zdecydujesz – odpowiadam cierpko, a potem naciągam na głowę kaptur, wysiadam z auta i przebiegam przez ulicę.

Na szczęście Christiano mnie nie zatrzymuje. I dobrze, bo nie chcę żadnych zatargów. Zwłaszcza z nim.

Po chwili stoję pod drzwiami rodzinnego domu. Żyjąc przez ostatnie lata setki mil stąd, nie sądziłem, że jeszcze go kiedyś zobaczę, że przestąpię jego próg. A jednak... Wszystko za sprawą Liv, dla której byłem w stanie zaryzykować nawet własne życie.

Skoro w kuchni pali się światło, to znak, że mama jest już na nogach. Cieszy mnie to ogromnie, bo ze wszystkich członków rodziny, to za nią tęskniłem najmocniej, *najbardziej na świecie*. Tak często mówiłem, gdy byłem mały, a mama musiała mnie zostawić pod czyjąś opieką. Tak bardzo wyczekiwałem jej powrotu...

Nigdy nie byłem jakimś jebanym maminsynkiem, ale matkę od zawsze darzyłem miłością bezwarunkową i wielkim szacunkiem. Dlatego podjąłem spontaniczną decyzję, by ją zobaczyć. Jestem pewien, że mama nie darowałaby mi, gdyby się dowiedziała, że byłem tak blisko, a nie wpadłem, choćby na chwilę.

Pukam niepewnie, a kiedy nie dochodzi mnie żaden odgłos, walę w drzwi pięścią.

– Kto tam? – słyszę po chwili jej niepewny, być może lekko zaspany, a nawet odrobinę zatrwożony głos. Nic dziwnego, w tej okolicy nikt – o ile nie musi – nie chadza po ulicach o takich godzinach, a już na pewno nie składa wizyt sąsiadom.

– To ja – mówię i naraz drzwi szeroko się otwierają.

– Synku... – Mama nie może powstrzymać łez i szybko pada mi ramiona.

– Też cię kocham, mamó – oznajmiam ze ściśniętym gardłem.

## Liz

– Nie podoba mi się to – rzucam, kiedy Tayler przebiega na drugą stronę ulicy.

– Nie tobie jednej. Nie tak się umawialiśmy – stwierdza Christiano.

– Wiem. I podwójnie mnie to martwi – wzdycham. – Pamiętam, jakie środki ostrożności zachowywaliśmy na lotnisku, a co teraz wyprawia ten... gamoń? – Nie umiem się powstrzymać. – Przez tę



sytuację z moją siostrą zachowuje się tak, jakby co najmniej oszalał. Najpierw cmentarz, teraz to. – Na potwierdzenie moich słów wskazuję głową na stojącego pod drzwiami Taylera.

– Wiele ryzykuje, ale niczego nie mogę mu zabronić. Chyba rozumiesz?

– Tak. I masz rację. – Podnoszę ręce w geście kapitulacji. – Ale...

– Tak, ty również masz rację. Umowa jest umową. I powinno się przestrzegać jej zasad. Ale ta zawierana na całe życie, zwana przyjaźnią... – wzdycha – tą niestety rządzą zupełnie inne prawa.

Początkowo nie rozumiem, co chce mi przez to powiedzieć. Nigdy nie miałam przyjaciółki, w przeciwieństwie do większości moich koleżanek. Po chwili jednak pojmuję, co tak naprawdę chodzi mu po głowie.

– Wierz mi, laleczko – mówi mój chłopak, po czym bierze do rąk moją dłoń i składa na niej pocałunek. – Gdyby tobie zagrażało jakiegokolwiek niebezpieczeństwo...

– Christiano...

– No co? – Przygląda mi się. Na dworze jest już na tyle jasno, że widzę nie tylko zarys jego twarzy, ale także oczy, które teraz wpatrują się we mnie z wyjątkową intensywnością.

– Co z naszą sprawą? – Szybko zmieniam temat, na co mężczyzna wzdycha. Wiem, że nie lubi o tym mówić, ale pragnę poznać realia. – Kochanie? – Dotykam jego policzka.

– Wierzę, że odnajdziemy Liv.

– A jeśli nie? – dociekam.

– Nie oddamy cię temu złamasowi, przysięgam.

– Ale...

– Już – przerywa mi. – Nie mówmy o tym teraz.

Skoro tak stawia sprawę, postanawiam zająć nasze głowy czymś innym, znacznie przyjemniejszym niż nawarstwiający się problemy. Zerkam przez szybę. Człowiek, który towarzyszył nam od samego początku, oddalił się nieco od samochodu, żeby w razie potrzeby asekurować Taylera. Nikt więc nie zauważy, gdy my...

# Rozdział 31

## Tayler

Spotkanie z matką uzmysłowiło mi, jak bardzo za nią tęskniłem oraz że zbyt długo zwlekąłem, żeby się z nią zobaczyć. Oboje jesteśmy wzruszeni.

Mama wstała dziś wyjątkowo wcześnie, bo ojciec robił nadgodziny w pracy, a ona chciała przywitać go wczesnym śniadaniem i pachnącą kawą, której aromat uderzył mnie już od samych drzwi. Kyle ponoć spędza noc poza domem. Dwójka pozostałych śpi kamiennym snem w swoich pokojach. A ja? Wybierając się do Nowego Jorku, nie sądziłem, że w ogóle będę w tej okolicy i że ujrzę światła w oknach naszego domu. Nie przypuszczałem też, że naraz odżyją wspomnienia i nie będę w stanie się powstrzymać, żeby nie zajrzeć do środka, choćby na moment. Wiem, że ten spontaniczny gest – nasze spotkanie po latach – jest bardzo ryzykowny, ale nawet w obliczu zagrożenia wcale go nie żałuję.

– Tayler, synku – chlipie mama i obłapia moją twarz lekko pomarszczonymi, spracowanymi dłońmi.

Ujmuję je we własne ręce i całuję każdą z osobna. Tak bardzo tęskniłem za tym ciepłem, za matczynym dotykiem...

– Obiecuj, że jeszcze się zobaczymy – mama naciska na mnie.

Już otwieram usta, by ją sprowadzić na ziemię – przecież od dawna zna realia albo właściwie się ich domyśla – ale ubiega mnie, usilnie patrząc oczami pełnymi łez.

– Obiecuj mi, Tay...

Kiwam głową i mocno ją przytulam. A potem całuję jeszcze w oba policzki i wychodzę.

Nasze przypadkowe spotkanie trwa naprawdę krótko, bo wciąż mam do wypełnienia misję, która niezakończona sukcesem, nie pozwala mi odetchnąć. Poza tym dłużej nie mogę ryzykować, bo znajduję się w miejscu, gdzie przecinają się ścieżki nowojorskich gangów, które tylko czekają na okazję, żeby mi się dobrać do tyłka.

– Uważaj na siebie, synku...

Już nic nie mówię – nie pozwala mi na to wzruszenie. Na odchodne posyłam matce smętny uśmiech i ruszam do wyjścia. Naciągam na głowę kaptur i wychodzę przed dom. Rozglądam się. Teren wydaje się czysty. Lorenzo, który stoi obok auta, kiwa do mnie, dając mi jasny sygnał, że mogę wracać, ale mnie nagle nachodzi pewna niepokojąca myśl. Pokazuję mu więc, że zajmie mi to jeszcze sekundę, a potem zawracam.

– Mamo? – wołam od drzwi. Zjawia się prawie natychmiast. Wciąż ma mokre od łez policzki, lecz w rękach trzyma telefon, w który się usilnie wpatruje. – Zapomniałem ci powiedzieć, żebyś nikomu, nawet ojcu, nie wspominała, że tu byłem.

Ufam tacie, ale im mniej osób będzie wiedziało o moim spotkaniu z matką, tym mniejsze ryzyko, że wynikną z tego kłopoty.

– Za późno – odpowiada, głośno przetykając ślinę i patrząc na mnie niepewnym, pełnym zatroskania wzrokiem. – Właśnie wysłałam SMS-a do Kyle'a. Sądziłam, że się ucieszy...

– Szlag – mamroczę.

– Przepraszam, synku.

– Nie było tematu.

– Ale...

– Nic się nie stało, mamo – okłamuję ją i dosłownie na chwilę ponownie ją obejmuję, bo nie wygląda na przekonaną. Przeczuję tarapaty, jednak postanawiam jej zaoszczędzić zmartwień. – Lecę – dorzucam i próbuję się nawet uśmiechnąć, co zważywszy na okoliczności, pewnie jej nie przekonuje. Wychodzę.

Spoglądam na Lorenza. Kiwa, że teren jest czysty. Przemykam przez ulicę, a później od razu wsiadam do hummera. On zajmuje miejsce obok i... jest tak samo jak ja zniesmaczony widokiem, który zastajemy w środku.

– Serio? – pytam, widząc Liz siedzącą okrakiem na Christianie. Nie czekając na odpowiedź, rzucam: – Zakładajcie gacie, bo sytuacja zaczyna się wymykać spod kontroli.

– Co się dzieje? – pyta Christiano zupełnie niewzruszony tym, że właśnie nakryliśmy ich na baraszkowaniu.

Liz natomiast wygląda na zmieszaną. Szybko poprawia ubranie i zajmuje miejsce pasażera. Muszę przyznać, że to ciekawa odmiana.

Kiedyś była bezpruderyjna i wydawała się całkowicie pozbawiona jakichkolwiek zasad. Zwłaszcza moralnych.

Po drodze pokrótce opowiadam im o problemie. Wspominam także, że na razie nie ma powodu do niepokoju i że jest to tylko moje podejrzenie, ale wolałbym, żeby nikt nie wiedział o moim przyjeździe do NYC, zwłaszcza Kyle, choć o tym akurat nie mówię głośno. Mam swoje powody, żeby odczuwać obawy, ale na razie nie chcę się z nikim nimi dzielić, by nie siać niepotrzebnego zamętu.

– No co? – pytam Liz, która patrzy na mnie jakby z pretensją.

– Nie chcę mówić: a nie...

– To nie mów – przerywam jej ze złością.

Czy ona myśli, że nie zdaję sobie sprawy z tego, w co wdepnąłem na własne życzenie? Lecz zdania nie zmienię, bo wiele bym oddał za tę jedną chwilę spędzoną z matką. Naprawdę mi jej brakuje. Nie sądziłem nawet, że tak bardzo. Dlatego nie żałuję tej spontanicznie podjętej decyzji. Teraz jednak muszę zrobić wszystko, aby jakoś stawić czoła narastającemu zagrożeniu. Nie zamierzam wsiadać w samolot i uciekać jak tchórz z podkulonym ogonem do Alvarado. Muszę odnaleźć Liv – w końcu po to tutaj przyjechałem.

– U mamy też jej nie było – mówię, zmieniając zrećznie temat, a właściwie wracając do sedna sprawy. – Liv zapadła się chyba pod ziemię – dodaję z cichym westchnieniem, nad którym nie umiem zapanować.

– Znajdziemy ją – zapewnia Christiano.

Ja niestety nie jestem takim optymistą jak on i pomału tracę wiarę w szczęśliwe zakończenie tej historii. Poza tym znów nachodzą mnie myśli, które nie nastrajają mnie pozytywnie. Liv prawdopodobnie nigdy mnie nie kochała. Bynajmniej nie tak jak ja ją. Gdyby było inaczej, znalazłaby sposób, żeby uwolnić się od tego człowieka i zwrócić się po pomoc do mnie. Przecież, bez względu na wszystko, nie odmówiłbym jej. Tymczasem ona chyba jak zwykle mnie nie doceniła, bo kolejny raz poszła na łatwiznę i uciekła. Nowy Jork to olbrzymie miasto i zaczynam godzić się z myślą, że jeśli Liv sama nie zdecyduje się opuścić kryjówki, to jej nie znajdziemy. To błędne koło, bo nieubłaganie kurczy nam się czas. Powinniśmy wracać do Meksyku. Tylko patrzeć, jak Craig zażąda swojego dowodu. Tacy jak on nie odpuszczają.

– O ile w ogóle wpadniemy na jej trop – odpowiadam bez przekonania.

– A może...? – Liz zaczyna dumać.

Od kilku godzin nie robi nic innego. Wciąż podsuwa nam pomysły, które nijak mają się do rzeczywistości. Elizabeth ma naprawdę szczerą chęć, ale prawda jest taka, że nie zna własnej siostry i nie ma pojęcia, gdzie mogła pójść. Nie oceniam jej. Sam także nie mam żadnego pomysłu na to, co stało się z Liv. Znam ją od dawna, ale moje wspomnienia z nią związane sięgają czasów, kiedy była smarkulą, a wówczas raczej nie zapuszczała się poza rewir Halletts Point. Dlatego, podobnie jak jej siostra, niewiele wiem o jej upodobaniach i miejscach, w których lubi bywać. Mieliśmy za mało czasu, żebym mógł się o niej dowiedzieć więcej i bliżej ją poznać, ale wystarczająco, by wyrobić sobie opinię, że Olivia Evans jest wartościowym człowiekiem. Chyba to urzekło mnie w niej najbardziej. I prawdopodobnie przez to nie mogę o niej zapomnieć.

– A ty, co myślisz, Tayler? – Christiano wyrywa mnie z rozmyślań.

– Przepraszam, zamyśliłem się.

– Liz wspomniała o moście...

– Jakim moście? – Pytam zaintrygowany tymi słowami.

– Matt wyraźnie podkreślał, że szukał jej na moście – wyjaśnia Liz.

– To prawda – potwierdza Christiano.

– A mówił chociaż, jaki to most? – dociekam zniecierpliwiony.

– Nie. – Z ust mojego przyjaciela pada krótka, rzeczowa odpowiedź, która powoli rozwiewa moje nadzieje.

– Liz, a może ty wiesz coś więcej na ten temat?

Dziewczyna nie odpowiada, ale widać, że stara się sobie coś przypomnieć. Strasznie długo zajmuje jej dziś myślenie, ale nie dzielę się z nią tą złośliwością. Jestem jej ogromnie wdzięczny za wszystko.

– To było... – Problem w tym, że Liz ledwie zaczyna mówić, a już nabiera wody w usta. Strasznie tego nie lubię i czasem zadaję sobie pytanie: czy ona nie robi tego celowo, żeby mnie trochę podręczyć i wkurzyć? Byłaby do tego zdolna? Pewnie tak, ale wierzę, że nie w takiej chwili.

– Do brzegu, kobieto...

Liz odwraca głowę i posyła mi spojrzenie, które w jej przekonaniu ma być dla mnie ostrzeżeniem.

Ja pierdolę, nie wytrzymam tego.

– Skup się, kochanie – prosi Christiano.

– To było...

Jezu, spraw, żebym wytrzymał...

– Zanim wyjechałam do Meksyku.

I wszystko jasne! Liz po prostu obawia się reakcji Christiana, który nagle wyraźnie się spina, gdy dociera do niego, o jakim okresie mówi jego dziewczyna. Jest zazdrosny. To widać gołym okiem. Trudno, będzie musiał jakoś to znieść, bo ja nie zamierzam odpuścić.

– Mów dalej – proszę już odrobinę łagodniejszym głosem, choć nadal nie umiem ukryć narastającego z minuty na minutę zniecierpliwienia.

Widać, że Liz targają obawy, ale zdobywa się na odwagę i kontynuuje:

– Wypiłam wtedy szklaneczkę whisky...

Serio?

– Masz słabą głowę, więc następnym razem proponuję mleko z miodem albo... kakao? – rzucam złośliwie i wymownie pokazuję, żeby mówiła dalej i szybciej rzecz jasna.

– Wkurzasz mnie, Tayler – rzuca ostrzegawczym tonem Liz i nawet nie odwracając głowy, pokazuje mi środkowy palec.

Zerkam na siedzącego obok mnie Lorenza. Szczerzy zęby. Cóż, pomimo panującego od wielu godzin napięcia też mam ochotę się roześmiać, ale nie chcę jej jeszcze bardziej rozdrażnić. Liz w takich momentach bywa nieobliczalna i cholera wie, jak może się zachować.

– No dobra. Daj już spokój i powiedz, co się wówczas stało – mówię. Chcę to po prostu wiedzieć, bo liczę, że dzięki temu szybciej wpadniemy na trop Liv.

– Do mieszkania Matta przyszła jakaś kobieta. Chyba miała na imię Darcy.

– Darcy?

Nie przypominam sobie żadnej Darcy. Liv musiała ją poznać po moim wyjeździe z Nowego Jorku.

– Tak, chyba tak. – Elizabeth kiwa głową. – Ponoć się przyjaźniła z Liv.

Nie pamiętam, żeby Liv podczas pobytu w Meksyku wspominała coś o jakiejś Darcy. Ale przecież nie musiała mi mówić o wszystkim. Poza tym Liz nie miała powodu, by zmyślać.

– Wiesz coś więcej na temat tej kobiety? – dociekam.

– Niestety nie.

– Może chociaż znasz jej nazwisko?

– Nie.

Wzdycham i lekko kręcę głową, bo ta rozmowa jest kompletnie bez sensu i w sumie szkoda mi na nią czasu. Jednak Liz nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Kontynuuje:

– Darcy przyszła do Matta, żeby oddać mu rzeczy należące do Liv.

– Jakie rzeczy? – pytam od niechcienia.

– Ktoś wysłał naszemu ojcu kilka rzeczy należących do mojej siostry. Wśród nich był również tamten plecak... – mówi, zerkając na Christiana, który prowadzi, ale wyraźnie słucha każdego jej słowa.

No tak...

Chrząkam wymownie, bo doskonale zdaję sobie sprawę, o jakich *rzeczach* mówi Elizabeth. Ta paczka... to moja sprawa. I wszystko, co wydarzyło się potem, też. Cóż, co się stało, to się nie odstanie. Nie zamierzam jednak w tej chwili wracać do tego tematu.

– Wiesz coś na ten temat, Tayler? – Liz znów odwraca się w moją stronę i przygląda mi się uważnie.

– Nie. – Nie czas na przyznawanie się, że *ta niespodzianka* to moja sprawa. Teraz muszę się tylko dowiedzieć, dokąd zmierza opowieść Liz. – Co było dalej? – pytam.

– Znudzona rozmową włączyłam telewizor. Przeskakiwałam z kanału na kanał...

Boże, daj mi siły do tej dziewczyny...

– Padło na wiadomości.

– Iii? – Naprawdę jestem już znudzony tą jej drobiazgową opowieścią. Jednak wciąż nie tracę nadziei, że cała ta paplanina ma jakiś sens.

– Dziennikarka powiedziała coś, co przykuło uwagę Matta. Gadała o jakimś pierścionku... – Liz pociera kark. Widać, że skupia się na własnych myślach, najwyraźniej próbując sobie przypomnieć chyba

coś istotnego. – Nie pamiętam dokładnie szczegółów, bo od whisky zaszumiało mi w głowie...

– Mówiłem, żebyś lepiej...

– Tayler! – ostrzega mnie Christiano, więc przewracam oczami i natychmiast się zamykam. – Kontynuuj, kochanie – przemawia łagodnie do siedzącej obok niego dziewczyny.

Widzę, że Liz posyła mu wdzięczne spojrzenie, ale nie komentuję już tego, bo dziewczyna mówi dalej:

– Ta kobieta opowiadała coś o rzece Hudson i o wędkarzach...

Tego normalnie nie da się słuchać! Co mnie obchodzą jacyś wędkarze, ich wędziska czy nawet, kurwa, złowione ryby? Potrzebujemy konkretów!

Kiedy już kręcę z rezygnacją głową, Liz dorzuca:

– I o znalezionym pierścionku.

– Ależ się zrobiło romantycznie – sarkam. Nie umiem się powstrzymać. We wstecznym lusterku napotykam rozeźlony wzrok przyjaciela. Wzruszam obojętnie ramionami.

– Na tym nagraniu w tle widniał most – kontynuuje Liz.

– Wiesz, ile jest mostów nad tą rzeką? – pytam z lekką ironią. – Poza tym skąd pewność, że to akurat o tym moście wspominał Trainor?

– Nie mamy pewności – mówi Liz. – Ale skoro to nasz jedyny punkt zaczepienia, to czy nie sądzisz, że warto się w to nieco bardziej zagłębić, Sherlocku?

No i mam za swoje.

Spoglądam na odbijającą się w lusterku twarz Christiana i dostrzegam jego uniesioną brew. Pomimo napiętej sytuacji nabija się ze mnie. I słusznie, bo pomimo że Liz, zanim doszła do sedna, nadrobiła spory kawałek drogi, miała szczerą intencję.

Zamykam się już i wyjmuję z kieszeni telefon. W wyszukiwarce wbijam hasło „pierścionek znaleziony w Hudsonie” i odnajduję kilka filmów wrzuconych na YouTube. Przeglądam je pobieżnie. Mam nadzieję, że dzięki tym nagraniom coś wreszcie drgnie, bo powoli tracę resztki nadziei.



Nie sądziłam, że *to* okaże się takie trudne. Naprawdę sporo w życiu przeszłam, ale nie spodziewałam się, że skończę na moście, a właściwie w rwącej rzece, która pod nim przepływa. Jednak jeśli mam wybierać pomiędzy egzystencją dziewczyny, która jest na utrzymaniu faceta psychopaty, a losem matki, która odbiera sobie życie, by – jakkolwiek bezdusznie to zabrzmie – oszczędzić większego cierpienia cudowi, jaki rośnie pod jej sercem, to wybieram to drugie.

Na dworze zdążyło się już zrobić jasno, więc żeby nikt nie wezwał służb – już sam widok kobiety w szpitalnej koszuli wystającej spod rozwleczonego swetra może budzić skojarzenia – muszę działać szybko. Przechodzę więc przez barierkę, co zajmuje mi więcej czasu, niż przypuszczałam, bo wciąż brakuje mi na to sił. Trzymając się kurczowo poręczy, wychylam się i spoglądam w dół. Uśmiecham się przez łzy na widok pierwszych promieni słońca, połyskujących właśnie na falującej tafli Hudsonu.

Oganiają mnie żal i strach. Zamykam oczy. Wciąż stoję na gzymsie, ale powoli puszczam najpierw jedną, potem drugą rękę i rozpościeram ramiona. Czuję już smak wolności, choć ta przeplata się z bezgranicznym smutkiem. I myślami, mnóstwem myśli...

Spieprzyłam własne życie. Dając się namówić na tę podmianę, zaprzepaściłam swoje szczęście. Podjęłam taką decyzję, bo wierzyłam, że to najlepsze rozwiązanie. Bo czułam, że jestem coś winna mężczyźnie, który jako pierwszy wyciągnął do mnie pomocną dłoń. Poświęciłam Taylera, jego szczerą i odwzajemnioną miłość. Teraz, choć jest już za późno na takie przemyślenia, wiem to na pewno: zawsze kochałam tylko jego. Odeszłam od niego z poczucia obowiązku wobec Matta. Wdzięczność można łatwo pomylić z miłością, choć to dwa różne, czasem nawet skrajne względem siebie uczucia. Szkoda, że zrozumiałam to tak późno.

– Przepraszam Tay... – mówię, czując, jak żal ściska mi gardło, niczym niewidzialna pętla.

– Nie, Liv! – słyszę z oddali wołanie.

To nie dzieje się naprawdę, choć *ten* głos brzmi tak realnie.

„A może jednak? – nachodzi mnie myśl. – Całkiem możliwe, że to koniec, że już mam to za sobą – umarłam. Tylko dlaczego nie czuję

bólu i słyszę głosy... Czy tak wygląda śmierć? Jeśli to prawda, to jest mi z tym cudownie”.

Ponownie gdzieś za plecami dochodzi mnie ten sam głos. W dodatku nie mija kilka sekund, a na ramionach czuję zaciskające się palce. Nie muszę nawet otwierać oczu, by wiedzieć, do kogo należą te dłonie. *Tego* dotyku nie pomyliłabym z żadnym innym.

– Liv? Kochanie – słyszę tuż koło siebie.

To nadal wydaje się takie realne...

– Trzymam cię, najdroższa. A teraz obróć się. – Nie jestem w stanie wykonać żadnego ruchu. Czuję, jak powoli *ten ktoś* odwraca mnie w swoją stronę. – I obejmij mnie za szyję – mówi łagodnie, lecz stanowczo.

Zaczynam się uśmiechać. Najpierw niepewnie, jakby z lekką obawą. Potem moje usta rozciągają się coraz szerzej i z wolna wyzbywam się lęku. A już po chwili śmieję się w głos.

Śmierć naprawdę może być piękna...

– Skarbie... – Głos Taylera i ciepło jego oddechu owiewają moje policzki, pieszczą moją skórę. To takie miłe doznanie, w dodatku tak cholernie realne. – Otwórz oczy i spójrz na mnie. Liv?

Nie mam zamiaru otwierać oczu. Nie chcę stracić tej namiastki, za którą tęskniłam całe długie tygodnie. Ten sen, to wrażenie... Chcę je zatrzymać jak najdłużej, najlepiej na zawsze.

– Liv, do cholery! Złaż z tego jebanego gzymsu! – dochodzi mnie wówczas jego nieznoszący sprzeciwu głos, na co natychmiast otwieram oczy.

Nadal nie mam pewności, czy rzeczywiście nie umarłam, ale im głębiej się nad tym zastanawiam, tym bardziej te wszystkie bodźce – dotyk, który właśnie czuję na swoim ciele; słowa, które docierają do mnie aż nazbyt wyraźnie; zapach aromatycznej woni perfum Taylera niedający się pomylić z żadną inną oraz jego wciąż lekko rozmyty widok – uświadamiają mi, że wcale nie umarłam.

– Tay? – Wznoszę głowę i napotykam znajome, kochające, choć zarazem wyrażające przerażenie spojrzenie. – Co ty... tutaj robisz?

Przypomina mi się wszystko, co mi kiedyś powiedział. Tayler ma zakaz wstępu do NYC.

– Obejmij mnie – rozkazuje mi. W innych okolicznościach pokazałabym mu, jak tego nie lubię, ale tym razem posłusznie

wykonuję jego polecenie. – Grzeczna dziewczynka – słyszę pochwałę, gdy zawieszam ręce na jego szyi. Następnie Tay podnosi mnie i bez większego trudu umieszcza po bezpiecznej stronie. – Nigdy więcej tego nie rób – mówi przejętym głosem. Na moment przyciska mnie do piersi, potem odsuwa się, unosi dłonią moją brodę i chwytającym za serce szeptem mamrocze mi coś niezrozumiale do ust.

Już zamierzam go poprosić, żeby powtórzył, a potem wyjaśnił mi wszystko to, co w tej chwili wydaje się takie nieprawdopodobne, ale wówczas...

Słyszę wyraźnie, jak ktoś woła jego imię, później pada odgłos wystrzału, a zaraz potem Tayler powoli osuwa się na ziemię.

– Tay!!!

## **Christiano**

Jestem dumny z Liz, że w ostatniej chwili wpadła na coś takiego. Bo gdyby nie ona...

Nie czas na takie przemyślenia, bo właśnie patrzę z przerażeniem na stojącą za balustradą mostu dziewczynę. Jest ubrana w o kilka rozmiarów za duży sweter, spod którego wystaje szpitalna koszula. Ma rozpostarte ramiona, a głowę wznosi ku niebu. Nie widzę zbyt dobrze jej twarzy, bo na rozkaz Taylera trzymam się z daleka. Asekuruję go. Liz także trzyma dystans, choć gdy dotarło do niej, co planuje zrobić jej siostra, pierwsza wyrwała jej się na ratunek. Powstrzymałem ją jednak, bo Tayler ma rację. Jeśli Liv kogoś posłucha i zdecyduje się na powrót, to tym kimś będzie właśnie on.

Nasi ludzie znajdują się w pobliżu, więc razem z Liz możemy się skupić wyłącznie na tym, co dzieje się tuż przed naszymi oczami. Obserwujemy, jak Tayler podchodzi ostrożnie do Liv. Przez cały czas mówi do niej spokojnym, opanowanym głosem. Następnie obejmuje ją od tyłu, jakby w obawie, że nie zechce go posłuchać. Potem ją obraca. Stojąca nad przepaścią dziewczyna chyba się lekko uśmiecha – Tayler zasłania ją swoim ciałem, więc niewiele widać – ale prawdopodobnie nie reaguje na żadne polecenia. Sprawia wrażenie, jakby postradała rozum. Tayler wiele dla niej ryzykuje. O tej porze ruch na moście Waszyngtona jest co prawda niewielki, ale to nie oznacza, że ktoś z nieprzychylnych Taylerowi ludzi już nie

dowiedział się o jego pobycie w Nowym Jorku i właśnie planuje zemstę.

Mój przyjaciel bierze swoją ukochaną na ręce i przenosi na drugą stronę balustrady.

Kątem oka zauważam ruch. W chłopaku podążającym w stronę ściskającej się pary szybko rozpoznaję niejakiego Kyle'a Maxwella. Nie miałem okazji poznać go osobiście, ale Tayler wielokrotnie pokazywał mi jego zdjęcia, podobnie zresztą jak innych członków swojej rodziny. Jego postawa zdradza, że nie ma szczyrych zamiarów, a kiedy wyjmuje broń...

Jedyne, co mogę zrobić w tej ulotnej chwili, to krzyknąć, żeby ostrzec przyjaciela.

Wszystko zaczyna się wymykać spod kontroli. Nagle bowiem uświadamiam sobie, że Tayler prawdopodobnie od dłuższego czasu podejrzewał Kyle'a o zdradę i chyba nawet przewidział taki rozwój wydarzeń. Zakazał bowiem mnie i swoim ludziom strzelać do tego chłopaka. Innych mogliśmy rozpierdolić, ale Kyle był nietykalny.

– Tayler! – Wyjmuję spluwę i wrzeszczę na całe gardło. Mam na celowniku tego chłopaka, nasi ludzie także do niego celują. Ale dobrze wiemy, że nikt nie odważy się przeciwstawić rozkazom szefa.

Kyle się nie waha. Oddaje strzał w momencie, kiedy mój przyjaciel zasłania swoją kobietę własnym ciałem. A za moment rozdzierający krzyk Olivii odbija się echem nie tylko w powietrzu, ale również w mojej głowie.

Ruszam Liv z pomocą, gdy Tayler ląduje na ziemi, tuż obok jej stóp. Dziewczyna po prostu jest zbyt słaba, żeby go utrzymać w pionie. Od krzyczącej wniebogłosy, pochylającej się nad moim przyjacielem dziewczyny dzieli mnie raptem kilka metrów, gdy kątem oka zauważam Liz. Ona nie wie o rozkazie i właśnie mierzy do młodego Maxwella. Elizabeth jako jedyna nie poznała tego szczegółu planu, bo obaj z Taylerem postanowiliśmy oszczędzić jej tej wiedzy, dla jej własnego dobra. Ale niestety obaj nie przewidzieliśmy takiego obrotu sytuacji.

– Liz! – Próbuję ją jeszcze powstrzymać, ale nie reaguje. Mruży groźnie oczy i celuje prosto w chłopaka.

Nieopodal zauważam jednego z naszych. On, jak my wszyscy, poza Liz, zna rozkazy i właśnie mierzy do mojej kobiety. Zabijam go

jednym precyzyjnym strzałem w głowę, zanim zdąży jako pierwszy pociągnąć za spust.

Przenoszę wzrok na Liz. Jest cała. I nadal celuje w Kyle'a. Trzęsą się jej ręce, więc jestem przekonany, że spudłuje – przynajmniej taką mam nadzieję. Ale ona tym razem trafia *w sam środek tarczy*, a młody Maxwell pada martwy.

Dobiegam do niej. Wciąż stoi w lekkim rozkroku i nadal mierzy z pistoletu w leżącego na ziemi chłopaka. Krępuję ją, po czym odbieram jej broń.

– Dość – mówię jedynie, bo w tym momencie nie znajduję innych słów.

Liz patrzy na mnie niezrozumiałym wzrokiem, a po chwili zaczyna płakać. Nic dziwnego, chyba właśnie do niej dotarło, że zabiła człowieka.

– Już nic nie rób, tylko czekaj tu na mnie – dodaję, a potem puszczam ją i biegnę do leżącego na chodniku Taylera i pochylonej nad nim zanoszącej się płaczem Liv. – Tayler, przyjacielu? Żyjesz? – pytam, a jego dziewczyna spogląda na mnie już bardziej przytomnym wzrokiem. Właściwie patrzy na mnie jak na wariata. – Nic mu nie będzie – tłumaczę. – Ma kamizelkę.

Osobiście nalegałem, żeby ją nałożył. Oczywiście strugał twarziem i początkowo nawet odmówił, ale na szczęście wreszcie posłuchał mojej przyjacielskiej rady.

– Tayler? – Klękam obok niego i klepię go po policzkach. – Pobudka, brachu.

Mija raptem chwila, a zaczyna mrugać powiekami, po czym otwiera oczy. Jęczy, ale to normalne. Pewnie w miejscu po kuli będzie miał gigantycznego siniaka, a te z reguły boją.

– Liv?! – wyrzywa mu się z ust.

To właśnie wtedy odkrywa, że ona, dziewczyna, dla której położył na szalę własne życie, cały czas jest obok. Po policzkach Liv wciąż płyną łzy. Jej usta delikatnie drgają, a po chwili ukazuje się na nich pełen obawy i troski uśmiech. Tayler również zaczyna się uśmiechać, a na jego twarzy pojawia się długo wyczekiwany wyraz ulgi. To zacy wyrok...

**Liz**

Zanoszę się płaczem. Jestem zdezorientowana. Nie rozumiem, co się dzieje wokół. Najpierw Christiano odbiera mi broń i wyraźnie daje mi do zrozumienia, że mam już nic nie robić, a teraz patrzę, jak podnosi z chodnika Taylera. Sądziłam, że jest ranny, a nawet bałam się, że zginął. Tymczasem wszystko wskazuje na to, że nic mu nie jest, a już z pewnością że nie odniósł większych obrażeń. Za to Kyle leży nieruchomo w kałuży krwi. Zginął z mojej ręki. Zabiłam człowieka...

Wpadam w panikę. Przecież za takie rzeczy idzie się do więzienia. Ale ja nie jestem zbrodniarką i nie chcę iść do paki! Nie zabiłam tego chłopaka dlatego, że chciałam. Musiałam to zrobić. Kyle chciał skrzywdzić ludzi, których kocham. Moich bliskich...

Miałam być silna, dzielna, ale obawiam się, że nie dam rady dotrzymać danego Christianowi słowa.

Nie wiem, co robić. Przenoszę wzrok na mojego faceta, który pomaga wstać przyjacielowi. Tayler jeszcze się chwieje na nogach, ale łapie pion, wspierając się na ramieniu Christiana. Nic mu nie jest. Oboje chyba mają się nie najgorzej – on i moja siostrzyczka, która właśnie mnie zauważa.

– Liv? – Podchodzę do niej, gdy na powrót podąża wzrokiem za Taylerem, który teraz klęczy obok leżącego we krwi brata. Na szczęście już nie płacze, choć nadal ledwie się trzyma. Jest blada, ma sine usta i worki pod oczami oraz potargane od wiatru włosy. – Olivio? – Dotykam jej ramienia.

Odwraca głowę i spogląda mi w oczy. Początkowo jej wzrok jest zimny, pozbawiony emocji. Żywi do mnie urazę – nie musi tego mówić, bo widać to gołym okiem. Spuszczam głowę, a właściwie mam nawet zamiar odejść, kiedy Liv wpada w moje ramiona i kolejny raz zanosz się płaczem.

\*\*\*

Wkrótce dociera do mnie, co narobiłam. Tayler od dawna podejrzewał, że jego młodszy brat planuje zemstę. Plany Kyle'a nie dotyczyły jednak samej Liv. Ją, gdyby tylko chciał, mógł przecież zabić wcześniej. Ale młodemu Maxwellowi najwyraźniej przyświecał jeszcze inny cel – jego rodzony brat. Kyle prawdopodobnie zazdrościł mu pozycji. To całkiem możliwa hipoteza, bo Tayler w

swoim świecie naprawdę wiele znaczył, a jego młodszy brat był zaledwie osiedlowym dealerem.

Czuję się winna zaistniałej sytuacji. Gdybym tylko wiedziała, gdyby ktoś mi powiedział, uprzedził, że ten gówniarz jest nietykalny. Gdyby Christiano wyjawiał mi, że Tayler ma kamizelkę...

Niestety ja jedna nie zostałam wtajemniczona. Ponoć Christiano i Tayler podjęli taką decyzję z troski o mnie. Szkoda, że obaj nie pomyśleli, co będę czuła potem, jeśli coś pójdzie nie po ich myśli. A stało się znacznie gorzej...

Widok Taylera, który na rękach niesie ciało brata i oddaje je matce, rwie mi serce na małe kawałki. Nie jestem beksą, ale ten jeden raz płaczę w głos.

## Rozdział 32

### Liz

Oficjalnie zostałam członkinią meksykańskiej mafii. Naoczni świadkowie potwierdzili, że to ja zabiłam młodego Maxwella, a że byłam wówczas z ludźmi Taylera, uznano mnie za jedną z nich. Nie jestem pewna, co to dla mnie będzie oznaczać w przyszłości, ale w zasadzie cieszę się, że wreszcie mam rodzinę. Mafia nie mafia, ważne, że czuję się tu jak w prawdziwym domu, którego w zasadzie nigdy nie miałam. Do pełni szczęścia brakuje mi tylko, żeby Christiano poprosił mnie o rękę, a potem wziął za żonę. Rozmarzyłam się...

– Jesteśmy kwita – odzywa się nagle Tayler, przerywając moje przemyślenia. Mówi szeptem, bo Liv była taka wykończona i rozbita psychicznie, że zaraz po starcie samolotu zasnęła z głową na jego kolanach.

– Nie rozumiem?

– Ja i banda Craiga – tłumaczy łagodnie, zupełnie jak nie on.

Tayler, odkąd odnaleźliśmy Liv, stał się pokorny jak baranek. Ale nie mówię mu tego, nie chcę go wkurzyć.

– To znaczy, że nie musisz się już żenić z żadną z nas? – pytam, znów zerkając na moją siostrę, którą mężczyzna czule gładzi po włosach. To naprawdę uroczy widok.

– Nie. Ta zasada wciąż obowiązuje.

– Wobec tego nadal nic nie rozumiem.

– Tayler chce ci powiedzieć – Christiano bierze w swoje dłonie moją rękę, która dotąd spoczywała na jego udzie, i składa na niej pocałunek – że jego zatarg z nowojorskim gangiem właśnie dobiegł końca.

– Serio? – dopytuję chyba aż zanadto uradowanym głosem.

Obaj kiwają tylko głowami.

– To dlaczego się nie cieszyacie? – Chyba znam odpowiedź, więc powinnam się ugryźć w język. Niestety nie zdołałam.



– Bo ceną za wolność Taylera było życie jego brata – Christiano potwierdza myśl, która mnie nachodzi, choć o sekundę za późno.

Rozumiem jego ból, ale mimo to czuję ulgę, bo to najlepsze od kilku dni wieści, jakie słyszałam. Niemniej jest mi przykro. To ja zabiłam tego chłopaka. Naprawdę tego nie planowałam. Tak wyszło. Widziałam, jak podąża w stronę brata, jak mierzy do niego z broni. Nie miałam pojęcia, że wszystko było ukartowane, że mniej więcej właśnie tak to miało wyglądać. Gdybym tylko została wtajemniczona...

Ubolewam, że nie można cofnąć czasu. I nachodzą mnie kolejne przemyślenia. Jeśli można by było zrobić choćby krok do tyłu, to oprócz tego, co zaszło na moście, zmieniałabym w swoim życiu jeszcze kilka innych rzeczy. Z pewnością nie popełniłabym starych błędów, które się za mną ciągną. A wszystko to zrobiłabym z myślą o lepszej wersji siebie, którą chciałam być dla Christiana. Mój facet nie mówi tego wprost, ale wiem, że moja niechlubna przeszłość wyjątkowo mu ciąży. Dostrzegłam to *wtedy* w jego spojrzeniu w mieszkaniu Matta.

– Dawno temu – ponownie głos zabiera Tayler. – Kiedy byłem mniej więcej w wieku Kyle'a, trafiłem na niewłaściwych ludzi. Objęli mnie swoją opieką, a nawet udawali moich przyjaciół. To, że nie wiedzą, czym jest przyjaźń, odkryłem dopiero pewnej nocy. Doszło do strzelaniny, a ja przez przypadek zabiłem jednego z braci szefa gangu. Tym szefem był ojciec Craiga, niejaki John. W zasadzie nawet do niego nie celowałem, to był zwyczajny przypadek, że go zabiłem. Kula rykoszetem odbiła się od ściany i trafiła go tak niefortunnie, że wykrwawił się, zanim nadeszła pomoc.

– To właśnie wtedy podjąłeś decyzję o wyjeździe z Nowego Jorku?  
– pytam, nagle zaczynając wszystko rozumieć.

Tayler kiwa głową i mówi:

– W zasadzie tak. Miałem jednak wybór. Mogłem wyjechać tak jak stałem albo poświęcić jednego ze swoich braci. Nie zawahałem się ani sekundy. Wybrałem banicję – wzdycha i wykrzywia usta w grymasie. – Podróż w nieznane, choć innym wmówiłem, że czeka mnie tam interes życia.

Dopiero teraz dociera do mnie, że Tayler nie zawsze był na szczycie. Jako młody chłopak naprawdę nie miał lekko.

„Jak każde z nas” – dodaję w myślach, spoglądając po kolei na Christiana, Taylera i śpiącą Liv. Wszyscy przed laty przeżywaliliśmy własne mniejsze lub większe dramaty, które ukształtowały tak, a nie inaczej nasze charaktery i osobowości. I choć każdy z nas na pozór wydaje się tak inny od reszty, łączy nas podobna przeszłość. A teraz także i przyszłość. Wszystko na to wskazuje.

– Dziś dług wobec Johna i jego rodziny został spłacony. – Mój *szwagier* dorzuca gorzko, choć stara się przede mną ukryć emocje.  
– Dzięki tobie.

Raczej przeze mnie...

## Tayler

To było do przewidzenia. Na lotnisku w Alvarado czekają na nas Craig i jego ludzie. Wraz z Christianem jesteśmy pewni, że wiedzą już o wszystkim: o nieżyjącym bracie, anulowanym długu oraz podmianie sióstr. Tak, ten *news* z pewnością także do nich dotarł, co widać po ich minach.

– Tay...

Liv na widok Damiana i Craiga wciska się we mnie ciaśniej.

– Nie bój się. Nic ci nie grozi – zapewniam ją, głaszcząc kciukiem jej odsłonięte ramię.

– Wreszcie – słyszemy. – Gołąbeczki przyfrunęły – kpi Craig, jak zwykle przeżuając wykałaczkę. – Szczerze? Liczyłem na załamanie pogody bądź inną katastrofę – dodaje, gapiąc się obłeśnie na Liv.

Wiem, do czego zmierza. Chce nam przez to jasno powiedzieć, że gdybyśmy się spóźnili choćby godzinę, że gdyby coś poszło nie tak – z samolotami czasem naprawdę różnie bywa – teraz miałby prawo odebrać mi Liv. Ale my wciąż dysponujemy odrobiną czasu, nadal nie jest za późno na wywiązanie się z umowy.

Po chwili Craig przenosi wzrok na kolejną z sióstr i uśmiecha się paskudnie, a potem spluwa wykałaczkę wprost pod własne nogi.

– Jedna piękniejsza od drugiej.

– Goń się – odszczekuje Liz, na co on wybucha śmiechem.

– Gdybym wiedział, że druga jest taka temperamentna, nie zawracałbym sobie głowy pierwszą – kwituje Craig, wyszczerzając zęby.

– Christiano? – ostrzegam przyjaciela, który już zaciska dłonie w pięści. Nie czas na to.

– A ty, moja droga Olivio, zamierzasz w takim stroju stanąć na ślubnym kobiercu? – szydzi Damian, taksując ją wzrokiem od stóp do głów.

– O czym on mówi? – Liv spogląda na mnie przerażonymi oczami.

– Nie powiedziałaś jej? – Craig wykrzywia twarz w ironicznym uśmiechu i kręci głową.

– Wychodzisz za męża, słoneczko. Naprawdę nikt cię nie uprzedził?

Liv patrzy na mnie, wyraźnie oczekując wyjaśnień. Miałem w planach zrobić to wcześniej, opowiedzieć jej o umowie, ale jakoś się nie złożyło...

– Chyba musimy pogadać.

Już bardziej odpowiedniego momentu nie będzie. Biorę ją pod ramię i oddalamy się kilka metrów od reszty.

– O czym on, do cholery, mówi, Tay?

Uśmiecham się mimowolnie. Nagle bowiem dociera do mnie, że Liv, pomimo różnic, jest bardzo podobna do swojej siostry. Oczywiście nadal uważam, że więcej je dzieli, ale istnieją pewne łączące je detale – obie złośczą się podobnie, mają tak samo niewyparzone języki. Na myśl o języku Liv...

Nie czas w tej chwili na takie przyjemności. Teraz pora na *dojrzałe* decyzje.

– Wyjdź za mnie, Liv.

– Co?!

– Zostań moją żoną. – Oszczędzam jej szczegółów dotyczących tej *transakcji wiązanej*. Zresztą szkoda czasu na zbyteczną paplaninę. Przecież nawet jeśli zaskoczona powie „nie”, to i tak zamierzam się z nią ożenić. Kocham ją i chcę z nią spędzić resztę życia. – Tu, teraz – dorzucam.

– Ty oszalałeś, Tay. – Liv patrzy na mnie jak na wariata i zerka na pozostałych, którzy przyglądają nam się z przesadnym zainteresowaniem.

– Na twoim punkcie – odpowiadam, a potem biorę ją w ramiona i całuję.

Na szczęście nie oponuje i oddaje mi pocałunek, chociaż w sprawie małżeństwa dalej nie wygląda na przekonaną. Nadal nie powiedziała „tak”. Muszę dać jej kolejną szansę. Odrywam się od niej na moment, usilnie patrzę w te jej cudne, wielkie oczy i proszę:

– Zgódź się.

– To się nie uda – mówi. – Czy przypominam pannę młodą? Tylko spójrz na mnie.

– Patrzę.

Zerkam na jej usta, które ponownie mam ochotę wziąć w posiadanie.

– Nie jesteśmy odpowiednio przygotowani, Tay. Nie mamy nawet obrączek, że o pierścionku nie wspomnę...

– Liz? – wołam za jej siostrą, a ta zjawia się obok nas prawie natychmiast. – Oddaj mi pierścionek, proszę. – Wystawiam po niego rękę, a gdy ona zwraca mi moją własność, szybko wkładam go na palec zaskoczonyj obrotem sytuacji Liv.

– No i pobłogosławione – śmieje się Liz, a potem rzuca zadziorne spojrzenie Craigowi, któremu znika z ust ten cwaniacki uśmiezek, którym nas jeszcze chwilę temu raczył. – Świadków też już macie – dodaje Elizabeth. – Ja i Christiano nimi będziemy.

– Raczej ty i Lorenzo – poprawiam ją. A kiedy patrzy na mnie w sposób, który sugeruje, że zaraz zażąda wyjaśnień, doprecyzowuję:

– Christiano wystąpi dziś w roli pastora.

– No bez, kurwa, jaj! – wyrywa się Liz.

## **Christiano**

Z jajami czy bez mina Liz, kiedy dowiaduje się, że jestem pastorem, jest bezcenna. Wiem, co sobie pomyślała: że gangster, w dodatku facet, który uwielbia seks, nie może być wielebny. Cóż, życie pisze różne scenariusze. Dawno temu, chcąc wyrwać się z macek mafii, wpadłem nawet na tak idiotyczny pomysł, by wyjechać do Stanów i zostać pastorem. Do tego nie trzeba było zbyt wiele. Raptem wiary w Boga i trochę samozaparciu. Zostałem nim, choć potem, gdy wróciłem z podróży i siłą rzeczy musiałem zająć się rodzinnym biznesem, nigdy nie traktowałem tego dodatkowego zajęcia jako zawodu.

Tym bardziej cieszę się, że właśnie teraz moje *poświęcenie* nie poszło na marne, a ja mogę się na coś przydać.

## Liv

– Ty serio oszalałeś, Taylerze Maxwellu – mówię, gdy bierze mnie za rękę i prowadzi w stronę tych wszystkich ludzi, którzy czekają na nasze zaślubiny.

– Już mówiłem...

– Tak, wiem, ale... – Patrzę jeszcze raz za siebie. Wyglądam, jak wyglądam. Nie mam na sobie już tych szpitalnych łąchów, bo Liz odpowiednio o mnie zadbała, ale nadal sędzę, że w tym stroju nie przypominam panny młodej. – Uważasz, że to odpowiedni moment?

Wiem, że Craig insynuował, że nie mamy czasu, ale naprawdę gdybym mogła, na nasz ślub wybrałabym inny ubiór, a i okoliczności też wolałabym żeby były inne.

– Lepszego nie mogłem sobie wymarzyć – upiera się Tayler.

Zbieram się w sobie, bo nagle przychodzi mi do głowy pewna myśl. Jestem przekonana, że Tayler już wie o wszystkim, ale muszę mieć pewność, że się dobrze rozumiemy w tej kwestii. Chcę więc usłyszeć to wprost, zanim powiem sakramentalne „tak”.

– Jestem w ciąży, Tay.

Na szczęście moje dziecko nie ucierpiało. Przed wylotem z Nowego Jorku zbadał mnie lekarz, który potwierdził, że zagrożenie wynikające z przyjęcia narkotyku minęło.

– Wiem.

– I to dziecko może być...

– Jest moje – przerywa mi. – I obiecuję kochać je równie mocno jak jego matkę.

– Chryste, Tay... – Zarzucam mu rękę na szyję.

– Nie przesadzaj, maleńka. Do Chrystusa mi daleko. – Puszczam do mnie oko.

– Jesteś niemożliwy, wiesz? – Sytuacja może i jest odrobinę zabawna, ale ja pociągam nosem. Jestem szczerze wzruszona. – I szalony – dorzucam, wspinając się na palce i kradnąc mu całusa.

– No popatrz – śmieje się. – To od dziś nie będę całkiem sam w tym swoim szaleństwie.

– Kocham cię, Tay. – Całuję go znowu.

– A ja ciebie.

# Epilog

Liz

Ten mały cyrk na lotnisku to był raptem przedsmak tego, co czekało nas przez najbliższe dni w hacjendzie Taylera. Wesele mojej siostry i jej świeżo upieczonego małżonka trwało już trzeci dzień. Ogrom ludzi – znajomi, bliżsi lub dalsi, *osoby z branży* – naprawdę zaskakuje, a mnie, jak wiadomo, trudno czymś zadziwić. Muszę przyznać, że jeszcze nie byłam na zorganizowanej z takim rozmachem imprezie.

– Zmęczona? – pyta Liv.

Potwierdzam skinieniem głowy, ale się uśmiecham. Raduje mnie jej widok. Wystarcza niespełna kilka dni u boku faceta, który – nie tylko w przerośni – nosi ją na rękach, a moja siostra już nie wygląda jak ta ledwie żywa dziewczyna, którą zgarnęliśmy z mostu. Jest jeszcze trochę blada, ale jestem pewna, że kiedy przez kilka dni pobędzie na świeżym powietrzu, zakosztuje meksykańskiego słońca, zatraci się w miłości swojego zapatrzonego w nią jak w obrazek męża, to znów będzie promienieć.

– Odpocznij więc – mówi.

– Nie mogę – odpowiadam, przywołując kolejny, lekko niemrawy uśmiech na usta. – W końcu rola świadkowej do czegoś zobowiązuje. – Mrugam do niej porozumiewawczo.

– Daj spokój. – Liv macha ręką. – Spójrz na tych wszystkich ludzi – dodaje i spogląda na snujących się po całym ogrodzie weselników. Większość z nich jest już pijana, inni w ogóle nie trzeźwieją, a jeszcze inni... Szkoda gadać. – Czy oni wyglądają na takich, co potrzebują twojej pomocy?

– Raczej odwyku – mówię, na co obie wybuchamy śmiechem. – Widziałaś gdzieś może Christiana? – zmieniam temat.

– Nie. Ale zaczekaj, zapytam męża...

– Nie trzeba. – Łapię ją za rękę i zatrzymuję w miejscu. – To nic pilnego.

– Co się dzieje, siostrzyczko?

Sposób, w jaki się do mnie zwraca Liv, powoduje, że uśmiecham się ciepło, pomimo że nastrój mam kiepski. Ostatnio czuję się zaniedbywana przez Christiana. Nie wiem, może przesadzam, ale wydaje mi się, że mnie nawet unika. Zachowuje się tak, odkąd wróciliśmy z Nowego Jorku, a właściwie od chwili, kiedy skonfrontował się z Mattem. Nie mam pojęcia, co go wówczas ugryzło, choć właściwie podejrzewam, tylko boję się do tego przed samą sobą przyznać. A jeszcze bardziej obawiam się tego, że go stracę.

– Nic. Naprawdę się mną nie przejmuj.

– Liz?

– Christiano chyba już mnie nie chce – mówię. – Ale nie trap się tym. Przywykłam. Faceci to dranie. Z małymi wyjątkami, rzecz jasna. – Mrugam do niej, bo mam na myśli Taylera, który naprawdę zyskał w moich oczach.

– Liz...

– Masz rację. Chyba powinnam odpocząć – dorzucam jeszcze, a potem podnoszę się z leżaka i idę w stronę domu. Nie mam ochoty na tę rozmowę.

## Liv

– Porozmawiaj z Christianem, proszę. – Podpieram głowę na łokciu i patrzę w oczy mojego świeżo upieczonego męża.

– Robisz to celowo – rzuca Tayler.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Udaję niewiniątko, choć doskonale wiem, o co mu chodzi.

– Wiesz, wiesz – mówi, a potem bierze moją twarz w swoje dłonie, przyciąga ją i całuje mnie w usta. – Kiedy tak na mnie patrzysz... – dodaje zachrypniętym głosem.

– Że niby jak patrzę? – Trzepoczę rzęsami.

– Kochanie, proszę. Nie mieszajmy się do tego. – Tayler wzdycha, a potem wychodzi z łóżka i zakłada spodnie na goły tyłek. Jak widać, pewne rzeczy w ogóle się nie zmieniły. Cieszy mnie to ogromnie. Tylko zamieniając niektóre niedające mi spokoju obrazy na inne, nawet tak banalne, jestem w stanie zapomnieć o pewnym etapie mojego życia.

– Tay...



– Nie, Liv. Tym razem ci nie pomogę. Po prostu mam związane ręce. I proszę, nie pytaj o szczegóły, bo o pewnych rzeczach zwyczajnie nie możemy rozmawiać. Rozumiesz?

Kiwam głową, choć jest mi przykro. Może to przez hormony, ale chyba powoli udziela mi się nastrój Liz.

– A teraz wstawaj już, leniuchu. Musimy pożegnać ostatnich gości.

– Z chęcią – mamroczę pod nosem, na co mój mąż uśmiecha się szeroko. – Nie myśl, że jestem jakąś snobką, ale wesele trwające już drugi tydzień to lekka przesada, nie uważasz?

– Zgadzam się z tobą. A teraz wychodź z łóżka. Mamy jeszcze do obgadania pewną kwestię.

– A mianowicie?

– Niecierpliwa jak zawsze. – Tayler kręci głową, a potem wkłada koszulkę i kieruje się w stronę drzwi. – Czekam w jadalni. Zabierz z sobą siostrę.

– Tay?! – wołam w ślad za oddalającym się mężem.

Tayler zachowuje się... dziwnie. Nic z tego nie rozumiem, a on jest wyjątkowo tajemniczy. Żeby się dowiedzieć, co kombinuje, pozostaje mi go posłuchać i pójść za nim.

## Christiano

– Naprawdę nic nie podejrzewają? – pytam Taylera, kiedy do mnie dołącza.

Tutaj ta garstka weselników, którzy zwlekają z wyjazdem do czasu, aż para młodych pożegna ich osobiście, nie ma wstępu. I dzięki Bogu, bo pomimo że jestem tylko jednym z gości, już mam dość tego zamieszania, które od wielu dni ma miejsce w ogrodzie. Szczerze mówiąc, ostatni czas był wyjątkowo ciężki. Ludzie pili, jedli, bawili się. I tak bez końca. Było głośno. Zbyt gwarnie, nawet jak dla mnie. Co prawda z dnia na dzień goście weselni wykruszali się i stawało się odrobinę spokojniej, ale ci bardziej wytrwali wciąż tu byli, a my musieliśmy ich zabawiać i dotrzymywać im towarzystwa. Ja w zasadzie formalnie nie miałem tego obowiązku, bo byłem *tylko* gościem, ale dwoiłem się i troiłem, żeby trochę odciążyć bliźniaczki. Zwłaszcza Liv, która będąc w błogosławionym stanie, potrzebuje więcej spokoju.

– Nic a nic. – Tayler wzrusza ramionami, odpowiadając na moje pytanie. – Ale wierz mi, jest coraz ciężej. Liz chodzi naburmuszona, a Liv, jak na bliźniaczkę przystało, chyba powoli udziela się nastrój siostry. Dziś od rana wierci mi dziurę w brzuchu, żebym z tobą pogadał.

– Serio? – Uśmiecham się.

– Tak. Dlatego cieszę się, że w końcu obaj będziemy to mieć za sobą. Na dłuższą metę staje się to nie do zniesienia.

– Idą. – Zniżam głos do szeptu. – I rzeczywiście miny mają takie, że lepiej nie gadać. Burza gradowa i tornado – dorzucam żartobliwie, czego już obaj nie kwitujemy, choć ledwie powstrzymujemy się od śmiechu.

– Cześć, Christiano – odzywa się Liv.

– *Ciao, bella* – odpowiadam, na co Liz zdaje się nie zwracać uwagi. Ja jednak wiem, że to tylko pozory. Może i nie zna jeszcze włoskiego, ale jestem pewien, że ten zwrot zrozumiała bez większego problemu.

– Tayler – burczy Liz, a mój przyjaciel kiwa do niej na powitanie.

Elizabeth, nawet na mnie nie patrząc, siada po przeciwległej stronie suto zastawionego stołu. Unika zarówno mojego towarzystwa, jak i samego spojrzenia. Ostatnio nawet w łóżku stała się bardziej oziębła. W dodatku od wczoraj ma te dni.

– Smacznego – mówię i zaczynam nalewać świeżo zaparzoną kawę do filiżanek.

– Ja dziękuję. – Liv odsuwa swoją i sięga po sok pomarańczowy.

– Jajeczniczy? – proponuje jej mążnek.

– Dziękuję, ale nie mam ochoty.

– Musisz coś zjeść – upiera się Tayler i podsuwa jej pod nos tost posmarowany masłem i dżemem.

Kobieta odgryza kawałeczek, żuje go i połyka, a potem od razu domaga się wyjaśnień.

– O czym chciałeś z nami rozmawiać? – pyta wprost.

– A ty, Liz, nic nie zjesz? – Tayler ją zbywa, a ja powściągam uśmiech.

– Nie jestem głodna. – Druga z sióstr burczy w odpowiedzi.

– Tayler? – Liv wygląda na naprawdę zniecierpliwioną.

– No dobra. Powiemy im? – To pytanie kieruje do mnie, a ja rozkładam ręce. Jak mus, to mus.

## Tayler

– Mamy z Christianem do załatwienia pewien niecierpiący zwłoki interes – zacznym. – A ten wiąże się z wyjazdem.

– Dokąd chcecie pojechać? – pyta Liv. – I dlaczego musicie wybrać się tam akurat teraz? – dodaje jakby z pretensją. Typowa reakcja świeżo upieczonej żony, ale podoba mi się. Przywyknę.

– Do Amalfi – oznajmia Christiano, wzbudzając natychmiastowe zainteresowanie Liz, która tylko udaje, że jej to nie obeszło. Obchodzi ją. Bardzo. Chyba nadal nic nie rozumie. I dobrze, inaczej nie byłoby niespodzianki.

– Do Amalfi? – powtarza Liv i kręci głową. Nie wygląda na zadowoloną. – I oczywiście nie można tego przełożyć – stwierdza, przebąkując pod nosem.

– Niestety nie – odpowiadam. – I tak czekaliśmy z tym zbyt długo. Ale, kochanie, chyba sama rozumiesz. Taka tradycja. Nie możemy wyjechać, dopóki ostatni weselnicy nie opuszczą naszej hacjendy. A że za chwilę ich pożegnamy...

– Jak dla mnie możecie sobie jechać nawet do samego Honolulu – burczy Liz, po czym ostentacyjnie wstaje od stołu. Zdaje się, że zamierza nas opuścić. Nie mogę na to pozwolić, ale tak bardzo zaintrygowała mnie swoją odpowiedzią, że nie potrafię się powstrzymać i ciągnę dalej temat, który zaczęła. Przeczuję, że będzie zabawnie.

– Do Honolulu? – pytam, a ona mierzy mnie chłodnym spojrzeniem, w dodatku patrząc na mnie z góry. – A niby co właściwie mielibyśmy tam robić?

– Możecie nawet jebane małpy czesać – wypala Liz ze złością i odchodzi.

Ja pierwszy podchwytyję żart. Christiano załapuje trochę później, ale obaj wybuchamy gromkim śmiechem.

– Czekaaj, Liz! – wołam za nią i pokazuję Christianowi, że to ostatni moment, żeby się ujawnił z własnymi planami. Po co dłużej ją drażnić? Je obie. Liv też ma minę, że lepiej nie gadać.

– Gońcie się. Obaj – rzuca Liz przez ramię.

Nie odchodzi jednak zbyt daleko, bo mój przyjaciel dogania ją, zastępuje jej drogę i proponuje:

– A może poczeszemy je wspólnie?

– Co?! – skrzeczy, krzyżuje ramiona i mierzy go lodowatym wzrokiem. Jest wściekła, uroczo, kurwa, wściekła.

– No... wspomniałaś coś o czesaniu małąp. Jeśli naprawdę tak bardzo zależy ci na wyjeździe na Hawaje, to myślę, że da się to zrobić. A ty, co sądzisz, Tayler? – Uśmiecha się, choć Liz wciąż wygląda jak chmura gradowa, z piorunami w gratisie.

– Osobiście wolałbym lecieć do Włoch, ale w sumie możemy dać wybór twojej narzeczonej.

Prawdopodobnie obie nadal nas nie rozumieją, ale po chwili zdolność myślenia wraca do Liv, bo odzywa się pierwsza:

– Co ty powiedziałaś?

– Że miesiąc miodowy połączony ze świętowaniem zaręczyn Christiana i Liz wolałbym spędzić we Włoszech, w Amalfi niż...

Nie jestem w stanie nawet dokończyć, bo moja szczerze wzruszona żonka już siada mi na kolana, po czym zarzuca rękę na moją szyję.

– Mówisz poważnie? – Patrzy na mnie błyszczącymi oczami.

– Jak najbardziej – odpowiadam, a potem jedynie sugeruję, żeby odwróciła głowę. Pewnie nie chciałyby stracić takiego widoku.

Christiano klęczy na jednym kolanie, a w rękę trzyma już otwarte zamszowe, czerwone pudełko. Liz zatyka dłonią usta, a po jej policzkach lecą łzy. To ci nowość.

– Czy...?

– Tak, tak, tak! – pada jakże rzeczowa odpowiedź.

To się narobiło...

# ***Podziękowania***

Dziękuję tym, którzy mnie ciągle motywowali do napisania tej historii. Jest Was wielu, więc nie będę każdego wymieniać po kolei, ale wiedzcie, że pamiętam o każdym z Was.

Bardzo dziękuję tym, którzy pomogli mi w wydaniu tej książki: Kindze Litkowiec – za bezcenne rady, bez których błędziłabym niczym dziecko we mgle, Annie Winczewskiej – „literkowej” żonie Taylera, Maksymowi Leki za skład i dobre rady oraz Maciejowi Tomickiemu za wyczerpujące informacje i cierpliwość.

Dziękuję moim wiernym Czytelnikom. Te i inne historie piszą się z myślą o Was i dla Was.

Mojej Rodzinie, każdemu z osobna. Za inspiracje, których mi nierzadko dostarczacie, za cierpliwość, kiedy bujam w obłokach. Zwłaszcza dziękuję mężowi. Za wszystko...

To dla Was, Kochani! Bezapelacyjnie.

Wasza Kasia Mak

# Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Motto/Dedykacja](#)

[Przedmowa autorki](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)